

# Na krawędzi

Coulter Catherine

Książka IV z FBI



calibre 0.9.43

**CATHERINE COULTER**

**NA KRAWĘDZI**

Dedykuje Curry Eckelhoff

Mniejsza o wyjątkowe kompetencje - jesteś przede wszystkim wspaniałą przyjaciółką, masz olbrzymie poczucie humoru, potrafisz być szlachetna aż do bólu, no i jesteś blondynką!

Wszystkim, którzy często bywają w Różowym Pałacu - CC.

## Prolog

Edgerton, Oregon

Ciszę bezkسیężycowej nocy mącił jedynie łagodny pomruk dobrze uregulowanego silnika nowiutkiego porsche, ale Jilly dałaby głowę, że słyszy jeszcze czyjś proszący, zduszony szloch. Ani na chwilę nie mogła się od niego uwolnić.

W pobliżu nie było żywej duszy, samotnie prowadziła swój samochód szosą biegnącą wzdłuż brzegu oceanu. W szumiących falach morskich nie odbijał się księżyc - czarny przestwór morski wydawał się pusty. Wystarczył lekki nacisk palców na kierownicy, aby porsche zaczął zbaczać na lewo, w stronę wysokiego klifu, pod którym szumiała bezkresna otchłań wodna. W ostatniej chwili Jilly zwróciła wóz ku środkowi szosy.

Szloch Laury nasilał się coraz bardziej, jakby chciał rozsadzić jej mózg od środka. Nie mogła już tego wytrzymać.

- Zamilcz! - krzyknęła gniewnie, zupełnie innym tonem niż łkanie Laury, ciche, nieutulone w żalu, jak płacz zagubionego dziecka. Jilly miała wrażenie, że ten głos wydobywa się z niej, ze środka. Czowała, że tylko śmierć może jej przynieść ukojenie. Kurczowo ścisnęła kierownicę i wbiła wzrok w szosę przed sobą, modląc się, aby ten uporczywy głos nareszcie ucichł.

- Lauro, proszę cię, daj mi spokój! - wyszeptwała. Jednak Laura nie dała jej spokoju, a wręcz przeciwnie - zamiast zalić się cienkim głosikiem wystraszonego dziecka, zaczęła teraz bluzgać stekiem obelg, tryskając jadowitą śliną. Jilly w bezsilnej złości zaczęła tłuc pięściami w kierownicę, chcąc zagłuszyć ten atak agresji. Kiedy i to nie pomogło - otworzyła okno na całą szerokość i wychyliła głowę, aż wiatr splątał jej włosy, a oczy zaczęły piec i łzawić.

- Przestań! Niech ona przestanie! - wykrzykiwała w ciemność nocy. I nagle głos zamilkł.

Jilly wciągnęła w płuca dużo powietrza i schowała głowę do wozu. Wystarczyło, że oddychała chłodnym powietrzem, które dostawało się do środka. Delektowała się jego smakiem i świadomością, że koszmar się skończył. Rozejrzała się więc wokół siebie, próbując ustalić, gdzie się znajduje. Miała wrażenie, jakby przesiadziała już za kierownicą wiele godzin, ale zegar na desce rozdzielczej wskazywał dopiero północ. A zatem od jej wyjazdu z domu upłynęło pół godziny.

Cóż z tego, kiedy nie mogła dłużej znieść szeptów i krzyków, które zdominowały jej życie? Dobrze, że choć w tej chwili zapanowała kompletna cisza.

Zacząła odliczać kolejne sekundy wolne zarówno od przekleństw, jak od płacznego, dziecięcego głosiku. Jedna, dwie, trzy... - Na razie nie było słyhać nic prócz jej własnego oddechu i rytmicznej pracy silnika. Odrzuciła głowę do tyłu, rozkoszując się upragnioną ciszą. Cztery, pięć, sześć - nadal nic się nie zmieniło.

Siedem, osiem... - zaraz, znów dał się słyszeć jakiś dźwięk. Przypominał szelest liści gdzieś w oddali, ale zdawał się coraz bardziej przybliżać. W końcu stało się jasne, że to nie szelest, ale szept. Oczywiście ten sam szept co przedtem. Laura znów błagała o darowanie życia i zapewniała, że wcale nie chciała iść z nim do łóżka, tylko tak jakoś wyszło... Jednak Jilly nie wierzyła tym słowom.

- Przestań, proszę, przestań! - próbowała zagłuszyć ledwo słyszalny szept. Wtedy Laura znów zmieniła ton i przeszła do krzyku. Wyzywała Jilly od egzaltowanych dziwek i żalonych idiotek. Jilly,

chęcią uciec od tych wyzwisk, wcisnęła gaz do dechy. Licznik wskazywał sto dziesięć, potem sto trzydzieści, wreszcie sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Starła się trzymać środka szosy i zagłuszać krzyki Laury śpiewem. Im głośniej dźwięczał w jej uszach prześladowający ją krzyk, tym głośniej śpiewała i mocniej naciskała pedał gazu. Porsche pędził już z szybkością stu czterdziestu pięciu... nie, stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę!

- Idź precz! Idź do diabła! - jęczała Jilly, zaciskając palce na kierownicy i prawie dotykając jej czołem. Obroty silnika współbrzmiły z głosem Laury, dodając mu mocy. Tymczasem prędkościomierz przekroczył już sto sześćdziesiąt.

Jilly wchodziła właśnie w ostry zakręt, kiedy w głosie Laury zabrzmiała groźba, że wkrótce znów się spotkają. Wprost nie mogła się doczekać, żeby dostać Jilly w swoje ręce, a wtedy okaże się, która wygra!

Jilly krzyknęła, lecz nie wiadomo, czy ze strachu przed pogroźkami Laury, czy na widok urwistego brzegu, wznoszącego się jakieś dwanaście metrów nad czarnym rumowiskiem skalnym. Porsche, nadal nabierając szybkości, przewrócił barierę i runął prosto w przepaść.

Ciszę nocy zmaćił jeszcze jeden krzyk, zanim przód porsche uderzył w lustro wody. Kiedy spokojna woda zamknęła się nad nim - znów zapanowała wszechogarniająca ciemność i cisza. Jak przed sekundą.

1

Szpital Marynarki Wojennej

Bethesda, Maryland

Gwałtownym ruchem usiadłem na łóżku, zgięty wpół przez przeszywający ból. Zdawało mi się, że ktoś krzyczy prosto w moje ucho, a ja nie mogę złapać tchu, jakby dusił mnie niewidzialny przeciwnik. Z wysiłkiem zdołałem nabrać tyle powietrza, aby wziąć głęboki oddech.

Potem poczułem, jak nade mną zamknęła się ściana lodowatej wody, niczym paszcza wieloryba, który połknął Jonasza. Miałem jednak świadomość, że się nie utopiłem, bo znałem to uczucie. Pamiętałem dobrze, co przeżyłem, kiedy w wieku siedmiu lat kąpałem się razem ze starszym bratem Kevinem i zaplątałem się w jakieś podwodne zielska, gdy tymczasem on flirtował z panienkami. To Jilly wyciągnęła mnie wtedy na powierzchnię i klepała po plecach, dopóki nie wytrząsnęła wody z moich płuc.

To, co mi się przyśniło, nie miało nic wspólnego z tamtymi wspomnieniami. Odczułem tylko uderzenie ściany wodnej, a potem nastąpiła cisza, bez bólu i strachu, jakby po prostu nic się nie działo.

Szybko zsunąłem nogi z łóżka i stąpałem na wytarte linoleum z takim impetem, że spazm bólu przeszył mi bark, żebra, obojczyk, prawe udo i wszystkie części ciała, które zdążyły się zagoić na tyle skutecznie, że zapomniałem o ich istnieniu. Teraz przypomniały nie tylko o tym, że je mam, ale i o tym, że znajduję się w szpitalnej sali, nie pod wodą. A więc był to tylko koszmarny sen!

Jednak, gdy tak stałem boso na podłodze, poczułem wstrząs tak silny, że o mało nie wgniółł mnie z powrotem w łóżko. Chwyciłem kurczowo zagłówek, wziąłem głęboki oddech i rozejrzałem się wokół siebie. Pod stopami miałem kremowe linoleum, które przez ostatnie dwa tygodnie zdążyłem nienawidzić równie mocno, jak ściany utrzymane w kolorach seledynowym i musztardowym. Chyba tylko jakiś umundurowany dupek mógł wybrać takie farby, ale mniejsza o to. Przecież nieboszczyk nie może niczego nienawidzić, więc jeśli mnie wnerwiały te sraczkowate kolor ki, to znak, że wciąż żyłem!

Powiedziano mi, że miałem szczęście, ponieważ wybuch nie uszkodził głowy, serca ani innych istotnych organów. W sumie odniosłem raczej niegroźne obrażenia - to i owo stłuczone, jakaś kość złamana, jakiś mięsień naderwany. Dzięki Bogu nienaruszone pozostały kręgosłup, nogi, a także lędźwie.

Stojąc przy rozbabranym łóżku, wdychałem z rozkoszą otaczające mnie powietrze, ale bałem się ponownie położyć, aby nie powrócił dręczący mnie sen. Czułem, że czai się gdzieś w pobliżu i czeka, aż zasnę, by znów chwycić mnie w objęcia. Przeciągnąłem się więc ostrożnie, choć każdy ruch powodował szarpiący ból. Jeszcze raz głęboko odetchnąłem i powoli podszedłem do okna.

Pokój, który zajmowałem, mieścił się w nowszym skrzydle szpitala, dobudowanym w 1980 roku do głównego budynku pochodzącego z lat trzydziestych. Miejscowi pracownicy narzekali, że w tak rozproszonej zabudowie muszą daleko chodzić, aby gdziekolwiek dojść. Ja jednak chciałem mieć ich zmartwienia i móc przejść choćby kawałek tej odległości.

W pięciopiętrowym budynku parkingu należącego do szpitala jarzyły się pojedyncze światła. Szpital, podobnie jak sześć innych obiektów towarzyszących, łączyły z nim długie korytarze. Z miejsca, gdzie stałem, nie widziałem więcej niż dwanaście zaparkowanych tam samochodów. Teren

był dość dobrze oświetlony gęsto rozstawionymi, nawet wśród drzew, latarniami. Z zawodową czujnością od razu wyciągnąłem wniosek, że przestępca nie miałby tu gdzie się zacząć - za dużo punktów świetlnych!

Dla kontrastu w moim śnie panowały całkowite ciemności, nie rozjaśnione nawet najmniejszym promyczkiem. Jednak, mimo że w tym śnie znajdowałem się pod wodą - na jawie zaschło mi w gardle jak na pustyni w Tunezji. Dlatego człapałem do przyległej łazienki i ostrożnie nachyliłem się nad umywalką, aby napić się wody. Pociągnąłem duży łyk i wyprostowałem się, pozwalając, aby woda ściekała mi po brodzie i pryskała na piersi. Wtedy uświadomiłem sobie, że w moim śnie to nie ja miałem się utopić, choć przez cały czas tam się znajdowałem.

Rozejrzałem się w nadziei, że znajdę przy sobie kogoś współczującego, gotowego przyjaźnie poklepać mnie po ramieniu. Przez całe dwa tygodnie, jakie upłynęły od wybuchu bomby, który rzucił mną o piasek pustyni, ktoś stale tkwił przy mnie, przemawiając uspokajająco bądź szprycując niezliczonymi igłami. Od tych zastrzyków bolały mnie już oba ramiona, a w niektórych miejscach pośladków utraciłem czucie.

Napiłem się jeszcze wody i dopiero potem powoli uniosłem głowę - nauczyłem się już unikać gwałtownych ruchów. W lustrze nad umywalką zobaczyłem bladą i smętną gębę faceta, któremu brakowało trzech ćwierci do śmierci. Zawsze był ze mnie kawał chłopca, a teraz widziałem w lustrze kupkę powiązanych ze sobą kości. Roześmiałem się na ten widok, z ulgą konstatuując, że przynajmniej nie straciłem zębów, kiedy podmuch rzucił mnie o pięć metrów dalej.

Gdyby mój kumpel z FBI, Dillon Savich, natknął się teraz na mnie w siłowni, pokiwałby tylko głową i spytał, gdzie trzymam trumnę. Wiedziałem, że trzeba najmarniej sześciu miesięcy, abym uzyskał choć nikłą szansę, że dotrzymam mu kroku.

Nabrałem w płuca dużo powietrza, napiłem się jeszcze trochę wody i zgasiłem światło w łazience. Teraz w lustrze widać było tylko cień, a to wyglądało znacznie lepiej. Wróciłem do pokoju, gdzie w ciemności rysował się toporny kształt łóżka i czerwone, świetlne cyfry na tarczy elektronicznego zegara, który dostałem w prezencie od znajomych, pięknie obwiązany czerwoną wstążeczką. Odczytałem godzinę - siedem po trzeciej - oczywiście nad ranem. Te siedem minut przypomniało mi słowa żony Savicha, też agentki FBI, noszącej przezwisko „Sherlock”. To ona, kiedy wilem się z bólu, nim morfina zadziałała, uświadomiła mi, że każda minuta wskazywana przez ten zegar przybliżyła mnie do chwili, kiedy stąd wyjdę i wrócę do pracy, gdzie moje miejsce.

Podszedłem do łóżka i ostrożnie położyłem się na plecach. Lewą ręką naciągnąłem na siebie prześcieradło i koc. Próbowałem się odprężyć i rozluźnić mięśnie, ale nie chciałem zasypiać, tylko spokojnie i trzeźwo jeszcze raz przemyśleć tamten sen. Miałem w nim wrażenie, że znajdowałem się w wodzie, ale nie tonąłem - czułem tylko ciężar napierającej na mnie masy wody oraz jej smak, a potem już w ogóle nic.

Przyłożyłem do piersi lewą dłoń i wyczułem, że serce nie bije mi już tak gwałtownie jak poprzednio. Zrobiłem jeszcze kilka głębokich wdechów i nakazałem sobie, aby nie panikować i zacząć myśleć chłodno, jak uczono nas w Akademii Policyjnej.

Przez następne dwie minuty rozważałem, czy to w ogóle był sen, czy też może coś zupełnie innego. Przed oczami bowiem miałem twarz Jilly, równie wyraźną, jak tarcza zegara na mojej szafce nocnej.

Zakrawało to na czyste szaleństwo. Jakiś dziwny sen nie sen, w którym niby się topiłem, a niby nie, i nagle nie wiadomo skąd przyplątała się Jilly. Ostatni raz widziałem ją pod koniec lutego w



domu mojego starszego brata Kevina w Chevy Chase, Maryland. Nie da się ukryć, że zachowywała się wtedy trochę dziwnie, ale nie przykładałem do tego większej wagi, bo miałem ważniejsze sprawy - choćby ten wyjazd do Tunezji.

Rozmawiałem potem z Kevinem o Jilly, ale on tylko potrząsnął głową i rzekł, że widocznie życie na zachodnim wybrzeżu tak na nią działa, a w ogóle to nie ma się czym przejmować. Kevin jest zawodowym wojskowym i ma czterech synów, a więc nie cierpi na nadmiar czasu, by rozpamiętywać dziwactwa swojego rodzeństwa. Zostało nas na świecie tylko czworo, bo nasi rodzice zginęli osiem lat temu w wypadku samochodowym, potrąceni przez pijanego kierowcę.

Pamiętam, że Jilly nawijała wtedy o różnych głupstwach - o swoim nowym porsche, kiece, którą kupiła u Langdona w Portland, antypatycznej koleżance nazwiskiem Cal Tarcher i jej chamowatym bracie, a nawet o tym, jaki wspaniały w łóżku jest jej mąż Paul, z którym była już osiem lat. Wtedy żaden z tych tematów nie wydawał się mieć specjalnego znaczenia, ale teraz wyczuwałem w tym coś więcej niż zwykle dziwactwo. Czyżby to Jilly topiła się w moim śnie?

Nie chciałem dopuścić, aby ta myśl zagnieździła się w mojej głowie, ale spleciona z tamtym snem, nie przestawała mnie dręczyć. Byłem wprawdzie zmęczony, ale nie aż tak jak wczoraj lub tym bardziej przedwczoraj. Najwyraźniej wracałem do zdrowia. Pewnie lekarze będą kiwać nade mną głowami, uśmiechać się do siebie porozumiewawczo i klepać mnie po zdrowym ramieniu. Przebąkiwali już coś na temat wypisania w przyszłym tygodniu. Postanowiłem skłonić ich, aby uczynili to wcześniej.

Nie chciałem ponownie zasypiać, bo wiedziałem, że znów dopadnie mnie ten sam koszmarny sen. Zacznie mnie dręczyć tym bardziej, że wydawał się czymś więcej niż zwykłym snem. Musiałem jakoś się z tym uporać. Równocześnie uświadomiłem sobie, że dałbym królestwo za szklanekę piwa. Bez namysłu nacisnąłem dzwonek wzywający pielęgniarkę. Nie minęły cztery minuty według wskazań mojego zegara, a już w drzwi wsadziła głowę Midge Hardaway, pełniąca dziś nocny dyżur.

- Co się stało, Mac? Źle się czujesz? O tej porze powinieneś spać.

Midge mogła mieć około trzydziestki, była wysoka, z ostrym podbródkiem i krótko przyciętymi włosami koloru miodu. Należała do tych osób, na których w ciężkich chwilach zawsze można polegać. Ilekroć odzyskiwałem przytomność, czuwała przy mnie, uspokajając łagodnym głosem i kojącymi dotknięciami rąk. Spróbowałem więc wykrzywić gębę w rodzaj niewinnego chłopięcego uśmiechu, choć nie miałem wielkich szans, aby to zobaczyła - w pokoju było ciemno, a jedyne światło dochodziło z korytarza. Dołożyłem starań, aby przybrać odpowiedni ton głosu.

- Midge, zrób coś dla mnie. Tylko ty jedna możesz mi pomóc, nie mogę dłużej wytrzymać. Jesteś moją jedyną nadzieją!

Uśmiechnęła się współczująco, ale nie mogła powstrzymać się od śmiechu i nawet nie próbowała tego ukryć. Dopiero potem odchrząknęła i wygłosiła dłuższą przemowę.

- Posłuchaj, Mac, przez dwa tygodnie nie nadawałeś się do użytku, ale im lepiej się czujesz, tym większe możesz mieć z tym problemy. Rozumiem cię doskonale, ale pamiętaj, że jestem mężatką. Co by było, gdyby Doug się dowiedział? Wiesz, jaki on jest porywczy.

Zarzucałem więc chłopięcy wdzięk i przeszedłem na żałośliwy ton.

- Myślisz, że Doug mógłby mieć coś przeciwko temu? A zresztą, gdyby nawet miał, przecież go tu nie ma i nie musiałby o niczym wiedzieć...

- No, Mac, gdybym nie była mężatką, może bym się i skusiła. Pochlebiam ci, że zainteresował się mną taki przystojniak, zwłaszcza że władasz już obiema rękami, ale tak, jak sprawy stoją - no cóż, nie

mogę.

- Midge, choć ten jeden raz zrób to dla mnie! Tylko raz i już nie będę więcej prosić, przynajmniej do jutra. Popatrz, jak mi ślinka cieknie!

Midge kręciła przecząco głową, trzymając się pod boki. Już dziewięć dni temu, kiedy nie dostawałem tak silnych środków przeciwbólowych, aby przytępiły moją ostrość widzenia, zwróciłem uwagę na jej kształtne biodra.

- Dobrze już, jeśli to sprzeczne z zasadami twoimi lub Douga! - westchnąłem. - Chociaż, Bóg mi świadkiem, nie rozumiem, czemu robisz z tego wielką aferę i co ma do tego Doug. Ręczę, że na moim miejscu prosiłby o to samo. W takim razie bądź tak dobra i zawołaj siostrę Luther. Może prędzej da się przekonać, bo chyba mnie lubi...

- Z byka spadłeś, Mac? Niemożliwe, żeby aż tak cię przypiliło! Przecież Ellen Luther ma sześćdziesiąt pięć lat, chybaby cię pogryzła!

- Zaraz, dlaczego miałyby mnie pogryźć? O czym ty właściwie mówisz?

- Mac, ja cię rozumiem, że po dwóch tygodniach postu jesteś napalony - tłumaczyła mi cierpliwie, jak dziecku. - Ale żeby od razu z siostrą Luther?

- Chyba źle mnie zrozumiałeś, Midge. Jasne, że nie mam ochoty na panią Luther, tylko na ciebie, ale wiem, że jesteś mężatką, więc mogę sobie o tym tylko pomarzyć, jak każdy inny facet na moim miejscu. Natomiast w tej chwili usycham z pragnienia, tak chce mi się piwa!

- Piwa? - Midge przez dłuższą chwilę gapiła się na mnie oczami wielkimi jak spodki, aż w końcu ryknęła śmiechem. Z tego śmiechu aż trzymała się za boki i musiała wejść głębiej do pokoju, żeby rechotem nie zbudzić innych pacjentów. - Więc chodziło ci raptem o piwo? I to tylko jedno?

Odpowiedziałem jej najbardziej niewinnym spojrzeniem, na jakie było mnie stać.

Nadal potrząsała głową i zanosila się od śmiechu. W końcu rzuciła mi przez ramię:

- Może być Bud Light?

- Oddałbym duszę za Bud Light. Przyniosła mi puszkę tak oszronioną, że mało mi palce do niej nie przymarzły. W tej chwili jednak nie wyobrażałem sobie nic lepszego od tego napoju spływającego mi do gardła. Zastanawiałem się, która pielęgniarka mogła przechowywać coś takiego w dyżurce. Jednym haustem opróżniłem połowę puszeki.

- Mam nadzieję, że cię nie zemdle od koktajlu z piwa i leków - skomentowała Midge, stojąc przy łóżku. - Powoli, nie spiesz się tak. Pamiętaj, że miało być tylko jedno. Żadnemu chłopu nie można wierzyć, jeśli chodzi o piwo!

- Tyle czasu nie piłem piwa, że już nie mogłem wytrzymać! - tłumaczyłem się, zlizując pianę z warg. - No, już mi lepiej.

Odetchnąłem z ulgą i pozostałą część puszeki opróżniałem wolniej, mając świadomość, że więcej chyba nie dostanę. Oddaliło to ode mnie trochę wizję powrotu tamtego koszmarne go snu, który przedtem wisiał nade mną jak miecz Damoklesa. Puszczkę z pozostałą zawartością na razie postawiłem sobie na brzuchu. Tymczasem Midge przysunęła się do mnie i zaczęła mierzyć tętno.

- Mój sąsiad, Kowalski, przychodzi do mnie podlewać kwiatki i odkurzać, kiedy wypadnie mi jakiś wyjazd albo trafię do szpitala, jak teraz... - Rozgadałem się na dobre. - To już starszy gość, z zawodu hydraulik, w tej chwili na emeryturze, ale nie masz pojęcia, jaki jeszcze bystry facet! A znowu jeden mój kumpel z FBI, James Quinlan, śpiewa swoim fiołkom afrykańskim, żeby dobrze rosły. Rzeczywiście, to chyba najzdrowsze zielska, jakie widziałem. Jego żona mówi, że ani się obejrzy, jak wleżą jej do łóżka... Kurczę blade, Midge, jak ja chciałbym już wrócić do domu!

- Wiem, wiem! - Uśmiechnęła się pobłaźliwie, biorąc mnie pod brodę. - Już niedługo, Mac. Tętno masz dobre, a teraz zobaczę, jak z ciśnieniem.

Nie powiedziała mi, co odczytała, ale ponieważ nuciła przy tym pod nosem - chyba coś z oper Verdiego - wywnioskowałem, że wynik ją zadowalał.

- Teraz powinieneś trochę pospać, Mac - zarządziła. - Nie zemdliło cię po tym piwie?

Opróżniłem puszkę do dna, opanowałem czkawkę i uśmiechnąłem się szeroko.

- Ale skąd! Świetnie się czuję. Jestem twoim dłużnikiem, Midge.

- Nie bój się, już ja to sobie w odpowiednim czasie odbiorę. Może zawołać ci teraz panią Luther?

Tylko jęknąłem, więc roześmiała się i machając do mnie ręką opuściła pokój. Ledwo znikła z pola widzenia, jak na komendę przed oczami ponownie stanęła mi twarz Jilly.

- Nie uciekniesz przed tym, Mac - skarciłem sam siebie w ciszy uśpionego szpitala, gdzie nawet za oknem widać było tylko opustoszały parking. - Trzeba raz wreszcie powiedzieć to sobie otwarcie: czy ten sen nie był czasem proroczy? Czy to nie oznacza, że Jilly wpadła w jakieś kłopoty?

No nie, przecież to bzdura. W końcu gówno wiedziałem na ten temat! Bałem się jednak zasnąć i najchętniej wypiłbym jeszcze jedno piwo. Zamiast tego Midge wparowała do mnie około czwartej nad ranem i widząc, że nie śpię, nikięła i wcisnęła mi do dzioba pigułkę nasenną.

Miałem szansę pospać przez jakieś trzy godziny i nawet nic mi się nie śniło, kiedy pielęgniarz z aparaturą do pobierania krwi zbudził mnie, potrząsając za obolałe ramię. Wkłuł się w żyłę, nie przestając nawijać - mówił, zdaje się, coś o Indianach - a potem wyciągnął igłę, zakleił ranę plastrem z opatrunkiem i pogwizdując, potoczył swój wózek dalej. Miał na imię Ted, ale psychiatrzy nazywają takich osobników „sadydami sytuacyjnymi”.

Wytrzymałem do dziesiątej rano, ale w końcu musiałem się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Zadzwoiłem do domu Jilly w Edgerton, w stanie Oregon. Po drugim sygnale telefon odebrał jej mąż Paul.

- Cześć, Paul, jak się miewa Jilly? - zapytałem bez wstępów, ale głos mi drżał. Nie otrzymałem odpowiedzi, więc ponagliłem: - Halo, Paul, słyszysz mnie?

Najpierw usłyszałem urywany oddech, a dopiero potem głos Paula:

- Słuchaj, Mac, ona jest w stanie śpiączki! Sytuacja stopniowo zaczynała się wyjaśniać, jakby ktoś powoli odpakowywał paczkę, której zawartość i tak już znałem. Wcale nie chciałem jej poznać, ale też nie było mnie to w stanie zaskoczyć.

- Ale wyżyje? - spytałem, przepowiadając w myśli słowa modlitwy.

Z mojej strony drutu słyhać było, jak Paul bawi się kablem telefonicznym, nerwowo owijając go wokół ręki. Wreszcie przemówił matowym głosem:

- Nawet nie próbujemy zgadywać. Miała już robioną tomografię komputerową i rezonans magnetyczny, ale nie wykryto poważniejszych uszkodzeń mózgu, które mogłyby spowodować śpiączkę, najwyżej kilka drobnych krwiaczków, jakiś nieduży obrzęk... Lekarze sami nie wiedzą, co jej jest. Przypuszczają, że niedługo powinna się wybudzić, ale na razie możemy tylko czekać. Co za pech, najpierw ty musiałeś mieć wypadek, a teraz ona!

- A co właściwie się stało? - Zadałem to pytanie dla formy, bo przecież doskonale znałem odpowiedź.

- Wczoraj, zaraz po północy, jej samochód spadł z wysokiego brzegu do morza. Jechała nowym porsche, dostała go ode mnie na gwiazdkę. Nie wyszłaby z tego z życiem, gdyby akurat nie

przejeżdżał tamtędy policjant patrolujący szosę. Widział, jak samochód zniosło na pobocze i na pełnym gazie wyrzucił dziobem w wodę. Miał wrażenie, że ona celowo tak jechała, nie wiadomo dlaczego! Dobrze, że w tym miejscu woda nie była głębsza niż jakieś pięć-sześć metrów, wóz miał zapalone światła, a okno obok kierowcy było otwarte. Dzięki temu gliniarz wydobył ją już za pierwszym razem, co graniczyło z cudem. Nikt nie chciał wierzyć, że udało mu się wyciągnąć ją żywą. Tak mi przykro, Mac, zadzwonię do ciebie, kiedy tylko cokolwiek się zmieni. A ty, jak się czujesz?

- Dziękuję, dużo lepiej - uspokoiłem go. - Będę z tobą w kontakcie.

Delikatnie odłożyłem słuchawkę na widełki. Przypuszczałem, że Paul był zanadto przygnębiony, aby się dziwić, dlaczego o tak wczesnej porze (siódma rano czasu Zachodniego Wybrzeża) zadzwoniłem specjalnie, aby dowiadywać się o Jilly. Byłem ciekaw, kiedy Paul sam na to wpadnie i zadzwoni, aby mnie zapytać. Chwilowo jednak nie miałem pomysłu, co mu odpowiedzieć.

2

- Na miłość boską, Mac, dlaczego nie leżysz w łóżku? Na pewno lekarze jeszcze cię nie wypiszą. Spójrz tylko w lustro, gębę masz szarą jak popiół!

Lacy Savich, nazywana przez kolegów z FBI „Sherlockiem”, próbowała lekko popychać mnie w stronę łóżka. Zanim przyszła, zdążyłem już wsunąć nogi w dżinsy i właśnie szarpałem się z rękawami koszuli.

- Jazda do łóżka, Mac! Gdzie się znowu wybierasz w tych spodniach? - Sherlock wsunęła mi się pod pachę, aby mnie obrócić i siłą posadzić na łóżku. Nie zdołała jednak ruszyć mnie z miejsca.

- Daj spokój, Sherlock! - zaprotestowałem. - Czuję się świetnie i nie włącz mi pod pachę, bo jeszcze się dziś nie myłem.

- Na to zawsze masz czas, a ja nie ruszę się stąd, dopóki przynajmniej nie usiądziesz i nie opowiesz mi, co jest grane.

- Dobra, mogę usiąść, jeśli już tak bardzo nalegasz... - Zgodziłem się skwapliwie, bo, prawdę mówiąc, sam bardzo tego chciałem, byleby nie na tym przeklętym łóżku! Uśmiechnąłem się do Sherlock - drobnej kobietki z burzą rudych loków, dziś grzecznie spiętych na karku złotą kłamrą. Miała najbielszą skórę i najśłodszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem, chyba że była na kogoś wkurzona, bo wtedy potrafiłaby chyba zgryźć żelazo! Rozpoczęliśmy pracę w Biurze Śledczym w tym samym czasie, jakieś dwa lata temu.

Krok za krokiem doprowadziła mnie do krzesła. Siadając, wyszczerzyłem zęby w uśmiechu, bo przypomniałem sobie, jak zdawaliśmy ostatni test sprawnościowy w Akademii Policyjnej. Sprawdzian polegał na wspinaniu się po linach, i do końca nie byłem pewien, czy potrafi to zrobić, ale nie miałem zamiaru zostawić jej samej sobie. Wisząc na linie obok niej, na przemian to ją zachęcałem, to kąśliwymi uwagami działałem jej na ambicję, dopóki tymi swoimi wątłymi ramionkami nie podciągnęła się na sam czubek. Sherlock nie miała może zbyt dobrze rozwiniętych mięśni, ale za to o niebo więcej hartu i siły ducha niż my wszyscy. Lubiła mnie też bardziej, niż na to zasługiwałem.

- Musisz mi wszystko powiedzieć - zażądała. - Łapiduchy już wytrząsają nad tobą głowami. Spróbuj tylko zrobić krok w stronę drzwi, a ręczę, że zaraz wpadną tutaj i obalą cię na podłogę. O, już nadeszły posiłki. Dillon, chodź tu i pomóż mi rozgryźć, co gnębi Maca. Popatrz, nawet włożył spodnie!

Dillon Savich uniósł brew, a jego spojrzenie wyraźnie mówiło: „To i lepiej, kurde, że włożył!”

Dla świętego spokoju usiadłem na podsuniełym krześle. W końcu pięć minut mnie nie zbawi, a prędzej czy później, i tak muszę stąd wyjść. Zawsze to lepiej, żeby najlepsi przyjaciele wiedzieli, co jest grane.

- Słuchajcie - oświadczyłem. - Tak się sprawy mają, że muszę zaraz stąd pryskać i pakować manatki, by wyrobić się na lot do Oregonu. Moja siostra miała wczoraj wypadek i dotychczas nie odzyskała przytomności. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej.

Sherlock uklękała przy krześle i ujęła moją wielką łapę w swoje małe rączki.

- Jilly miała wypadek? Co się stało? Zamknąłem oczy, bo znów nawiedziły mnie zmory rodem z tamtego upiornego snu, czy cokolwiek to było.

- Dzwoniłem dziś rano do niej do domu - wyjaśniłem. - Jej mąż, Paul, powiedział mi, co się stało.

Sherlock przechyliła głowę na bok i przez chwilę przyglądała mi się badawczo.

- A właściwie po co do niej dzwoniłeś? - Sherlock była osobką nie tylko szczerą i odważną, ale i bystrą! Jej mąż, dla kontrastu wielki i silny chłop, stał w drzwiach i nie spuszczał z niej oka. A ona zaś cierpliwie czekała, aż otworzę się przed nią, co zresztą zamierzałem zrobić, bo wiedziałem, że nie mam innego wyjścia.

- Dobrze, Mac, posiedź tak i trzymaj oczy zamknięte, to ci dobrze zrobi! - poradziła. - Dopilnuję, żeby nikt nie przeszkadzał. Szkoda, że nie uszczknęłam trochę whisky z żelaznego zapasu Dillona, to ruszyłoby cię szybciej niż nasz Sean, kiedy wrzaśnie Dillonowi nad uchem.

- Może to nie ma nic do rzeczy... - coś sobie przypominałem - tej nocy Midge przyniosła mi piwo, bo ją prosiłem. I wcale mnie nie zemdliło, było naprawdę pyszne!

Powiedziałem prawdę, ale nie całą. Ta jedna puszka Bud Light dała mi większą rozkosz niż seks.

- No, to się cieszę! - przyznała Sherlock i poklepała mnie po policzku. Widziałem jednak, że nadal czeka na to, co mam powiedzieć. Jej mąż stał obok, cierpliwy i odprężony. Szkoda, że w naszym biurze nie pracowało więcej takich facetów jak on, zamiast tych skostniałych biurokratów, którzy bali się wykroczyć poza usankcjonowane ramy. Patrząc na ich postępowanie, modliłem się, aby z wiekiem nie popaść w taką samą rutynę. W brygadzie antyterrorystycznej miałem większą szansę, by tego uniknąć, bo biurokraci robili swoje w Waszyngtonie, a w terenie człowiek i tak był zdany tylko na siebie - przynajmniej na terenie działania grupy terrorystycznej z Tunezji!

- Wszystko zaczęło się od tego - wykrztusiłem wreszcie - że miałem wczoraj taki dziwny sen. Śniło mi się, że albo ja tonąłem, albo tonął ktoś obok mnie, a tym kimś była Jilly...

Wzdrygnąłem się na samo wspomnienie. Opowiedziałem im to, co zapamiętałem, czyli prawie wszystko.

- Dlatego zadzwoniłem do niej z samego rana i dowiedziałem się, że to, co mi się przyśniło, zdarzyło się naprawdę. Jilly zapadła w śpiączkę i do tej pory się nie wybudziła!

Prawdę mówiąc, nadal nie wiedziałem, co mam przez to rozumieć. Czy to oznaczało, że moja siostra będzie odtąd wegetować jak warzywo, a nam przypadnie w udziale podjęcie decyzji, czy i kiedy odłączyć ją od aparatury?

- Boję się bardziej niż kiedykolwiek w życiu! - wyznałem szczerze. - Uwierzcie mi, że wolałbym już sam jeden, tylko z Magnum 0,450, stawić czoło terrorystom, a nawet wylecieć w powietrze na bombie, bo to betka przy tym, co teraz czuję.

- No, nie przesadzaj, załatwiłeś dwóch bandziorów, w tym samego herszta! - wtrącił się Savich. - A bomba mogła cię rozerwać na strzępy, gdyby nie łut szczęścia i piaszczysta wydma w

odpowiednim miejscu.

- To akurat doskonale rozumiem - przytaknąłem po chwili namysłu. - Nie rozumiem natomiast, co miał oznaczać sen, i tego najbardziej się boję. Widziałem, jak ona uderzyła o wodę, ale to ja czułem ból, a potem zdawało mi się, że umarłem. Zupełnie jakbym był tam z nią, albo wręcz, jakbym był nią. To czyste szaleństwo, ale nie mogę udawać, że nic się nie stało. Muszę jechać do Oregonu, i to nie za tydzień lub nawet za dwa dni, ale jeszcze dziś!

Dobrze, że Sherlock w tym momencie była przy mnie, bo chciało mi się wyć, a tak mogłem przynajmniej przyciągnąć ją do swego zdrowego boku i pozwolić, aby zarzuciła mi na szyję wątle ramionko. Czuję, jak w gardle wzbiera mi płacz, ale nie mogłem w ich obecności uronić ani jednej łzy, bo nie darowałbym sobie tego, chociaż na pewno nie pisnęliby nikomu ani słówka. Wystarczyło, że trzymałem ją przy sobie i czułem, jak miękkie włosy łaskoczą mnie w nos. Ponad jej głową spojrzałem na Savicha. Byłem drużbą na ich ślubie półtora roku temu. Pracowali razem w Wydziale Prewencji Kryminalnej, który Savich, ogólnie lubiany, sam zorganizował trzy lata temu, a obecnie stał na jego czele. Zdołałem wziąć się w garść na tyle, że zażartowałem:

- Fajną masz kobitkę, Savich.

- A żebyś wiedział, i mało tego, dała mi najfajniejszego dzidziusia w całym stanie! Miał chyba miesiąc, gdy go ostatni raz widziałeś, a teraz ma już prawie pięć!

- Przyjdę go zobaczyć, jak tylko będę mógł.

- Już my tego dopilnujemy! Dobra, Sherlock, nie martw się o niego, Mac tylko poleci do Oregonu i wróci, to zaledwie pięć godzin lotu. Będziemy w pogotowiu, gdyby potrzebował wsparcia.

- Mac, ale czy ty na pewno zdołasz włożyć kark w to choma? - zaniepokoiła się Sherlock. - Coś mi jeszcze mizernie wyglądasz. Może lepiej zostań u nas ze dwa dni, zanim wyjedziesz? Dalibyśmy ci pokój obok Seana. Szkoda, że nie możesz go karmić piersią, bo wtedy my moglibyśmy spokojnie zająć się tobą!

Stałem w końcu na tym, że zostałem w szpitalu jeszcze półtora dnia, bo dłużej w żaden sposób nie mogłem wytrzymać. Dzwoniłem do Paula dwa razy dziennie, ale stan Jilly nie ulegał zmianie. Lekarze wciąż rozkładali bezradnie ręce, zapewniali, że zrobili wszystko, co w ich mocy, a teraz trzeba tylko czekać. Kevin z synami przebywał akurat w Niemczech, a moja druga siostra Gwen - pracująca jako zaopatrzeniowiec u Macy'ego - w Nowym Jorku. Obiecałem, że będę ich regularnie informował o sytuacji.

Poleciałem do Oregonu w piątek, porannym samolotem z lotniska imienia Dullesa. W Portland bez problemów wynająłem jasnoblękitnego forda taurusa, co zawsze mile mnie zaskakiwało.

Pogoda była piękna, ani kropli deszczu, bezchmurne niebo i lekki wiaterek przy temperaturze około dwudziestu jeden stopni. Zawsze podobało mi się Zachodnie Wybrzeże, szczególnie Oregon z jego surowymi, dzikimi górami i głębokimi kanionami, w których szumiały rwące rzeki. Ocean omywający prawie pięćset kilometrów linii brzegowej też zachwycał majestatycznym dostojnością.

Nie spieszyłem się, bo znałem swoje obecne możliwości fizyczne, więc nie chciałem padać na twarz z przemęczenia. Zatrzymałem się na krótki odpoczynek w zajeździe „U Wendy”, w małym miasteczku Tufton. Po półtorej godziny dalszej jazdy zobaczyłem wreszcie drogowskaz sygnalizujący skręt w boczną drogę do Edgerton. Wystarczyło przejechać jakieś sześć kilometrów w stronę oceanu po wąskiej szosie brukowanej trylinką. Edgerton miało korzystniejsze położenie niż wiele innych miast nadmorskich, które przybrzeżna szosa dzieliła na dwie części. To miasteczko było odsunięte

bardziej na zachód, gdy tymczasem autostrada biegła od strony łądu. Po drodze zauważyłem reklamy trzech zajazdów.

Największa tablica, w kształcie psychodelicznego kwiatu utrzymanego w kolorach żółci i fioletu, reklamowała gospodę „Pod Jaskrami”, mieszczącą się w neogotyckim budynku na samej krawędzi klifu. Zdjęcie na plakacie było wyblakłe i wyglądało raczej odstręczająco. Bodajże Paul kiedyś wspominał, że miejscowi nazywali ten obiekt „Pod Świrami”.

Minąłem także anons zachwalający knajpkę „Pod Królem Edwardem”, chlubiącą się „najlepszą angielską kuchnią”. Wspominając swoje doświadczenia z czasów studiów ekonomicznych w Londynie, uważałem, że te określenia wzajemnie się wykluczają.

Kiedyś był tu jeszcze jeden hotelik, usytuowany na wąskim skrawku plaży, ale zimą roku 1974 sztormowe fale zmyły go do oceanu. Próbowałem to sobie wyobrazić, ale nie mogłem. Kiedyś widziałem na filmie, jak fala sztormowa, wysoka pod samo niebo, zmiotła z powierzchni ziemi cały Manhattan, ale wtedy śmiałem się z tego. Zainteresowało mnie jedynie, czy Indianie próbowaliby w takim wypadku odkupić wyspę, która przedtem do nich należała? Wystawiłem głowę przez okno samochodu i wdychałem czysty, słony i ostry zapach oceanu. Uwielbiałem takie powietrze. Przy głębokim wdechu trochę zabolalo mnie w piersiach, ale dużo mniej, niż gdybym to zrobił tydzień temu.

Zahamowałem, aby ominąć wybój na drodze. Przyszło mi na myśl, że w gruncie rzeczy bardzo słabo znam mojego szwagra, Paula Bartletta, chociaż od ośmiu lat był żonaty z Jilly. Pobrali się zaraz potem, jak obroniła dyplom magistra farmacji. Paul rok wcześniej zrobił doktorat w Harvardzie. Pochodził z Edgerton. Wydawał mi się zawsze chłodny i wyniosły, ale czy można osądzać kogoś na podstawie pozorów? Kiedyś Jilly zwierzyła mi się, jaki Paul jest dobry w łóżku, a to zupełnie mi nie pasowało do opisu zimnego sztywniaka.

Pół roku temu Jilly zaskoczyła mnie, oznajmiając, że razem z Paulem przeprowadzają się z powrotem do Edgerton i rezygnują z posad w filadelfijskim koncernie farmaceutycznym, gdzie oboje przepracowali ostatnie sześć lat.

- Paulowi ta praca nie daje satysfakcji - tłumaczyła. - Szef nie pozwala mu kontynuować badań naukowych, a on bardzo się w nie zaangażował...

- Dobrze, ale co ty o tym myślisz?

- Ja już nie mam dużo czasu, Mac - wyznała po krótkiej chwili ciszy. - Chcielibyśmy mieć dziecko, a mój zegar biologiczny bije. Postanowiłam wyciszyć się na pewien czas i spróbować zajść w ciążę. Przedyskutowaliśmy to dokładnie i jesteśmy pewni, że tego właśnie nam trzeba. Wracamy na naszą „Krawędź”!

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tej nazwy, bo chociaż już dawno opowiedziała mi historię miasteczka - miał je założyć pod koniec osiemnastego wieku porucznik marynarki angielskiej, Davies Edgerton - tubylcy przeważnie mawiali, że mieszkają „Na Krawędzi”.

Już prawie dojeżdżałem do tej krawędzi. W tym miejscu przestawałem dziwić się inżynierom, którzy zaprojektowali autostradę omijającą miasto od strony wschodniej - ostatni, sześciokilometrowy odcinek wiodący do oceanu miał wyjątkowo nierówną nawierzchnię. Droga wiała się wśród pagórków i wąwozów, przecinał ją rów ściekowy z przerzuconym przezeń mostem, rosły karłowate sosny i dęby, a wyboje w asfalcie wyglądały, jakby tej szosy nie konserwowano od czasów drugiej wojny światowej. Była wczesna wiosna, więc zieleń jeszcze nie zdążyła się rozwinąć. Tablica informacyjna głosiła: „Edgerton - 15 m n.p.m., 602 mieszkańców”. Szczególnie

miła memu sercu mieszkanka tego miasteczka leżała teraz nieprzytomna w Szpitalu Miejskim Tallshon, szesnaście kilometrów na północ od Edgerton.

Zaciskając palce na kierownicy, myślałem intensywnie: „Jilly, czyś ty celowo zjechała z tej szosy? A jeżeli tak, to dlaczego?”

3

To bardzo krzepiące uczucie patrzeć na siebie od środka! Zamurowało mnie, kiedy zdałam sobie sprawę, że wciąż żyję. Sama nie wiem, jak mogłam wyjść z tego z życiem. Przecież staranowałam barierę i skierowałam porsche prosto w przepaść, aż spadł z klifu i pogrzył się dziobem w dół w czarnej wodzie. Potem już nic nie pamiętałam.

Nie czułam własnego ciała i może tak było lepiej. Zdawałam sobie sprawę, że wokół mnie gromadzą się ludzie, jak zawsze wokół rannych w wypadkach. Nie rozumiałam jednak, co mówili, a ich obecność odbierałam jako coś' nierzeczywistego, ot, unoszące się w powietrzu cienie. Ja też niby tam byłam, ale niezupełnie. Byłoby cudownie, gdybym słyszała i rozumiała to, co o mnie mówili.

Dobrze, że w końcu zostałam sama. Laura nareszcie gdzieś znikła. Poczua się usatysfakcjonowana, kiedy darłam się jak opętana i zjeżdżałam z klifu prosto w przepaść. Gdyby znów pojawiła się przy mnie, chyba przestałabym oddychać!

Różni ludzie przychodzili i odchodzili, ale wcale mnie to nie interesowało. Pewnie mnie badali i sprawdzali różne rzeczy, ale nie dbałam o to.

Wszystko zmieniło się dopiero wtedy, kiedy w drzwiach ukazał się mój brat Ford. Wydawał się żywy, z krwi i kości, ale mocno przestraszony. Wiele dałabym, aby móc go uspokoić, cóż, niestety, nie mogłam. Mój braciszek był, jak zawsze, wysoki i przystojny, przystojniejszy nawet od naszego ojca, którego mama w żartach nazywała starym podrywaczem. Ale zaraz, przecież tato i mama już dawno nie żyją, prawda?

Ford wyglądał trochę inaczej niż zwykle - nie taki opalony, muskularny i energiczny. Może chorował albo miał jakiś wypadek? Nie mogłam się tego domyślić, ale grunt, że był przy mnie. Wiedziałam to z taką sama pewnością jak to, że tylko ja jedna mówiłam na niego Ford, a nie Mac. Zastanawiałam się także, jak to możliwe, że jego widziałam i poznałam, a nie rozróżniałam twarzy pozostałych.

Gdybym była w stanie zawołać na niego - zrobiłabym to, ale nie mogłam się ani ruszyć, ani odczuwać nic poza radością, że mój brat przybył, kiedy go najbardziej potrzebowałam. Byłam przejęta, kiedy tuż przy mojej twarzy usłyszałam jego słowa: „Jilly, na miłość boską, co z tobą?”

O dziwo, słyszałam go wyraźnie i rozumiałam. Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, że poczułam dotyk jego ręki na mojej. Nie byłam pewna, która to ręka, ale wyraźnie odczułam jej ciepło. Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. Dlaczego moje zmysły reagowały wyłącznie na obecność Forda?

- Wiem, że nie możesz mi odpowiedzieć, Jilly, ale wierzę, że mnie słyszysz.

Pragnęłam go zapewnić, że jak najbardziej słyszę jego głęboki, dźwięczny i sugestywny głos. Kiedyś mu nawet powiedziałam, że ton jego mowy działa na mnie bardzo uspokajająco, na co żartował, że takim samym tonem przesłuchuje zatrzymanych przez FBI. Nieprawda, bo zawsze miał taki głos.

Usiadł teraz przy mnie, przez cały czas trzymając mnie za rękę i ani na chwilę nie przestając mówić. Ciepło jego ręki wprawiało mnie w oszołomienie. Jakżebym chciała przynajmniej uścisnąć jego palce!

- Byłem wtedy z tobą, Jilly! - powiedział, a mnie aż dech zaparło. Co miał na myśli? Niby gdzie



mógł ze mną być? - Tamtej nocy myślałem, że wykituję ze strachu. Leżałem w szpitalu, ale spocilem się jak ruda mysz, bo śniło mi się, że zleciałem razem z tobą z tego klifu. Byłem pewien, że oboje się zabiliśmy, ale potem w dziwny sposób wiedziałem, że nikt z nas nie umarł, a ciebie uratował policjant. Teraz muszę dojść, jak to się mogło stać. Kurczę, żebym choć wiedział, że mnie słyszysz!

Ford przestał mówić, tylko patrzył, a ja za wszelką cenę pragnęłam dać mu jakiś znak i nie byłam w stanie. Leżałam tylko, jak kłoda na szpitalnym łóżku, które musiało być cholernie niewygodne, więc dobrze, że tego nie czułam! Jedynymi normalnie reagującymi częściami mego ciała były mózg i ta ręka, którą Ford trzymał.

Ale o co mu chodziło, kiedy mówił, że razem ze mną spadał z klifu? To nie trzymało się kupy, tylko czy cokolwiek z tego, co teraz się działo, miało sens?

W moim polu widzenia pojawił się nowy, biały cień. Ford poklepał mnie, ułożył moją dłoń na łóżku i przemówił do tamtej postaci:

- O, Paul? Dopiero co przyjechałem i próbuję dogadać się z Jilly.

A więc w moim pokoju znajdował się także Paul! Nie rozumiałam nic z tego, co mówił do Forda, ale musiał mówić długo, bo Ford przez ten czas milczał. Potem obaj odeszli gdzieś dalej i nie słyszałam już także Forda. Modliłam się, aby Paul sobie poszedł, ale jak na złość nie chciał, a ja byłam ciekawa, co mówił do Forda. Wolałam, aby mój brat był przy mnie, bo stanowił jedyny łącznik ze światem realnym.

Po jakimś czasie dałam za wygraną i zasnęłam, ale przed zaśnięciem pomodliłam się, aby Ford nie odchodził ode mnie i nie zostawiał mnie samej w tym okropnym szpitalu, tylko żeby do mnie wrócił. Żał mi było mojego porsche leżącego gdzieś na dnie oceanu. Pewnie pluskały się w nim ryby!

Zaparkowałam fordą na jednym w sześciu wolnych miejsc przed zajazdem „Pod Jaskrami” - cóż za pretensjonalna nazwa dla pseudogotyckiego, wiktoriańskiego gmaszyska tkwiącego nad samą krawędzią klifu! Najwyżej sześć-siedem metrów dzieliło ten budynek od ściany skalnej, która wznosiła się jakieś trzysta metrów nad wąskim paskiem kamienistej plaży.

Główna ulica Edgerton też nazywała się dziwnie - Piąta Aleja! Kiedy tu byłem pierwszy i ostatni (jak dotąd) raz, obśmiałem się do łez - Nowy Jork, myślałby kto! Równolegle do niej biegły cztery ulice kończące się na klifach, krzyżujące się z kilkoma innymi, które wyznaczały kierunek północ-południe. Nie zauważyłem, aby od tamtej pory coś się zmieniło.

Wzdłuż Piątej Alei stały małe domki, jeszcze w latach dwudziestych ustawione szeregowo jak pudełka kredek. Przy bocznych uliczkach na większych działkach siedliskowych rozciągała się dworkowa zabudowa w stylu lat sześćdziesiątych. Nowoczesne bungalowy z drewna i szkła, upowszechnione przez imigrantów z Kalifornii, stały w wyższych partiach terenu, na samych obrzeżach klifów. Tu i ówdzie, wciśnięte między kępy świerków, cedrów i daglezji, tkwiły zaniedbane, stare szopy i chałupy.

W zajęzdzie „Pod Jaskrami” szczupła niewiasta z czarnym wąsikiem nad górną wargą oświadczyła mi, że nie mają już wolnych pokoi. Zdziwiło mnie to, gdyż wolne miejsca na parkingu i absolutna cisza panująca w całym hotelu świadczyły raczej o czymś zgoła przeciwnym.

- Taki macie ruch w interesie? - zagadnąłem damę, która z uporem i rezerwą tkwiła za mahoniowym kontuarem.

- W mieście jest dzisiaj zjazd - poinformowała, czerwieniąc się i pilnie studiując ścianę za moimi plecami, pokrytą tapetą w wiktoriański desenh stulistnych róż.

- Zjazd w Edgerton? - zdziwiłem się. - Przenieśli tu Festiwal Róż, czy jak?

- Skądże znowu, to nie konferencja kwiaciarzy, tylko dentystów, a właściwie ortodontów. Zjechali się chyba z całego kraju. Przykro mi, proszę pana.

Idąc do samochodu, zastanawiałem się, czy tak ma wyglądać martwy sezon w Edgerton, czy też ta kobieta zwyczajnie mnie splawiła. Ale dlaczego nie chciała, żebym tu został? Czyżby się już rozniosło, że jestem gliniarzem? Przecież na zdrowy rozum, to chyba najbezpieczniejszy rodzaj gościa, jaki mógłby się zatrzymać pod naszym dachem!

Skreśliłem więc w lewo, na Liverpool Street, która wiła się stromo pod górę równoległe do szosy 101, aby po jakichś szesnastu kilometrach znów do niej dołączyć. Wzdłuż ulicy stały w dużych odstępach od siebie nowe domy, dyskretnie wkomponowane w otoczenie. W szczególnie malowniczym punkcie wznosił się niewielki pagórek, porośnięty świerkami i cedrami, jakieś pięćdziesiąt metrów od krawędzi klifu. U jego podnóża usytuowano duży dom z ciemnoczerwonej cegły. Prowadził do niego wąski podjazd, ale poza tym ze wszystkich stron otaczały go drzewa. Te, które rosły z brzegu, na skutek działania sztormowych wiatrów były zdeformowane i nachylone do wewnątrz.

Dom przy Liverpool Street numer 12 należał do Jilly i Paula. Zbudowano go chyba jakieś trzy lub cztery lata temu. Gdybym go specjalnie nie wypatrywał, wcale bym go nie zauważył. Zadziwiające, jak bardzo przypominał ich poprzedni dom w Filadelfii... Tylko że po przeciwnej stronie ulicy stał zaparkowany samochód policyjny.

Wjechałem na podjazd, zastanawiając się, jak długo Paul może jeszcze siedzieć w szpitalu. Z bliska poznałem, że stojący przed domem wóz to biały, czterodrzwiowy chrysler z zielonym napisem „Szeryf”. Wsadziłem głowę do środka przez otwarte okno i zapytałem:

- O, koleżanka też do Paula?

Za kierownicą siedziała bowiem kobieta tuż po trzydziestce, w brązowym, nieskazitelnie odprasowanym mundurze przepasanym szerokim, czarnym, skórzanym pasem. Z przypiętej do pasa kabury wyglądał dobrze mi znany pistolet automatyczny typu SIG Sauer, model 220, kalibru 9 mm.

- Tak, a z kim mam przyjemność? - odpowiedziała.

- Jestem bratem Jilly. Nazywam się Ford MacDougal z Waszyngtonu. Przyjechałem zobaczyć Jilly i dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się jej przydarzyło.

- Pracujesz w Biurze Śledczym? - spytała podejrziwym tonem.

- Widzę, że plotki rozchodzą się szybko! - Wyciągnąłem przez okno rękę do policjantki. - Możesz mi mówić Mac.

Uścisnąłem jej dłoń w rękawiczce z miękkiej, czarnej skórki, specjalnie przystosowanej do prowadzenia samochodu.

- A ja się nazywam Maggie Sheffield. Jestem tutaj szeryfem i też chciałabym bliżej poznać okoliczności wypadku Jilly. Wracasz może ze szpitala? - Kiedy przytaknąłem, dodała: - No i jak? Bez zmian?

- Na razie tak. Paul został przy niej, ale trudno mu się po tym wszystkim pozbierać.

- Dziwisz się? Można sobie wyobrazić, jakie teraz przeżywa piekło. Nieczęsto się zdarza, żeby czyjaś żona zleciała z szosy do morza, zostawiła taki wspaniały wóz kilka metrów pod wodą, a sama wylądowała w szpitalu, nie na cmentarzu!

Głos jej brzmiał tak, jakby za chwilę miała się rozplakać - pytanie tylko, czy żałowała Jilly, czy jej porsche?

- Jechałaś kiedyś tym samochodem? - zagadnąłem.

- Owszem, raz. Zabawne, bo zazwyczaj nie jeżdżę bardzo szybko, chyba że naprawdę muszę. Ledwie jednak usiadłam za kółkiem i dotknęłam nogą pedału gazu, a sama nie wiedziałam, kiedy na liczniku zrobiło się sto dwadzieścia. Dobrze, że w pobliżu nie było żadnego gliniarza! - Uśmiechnęła się, ale unikała mojego wzroku. - Jilly strasznie entuzjasmowała się tym wozem. Pruła po Piątej Alei zygzakiem, od krawężnika do krawężnika, pohukując i trąbiąc. Ludzie wyglądali z okien mieszkań i sklepów, śmiali się i przyjmowali zakłady, że prędzej czy później rozpieprzy ten wóz.

- Co też zrobiła.

- Tak, ale nie dlatego, że wygłupiała się jak smarkata. To musiało być coś poważniejszego. - Złżejszego tonu głosu przeszła znowu na ponury i podejrzliwy. Całkiem niespodziewanie walnęła nagle pięścią w kierownicę. - Przecież to czysty obłęd! Rob Morrison z drogówki, ten, który ją wyciągnął, widział, jak przyspieszała, jadąc prosto na klif. W tym miejscu szosa dosyć ostro opada, wyraźnie musiała dodać gazu, jakby chciała przeskoczyć na drugą stronę. Ale to niemożliwe, przecież Jilly na pewno nie chciała popełnić samobójstwa!

Zmarszczyła czoło i ponad kierownicą wbiła wzrok w las po przeciwnej stronie szosy.

- Masz jakiś pomysł, co to może znaczyć? Już miałem odpowiedzieć, że nie, bo nie chciałem, aby pani szeryf wzięła mnie za nawiedzzonego, ale samo mi się wyrwało:

- Owszem, mam, ale sam też tego nie rozumiem. Maggie wybuchnęła szczerym śmiechem.

- No więc na pewno będziesz chciał wyjaśnić wszystkie niejasności. Jesteś wprawdzie bratem Jilly, ale przede wszystkim agentem FBI, a w tej firmie wszystko musi być dopowiedziane do końca.

- Racja, ale z FBI wzięłem urlop, w tej chwili jestem przede wszystkim bratem Jilly i wcale nie mam zamiaru zgrywać ważniaka! - W tym momencie zaburczało mi w brzuchu. - Wiesz co? Paul pewnie jeszcze nieprędka wróci z tego szpitala, a ja chciałem zatrzymać się u niego, bo „Pod Jaskrami” mieszkają już uczestnicy zjazdu ortodontów. Tymczasem zrobiła się pora na lunch i umieram z głodu!

- Zjazd ortodontów? Czy ta Arlene nie mogła wymyślić nic lepszego, żeby cię spławić? Nie ma za grosz wyobraźni!

- Naprawdę chciała mnie spławić? Czy dlatego, że jestem tu obcy, czy dlatego, że jestem z Biura Śledczego?

- Arlene Hicks wolałaby, żebyś trzymał się z daleka od jej czcigodnego lokalu. Ma uczulenie na gliniarzy.

- To tak szybko się rozniosło?

- Tak, bo Paul spotkał w sklepie z bronią Benny'ego Pickle'a i powiedział mu, że masz przyjechać, a ten Benny to największa papla po tej stronie Gór Skalistych.

- Dobrze, ale co w tym złego, że jestem detektywem? Przecież nie gryzę, nie chrapię, nie pluję na podłogę i na pewno nie ucieknę bez zapłacenia rachunku.

- Arlene nie lubi nawet, kiedy ja się kręcę w pobliżu, chociaż mnie zna. Ciebie wprawdzie nie zna, ale wie, że przyjechałeś z Waszyngtonu, który dla niej jest siedliskiem grzechu i zgnilizny moralnej.

- Może coś w tym jest. Arlene ma coś konkretnego na myśli?

- Eee, tam - machnęła ręką. - Dobra, Mac, skoro już tu jesteś, na pewno chcesz zbadać okoliczności wypadku Jilly. Ja chcę tego samego, więc chyba rozsądniej będzie, jeśli zjednoczymy nasze wysiłki, przynajmniej częściowo. Problem tylko w tym, czy zamierzasz grać ze mną uczciwie.

- Na razie nie zamierzałem z nikim grać. - Uniosłem brew. - Jeśli jednak podejmuję grę, na ogół

gram fair. Niby dlaczego miałbym postępować inaczej?

- Bo jesteś wielka szycha z Centrali, a wy tam chcielibyście zawsze wszystkim komenderować i traktować z góry takich prowincjonalnych gliniarzy jak my. A ja nie dam zrobić z siebie dziewczynki na posyłki!

- Już ci raz powiedziałem, że nie przybyłem tu jako agent FBI i wyłącznie jako brat Jilly chciałym się dowiedzieć, co się stało. Raczej się cieszę, że ty też do tego zmierzasz, a nie próbujesz zatuszować sprawy, jak zrobiłoby wielu prowincjonalnych gliniarzy. Najłatwiej wszak zaszufladkować ten wypadek jako próbę samobójczą i przekazać do rozpoznania psychiatrom. Chyba już wierzysz, że gram szczerze? Może wiesz o czymś, o czym powinienem wiedzieć? Na przykład, czy jest jakiś powód, aby zakładać, że Jilly nie zjechała z tego klifu celowo?

Pani szeryf rozluźniła się nieco i zadała pytanie z zupełnie innej beczki.

- Kiedy zostałeś ranny i co to było?

- Skąd wiesz, że byłem ranny? Czyżbym nadal był blady jak nieświeża owsianka?

Przekręciła głowę na bok, aby patrzeć mi prosto w twarz. Teraz zorientowałem się, że jest młodsza niż myślałem. Chyba nie miała jeszcze trzydziestu lat, chociaż nie mogłem tego stwierdzić na pewno, gdyż jej oczy przesłaniały ciemne okulary o lustrzanych szklach, jakie chętnie wkładali policjanci z drogówki, aby imponować kierowcom. Włosy miała gęste, rdzawobrazowe i faliste, splecione we francuski warkocz podwinięty do góry i przypięty drewnianą klamrą rzeźbioną w kształt indiańskiego totemu. Używała szminki w odcieniu koralowym, podobnie jak moja dawna przyjaciółka z Anglii, Caroline, projektantka mody. Tamta jednak nie miała ani w połowie tyle siły i pewności siebie, co kobieta siedząca w tej chwili przede mną.

Oczywiście pani szeryf wiedziała, że ją obserwuję. Przez dłuższą chwilę pozwoliła na to, zanim odpowiedziała na moje pytanie.

- Na szczęście nie, bo nie cierpię owsianki, ale poznałam po twoich ruchach, że jeszcze nie jesteś w formie. Chodzisz, jakbyś był o dwadzieścia lat starszy, poza tym na lewym policzku masz jeszcze ślady po sińcach i wyraźnie oszczędzasz prawą rękę. Trochę się też garbisz, jakbyś się obawiał, że zabolą cię żebra. Co ci się przydarzyło?

- Bomba w samochodzie-pułapce.

- Jakoś nie słyszałam, żeby ktoś z Biura Śledczego wyleciał w powietrze.

- Bo to się stało nie u nas, tylko w Tunezji. Wyjątkowo parszywe miejsce. Ledwo otworzysz buzię, zaraz nałykasz się gorącego piachu. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, też nie byli zbyt sympatyczni.

Tym sposobem wygadałem się tej kobiecie, zupełnie mi nieznaną, z całej masy spraw nie przeznaczonych dla uszu postronnych, a zwłaszcza prowincjonalnych gliniarzy. Chyba więc grałem uczciwie. Mówiąc językiem politycznie poprawnym - podzieliłem się z nią swoją wiedzą, chociaż na sam dźwięk tego głupio pretensjonalnego zwrotu robiło mi się słabo. Liczyłem, że jeśli wie cokolwiek na ten temat, taka „chwila szczerości” (której nie miałem zamiaru powtarzać) pomoże mi wyciągnąć od niej te informacje.

- No więc zapraszam cię na lunch do „Króla Edwarda” - zaproponowała. - Nazywa się jak ekskluzywny klub angielski, ale to tylko pozory. Karmią tam średnio, ale przynajmniej obficie, a tobie przyda się trochę dodatkowych kalorii. Musiałeś stracić chyba z osiem kilo.

- Coś koło tego - mruknąłem enigmatycznie. Wprawdzie była dopiero druga po południu, ale naprawdę najbardziej marzyło mi się wygodne łóżko, zaciemniony pokój i przynajmniej trzy godziny

spokoju.

- Jedź za mną - zakomenderowała. - To około piętnastu minut drogi.

Na to mogłem już tylko odpowiedzieć: „dziękuję”, i z podziwem śledzić, jak precyzyjnie zawraca na środku Liverpool Street.

Po jakichś dwudziestu minutach zdążyłem już zamówić pieczeń rzymską z ziemniakami puree i fasolką szparagową, a pani szeryf - dużą porcję sałatki z kurczęcia. Obsługiwał nas stary, siwy Pete - jedyny pracujący w tym dniu kelner. Oparłem się o twardą ściankę boksu i zauważyłem:

- Byłem tu ostatni raz jakieś pięć lat temu, kiedy wracałem z Londynu i Paul zaprosił mnie, abym poznał jego rodziców. Od tamtego czasu to miejsce prawie się nie zmieniło. A ty od jak dawna jesteś tutaj szeryfem?

- Półtora roku. Burmistrzem naszego miasteczka jest panna Geraldine Tucker, która miała wtedy feministyczne ciągoty i orzekła, że szeryfem też powinna zostać kobieta. Pracowałam na posterunku policji w Eugene i akurat wpakowałam się w kłopoty, więc skorzystałam z pierwszej okazji, żeby się stamtąd wyrwać. Teraz mam do dyspozycji zastępcę i sekretarkę, a w razie czego mogę skrzyknąć ochotników przez telefon. Na szczęście, jak dotąd, nie było takiej potrzeby. Tu nie ma zbyt wielkiej przestępczości, najwyżej ktoś źle zaparkuje czy przekroczy szybkość, czasem małolaty narozrabiają, a jakieś dwa razy w miesiącu zdarzy się włamanie, zwykle sprawka przejezdnych. Ostatnio zwiększyła się liczba awantur domowych, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co się działo w Eugene... - Jej spojrzenie mówiło wyraźnie: „Chyba nie mogę już być bardziej szczerą!”

- A cóż tam takiego się działo? - Z uśmiechem podjąłem temat. Wargi Maggie natychmiast zwęziły się w kreskę tak cienką, jak zupka, którą jadł starszy gość przy sąsiednim stoliku.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym zachować to dla siebie.

- Dobra, twoja sprawa. Żeby już szybciej przynieśli tę pieczeń, może przykleiłyby mi się do zeber? Potrzebna mi taka wyściółka. A czego chciałaś od Paula?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, starszy facet podniósł się od swego stolika. W wielkich, sękatych i żyłastych rękach miętosił baseballową czapkę z napisem „Oakland A”. Włosy miał gęste, kędzierzawe, lecz zupełnie siwe, a zęby poplamione tytoniem. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat, a przez całe dotychczasowe życie na pewno ciężko pracował.

- O, jak się masz, Charlie! - Maggie wyciągnęła do niego rękę. - Wpadło ci może w oko coś, o czym powinnam wiedzieć?

- No, niejedno, ale to nic pilnego - wychrypiał cienkim, zdartym głosem. - Czy to jest ten chłopak z Waszyngtonu?

Maggie przedstawiła nas sobie, dzięki czemu dowiedziałem się, że ten człowiek nazywa się Charlie Duck i mieszka w Edgerton od piętnastu lat. Skinął mi głową, ale nie przyjął wyciągniętej ręki, tylko obracał w dłoniach baseballową czapkę.

- Wiem, Mac, że teraz nie masz do tego głowy, ale gdybyś znalazł trochę czasu, chętnie bym z tobą pogadał - powiedział.

- Z przyjemnością - obiecałem mu, zachodząc w głowę, jakimi sensacjami chciałby mnie uraczyć. Charlie z namaszczeniem kiwnął głową i wycofał się do swojego boksu, gdzie siedział sam.

- Widzisz, że nie każdy tu traktuje mnie jak wroga! - wytknąłem Maggie.

- O, Charlie to naprawdę równy gość. Na pewno polubiłbyś go, gdybyście się bliżej poznali.

- Dobrze więc, do czego potrzebny był ci Paul? - Wróciłem do przerwane go tematu. Zauważyłem, że Maggie kręciła w palcach widelec jak Charlie swoją czapkę. Ręce miała wypielegnowane,

paznokcie krótko obcięte, ale na opuszkach kciuków widniały zgrubienia.

- Chciałam z nim tylko porozmawiać - zapewniła. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że Jilly miała tyle szczęścia. Rob Morrison, ten z drogówki, który uratował jej życie, w zeszłym roku zajął trzecie miejsce w trójboju „Człowiek z żelaza”. Trzeba tam przepłynąć trzy kilometry, przejechać sto sześćdziesiąt kilometrów na rowerze, a czterdzieści dwa przebiec, jak w maratonie. Dobrze, że ma fantastyczną kondycję, bo gdyby na jego miejscu był kto inny, pewnie do dziś nie wyciągnęliby jej z wozu. Do tego doszedł, oczywiście, łut szczęścia, ale i tak w głowie się nie mieści, jak mu się to udało.

- Aha, „Człowiek z żelaza”! - przypomniałem sobie, czując po trosze wdzięczność i zazdrość. - Jeden mój kumpel też tego próbował, ale złapał go kurcz w łydce. Chciałbym poznać tego Roba, żeby mu przynajmniej podziękować.

- Dobra, po lunchu - obiecała, podnosząc szklanekę z mrożoną herbatą, którą podał jej Pete. Przebrał się teraz w czerwony fartuch, dłubał w zębach wykałaczką, a do Maggie zwracał się per pani szeryf. - Rob ma akurat służbę na nocnej zmianie, a w dzień odsypia, ale niedługo powinien wstać. Chciałabym, żeby jeszcze raz opowiedział mi wszystko od początku, więc pojedziemy do niego razem. Aha, pytałeś, do czego był mi potrzebny Paul? Widzisz, uważam, że jest jedynym człowiekiem, który może znać odpowiedź na pytanie, kto lub co skłoniło Jilly, żeby zjechała z tego klifu.

Na razie nie byłem jeszcze w stanie zmierzyć się z tym problemem.

- No, ale przecież oni mieszkali tu dopiero od pięciu i pół miesiąca! - usiłowałem oponować. - Co prawda, Paul stąd pochodzi...

- Tak, tylko że nie ma tu żadnych krewnych. Jego rodzice zginęli trzy lata temu, kiedy rozbiła się awionetka, którą lecieli na narty w Sierra Nevada, bo oboje byli namiętными narciarzami. Ciekawe, że nigdy nie odnaleziono ich ciał, chociaż zwykle łatwo jest znaleźć szczątki samolotu po katastrofie. Zwykle tak, ale nie tym razem.

- Paul miał jeszcze wujka, który zmarł na raka jakieś dwa lata temu i kuzynów rozproszonych po całym kraju.

- A właściwie, dlaczego zdecydowali się na powrót tutaj? Mówiąc szczerze, nie bardzo rozumiem, co wybitni naukowcy, jak oni, mieliby do roboty w takiej dziurze zabitej deskami?

Tymczasem kelner przyniósł mi wielką misę zielonej sałaty wymieszanej z plasterkami czerwonej papryki, gotowanych kartofli i fasolką szparagową, wszystko obficie polane majonezem. Wyglądało to nader zachęcająco.

- No, śmiało, spróbuj! - zachęciła mnie Maggie, więc nabrałem na widelec pierwszą porcję.

- Niezłe! - mruknąłem, mrużąc oczy, a po przełknięciu dalszych sześciu kęsów uzupełniłem: - Nawet całkiem dobre. A z nimi, widzisz, było tak, że firma farmaceutyczna VioTech, w której oboje pracowali, uniemożliwiła Paulowi kontynuację jego badań naukowych. Jilly powiedziała mi przez telefon, że wypiął się na nich i postanowił prowadzić dalsze prace tutaj.

- A jakie plany miała Jilly?

- Powiedziała mi, że jej zegar biologiczny bije i chciałyby mieć dziecko.

- Jilly powiedziała coś takiego? - Maggie Sheffield smarowała akurat bułkę masłem, lecz zastygła z ręką w powietrzu. - Niemożliwe!

- Dlaczego?

- Ponieważ słyszałam od niej wielokrotnie, że ani ona, ani Paul, nie chcą mieć bachorów.

Tłumaczyła, że zbyt długo myśleli tylko o sobie, aby teraz się przestawiać.

Jilly mogła jednak zmienić zdanie, skoro sama mi o tym powiedziała! Tymczasem przy naszym stoliku pojawił się Pete.

- Pieczeń rzymska już wyszła - oznajmił takim tonem, jakby się z tego cieszył. - Zjedli ją ci, co przyszli na śniadanie. Może pan reflektowałby na pyszną rybkę z cebulką i frytkami?

W chwili obecnej nawet wizja tłuszczu osadzającego się w moich tętnicach nie była w stanie mnie zniechęcić.

4

Rob Morrison mieszkał w małym, oszalowanym drewnem domku położonym wśród świerków, jakieś trzy kilometry na południe od miasta. Prowadziła do niego kręta droga gruntowa znana pod nazwą Penzance Street, wijąca się pomiędzy wzgórzami i dolinami. Kiedy wysiadłem z samochodu, od razu pozazdrościłem Robowi, że co rano może podziwiać tak fantastyczny widok na Ocean Spokojny. Musiało mu się wydawać, że mieszka na końcu świata!

Maggie zastukała w niemalowane dębowe drzwi.

- Wstawaj, Rob, za cztery godziny masz służbę! Spoza drzwi dobiegły jakieś odgłosy, a po chwili niski męski głos powiedział:

- To ty, Maggie? Skąd tu się wzięłaś? Jak tam Jilly?

- Otwórz, Rob, to wszystkiego się dowiesz.

W otwartych drzwiach stanął facet mniej więcej w moim wieku, nieogolony i ubrany jedynie w obcisłe, niedopięte dzinsy. Pani szeryf miała rację, mówiąc o jego imponującej formie fizycznej. Chwała Bogu, że w odpowiedniej chwili znalazł się we właściwym miejscu.

- A pan to kto? - zażądał wyjaśnień.

- Ford MacDougal, brat Jilly. - Wyciągnąłem do niego rękę. - Chciałbym panu podziękować za uratowanie jej życia.

- Rob Morrison. - Potężnie zbudowany chłop uścisnął mi mocno prawicę. - Słuchaj, stary, cholernie mi przykro, że w ogóle do tego doszło. Jak ona się czuje?

- Nadal nie odzyskała przytomności - odpowiedziała za mnie Maggie, a ja dorzuciłem:

- Moglibyśmy porozmawiać? Rob cofnął się i zaprosił nas gestem do środka.

- Proszę bardzo, pan Thorne był u mnie dopiero dwa dni temu, więc w chałupie mam czysto.

- To znaczy, że nie ma tam nic ciekawego, nawet brudu - uzupełniła Maggie.

- Ano właśnie. Słuchajcie, robię kawę, może się napijecie? - Widząc mój potakujący gest, dodał: - Pewnie mocną i czarną jak smoła?

- Jakbyś zgadł.

- A dla ciebie, Maggie, herbata earl grey, prawda? Przytaknęła, więc przeszliśmy za nim przez przeraźliwie schludny salonik do małej kuchenki.

- Ładnie mieszkasz! - zauważyłem. - A ten pan Thorne to kto?

- Taki dziadek, który dwa razy w tygodniu przychodzi do mnie posprzątać, żebym nie zarósł brudem. Dorabia w ten sposób do emerytury, bo przedtem łowił łososie na Alasce. Nazywa moje mieszkanie swoim poletkiem doświadczalnym.

Usiedliśmy na stołkach barowych przy ladzie oddzielającej kuchnię od części jadalnej z dwoma oknami wychodzącymi na ocean. Po chwili w powietrzu rozszedł się zapach świeżo zaparzonej kawy, który wdychałem z rozkoszą.

- O, tak właśnie pachnie prawdziwa kawa! - oświadczyłem. - To, co podają u „Króla Edwarda”,

to siki Weroniki!

- A co może być innego, kiedy Pete rozrabia rozpuszczalną kawę letnią wodą? - rzekł ze spokojem Rob. - Oczywiście pod nieobecność właściciela, Pierre'a Montrose'a. Nie zdziwiłbym się, gdyby mieszał ją palcem.

Nalał kawy do filiżanki i podsunął mi. Do drugiej włożył torebkę ekspresowej herbaty, zalał wrzątkiem, zamieszał i podał Maggie. Upiłem pierwszy łyk i aż jęknąłem z zachwytem.

- Widzę, że dla ciebie parzenie kawy to cały rytuał! - pochwaliłem. - Rzeczywiście pyszna.

- Może włożyłbyś koszulę, Rob? - zaproponowała Maggie. - My tu poczekamy, nigdzie nam się nie spieszy.

Rob tylko wzruszył modelowo umięśnionymi ramionami.

- Po co, jeszcze się nie myślę. Lepiej pogadajmy, a ubiorę się, jak wyjdziecie.

W obecności tego osiłka czułem się jak żalosna kupka nieszczęścia. Miałem świadomość, że mógłby przewrócić mnie małym palcem i spokojnie pogwizdując, iść dalej. Uczucie to było tym bardziej deprymujące, że kawa rozbudziła nie tylko mnie, lecz wszystkie mniej lub bardziej uspięne bóle. Nadal marzyłem o cudownej, relaksującej drzemce, ale siedząc oko w oko z Robem Morrisonem, który trzymał swoją filiżankę kawy na tle atletycznie umięśnionego torsu, nie wypadało nawet ziewnąć. I pomyśleć, że ten facet zatrudniał sprzątacza, żeby nie mieszkać w chlewie!

- Słuchaj, Rob. - Maggie pochyliła się ku niemu znad filiżanki herbaty. - Opowiedz nam jeszcze raz od początku, jak to było, ze wszystkimi szczegółami. Chciałabym to nagrać.

- Dobra, ale przecież znasz już tę całą historię na pamięć.

- Tak, ale przedtem jej nie nagrywałam, a Mac też chciałby to usłyszeć.

Maggie wygłosiła do mikrofonu słowo wstępne. Rob początkowo nie wiedział, od czego zacząć, ale w końcu usiadł wygodnie, pochylił się do przodu i zaczął recytować, powoli i wyraźnie:

- Wypadek miał miejsce we wtorek, dwudziestego drugiego kwietnia, około północy. Patrolowałem szosę biegnącą wzdłuż wybrzeża w kierunku północnym. Nie było na niej nikogo ani niczego, dopóki nie wszedłem w ostry zakręt. Wtedy zobaczyłem przed sobą Jilly w białym porsche, jak jechała z dużą szybkością prosto na barierę. Nie zwolniła, wprost przeciwnie, przyspieszyła. Jechałem bezpośrednio za nią, więc gdy staranowała barierę i wpadła do morza, znalazłem się na miejscu w ciągu dwóch sekund. Przez wodę widać było przednie światła samochodu, więc zanurkowałem i ustaliłem, że wóz zanurzył się na jakieś pięć do sześciu metrów, zanim zarył się w piasek. Okno po stronie kierowcy było otwarte, a Jilly nie miała zapiętego pasa, więc mogłem, nie tracąc czasu, od razu wyciągnąć ją przez to okienko. Odbiłem się od dna i natychmiast wypłynąłem na powierzchnię, więc Jilly mogła przebywać pod wodą najwyżej przez dwie minuty.

Przyholowałem ją do brzegu, sprawdziłem, czy oddycha, i przez radio wezwałem pogotowie. Karetka przyjechała po jakichś dwunastu minutach. Zabrali ją do szpitala miejskiego w Tallshon, bo tam było najbliżej. I to tyle, Maggie. Nic więcej nie wiem.

- Czy od razu poznałeś, że ten biały porsche należy do Jilly? - spytała Maggie.

- No pewnie. Poznałbym go na końcu świata. Zresztą, wszyscy w tym mieście go znają.

- A czy domyślałeś się, co ma zamiar zrobić? - Teraz to ja zadałem pytanie.

- Nie miałem zielonego pojęcia. Wołałem za nią, darłem się jak opętany, ale to nic nie dało.

Zupełnie jakby nic nie słyszała ani nie widziała. Zresztą, może rzeczywiście tak było.

- A czy widziałeś kogoś lub coś oprócz niej?

- Nie, nikogo tam nie było.



Maggie zdecydowała się jakoś podsumować to zeznanie.

- Uważasz więc, że Jilly Bartlett celowo skierowała samochód prosto w przepaść?

- Na to wyglądało - odpowiedział Rob.

- Nie masz więc żadnych wątpliwości, że była to z jej strony próba samobójstwa? - dodałem.

Rob Morrison podniósł na mnie zmęczone oczy i potarł pięścią podbródek porośnięty sztywnymi, czarnymi włoskami.

- Absolutnie żadnych - potwierdził. - Naprawdę bardzo mi przykro, ale według mojego rozeznania ona chciała się zabić.

- A czy wyklucasz przyczyny mechaniczne, które mogły spowodować utratę przez nią kontroli nad pojazdem?

- Jej wóz nadal tkwi pod wodą, więc można to sprawdzić, ale nie zauważyłem niczego, co wskazywałoby na awarię. Nie pękła żadna opona, spod maski nie wydobywał się dym, na szosie nie znalazłem też śladów poślizgu. Przykro mi, Mac, ale taka jest prawda.

Pół godziny później znów siedzieliśmy z Maggie w jej samochodzie przed domem Paula i Jilly.

- Wyglądasz, jakbyś już zapadał się w sobie - rzekła Maggie. - Może poszedłbyś trochę się przespać, zanim Paul wróci?

- Nie mogę, bo nie mam klucza - wyjaśniłem. - Gdyby nie zjazd dentystów, miałbym pokój „Pod Jaskrami”, więc nie spodziewałem się, że będę musiał nocować u Paula.

- I dlatego nie poprosiłeś go o klucz? - domyśliła się Maggie.

- Ano właśnie, chyba że zwinę się w kłębek na którymś z tych krzeseł, co stoją na ganku.

- Za duży z ciebie chłop, żeby się zmieścić na krześle. - Nerwowo zabębniła palcami o kierownicę. - Zaraz, jeśli już wymieniamy między sobą wszystkie informacje, to mógłbyś podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami na temat Jilly. Nawet tymi, o których mówiłeś, że ich nie rozumiesz. Potem będziesz mógł poszukać sobie krzesła na ganku.

- Masz dobrą pamięć!

- Ano, mam. No więc, co ci przychodziło do głowy?

- Jeśli ci powiem, to albo pomyślisz, że zwariowałem, albo przypiszesz to działaniu środków oszałamiających. Mnie samemu przyszło to na myśl, kiedy byłem w szpitalu.

- Spróbuj, co ci szkodzi. Spojrzałem w inną stronę, a potem wróciłem myślą do tamtej nocy.

- Wtedy, kiedy to się stało z Jilly, śniło mi się, że przydarzyło się jej coś złego. Miałem wrażenie, jakbym razem z nią zleciał z tego klifu. - Rozśmieszyły mnie własne słowa, ale tylko pokręciłem głową. - Myślisz, że mam nierówno pod sufitem, prawda?

- Sama już nie wiem, co mam o tym myśleć - odpowiedziała powoli, patrząc mi w oczy. - I co zrobiłeś potem?

- Z samego rana zadzwoniłem do Paula i dowiedziałem się, że to, o czym śniłem, naprawdę miało miejsce. Ale skąd ja się wzięłem w tym śnie, tego dalej nie wiem.

- O rany! - mruknęła Maggie.

- Dlatego musiałem tu przyjechać.

- Nie powinieneś być jeszcze wychodzić ze szpitala.

- Nie mogłem wytrzymać. I tak dobrze, że zgodziłem się zostać przez dwa dni, ale to były najdłuższe dni w moim życiu.

Maggie nie odzywała się przez dłuższą chwilę, tylko drapała się dłonią po udzie. Zauważyłem przy tym, że kant na jej spodniach wciąż świetnie się trzyma, a spodnie wyglądają, jakby dopiero co

wyjęła je z szafy.

- A przedtem nie utrzymywałaś kontaktów z Jilly? - zapytała w końcu. Potrząsnąłem głową.

- Widzisz, zostało nas tylko czworo, bo nasi starzy już nie żyją. Jestem najmłodszy z rodzeństwa, Jilly jest ode mnie trzy lata starsza. Od dawna mieliśmy wszyscy za dużo pracy, żeby kontaktować się ze sobą. Dopiero ten cholerny sen... Rzecz w tym, że czuję, jakby coś pchało Jilly na krawędź tego klifu - albo może to był ktoś... Niby była sama w wozie, a jakby nie była.

- To nie brzmi zbyt sensownie.

- Na razie nie brzmi, ale poczekaj, zaraz ci powiem coś lepszego. Pod koniec tego snu słyszałem czyjś krzyk. Teraz go poznałem. To krzyczał Rob Morrison!

- O, Jezu!

- No więc rozumiesz, dlaczego nie mogę zakwalifikować tego wypadku jako zwykłą próbę samobójstwa, chyba że Jilly sama mi to powie.

Pociągnąłem tęgi łyk mocnego wina pinot noir z winnicy Gray Canyon w Napa Valley.

- Smakuje ci? - zagadnął Paul.

- Bardzo, jest ciemne i gęste jak smoła piekielna. - Zachwycąłem się winem, kontemplując płyn ściekający po ściankach kryształowego kieliszka. - Widziałem się dziś z Robem Morrisonem, wiesz, tym facetem, który uratował Jilly.

- Wiem, miałem już okazję go poznać. Niedługo potem, jak wprowadziliśmy się tu z Jilly, wlepił mi mandat za przekroczenie szybkości. Wiem, że widziałeś się także z Maggie Sheffield.

- Owszem, chociaż jeszcze nie wiem, co mam o niej myśleć. Na oko babka całkiem do rzeczy, szczególnie odkąd przestała patrzeć na mnie podejrzliwie z powodu mojej pracy w FBI.

Paul nagle usiadł, wyprostowany, zaciskając pięści.

- Uważaj na nią, Mac - przestrzegł.

- O co ci chodzi?

- Nie zrozum mnie źle. - Wzruszył ramionami. - Nie jestem antyfeministą, ale ta baba to prawdziwa modliszka.

- Nie odniosłem takiego wrażenia. - Odkroiłem drugi kawałek soczystego befsztyka z polędwicy. Z pewnością był lepszy niż sałatka „Pod Królem Edwardem”. - To chyba rozumiałe, że chce wykryć, dlaczego Jilly wpadła do morza. O co masz do niej pretensję? Wlepiła ci mandat jak Morrison?

- Nic z tych rzeczy, ale za to najchętniej obciążyłaby mnie winą za ten wypadek. Nigdy mnie nie lubiła, bo uważała, że nie jestem dość dobry dla Jilly.

Teraz z kolei ja wzruszyłem ramionami.

- Nie rozumiem. W rozmowie ze mną nie wspomniała o tobie ani słowem. Siedziała grzecznie w samochodzie i czekała na ciebie, bo chciała o czymś porozmawiać.

- Gdybym tylko mógł przekonać Geraldine, żeby wylała ją na zbity pysk! Ta zaraza nienawidzi facetów i zawsze stara się napytać im biedy. Widziałeś, jaką nosi spluwę? W takim spokojnym miasteczku jak Edgerton to po prostu śmieszne. Raz już z nią rozmawiałem, w szpitalu, kiedy tylko przywieźli tam Jilly, i uważam, że to wystarczy.

- To raczej normalne, że policjant, czy to chłop, czy baba, chce kogoś przesłuchać więcej niż raz - wyjaśniłem spokojnie. Nie spodziewałem się usłyszeć z ust Paula takich seksistowskich bzdur. Z rozmowy z Maggie nie wywnioskowałem, aby darzyła mężczyzn specjalną antypatią. - Jasne, że w sytuacjach stresowych nie pamięta się wszystkiego. Idę o zakład, że i ty mógłbyś powiedzieć jej

znacznie więcej teraz niż wtedy.

- Niby co? Wystarczy, że Jilly zleciała z tego pieprzonego klifu, a ja nie mam bladego pojęcia, dlaczego. Może ostatnio była trochę w dołku, ale to się czasem zdarza każdemu. I to tyle, Mac, więcej nic nie urodzę.

Przełknąłem ostatni kęs befsztyka, rozsiadłem się wygodniej, upiłem pinot noir. Zauważyłem, że Paul wyglądał jakoś blado, a skóra napinała mu się na kościach policzkowych. Sprawiał wrażenie chorego lub przestraszonego, ale możliwe, że patrząc na niego, widziałem własne lustrzane odbicie! Sam wyglądałem wystarczająco mizernie.

- Jesteś absolutnie pewien, że nic? A nie zastanawiałeś się, co mogło spowodować ten psychiczny dołek u Jilly? Czy przyjmowała jakieś leki antydepresyjne? A może leczyła się u psychiatry?

- Patrzcie państwo, superglina bierze mnie w krzyżowy ogień pytań! - Paul roześmiał się nieszczerze. - Nie leczyła się na głowę, jeśli ci o to chodzi, ale proszę cię, Mac, daj mi już spokój. Jestem zmęczony i nie chcę więcej rozmawiać na ten temat. Jedyne, co mam ci do powiedzenia, to to, że idę spać.

Odsunął krzesło i wstał.

- Dobranoc, Mac. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie na podwójnym łóżku w pokoju gościnnym, chociaż może być dla ciebie trochę za krótkie.

- Nie martw się o mnie, zdążyłem się już trochę zdrzemnąć w fotelu na werandzie. Teraz skoczę jeszcze raz do szpitala zobaczyć, co z Jilly. Na razie dobranoc.

Ford znów jest przy mnie i trzyma mnie za rękę. Jest tak samo ciepła jak przedtem. Dzięki Bogu, że za pierwszym razem był tu naprawdę, a nie w mojej wyobraźni. Nie chciałabym utracić kontroli nad swoim mózgiem, tak jak nad resztą ciała.

Ale kiedy był ten pierwszy raz? Równie dobrze mogło zdarzyć się to dziś' rano, jak rok temu. Wyzbyłam się całkowicie poczucia czasu. Wiem, co to takiego, ale nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Za Fordem poruszały się jeszcze inne mgliste postacie, ale potem znikły i zostaliśmy sami.

- Jilly! - przemówił do mnie. Chciało mi się płakać z radości, że usłyszałam jego głos, ale nie czując własnego ciała, nie mogłam też sprawić, by wylewało łzy. Chętnie bym zapytała go, czy udało się wydobyć mój samochód z dna oceanu.

- Nie wiem, czy mnie słyszysz, kochanie - przemawiał do mnie Ford - ale mam nadzieję, że tak. Rozmawiałem z Kevinem i Gwen, poinformowałem ich, jak się czujesz. Przesyłają ci pozdrowienia i obiecują modlić się za ciebie. A teraz, Jilly, opowiedz mi, co cię gnębiło.

Ależ nic nigdy w życiu mnie nie gnębiło! Nie miałam żadnej pieprzonej depresji i nie wiem, co mu odbiło, żeby mnie o to pytać. Obtańcowałam Forda porządnie, ale on tego nie słyszał, bo słowa tylko kłębiły się pod moją czaszką, nie wydostając się na zewnątrz.

- Muszę dojść, co sprawiło, że zjechałaś z klifu prosto do morza. Trudno mi uwierzyć, że cierpiałaś na depresję. Przecież nie przejęłaś się zbytnio nawet wtedy w szkołę, kiedy Lester Haruey zerwał z tobą dla tej Susan z wielkimi cyckami. Pamiętam dobrze, powiedziałaś tylko, że ten głupi gówniarz niewart jest jednej łzy. Chyba że przez te pięć lat, kiedy byłaś z Paulem, a my nie widywaliśmy się tak często jak przedtem, coś się zmieniło. Kurczę blado, Jilly, co cię napadło?

Ford oparł czoło o moją rękę, chuchając na mnie ciepłym oddechem. Chciałam mu wytłumaczyć, że nie byłam w żadnej depresji. Pytał, co mnie napadło, więc usiłowałam go naprowadzić: „Lubisz

seks, prawda? Ja się nigdy na to specjalnie nie napalałam, ale przeżyłam ostatnio coś cudownego!”

Ciekawe, czy moje usta przynajmniej układają się w kształt uśmiechu? Obawiam się, że nie. Ford oddycha tak miarowo... chyba zasnął. Ciekawe, dlaczego. Zaraz, coś mi majaczy, chyba ostatnio był chory, a może coś mu się stało...

Żeby tak mogła pogłodzić go palcami po włosach! Ford zawsze miał piękne włosy, czarne i dłuższe, niż życzyliby sobie w FBI. Jednak najbardziej podobały mi się jego oczy, ciemno-błękitne, jak u mamy. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo mama umarła już dawno temu. W każdym razie miał oczy głębokie i łagodne, a czasem gorejące. Przez pewien czas chodził z kobietą, która miała na imię Dolores. Zawsze wyobrażałam ją sobie tańczącą flamenco. Ciekawe, czy było im dobrze w łóżku?

A jeśli już o tym mowa, to kogo dziś obchodzi, co ja myślę i czuję? Leżę tu, uwieczona we własnym ciele, a Paul jest wolny i swobodny, może robić, co chce. Ale nie, przecież nie boję się Paula! Najbardziej boję się Laury, bo wiem, do czego jest zdolna. Raz mnie już przecież zdradziła. Opętała mnie tak, że mało się przez nią nie zabiłam. Słuchaj, Ford, nie zniósłabym, gdyby ona wróciła, chyba bym umarła!

Leżę tak, unosząc się nad własnym, bezwładnym ciałem i mimo wszystko nie przestaję myśleć o Laurze. Wciąż ta sama Laura, która mnie zdradziła, a teraz nie daje mi spokoju...

Po kilku godzinach snu obudziłem się przestraszony, bo poczułem na swoim ramieniu dotknięcie ręki pielęgniarki. Podniosłem głowę i prosto w jej twarz powiedziałem:

- To znowu ta Laura! Ona ją zdradziła! Uniosła w górę prawą brew, którą stanowiła cienka, czarna kreska.

- Laura? Jaka Laura? Dobrze się pan czuje? Spojrzałem na Jilly, która leżała cicho, tak blada, że aż przezroczysta.

- Dziękuję, nic mi nie jest - odpowiedziałem, ale zachodziłem w głowę, kim jest ta Laura. Podniosłem wzrok na pielęgniarkę i zauważyłem, że jest drobna jak ptaszek i ma miły, wręcz dziecienny głosik. Skinąłem jej głową i znów spojrzałem na Jilly, której rysy były słabo widoczne w mdłym świetle padającym z korytarza. Pewnie ktoś wszedł do pokoju i zobaczył, że przysnąłem u wezgłowia Jilly, więc zgasił lampę.

- Muszę ją teraz przewrócić na brzuch i wymasować plecy - wyjaśniła pielęgniarka. - Jeśli tego nie zrobię, szybko dostanie odleżyn.

Podczas gdy rozwiązywała tasiemki szpitalnej koszuli Jilly, wypytywałem ją:

- Proszę, niech siostra mi powie coś więcej na temat śpiączki. Lekarze już mi tłumaczyli, ale nie zrozumiałem dokładnie, czego można się spodziewać.

- A pamięta pan ten film ze Stevenem Seagalem? - przypomniała, wcierając gęsty, biały krem w łopatki i plecy Jilly. - Taki, w którym on spał przez siedem lat, a potem się obudził?

Przytaknąłem, bo Steven Seagal był idolem moich lat chłopięcych.

- Urosła mu długa broda i był osłabiony, więc musiał ćwiczyć, aby odzyskać siły - opowiadała dalej pielęgniarka. - Oczywiście, jak to w Hollywood, udało mu się i już po tygodniu był sprawny jak każdy z nas. W życiu jednak nie jest to takie proste. Zwykle, kiedy ktoś nie odzyskuje przytomności przez więcej niż kilka dni, to maleją szanse, że w ogóle ją odzyska, a jeśli nawet - to nie wiadomo, czy nie wystąpią poważne komplikacje. Nie chcę pana straszyć, ale w grę mogą wchodzić rozmaite urazy mózgu, a w ich efekcie upośledzenie umysłowe, niedowład kończyn, utrata mowy lub coś jeszcze gorszego...

- W większości przypadków pacjenci wybudzają się szybko i wtedy na ogół wszystko jest w

porządku. Gdyby pani Bartlett odzyskała przytomność, dajmy na to, za dzień lub dwa, rokowanie byłoby pomyślne, ale nie możemy wykluczać, że jednak doszło do uszkodzenia mózgu. Na razie snujemy tylko prognozy na podstawie danych statystycznych, ale każdy organizm jest inny. Trzeba się modlić i mieć nadzieję.

- U pani Bartlett badania nie wykazały poważniejszych uszkodzeń, a te, które stwierdzono, w ogóle nie powinny powodować śpiączki. Wynika stąd, że nie wiemy jeszcze wszystkiego. Przykro mi, panie MacDougal, ale nie potrafię powiedzieć panu nic więcej.

Dała mi i tak wystarczająco dużo do myślenia! Po chwili jednak znów zasnąłem z głową przytuloną do ręki Jilly. Przyśniła mi się Maggie Sheffield wykrzykująca, że Paul jest podłym draniem i trzeba go wypędzić z miasta.

5

Nazajutrz, kiedy o dziesiątej rano zajechałem pod numer dwunasty na Liverpool Street, zastałem tam już zaparkowany samochód Maggie Sheffield. Stał w tym samym miejscu co wczoraj, ale jej nie było w środku.

Niepostrzeżenie podkradłem się do salonu i usłyszałem stamtąd jej głos:

- Paul, po drodze do ciebie zadzwoniłam do szpitala. Pani Himmel powiedziała mi, że stan Jilly nie uległ zmianie i że Mac siedział przy niej przez całą noc.

Paul mruknął coś pod nosem.

- Widzę, że Mac poświęca jej więcej czasu niż ty. Jak to możliwe?

- Odpieprz się! Paul nie tyle poczuł się urażony jej pytaniem, ile był po prostu zmęczony ciągłym poruszaniem tego tematu. Nie dziwiłem się temu, bo gdyby zwróciła się w ten sposób do mnie, też miałbym ochotę nakłaść jej po ryju. Wkroczyłem do długiego i wąskiego salonu, biegnącego wzdłuż frontowej ściany domu, całej przeszklonej, z oknami wychodzącymi na ocean. Pozostałe ściany, podtrzymujące konstrukcję, pomalowano na biało. Podłoga była wyłożona kwadratowymi, białymi płytami, a meble, dla odmiany, utrzymano w kolorze czarnym. Całość jak z koszmarnego snu minimalistycznie nastawionego projektanta - żadnego akcentu stwarzającego przytulny, domowy nastrój: rozrzucone gazety, zdjęcia czy coś w tym rodzaju. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby ułożyć się tu wygodnie z książką czy obejrzeć mecz w telewizji!

Nawet obrazy reprezentowały wyłącznie sztukę abstrakcyjną i składały się z nieregularnych chlaśnień farbą na płótnie, przeważnie czarną i białą. Wisiały na ścianie w równym szeregu jak żołnierze. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógł wytrzymać w tak ascetycznym wnętrzu, a już zwłaszcza Jilly. Pamiętałem, że w młodości urządzała swój pokój w turkusowych błękitach, jaskrawych oranżach i zieleniach, wieszając na tym tle plakaty z gwiazdami punk rocka. Prawda, ludzie się zmieniają, ale żeby aż tak? Czulem w tym rękę Paula.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku, szeryfie! - powitałem Maggie, która z otwartym notatnikiem na kolanach siedziała na obitej czarną skórą kanapie. Była w mundurze, ale na nogach miała adidasy. Przez chwilę wyobraziłem ją sobie bez munduru, czyli tak, jak widziałem ją we śnie. Na jawie jednak miała włosy ściągnięte do tyłu i spięte klamrą, którą moja koleżanka Sherlock nazywała bananem. Sama miała takie klamry we wszystkich kolorach tęczy.

- Ach, to ty, Mac! - przywitała mnie, wstając. - Dziękuję, wszystko w porządku. A co słysząc u Jilly?

- Bez zmian.

- O, bardzo mi przykro. A ty, jak się czujesz?

- Dziękuję, zupełnie dobrze.

- Rzeczywiście, wyglądasz dużo lepiej niż wczoraj, już nie jak śmierć na chorągwi. Chodź tu i siadaj, bo muszę jeszcze omówić to i owo z Paulem.

Ten ostatni nawet się nie poruszył, siedział jak posąg na fotelu obitym czarną skórą, ściskając dłonie między kolanami. Sprawiał wrażenie, jakby uważnie przyglądał się jednej z białych płytek posadzki, którą miał pod nogami.

- O, tu jest rysa! - zauważył nagle.

- Jaka rysa? - Maggie nie zrozumiała, bo uwaga ta nie miała żadnego związku ze sprawą.

- O, tu, widzicie, w prawym górnym rogu. Ciekawe, skąd się wzięła.

- Wiesz co, Paul? - Zdenerwowałem się nie na żarty. - Może zakryjemy tę rysę gazetami, żeby cię nie drażniła?

- Och, Mac, jaką ty masz drobnomieszczańską, nieskomplikowaną naturę! Dobra, dołącz do zabawy, żebyśmy szybciej mieli to z głowy, bo muszę brać się do roboty.

- Jilly opowiedziała mi, że dlatego zwolniłeś się z pracy w tej filadelfijskiej firmie, bo nie pozwolili ci kontynuować badań nad twoim wynalazkiem.

- Zgadza się.

- Co to za wynalazek? - spytałem, przechodząc po dywanie w czarno-białe, geometryczne wzory, aby zatrzymać się przy jednym z okien wychodzących na ocean.

- Elixir młodości! Jestem w trakcie doskonalenia tabletki cofającej proces starzenia.

Maggie o mało nie spadła z kanapy.

- Bój się Boga, Paul, ależ to niewiarygodne! Jak mogą nie chcieć, abyś kontynuował takie badania? Przecież wyniki byłyby warte wszystkie skarby świata!

- Aleś się dała nabrać! - Paul parsknął śmiechem. - Wszyscy się na to nabierają, bo każdy chciałby zachować młodość. Osobiście wolałbym opracować środek na porost włosów. - Wskazał na swoją rzadniejącą czuprynę.

- No, to masz pecha, bo jeśli Jean-Luc Picard w filmie Star Trek mówił prawdę, to nie doczekamy się takiej pigułki nawet w dwudziestym czwartym wieku.

- A tak na serio, nad czym obecnie pracujesz? - Wróciłem do tematu.

- Wybacz, ale te informacje są ściśle poufne. To nie ma nic wspólnego z Jilly, więc zejdźcie ze mnie, proszę.

Maggie wróciła na swoje miejsce i pstryknęła długopisem.

- Najpierw jednak chciałabym się dowiedzieć, co ty i Jilly robiliście w ostatni wtorek wieczorem. Przypomnij sobie, czy jedliście kolację w domu, czy poszliście do restauracji?

- A do czego ci to, u licha, potrzebne, gdzie jedliśmy kolację?

- Odpowiedz, Paul. Jedliście w domu? - powtórzyłem, stojąc przy oknie ze skrzyżowanymi ramionami.

- Tak, piezonego halibuta skropionego sokiem cytrynowym. Do tego Jilly zrobiła grzanki z czosnkiem, a ja sałatkę ze szpinaku. Po kolacji chciałem trochę popracować, a Jilly oświadczyła, że ma zamiar przejechać się samochodem. To nic nowego, bo uwielbiała jeździć tym porsche. Wyszła z domu około dziewiątej.

- Rob Morrison zeznał, że wypadek miał miejsce około północy. Trzy godziny to trochę za długo jak na małą przejażdżkę.

- Nie wiem, co się potem działo, bo przysnąłem przy biurku. Zostawiłem nawet włączony

komputer. Bez względu na to, czy Jilly tymczasem wróciła i wyszła znowu, czy też nie było jej przez całe trzy godziny, i tak bym tego nie zauważył. Wiem tylko, że wyszła o dziewiątej.

- A w jakim nastroju była przy kolacji?

- Nie znasz Jilly? Jak to ona, wiecznie sypała żarcikami. Zapamiętałem nawet kawał o viagrze, który opowiedziała.

- Więc nie powiesz nam, nad czym pracujesz? - znów zapytała Maggie. - Może próbujesz się sklonować?

- Na razie nie, przynajmniej dopóki nie wymyślę czegoś na porost włosów. - Przeniósł wzrok na mnie. - Ty, Mac, bardziej byś się do tego nadawał, bo masz lepsze geny. Na pewno zainteresowałiby się tobą Niemcy albo FBI. Co ty na to?

- Widzę, że wrzuciłeś nas do jednego worka z hitlerowcami - zauważyłem. Nie rozumiałem tylko, czemu z takim uporem odmawiał współpracy. Czyżby lek, którym się zajmował, miał coś wspólnego z wypadkiem Jilly na klifie?

- Cóż, znajduję wiele cech wspólnych. - Wzruszył ramionami. Ja zrobiłem to samo.

- Może zdecydowałbym się na to, gdybym był ze trzy razy starszy niż jestem, ale chyba jednak nie. Twierdzisz więc, że podczas kolacji Jilly zachowywała się zupełnie normalnie?

- Tak, tylko nie jadła zbyt dużo, bo postanowiła schudnąć o jakieś dwa-trzy kilo.

- Czy używała jakichś pastylek odchudzających? - wpadła mu w słowo Maggie.

- Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Na wszelki wypadek sprawdzę zawartość apteczki.

- Słusznie.

- A czy to prawda, że codziennie kochaliście się z Jilly? - zacząłem z innej beczki. Dałbym głowę, że Paul zarumienił się po korzonki rzadziejących włosów.

- Po cholere o to pytasz? Co cię to obchodzi?

- Owszem, obchodzi, bo w lutym Jilly zebrało się na zwierzenia na temat jej życia intymnego. Nigdy przedtem nie opowiadała tak wylewnie o seksie z tobą. Mogło to oznaczać, że coś się skończyło, bo przeskakiwała z tematu na temat, żadnego specjalnie nie wyróżniając.

- A co takiego mówiła, Mac? Spojrzałem na Maggie i głowę bym dał, że zadając to pytanie, kierowała się nie tylko zawodową ciekawością. Pomyślałem jednak, że nie zaszkodzi podrzucić jej trochę szczegółów.

- No, na przykład o swojej nowej sukience, a zaraz potem, na jednym oddechu, jak często Paul się z nią kochał. Od tego tematu przechodziła zaraz do swojego ulubionego porsche i znajomego rodzeństwa Cal i Cottera Tarcher. O wszystkim mówiła z jednakowym zaangażowaniem. Z perspektywy czasu myślę, że to było podejrzane.

W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Paul zerwał się na równe nogi.

- Rany boskie, może to coś z Jilly? Kiedy wybiegł z salonu, Maggie skomentowała jego zachowanie.

- Wiem, że wolałbyś tego nie słyszeć, ale z tego wynika, że ona niekoniecznie musiała uprawiać ten seks z Paulem.

Chętnie dałbym jej kuksańca. Jilly miałyby robić skok w bok? Nigdy w życiu! Nie miałem jednak czasu mocniej przycisnąć Maggie do muru, bo do salonu wrócił Paul, ale nie sam. Za nim w drzwiach ukazała się drobna dziewczuszka, czy raczej kobietka, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Włosy w kolorze ciemnego brązu, gęste i faliste, ściągnęła do tyłu dwiema plastikowymi spinkami. Skórę miała bielszą niż świeżo uprana koszula, a na nosie okulary w okrągłych, złotych oprawkach. Ubrana

była w luźne dzinsy i białą, chyba męską, koszulę z zawiniętymi rękawami, wyrzuconą na wierzch i prawie sięgającą kolan.

- Cześć, Cal, cóż cię do nas sprowadza? - przywitała ją Maggie, powoli podnosząc się z miejsca.

Chryste, więc to była Cal Tarcher! Ta sama, która zazdrościła Jilly nowej sukienki, siostra tego chuligana Cottera! Rzucając ukradkowe spojrzenia na Paula, obwieściła:

- Dobrze, że tu jesteś, Maggie. Tatuś przysłał mnie, żebym zaprosiła was wszystkich do nas na jutro wieczorem. A pan to brat Jilly?

- Zgadza się. Jestem Ford MacDougal.

- A ja Cal Tarcher. Czy Jilly czuje się lepiej?

- Nie bardzo, bo wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności.

- Tak mi przykro! Byłam u niej wczoraj po południu. Pielęgniarka prosiła mnie, żeby mówić do niej o czymkolwiek, choćby o pogodzie lub najnowszym filmie z Denzelem Washingtonem, byleby tylko mówić... Aha, zaczęłam o naszej imprezie. Przyjdziecie wszyscy?

- Oczywiście, że przyjdziemy - obiecał Paul z nutą zniecierpliwienia w głosie. - Wystarczy, że twój ojciec rozkaże, a pędzimy na wypródkę!

- To nie jest tak, Paul! - sprostowała Cal, nie patrząc jednak na nikogo z nas, tylko na obraz, który składał się jedynie z dwóch podłużnych chlaśnień czarną farbą, przecinających po przekątnej przeraźliwie białe płótno. - Wszyscy martwimy się o Jilly, ale tatuś ma nadzieję, że uda ci się znaleźć trochę czasu i wpaść do nas przynajmniej na chwilę. Bardzo chciałby też poznać brata Jilly. Maggie, nie wiesz, czy Rob ma służbę jutro wieczorem?

- A na jakiej podstawie sądzisz, że znam jego grafik służby?

- Jak to, przecież oboje jesteście glinami. - Cal wzruszyła ramionami.

- No, właściwie masz rację.

Widać było, że Cal Tarcher czuje się zakłopotana. Najwyraźniej coś wisiało w powietrzu, czułem się, jakbym wpadł w sam środek rozgrywającego się dramatu, ale nie miałem pojęcia, o co chodzi.

- Dobrze, zadzwonię do niego - obiecała niepewnie, ale zaraz podniosła głowę i spojrzała wyzywająco w twarz Maggie. - Ale on na pewno przyszedłby chętniej, gdybyś to ty do niego zadzwoniła, bo zrobi wszystko, co mu każesz. Mnie nie lubi, uważa, że jestem głupia.

- Nie bądź śmieszna, Cal - wtrącił Paul. - Rob nie różnicuje ludzi na lepszych i gorszych, bo wymagałoby to za dużo wysiłku umysłowego. Woli utrzymywać w pamięci wszystko tak, jak usłyszał. Jeśli chcesz, mogę zadzwonić do niego w twoim imieniu.

- Dziękuję, Paul. W takim razie pojedę zaprosić Geraldine. Była mocno przeziębiona, ale już jej lepiej, a mam dla niej ciasto własnej roboty. Wiesz, że nasz tato ją uwielbia.

- I żebyś mnie zabiła, nie wiem, za co - dokończył Paul, a zwracając się do mnie, dodał tytułem wyjaśnienia: - Panna Geraldine Tucker jest obecnie naszym burmistrzem, a kiedyś uczyła matematyki w szkole średniej. Przewodniczy również Komitetowi Obywatelskiemu mieszkańców Edgerton, otwartemu dla wszystkich od noworodków do staruszków po dziewięćdziesiątce, jak babcia Marco, właścicielka stacji benzynowej Union 76.

- Czy to twój tato wymyślił tę nazwę, Cal? - zainteresowała się Maggie.

- Nie, to moja mama.

- Twoja matka? Elaine? - powtórzyła Maggie z niedowierzaniem.

- A niby dlaczego nie? Mamusia ma duże poczucie humoru i jest bardzo inteligentna. Właściwie



spośród naszych gości tylko pan, panie MacDougal, nie należy do tego Komitetu.

- Musiałabyś mi najpierw zdradzić, do kogo to jest aluzja.

- Niejeden już próbował się domyślić! - roześmiał się Paul. - Czy to już wszystko, Cal? Wybacz, ale jesteśmy teraz bardzo zajęci. Maggie bierze mnie w krzyżowy ogień pytań, żeby mnie obciążyć winą za wypadek Jilly.

Maggie zamachała w jego kierunku długopisem i zwróciła się do Cal Tarcher:

- Zanim stąd wyjdiesz, Cal, powiedz mi jeszcze, czy widziałaś Jilly w ostatni wtorek wieczorem?

- Wtedy była straszna mgła - odpowiedziała Cal ze wzrokiem wbitym w czubki butów, chyba od Bally'ego. - Pamiętam, że dziewczyna Cottera odwołała randkę, bo bała się prowadzić wóz w taką pogodę.

- Jilly zjechała z klifu około północy - przypomniałem. - Czy wtedy jeszcze utrzymywała się mgła?

- Nie, do tej pory prawie ustąpiła - wyjaśniła Maggie. - W tych stronach pogoda często się zmienia. Mgła albo unosi się w powietrzu, albo opada, gęsta jak mleko, a potem nagle znika. W ten wtorek wieczorem też tak było. A czy ta dziewczyna Cottera wybierała się do was?

Cal przytaknęła, przy czym zdołała wreszcie nawiązać ze mną kontakt wzrokowy.

- Tak, bo Cotter lubi, kiedy dziewczyny po niego przyjeżdżają - wyjaśniła, widząc moje uniesione brwi. - Uważa, że daje to kobietom poczucie bezpieczeństwa, jeśli to one siedzą za kierownicą. Jeśli taka dziewczyna się z nim pokłóci, zawsze może wysadzić go z wozu i zostawić na skraju szosy.

- Dobrze, ale widziałaś w końcu Jilly, czy nie? - powtórzyła swoje pytanie Maggie. Wydawało się, że nie lubi Cal, chociaż nie od razu się domyśliłem, dlaczego. Cal Tarcher wydawała mi się nieszkodliwa, najwyżej chorobliwie nieśmiała i chyba to właśnie denerwowało Maggie.

- Tak, widziałam ją - wyznała wreszcie Cal, czyniąc przy tym dwa kroki w stronę drzwi, jakby chciała jak najszybciej wyjść. - Mniej więcej o wpół do dziesiątej. Jechała porsche po Piątej Alei z głośnikami nastawionymi na cały regulator. Jadłam wtedy kolację „Pod Królem Edwardem”. Razem ze mną było tam może dziesięć albo dwanaście osób, ale kiedy przejeżdżała, z tą głośną muzyką, wszyscy wylegli na dwór, żeby pomachać jej ręką. Śmiała się wtedy i śpiewała, ile siły w płucach.

- A co takiego śpiewała?

- Piosenki z musicalu Oklahoma. I na pewno się śmiała, pamiętam to dokładnie. Mało tego, wykrzykiwała, że jedzie na cmentarz zbudzić nieboszczyków. Potem zawróciła i skierowała się na wschód.

- Wszyscy, których o to pytałam, zeznają podobnie - rzekła Maggie. - Cmentarz leży na południe od centrum miasta, bliżej oceanu, więc może rzeczywiście na początku tam pojechała. Później jednak musiała zmienić kierunek, bo bezpośrednio przed wypadkiem jechała już na północ szosą wzdłuż brzegu.

Przypomniałem sobie, że w południowej części miasta mieszkał Rob Morrison, ale nie posadzałem Jilly, aby była zdolna do sprzeniewierzenia się ślubom małżeńskim. Chciała mieć dziecko, a nie ucinać sobie z kimś romans na boku. Dla pewności wołałem jednak zapytać Maggie. Nie mogłem przecież tego tak zostawić.

- A może na cmentarzu coś jej się stało? - podsunęła Cal.

- Niby co takiego? - rzuciła zgryźliwie Maggie.

- No, nie wiem - wykrztusiła powoli Cal, nie patrząc nikomu z nas w oczy. - Tam czasem snują się takie dziwne cienie, słysząc różne głosy... Zawsze wyobrażałam sobie, że drzewa szepeczą między sobą, a już zwłaszcza daglezie wyglądają tak, jakby przysuwały się do grobów. Może oplatają korzeniami stare trumny i otwierają je...? Wzdrygnęła się, ale zaraz zdobyła się na uśmiech.

- Mówię głupstwa, prawda?

- Oczywiście, nawet duże - potwierdziła sucho Maggie. - Na cmentarzu nie ma nic ciekawego poza spróchniałymi kośćmi. A swoją drogą nie wiedziałam, że masz taką bujną wyobraźnię. Mac jeszcze gotów wziąć cię za artystkę!

- Mimo wszystko nie chciałabym przejeżdżać tamtędy w nocy! - upierała się Cal. - Nawet gdybym była zalana w drobny mak.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że Jilly była zalana, kiedy ją widziałas o wpół do dziesiątej wieczorem? - podchwycił. Cal milczała. Odpowiedziała za nią Maggie.

- Nikt ze świadków nie zeznał, że Jilly mogła być pijana. Wszyscy podkreślali tylko, że była w świetnym humorze. Kiedy po wypadku przywieziono ją do szpitala, robiono jej testy na zawartość alkoholu we krwi. Wykryto u niej ilość promili odpowiadającą dwóm kieliszkom wypitego wina, a test toksykologiczny dał wynik ujemny, więc stan upojenia nie wchodzi w grę. A później już jej nie widziałas?

Cal przecząco pokręciła głową i cofnęła się o dalszy krok ku drzwiom. W tym momencie wkroczyłem do akcji.

- Maggie, wy tu sobie z Paulem gadajcie, a ja odprowadzę pannę Tarcher - zaproponowałem. Domyśliłem się bowiem, że Cal będzie chciała jak najszybciej stąd uciec. Ta dziewczyna musiała coś ukrywać!

- Poczekaj, Cal! - poleciłem, tym razem chłodnym, urzędowym tonem, typowym dla agenta FBI na służbie. Oczywiście zatrzymała się natychmiast. Ująłem ją pod łokieć i wyszedłem z nią na zewnątrz.

Poranek był chłodny, lecz pogodny, z lekkim wietrzykiem o sile zdolnej co najwyżej zwichrzyć człowiekowi włosy. Z lubością wdychałem morskie powietrze, którego dawno nie miałem w płucach. Nie odezwałem się ani słowem, dopóki nie doszliśmy do jej jasnoniebieskiego bmw z opuszczanym dachem. Cal przez cały czas patrzyła pod nogi i kombinowała, jak by mi się wymknąć. Dopiero kiedy otworzyła drzwiczki wozu, położyłem rękę na jej ramieniu.

- Chwileczkę, panno Tarcher. Co panią gryzie? Kogo się pani boi?

Po raz pierwszy nie uciekała przed moim wzrokiem, tylko popatrzyła mi prosto w oczy. Jej oczy za okularami były bladoniebieskie z lekkim odcieniem szarości, a spojrzenie chłodne, inteligentne i miało w sobie jeszcze coś, czego nie umiałem na razie określić. Kiedy się wyprostowała, nie wyglądała już na taką drobną jak przedtem, przeciwnie - spoglądała na mnie jakby z góry, z chłodną arogancją, która dźwięczała także w jej głosie.

- To nie pańska sprawa, panie MacDougal. Miłego dnia i do zobaczenia jutro, chyba że pan wcześniej stąd wyjedzie. - Rzuciła jeszcze okiem w stronę domu Paula i dodała mimochodem: - Zresztą, kogo to obchodzi?

- Mnie! - rzekłem szybko.

Obojętnie skinęła mi głową, wskoczyła do swojego samochodu i nie minęło nawet dziesięć sekund, a już zniknęła za zakrętem Liverpool Street. Nie obejrzała się nawet za siebie. Zrobiła na mnie wrażenie ulepionej z dwóch różnych, przeciwstawnych osobowości. Szlag mnie trafiał, że nie mogłem dokopać się do żadnych wskazówek, które pomogłyby mi zgrać to wszystko w jedną całość.

Stałem więc, gapiąc się na morze, którego tafla aż do linii horyzontu była dziś spokojna i nieporuszona. Około dwustu metrów od brzegu unosiła się na wodzie samotna łódka, w której dwie osoby łowiły ryby. Z westchnieniem skierowałem się powoli w stronę domu, z którego wyszedłem.

Tymczasem po schodach zbiegała już Maggie, chowając po drodze komórkę do kieszeni bluzy mundurowej.

- No, to na razie, Mac! - zawołała do mnie. - Dzwonił właśnie Doc Lambert, że ktoś rąbnął starego Charliego Ducka w głowę. Dobrze, że Charlie mieszka po sąsiedzku z Docem i zdołał przyczołgać się pod jego drzwi, zanim stracił przytomność, ale Doc twierdzi, że nie wygląda to dobrze. Zaraz tam jadę.

- Aha, to ten starszy facet, którego wczoraj spotkaliśmy na lunchu „Pod Królem Edwardem”! - przypomniałem sobie. - Chciał, zdaje się, ze mną porozmawiać. Kto mógł go tak załatwić? Kurczę, Maggie, to wszystko jest jakieś popieprzone!

- Zgadzasz się z tobą, ale muszę już jechać. Cześć, zobaczymy się później.

Miałem nadzieję, że dziadek wyjdzie z tego obronną ręką, ale wiedziałem przecież, że z rana nikt głowy nie ma żartów. Byłem ciekaw, co miał mi do powiedzenia, a jeszcze bardziej - kto go pobił.

6

W delikatesach „U Grace” przy Piątej Alei kupiłem dwie kanapki i przywiozłem je na Liverpool Street. Wywabiałem Paula z laboratorium i o wpół do pierwszej zasiedliśmy przy jadalnym stole. Paul postawił przed nami po jednej puszcze schłodzonego piwa Coors.

- Prawie nic dziś nie zrobiłem - zwierzył mi się, gdy tylko usiadł za stołem. - Nie mam głowy do rozwiązywania nawet najprostszych zagadnień.

Odwinął kanapkę z folii i zdziwił się:

- O, niedopieczona wołowina! Skąd wiedziałeś, że to lubię najbardziej?

- Słyszałem już dosyć dawno temu od Jilly, że jadasz rostbef wyłącznie niedopieczony i z majonezem. Pani z delikatesów też wiedziała dokładnie, jakie to mają być kanapki.

Twarz Paula od razu znieruchomiała.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Jilly nie ma teraz wśród nas. Wiecznie powtarzała mi, że jestem głupi, bo zapomniałem zrobić to, o co mnie prosiła, albo żebym jej nie przeszkadzał, bo pracuje, a w ogóle, kto powiedział, że moja praca jest ważniejsza niż jej? W jednej chwili potrafiła na mnie krzyżeć, a już w następnej śmiała się i dla żartów gryzła mnie w ucho... Słuchaj, Mac, ja już nie mogę tego znieść!

- Paul, a kto to jest Laura? - Palnąłem to bez uprzedzenia. Myślałem, że dostanie zawału. Drgnął tak gwałtownie, że oblał sobie piwem grzbiet dłoni i nadgarstek. Nawet nie zaklął, w ogóle nie zareagował, tylko biernie przyglądał się, jak złocisty płyn ścieka z ręki na lśniący, mahoniowy blat stołu.

Podąłem mu papierową serwetkę, a kiedy się wytarł - ponowiłem pytanie:

- Opowiedz mi coś więcej o tej Laurze. Kim ona jest? Odgryzł kęs kanapki i przeżuwał go powoli, nie patrząc na mnie. W końcu przełknął, popił piwem i burknął:

- Nie znam żadnej Laury! Paul Bartlett miał trzydzieści sześć lat, był wysoki i chudy jak słup telegraficzny i nawet w domu ubierał się w markowe ciuchy. Dziś miał na sobie ciemnozieloną koszulkę od Ralpha Laurena, spodnie koloru khaki i jasnobrązowe włoskie mokasyny ozdobione frędzelkami.

Jilly uważała go za geniusza. Może to i prawda, ale dla mnie w tej chwili był przede wszystkim

parszywym kłamcą. Postanowiłem, że nie pozwolę mu się wykrecić sianem.

- Nie udawaj, bo wiesz doskonale, o jaką Laurę chodzi. Opowiedz mi o niej, bo to ważne.

- Do czego ci raptem potrzebna Laura? Skąd w ogóle znasz jej imię?

- Słyszałem je w ustach Jilly - zbyłem go krótko. Nie miałem zamiaru mu się zwierzać, że kiedy obudziłem się nagle przy szpitalnym łóżu Jilly, ni stąd ni zowąd, przyszła mi do głowy jakaś Laura. Rozsiadłem się tylko wygodnie w fotelu i rzuciłem luźno: - Jilly kiedyś, tak sobie, wymieniła to imię. Nie powiedziała o niej nic więcej.

Chyba ulżyło mu, gdy to usłyszał, a ja się zorientowałem, że spieprzyłem sprawę jak ostatni idiota. Po co uczyli mnie w tym FBI sztuki kłamstwa i bluffu, jeżeli mogłem odkryć się przed Paulem, że nie wiem o Laurze niczego oprócz jej imienia? Ciekawe tylko, dlaczego Pul kłamał. W tym momencie zrozumiałem także, co miała na myśli Jilly. Laura zdradziła ją, ale z jej mężem, Paulem!

Paul odgryzł następny kawałek kanapki, wyciskając z niej nadmiar majonezu, który spłynął na serwetkę. Także i ten kęs żuł powoli, wyraźnie grając na zwłokę. To stary chwyt - chciał zyskać na czasie, żeby się namyślić lub pozwolić mi pierwszemu zadawać pytania. Po dłuższej chwili ciszy wydusił w końcu:

- To po prostu jakaś kobieta z Salem, całkowicie bez znaczenia. Nie jestem nawet pewien, czy Jilly mówiła ci właśnie o niej, bo chyba w życiu jej nie widziała ani o niej nie słyszała. Nie mam pojęcia, do czego raptem było jej potrzebne to imię.

Znów upił piwa, ale tym razem ręka mu nie zadrżała.

- A ty, jak ją poznałeś? Jak brzmi jej nazwisko? - indagowałem dalej.

- Masz jeszcze jakieś pytania na temat osoby, o której Jilly mimochodem wspomniała? Powiedz od razu, do czego zmierzasz.

- Jilly wyraziła się w ten sposób: „Laura mnie zdradziła”. Jak myślisz, co to miało oznaczać?

Paul wyglądał na oszołomionego. Potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować jej zawartość.

- Dobra, niech będzie - mruknął w końcu. - Znam taką jedną Laurę, ale nie widziałem jej chyba od marca. Zerwałem z nią, bo wprawdzie straciłem dla niej głowę, ale po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że jednak kocham Jilly i nie chcę jej stracić.

- A przedtem Laura była twoją kochanką?

- Trudno ci w to uwierzyć, Mac? Myślisz, że tylko taki superman jak ty może mieć powodzenie u bab? A tu tymczasem stary nudziarz Paul przypadkiem wpadł w oko twojej siostrze!

Tylko przez rozum wmusiłem w siebie kolejny kęs kanapki z tuńczykiem. Teraz już miałem pewność, że to Laura z Paulem do spółki oszukali Jilly. Najchętniej przeskoczyłbym na drugą stronę stołu i rozwalilibym łeb temu zarozumialcowi. Zamiast tego, zacząłem metodycznie żuć to, co miałem w ustach, tak jak on poprzednio, aby odzyskać panowanie nad sobą. Po chwili uspokoiłem się na tyle, aby ton mojego głosu nie zdradzał złości.

- Chciałbym, Paul, aby wszystko było zupełnie jasne. Trudno mi było uwierzyć, że mogłeś mieć kochankę, gdyż jesteś żonaty i, o ile wiem, szczęśliwy w małżeństwie. No, a szczęśliwi małżonkowie na ogół nie zdradzają żon.

- Kurczę, przepraszam cię, stary! - Paul w zakłopotaniu przeczesał czuprynę palcami. - Nie chciałem tego powiedzieć, nie wiem, co mnie napadło. Po prostu jestem już tak wnerwiony, że nie panuję nad sobą.

- Dobrze, więc podasz mi nazwisko Laury?

- Scott. Laura Scott. Pracuje jako kierowniczka działu naukowego w Bibliotece Publicznej w

Salem. Tam też ją poznałem.

- A co ty robiłeś w Bibliotece Publicznej w Salem? Paul wzruszył ramionami.

- Mają tam bogate zbiory prac naukowych, a ja od czasu do czasu potrzebuję materiałów źródłowych do moich publikacji.

- A jak Jilly wpadła na to, że romansujesz z Laurą?

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie dowiedziała się tego ode mnie. Zresztą zna Laurę i przyjaźni się z nią.

- Czyżby Jilly też korzystała z biblioteki w Salem?

- Tak, i to nawet chętnie, ale nie pytaj mnie, do czego to jej było potrzebne. Jestem pewien, że Laura sama jej się tym nie pochwaliła, bo była za bardzo nieśmiała. Stanowiła kompletne przeciwieństwo Jilly. Twoja siostra, tak samo jak ty, Gwen i Kevin, jest piękna, zdolna i otwarta na ludzi. Zawsze tak pewna siebie, że nie chodzi zwyczajnie, tylko kroczy. Natomiast Laura jest tak zakompleksiona, że najchętniej schowałaby się w mysia dziurę.

- I te jej kompleksy tak cię rajcowały? Paul rzucił okiem na swą niedojedzoną kanapkę.

- Znasz takie stare przysłowie, że nawet befsztyk jedzony codziennie może się przejeść? Może po prostu potrzebowałem jakiejś odmiany?

- Czy ta Laura Scott dalej mieszka w Salem?

- Nie wiem, bo kiedy jej powiedziałem, że między nami wszystko skończone, ciężko to przeżyła. Mogła zostać w mieście, albo wyjechać, ale czy to ma jakieś znaczenie? Przecież powiedziałem ci, że Jilly nie powinna była nigdy się dowiedzieć o jej istnieniu. Może przez sen wypowiedziałem jej imię, a Jilly to podsłuchiwała? Zresztą, to nieważne, bo to już dawno skończone.

Nie dałem po sobie poznać, jak ważne było dla mnie to, co usłyszałem. Jilly musiała przecież być tak dalece owładnięta myślą o nielojalności Laury, że aż mnie się udzieliła ta sugestia. Czyżby to Laura opętała ją do tego stopnia, że wbrew instynktowi samozachowawczemu wpakowała się prosto do morza?

Godzinę później pędziłem już szosą prowadzącą do Salem.

Salem, stolica stanu Oregon, leży w samym sercu doliny rzeki Willamette. Tylko sześćdziesiąt osiem kilometrów - czyli „krótki skok”, jak mówią Indianie - dzieli to miasto od Portland.

Przypomniałem sobie, jak kiedyś Jilly, przy trzecim kieliszku białego wina, zaczęła mi tłumaczyć, że Indianie nazywali je Chemeketa, czyli „Miejsce wypoczynku”, a biali przemianowali na Salem, co było przeróbką hebrajskiego shalom, czyli pokój.

U granic miasta zjechałem z szosy na mały parking i wybrałem na komórce numer 411. Z biura numerów odpowiedziano mi, że w książce telefonicznej miasta Salem nie figuruje osoba nazwiskiem Laura Scott. Poprosiłem więc o numer centrali Miejskiej Biblioteki Publicznej. Po dziesięciu minutach zlokalizowałem jej monumentalny budynek między Liberty Street a Commercial. Niedaleko stamtąd, trochę bardziej na południe, znajdował się Uniwersytet Willamette, a od ratusza oddzielał bibliotekę tylko przestronny dziedziniec. Jak na mój gust, było stąd stanowczo zbyt blisko do biurokratów! Wewnątrz budynku zapominało się o jego zewnętrznej brzydocie i topornych kształtach - sale były przestronne, dobrze oświetlone, podłogi pokryte turkusowymi wykładzinami, a półki pomalowane na kolor pomarańczowy. Osobiście nie zachwyciłem się tym kolorem, ale może rzeczywiście pomagało to studentom skupiać uwagę? Podszedłem do lady, przy której wypożyczano książki, i zapytałem o panią Scott.

- To nasza kierowniczką działu naukowego! - objaśnił pracownik, którego wygląd i akcent

wskazywały na pochodzenie z Bliskiego Wschodu. Skierował mnie w prawo pomiędzy rzędami półek, więc poszedłem w kierunku wyznaczonym przez jego palec.

Przez chwilę zatrzymałem się przy ekspozycji dotyczącej sztuki renesansowej i w tej samej chwili zwróciłem uwagę na kobietę rozmawiającą akurat z mocno pryszczatym uczniem szkoły średniej. Mężczyznę w moim wieku najbardziej w jego wyglądzie śmieszyły spodnie prawie spadające z siedzenia, z krokiem na wysokości kolan.

Kiedy chłopak przeszedł do działu czasopism, miałem okazję lepiej przyjrzeć się Laurze Scott. Paul tak podkreślał, jaka to z niej nieśmiała, szara myszka, że moją pierwszą myślą było: „Czy ten idiota jest ślepy?” Jak mógł opisać ją jako niepozorną, niegodną uwagi osobkę, jeśli wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby poczuć przyływ pożądania tak silny, że musiałem odwrócić się w stronę działu dziewiętnastowiecznej historii Anglii. Dziewczyna była wysoka i szczupła, o tak świetnej figurze, że nie szpecił jej nawet nijaki, oliwkowozielony kostium o zbyt długiej spódnicy. Ta kobieta nawet w worku wyglądałaby seksownie! Włosy mieniące się różnymi odcieniami brązu upinała w ścisły kok przytrzymywany mnóstwem spinek, ale i tak widać było, że są długie i gęste. Najchętniej wyciągnąłbym jej te wszystkie spinki i wyrzucił do śmieci! Jasne, że Paul mógł stracić dla niej głowę od pierwszego wejrzenia, ale dlaczego starał się zdyskredytować ją w moich oczach? Może myślał, że nie zwrócę na nią uwagi?

Oczywiście w godzinach pracy Laura zachowywała się powściągliwie, szczególnie gdy fryzura dodawała jej urzędowej powagi, ale i tak wydawała się naładowana elektrycznością. Musiałem znów zwrócić się w stronę działu historii Anglii, aby ukryć podniecenie. I miałem pozwolić, żeby coś takiego przeszło mi koło nosa? Może celowo udawała szarą myszkę, aby trzymać facetów na dystans, ale z Paulem to nie wypaliło. Ze mną też nie.

Dla pamięci powtórzyłem sobie w myśli trzy razy: „To ona do spółki z Paulem oszukała Jilly”. Na wszelki wypadek dodałem jeszcze czwarty raz, aby mieć pewność, że dam sobie radę.

Oczekałem, aż chłopak w opadających dzinsach wziął sobie jakieś pismo i znikł z nim za pomarańczową półką. Dopiero wtedy powoli podszedłem do Laury i zagaiłem:

- Och, ta dzisiejsza młodzież! Czasem chciałoby się spuścić takiemu portki i wlepić porządnego klapsa. Temu gówniarzowi, który z panią rozmawiał, gacie same by spadły, gdyby tylko zakaszał.

Jej twarz, o cerze gładkiej jak u młodej dziewczyny, nie zmieniła wyrazu przez mniej więcej trzy sekundy. Przez ten czas patrzyła na mnie jak na powietrze, jakby nie dosłyszała, co powiedziałem. Dopiero potem obejrzała się w ślad za wzmiankowanym młodzieńcem, który akurat pochylił się, aby zdjąć inne czasopismo z dolnej półki. Rzeczywiście krok jego spodni wypadł na wysokości kolan. Laura odwróciła się do mnie, a po upływie następnych trzech sekund odchyliła głowę do tyłu i ku mojemu zaskoczeniu zaniósł się żywiołowym śmiechem. W ciszy bibliotecznych sal ten odgłos zabrzmiał jak werbel. Nawet Arab z wypożyczalni spojrzał w naszym kierunku z rozdziawioną ze zdziwienia gębą.

To nie był taki zwykły, nieokreślony śmiech, ale wybuch perlistej radości dobywający się z głębi piersi. Uśmiechnąłem się z aprobatą i wyciągnąłem do niej rękę.

- Dzień dobry pani, nazywam się Ford MacDougal. Mieszkam tu od niedawna, dopiero zacząłem wykładać na Uniwersytecie Willamette nauki polityczne. Specjalizuję się zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych dziewiętnastowiecznej Europy. Chciałem sprawdzić, z jakich materiałów źródłowych studenci mogą korzystać poza terenem uczelni. A swoją drogą, podobają mi się te pomarańczowe półki na tle turkusowych dywanów.

- Dzień dobry, panie... czy panie doktorze?

- No, niby mam ten doktorat, ale poza uczelnią „doktor MacDougal” brzmi jakoś sztucznie. Nie wiem, jak pani, ale mnie doktor zawsze się kojarzy z takim, co to zagląda pacjentom do tyłka, dlatego nie lubię, kiedy ktoś tak się do mnie zwraca. Wolę już rozmawiać o wojnach łotewskich gangów narkotykowych.

Znowu ją замуrowało na jakieś trzy sekundy, po czym eksplodowała kaskadą śmiechu. Szybko jednak zakryła ręką usta i próbowała się opanować.

- Och, przepraszam! - wy dyszała, z wysiłkiem tłumiąc śmiech. - Normalnie zachowuję śmiertelną powagę i nigdy się tak nie śmieję.

Odchrząknęła, wyrównała klapy żakietu i oświadczyła uroczystym tonem:

- No więc dobrze, panie MacDougal, nazywam się Laura Scott i pracuję tu jako kierownik działu naukowego.

- Pięknie się pani śmieje! - wyznałem, kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie. Uchwyt jej ręki był silny, a dłoń wąska, z długimi, wypielęgnowanymi palcami.

- Od dawna pani tu pracuje?

- Niecałe pół roku. Pochodzę z Nowego Jorku, ale przyjechałam tu, żeby studiować bibliotekoznawstwo w Willamette. To moja pierwsza praca na Zachodnim Wybrzeżu, tyle że kiepsko płatna. Ledwo starczy na karmę dla mojego ukochanego kota Grubstera i gwarka Nolana.

Wsluchiwałem się uważnie w każde jej słowo. Dobrze, że lubi zwierzątka i trzyma je w domu, ale przede wszystkim nie mogłem oderwać wzroku od jej ust. Miała pełne, zmysłowe wargi, na których pięknie prezentowała się czerwona szminka. Odchrząknąłem, aby coś powiedzieć, ale plotłem same głupstwa jak zakochany nastolatek.

- Tak, ma pani rację, z tymi pieniędzmi są wieczne problemy. Dobrze, że oprócz siebie nie mam na utrzymaniu żadnych ptaków i kotów, bo sam wystarczająco dużo jem. Na uniwersytecie też mamy ciężkie warunki. Wprawdzie jako profesor mam do dyspozycji gabinet z ładnym widokiem, ale ogrzewanie jest tam tak staroświeckie, że słychać, jak para świszczy w rurach.

Tym razem Laura kilkakrotnie zamrugała oczami, ale nie wybuchła spontanicznym śmiechem, tylko dyskretnie zachichotała. Dobre i to. W każdym razie wiedziałem, że potrafię ją rozśmieszyć, a to oznaczało, że wydałem się jej zajmujący.

Miałem już przygotowany scenariusz roli, jaką chciałem odegrać, żeby omotać ją do tego stopnia, by wyznała mi całą prawdę. Jednak na razie wolałbym raczej porwać ją w ramiona i polecieć z nią na Tahiti. Z tego powodu byłem wściekły na siebie.

- Czy ma pani jakieś konkretne plany na dzisiejszy wieczór? - zapytałem, a kiedy nie uzyskałem odpowiedzi, dodałem: - Jestem tu od niedawna i nikt mnie nie zna, więc rozumiem, że boi się pani, bym nie okazał się kimś w rodzaju Kuby Rozpruwacza. Dla pewności chodźmy więc gdzieś blisko. Piętro niżej widziałem tu taką kawiarenkę „Amadeusz”...

Spojrzała na duży, „służbowy” zegar, umiejscowiony akurat nad dziełami naukowymi dotyczącymi okresu średniowiecza. Potem uśmiechnęła się do mnie i potakująco skinęła głową.

- Dajmy sobie spokój z „Amadeuszem”, wystarczy, że codziennie wpadam tam coś zjeść. Na tej samej ulicy znam taką fajną knajpkę...

Najpierw pokazała mi bibliotekę, a po godzinie poszliśmy spacerkiem wzdłuż Liberty Street do tajlandzkiej restauracji „Mai Thai”. Po bliższym poznaniu lokal okazał się doskonały, choć na pierwszy rzut oka wyglądał niezbyt zachęcająco z powodu słabego oświetlenia i pokładów kurzu.

Dlatego też obawiałem się zamówić tam danie mięsne.

Jeszcze zanim wyszliśmy z biblioteki, Laura rozpuściła włosy, więc korciło mnie, by zanurzyć w nie twarz i dłonie. Oparła się o mnie ramieniem, na które spłynęła fala długich włosów. W swoim zachowaniu nie przejawiała żadnych kompleksów ani zahamowań, przeciwnie - tryskała nieskrępowanym humorem, dzięki czemu poczułem się jak najatrakcyjniejszy facet na świecie. Wyznała mi, że w marcu skończyła dwadzieścia osiem lat. Mieszkała sama w osiedlu szeregowych domków nad rzeką, grywała w tenisa i squasha, pasjonowała się także jazdą konna. Jeździła w klubie położonym niedaleko miasta. Cieszyłem się, że w stosunku do mnie zachowywała się tak swobodnie, i pragnąłem, aby tak zostało.

Sam opowiedziałem jej przygotowaną zawczasu bajeczkę o życiu na uczelni, osnutą na wspomnieniach moich krewnych i znajomych z okresu studiów. Dojadała właśnie tajlandzką potrawkę z kurczęcia „satay”, gdy doszedłem do wniosku, że żarty się skończyły. Przyjechałem do tego miasta nie po to, aby nawiązać romans z tą niezwykłą kobietą, ale aby zrealizować określony cel. Rozsiadłem się więc wygodnie i bacznie obserwowałem jej reakcję, kiedy wypowiedziałem następujące zdanie:

- Mam krewnych w Edgerton, to jest na wybrzeżu, mniej więcej godzinę drogi stąd.

Niby nie przerwała konsumpcji, ale od razu zauważyłem zmianę w jej spojrzeniu. Dotychczas łagodne i rozmarzone, stało się nagle ostre i przenikliwe. Nie skomentowała natomiast usłyszanego zdania, więc kontynuowałem ten temat.

- Mój kuzyn, Rob Morrison, służy w tamtejszej policji. Mieszka nad samym klifem, człowiek czuje się w jego domu jak w łodzi, szczególnie kiedy wyrzy się przez okno. Słyszała pani kiedyś o tej miejscowości albo zna pani kogoś stamtąd?

Byłem ciekaw, czy skłamię.

- Tak, słyszałam i znam - odpowiedziała. O mało nie spadłem z krzesła, bo nie przypuszczałem, że tak łatwo zwierzy się zupełnie obcemu człowiekowi. A może właśnie dlatego, że byłem w tych stronach zupełnie obcy?

- A mojego kuzyna pani zna? - drążyłem dalej.

- Roba Morrisona? Nie przypuszczam, abyśmy się kiedykolwiek spotkali.

- Chyba rzeczywiście nie, bo zapamiętałaby go pani. To prawdziwy atleta, triathlonista.

Laura ostentacyjnie westchnęła i teatralnym gestem przewróciła oczami. I kto tu śmiał nazywać ją niepozorną czy zahamowaną? Ta dziewczyna wprost promieniowała blaskiem.

- Przykro mi, ale nie miałam okazji go poznać. Znam natomiast Bartlettów, Jilly i Paula.

- Ależ ten świat jest mały! - Miałem nadzieję, że głos mi nie zadrżał. - Tak się składa, że też znam ich bardzo dobrze.

Przełknąłem łyżkę zupy kokosowej i ciągnąłem:

- Jest pani trochę młodsza niż Jilly, więc nie mogłyście chodzić razem do szkoły. Ciekawe, jak się poznałyście.

- Jakieś pięć miesięcy temu Jilly przyszła do naszej biblioteki. Wdałam się z nią w rozmowę, z której wynikało, że poszukiwała artykułów na temat niepłodności. Odpowiedziałam jej, aby spróbowała coś znaleźć w Internecie i zaoferowałam się, że pokażę, jak ma się obchodzić z naszym komputerem, ale przyznała, że to przerasta jej możliwości. Od tamtej pory widywałyśmy się raz lub dwa razy w tygodniu, czasem tu, a czasem w Edgerton. Trzy miesiące temu poznałam Paula.

Machinalnie bawiać się widelcem, rozmyślałem. Coś mi się tu nie zgadzało. Obsługa komputera



miałaby przekraczać możliwości Jilly? Ciekawe, w jakim celu tak okłamała Laurę, bo przecież zawsze miała smykałkę do komputerów. I o co chodziło z tą niepłodnością? Jednak zapytałem tylko:

- Przyjaźniłyście się z Jilly?

- Tak.

- Ale nie była pani kochanką Paula Bartletta? Laura przechyliła głowę na bok, a przy tym ruchu jej piękne włosy spłynęły prawie do talerza.

- Co to ma znaczyć, panie MacDougal? Czy to Jilly pana tutaj przysłała? O co właściwie panu chodzi?

- Przepraszam, że wprowadziłem panią w błąd, ale nie jestem profesorem Uniwersytetu Willamette i nie mam pojęcia o lotewskich gangach narkotykowych. Przyjechałem tu specjalnie, aby porozmawiać z panią. Prawdą jest to, że nazywam się Ford MacDougal i jestem bratem Jilly, która leży w tej chwili w szpitalu Tallshon w stanie śpiączki.

Upuściła łyżkę do talerza z zupą i zbladła jak ściana. Obawiałem się, że zemdleje, i już wstawałem z miejsca, kiedy zorientowałem się, że nic jej nie jest, a tylko ja narobiłem bigosu.

- Przykro mi, że panią oszukałem, ale gdyby była taka potrzeba, zrobiłbym to jeszcze raz, bez względu na to, co czuję do pani. - Mój szef posikałby się ze śmiechu, gdyby usłyszał w moich ustach takie teksty. Tymczasem Laura już odzyskała kontrolę nad sytuacją.

- Jilly w stanie śpiączki? To niemożliwe!

- Dlaczego?

- Przecież jeszcze we wtorek wieczorem widziałam ją w Edgerton!

7

Ostatni raz poczułem się tak głupio w szkole średniej, kiedy pani od angielskiego uświadomiła mi, że Wichrowe wzgórza to nie jest nazwa dzielnicy uciech w Londynie!

Patrzyłem osłupiałym wzrokiem na Laurę Scott i nie od razu wykrztusiłem:

- Była pani we wtorek wieczorem w towarzystwie Jilly i Paula?

- Tak, na jakiejś imprezie, tylko musiałam wyjść przed końcem, więc nie wiem, co się potem stało.

- Kto jeszcze był na tej imprezie?

- Tylko Paul, Jilly i ja. Podobno miał przyjść ktoś jeszcze, ale nie doczekałam tego. Musiałam wracać do domu, żeby podać Grubsterowi, to znaczy mojemu kotu, lekarstwo, ale to mało ważne.

Proszę powiedzieć, co się stało z Jilly. Wyjdzie z tego?

- Na razie jest w stanie śpiączki i nie wiadomo, jakie ma szanse na powrót do zdrowia.

- Ale co to właściwie było?

- Nad brzegiem morza skierowała samochód prosto na skraj klifu i wylądowała sześć metrów pod wodą. Dobrze, że policjant ją wyciągnął, ale jakiś czas temu wspomniała mi, że pani ją zdradziła. Co mogła mieć na myśli?

Laura potrząsnęła głową, przez co jej rozpuszczone włosy prawie zamoczyły się w talerzu z potrawką.

- To dziwne, co powiedziała - myślała głośno. - I dlatego pan przyjechał tu do mnie? Żeby przekonać się, w jaki sposób mogłam zdradzić pańską siostrę? Muszę przyznać, że nie wiem, o czym pan mówi.

Mówiła bardzo cicho, nie odrywając oczu od talerza.

- To zupełny absurd. Przecież ona była doskonałym kierowcą, a kiedy ją ostatni raz widziałam,

śmiała się i żartowała. Może inny samochód wjechał na jej porsche i zepchnął go z klifu?

Jednak nawet ja, mimo że jestem policjantem, nie brałem pod uwagę ewentualności, że ktoś mógł zepchnąć Jilly z klifu. Ciekawe więc, dlaczego Laura zakładała taką możliwość?

- Raczej nie - odpowiedziałem. - Stwierdzono, że najpierw jechała z dużą prędkością w kierunku północnym, zaraz przed skrzyżowaniem z szosą 101. Wygląda to na usiłowanie samobójstwa.

- Jak więc udało się jej ująć z tego z życiem?

- Tak jak mówiłem, policjant widział całe zdarzenie i zdążył wyciągnąć ją z wody, zanim utonęła.

Wszyscy są zgodni, że to był prawdziwy cud.

Laura Scott podniosła się ze swego miejsca i ogarnęła spojrzeniem półmiski z niezjedzonymi jeszcze tajlandzkimi potrawami. Potrząsnęła tylko głową i sięgnęła do torebki. Z opasłego portfela wyciągnęła banknot pięćdziesięciodolarowy i położyła go za talerzem do zupy. Nie patrząc mi w oczy, zaczęła:

- Zawsze pędziła tym wozem na złamanie karku, pokrzykując i trąbiąc bez opamiętania. Sama mi się chwaliła, że lubi ryzyko. Jazdę porsche z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę porównywała do lotu bez spadochronu. To niemożliwe, żeby chciała się zabić! Na pewno w końcu straciła kontrolę nad tą piekielną maszyną, i tyle. Muszę ją zobaczyć. Mówił pan, że ona leży w Tallshon?

- Tak. - Wstałem również i dotknąłem jej przedramienia, jakby chcąc ją na chwilę zatrzymać. - Ale zanim ruszysz się stąd choćby na krok, Lauro, powiedz mi prawdę: byłaś kochanką Paula?

Spojrzała na mnie jak na wariata.

- Ależ skąd, z całą pewnością z nim nie sypiałam. Przecież to śmieszne!

Nie zdejmowałem palców z jej przedramienia, bo chciałem choć w ten sposób utrzymać z nią łączność.

- Ciekawe, bo Paul mi powiedział, że żyłaś z nim aż do zeszłego miesiąca, kiedy to zerwał z tobą. Może Jilly to miała na myśli mówiąc, że ją zdradziłaś?

Odepchnęła moją rękę i przez chwilę myślałem, że da mi w mordę, ale się w porę opanowała.

- Nie spałam z Paulem - powtórzyła. - Jeśli tak ci powiedział, to kłamał, choć nie wiem, dlaczego. A o co chodziło Jilly, doprawdy nie wiem.

- Niby dlaczego Paul miałby kłamać?

- Sam go, do jasnej cholery, zapytaj! Ja teraz muszę zobaczyć Jilly.

- Zawiozę cię.

- Dziękuję, wystarczająco mi dokuczyłeś!

Nie mogłam uwierzyć, że obok Forda stoi Laura. Widziałam ją równie wyraźnie jak jego. W głowie mi się nie mieściło, że ta fałszywa dziwka ośmieliła się tu przyjść. Jednak widziałam ją, jak mówiła coś do Forda. Ciekawe, co?

Czułam ucisk w gardle i dreszcz strachu, chociaż z drugiej strony, nie czułam prawie nic. Wiedziałam, że nic mi nie zrobi, gdyż jestem poza jej zasięgiem. Zbliżała się jednak coraz bardziej i powtarzała coraz głośniejsze moje imię. Mimo wszystko jednak się jej bałam.

Chciałam krzyknąć, że ją zabiję, ale nie mogłam. Jak to możliwe, że znalazła się tu i wciąż wywierała na mnie paraliżujący wpływ? To nie miało prawa się wydarzyć, powinna była pozostać w mojej pamięci tylko przykrym wspomnieniem. Tymczasem wyciągnęła rękę, żeby mnie dotknąć, i ciągle mówiła coś do Forda. Nie mogłam już tego wytrzymać.

- Popatrz, otworzyła oczy! - zaalarmowała Forda.

- Ona ma oczy stale otwarte i o niczym to nie świadczy - przywołał ją do rzeczywistości. Kiedy jednak dotknęła mojego ramienia palcami zimnymi jak u trupa - krzyknęłam.

Obróciłem się na miejscu tak gwałtownie, że o mało nie upadłem. Serce biło mi jak oszalone. W mgnieniu oka znalazłem się przy boku Jilly, wołając przez ramię:

- Lauro, szybko, sprowadź tu pielęgniarki i lekarzy! Biegiem, rusz się, na miłość boską!

Porwałem Jilly w ramiona i przycisnąłem do piersi, ale szarpała się, rzucała głową na boki i jęczała, jakby ktoś zadawał jej niewysłowione męki. Szybko jednak osłabła i oparła się całym ciężarem na mnie. Wołałem już to, bo przynajmniej byłem pewien, że nie zrobi sobie krzywdy. Delikatnie ułożyłem ją na poduszce i pocałowałem w czubek nosa.

- Jilly, nie zamykaj oczu, patrz na mnie! - błagałem. - Nie zasypiaj, bo możesz już się nie obudzić. Słyszysz mnie, Jilly?

- Tak, Ford, słyszę cię - odpowiedziała zdartym, ledwo uchwytnym głosem.

Klepałem ją po policzku, gładziłem po włosach i czułem niewypowiedzianą ulgę, że jest żywa i cała.

- Dobrze, Jilly, teraz posłuchaj. Byłaś nieprzytomna przez cztery dni, ale już się wybudziłaś, więc teraz wszystko będzie dobrze. Trzymaj oczy otwarte, a teraz zamrugaj... O, tak, świetnie. Widzisz mnie wyraźnie?

- Tak, Ford, cieszę się, że tu jesteś. Oznaczało to, że jej mózg działał bez zarzutu, w co zresztą ani przez chwilę nie wątpiłem. Widać było, że wróciła do nas i chce zostać, bo nie odrywała ode mnie wzroku.

- Tylko ty jedna nazywasz mnie Fordem - przypomniałem i pocałowałem ją w policzek.

- Żebyś wiedział, że nigdy nie powiem na ciebie Mac. Tak mi się chce pić... - Szybko nalałem wody z karafki do małej szklaneczki i przytrzymałem ją, dopóki się nie napiła. Kiedy skończyła, wytarłem jej podbródek. Odchrząknęła ze dwa razy i zaczęła mówić: - Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam w tych drzwiach, nie wierzyłam własnym oczom. Tylko ty wyglądałeś na żywego człowieka, nie tak jak inni. To cudowne, że byłeś przy mnie. Czułam się tutaj taka samotna...

Zaskoczyła mnie, że nie tylko przez cały czas mnie widziała, ale słyszała i reagowała na mimikę mojej twarzy. W tej chwili uwierzyłbym nawet, gdyby mi opisała, co jadłem na śniadanie i jak to smakowało. Zdobyłem się tylko na nieśmiałe pytanie:

- Co miałaś na myśli mówiąc, że tylko ja wyglądałem jak żywy, a inni nie?

- No, bo widzisz, wszyscy inni przypominali jakieś bezcielesne zjawy, a ciebie widziałam takiego, jak tu stoisz. Tylko ciebie jednego, Ford. Dotykałeś mnie i czułam ciepło twojej ręki. Dziękuję ci za to!

Zdziwiłbym się, gdybym nie pamiętał swoich przeżyć po wybuchu bomby w Tunezji. Całkiem możliwe, że między mną a moją siostrą istniała więź psychiczna, choć nie wiem, co powiedzieliby na to psychologowie z FBI.

Na korytarzu dały się słyszeć krzyki i tupot biegnących. Dwie pielęgniarki i lekarz próbowali równocześnie przecisnąć się przez drzwi pokoju Jilly, aż w nich utknęli. Przypomniało mi to cyrkowy numer z trzema kłownami.

Od tej pory wszystko zaczęło się błyskawicznie zmieniać.

Doktor Sam Coates był łysy i nosił cienkie, czarne wąsiki w stylu lat trzydziestych.

- Oczywiście przeprowadzimy jeszcze wiele różnych badań - zapowiedział. - Jednak już na podstawie tego, co widać, śmiało mogę stwierdzić, że wypadek nie pozostawił u pacjentki urazów

psychicznych ani fizycznych.

Mówił to chłodnym i oficjalnym tonem, ale z trudnością maskował zadowolenie. Pielęgniarki manifestowały to jeszcze bardziej ostentacyjnie, jakby lada chwila miały odśpiewać psalm dziękczynny. Doktor Coates, pomagając sobie gestami, tłumaczył dalej:

- Nie da się ukryć, panie MacDougal, że byliśmy świadkami prawdziwego cudu. Miałem już przypadek takiego całkowitego powrotu do zdrowia po przedawkowaniu narkotyków, ale nie po urazie głowy. Prawdę mówiąc, miałem obawy, czy ona w ogóle się obudzi.

Wyciągnął rękę, którą z wdzięcznością uściśnąłem. Tymczasem w pokoju przybyło nowych gości, bo przed niespełną piętnastoma minutami dołączyli Maggie i Paul. Doktor Coates pogratulował Paulowi, uprzejmie skinął głową Laurze, a do Maggie powiedział:

- Wie pani co, pani szeryf? Proponowałbym, żeby państwo teraz poszli do domu. Pani Bartlett będzie już spać spokojnie do rana.

- A co będzie, jeśli się nie obudzi? - zapytałem ze strachem, bo widziałem, że Jilly zamykają się już oczy, a głowa opada na bok.

- Niech mi pan zaufa, nie ma powodów do obaw - zapewnił Coates. - Taka śpiączka jest jak koszmar senny, znika, kiedy człowiek się obudzi. Mogą pozostać przykre wspomnienia, ale ani lęki nocne, ani śpiączka na ogół nie wracają. W każdym razie bardzo rzadko.

- Myli się pan, panie doktorze. Koszmarne sny czasem powracają - zaproponowała Maggie. Doktor tylko wzruszył ramionami.

- Przepraszam, widocznie użyłem niewłaściwego porównania.

- W każdym razie kamień spadł mi z serca - podsumowała Maggie, ściskając rękę lekarza. Potem zwróciła się do Laury: - Może pani zostałaby u mnie na noc? Zrobiło się już bardzo późno!

- Dziękuję, pani szeryf, ale nie skorzystam. Mój kot musi regularnie przyjmować lekarstwo, a ja nie mogę opuścić jutro pracy.

Zrobiła krok w kierunku Paula, jakby chciała dać mu w mordę. Skończyło się jednak na tym, że tylko spiorunowała go wzrokiem i wyszła z pokoju. Natychmiast ruszyłem za nią, rzucając przez ramię doktorowi: „Zaraz wracam!”

Poczekalem, aż Paul i Maggie znajdą się poza zasięgiem głosu, i złapałem Laurę za rękę.

- Powiedziałaś, że nie spałaś z Paulem - przypomniałem, podprowadzając ją pod okno. - Albo jesteś świetną aktorką i umiesz kłamać bez zajknięcia, albo powiedziałaś prawdę.

- Owszem, czasem bywam niezłą aktorką, a kiedy trzeba, potrafię skłamać, ale nie tym razem, Mac. Naprawdę z nim nie spałam. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym pójść z tym człowiekiem do łóżka.

Wziąłem jej słowa za dobrą monetę, ale zrodziły one następne pytania.

- Spytaj o to Paula - poradziła, więc zmusiłem się, aby odejść w przeciwną stronę. Zatrzymałem się jednak przy oknie, skąd widać było niebo pokryte ołowianymi chmurami i kępę świerków pośrodku parkingu. Na dworze zapadła już zupełna ciemność, tylko wiatr przybierał na sile i szeleścił gałęziami świerków.

Usłyszałem zbliżające się do mnie kroki Laury, poczułem wręcz fizycznie jej bliskość. Zastanawiałem się, jak by zareagowała, gdybym ją w tej chwili objął.

- Dobranoc, Mac. Cieszę się, że Jilly odzyskała przytomność. - Na pożegnanie poklepała mnie po policzku i ruszyła do wyjścia, torując sobie drogę wśród pracowników szpitala schodzących z dyżuru. Nie wytrzymałem i poszedłem za nią. Wyciągałem już rękę, żeby ją zatrzymać, gdy

niespodziewanie odwróciła się do mnie. - Wiem już od pani szeryf, że jesteś wielkim detektywem z FBI i przyjechałeś tu, by wyświecić, co przydarzyło się Jilly tamtej nocy. Kiedy już będziesz coś wiedział, daj mi znać, dobrze? I uwierz, że nic mnie nie łączyło z Paulem. Ze wszystkich facetów, których poznałam w ciągu ostatniego roku, jedynym, z którym ewentualnie poszłabym do łóżka, jesteś ty. Na razie lecę, bo Grubster czeka na swoją pigułkę, a Nolan pewnie powyrywał pręty klatki!

- Chyba już od dawna bierze te pigułki? - zawołałem za nią.

- Czyżbyś był także weterynarzem? Daj spokój, Mac, przyjadę tu jutro odwiedzić Jilly.

- A właściwie, czemu to Paul nie poinformował cię, co się stało Jilly? - zawołałem za nią w ostatniej chwili.

- Sam go o to spytaj! - odkrzyknęła, nawet nie oglądając się za siebie. - W końcu to twój szwagier, powinieneś lepiej go znać!

Nie zatrzymałem jej, bo co jeszcze mogłem zrobić? Ruszyła bez słowa do samochodu, patrząc pod nogi. Postąłem trochę na parking, patrząc w ślad za nią, dopóki jej toyota nie zniknęła w mroku.

W pokoju zastałem Paula przy łóżku Jilly. Trzymał ją za rękę, a na mój widok zaczął narzekać:

- Nie powinni byli pozwolić jej znowu zasnąć! Wygląda jak w śpiączce! Mam gdzieś, co ten doktor pieprzył. Oni wszyscy gówno wiedzą. Nie mogłeś czegoś z tym zrobić, Mac?

- Paul, cholernie bolała ją głowa. Nie spodziewali się, że tak prędko znowu zaśnie, ale doktor Coates mówił, że nic jej nie będzie. Jak znam zwyczaje panujące w szpitalach, to gdzieś około trzeciej nad ranem zbudzą ją zastrzykiem w dupę.

- Akurat ty o tym wiesz najlepiej! - burknął Paul. - Jak długo leżałeś w szpitalu w Bethesda? Dwa, trzy tygodnie?

- Mniej więcej o tyle za długo - burknąłem, chociaż pamiętałem, że mój pobyt w szpitalu trwał dokładnie osiemnaście dni i osiem godzin. - Nie chciałbym już do tego wracać. Grunt, że Jilly się obudziła. Teraz wszystko będzie dobrze.

Patrzył na mnie z taką nadzieją w oczach, że ścisnąłem go za ramię, aby mu dodać otuchy.

- Jilly jest znowu z nami i sama nam opowie, co się stało. Najgorsze mamy za sobą, Paul! - przekonywałem go, bo wyglądał, jakby się miał za chwilę rozplakać. Za nic w świecie nie zdobyłbym się, żeby akurat w tej chwili zażądać od niego wyjaśnień na temat Laury!

- Ty też wyglądasz na zmęczonego, Mac. Ten dzień był dla ciebie stanowczo za ciężki. Może dałbyś się przebadać tutejszym lekarzom? - zaproponował.

Podziękowałem uprzejmie i odesłałem go do domu, bo wyglądał, jakby już padał na pysk. Postanowiłem, że jutro spróbuję wyciągnąć z niego prawdę na temat Laury i tej rzekomej imprezy we wtorek wieczorem, z której Jilly urwała się po to, aby zjechać samochodem z klifu. Właściwie na razie nie potrzebowałem wiedzieć nic więcej. Kogo to obchodziło, co powiedział mi Paul, a co Laura? Najważniejsze, że Jilly będzie żyła. W końcu przyjechałem tu tylko dla niej.

Byłem zmęczony i oczy mnie piekły od niewyspania, ale wewnętrzny niepokój nie pozwalał zasnąć. Zacząłem więc włóczyć się po korytarzach szpitala, zaglądając do każdego pomieszczenia z wyjątkiem kostnicy. Nigdy nie lubiłem mieć do czynienia z nieboszczykami, a już zwłaszcza teraz.

Wróciłem do pokoju Jilly około pierwszej w nocy, ale nadal nie chciało mi się spać. Usiadłem przy stoliku pod oknem, wyjąłem notatnik i za świeżej pamięci zapisałem, czego się dotąd dowiedziałem, od kogo i jakie w związku z tym nasuwały mi się pytania.

Kiedy jednak odłożyłem długopis i jeszcze raz przeczytałem swoje notatki, wydały mi się zaczerpnięte z kiepskiego serialu. Na przykład: „Czy Jilly miała jakiś romans na boku?” albo „Kim

naprawdę jest Laura Scott?” Dopisałem więc dodatkowe, ostatnie pytanie: „Skoro Jilly odzyskała przytomność, to co ja tu, do cholery, jeszcze robię?”

Jilly obudziła się o drugiej, a ja do tego czasu zdążyłem już prawie całkiem zdrętwieć w niewygodnej pozycji na fotelu przyciągniętym z pokoju lekarskiego, czując ból w niecałkowicie zrosniętych żebrach. Trzymałem ją za rękę, kiedy usłyszałem, jak wymówiła moje imię:

- Ford? Głos miała wciąż słaby i schrypnięty. Jego brzmienie kojarzyło mi się z płataniną starych, zetlałych nici, które mogły pęknąć przy najlżejszym szarpnięciu. Sama chyba też zdawała sobie z tego sprawę, bo powtórzyła, starając się mówić jak najgłośniej:

- Ford? Obdarzyłem ją szerokim uśmiechem, choć nie byłem pewien, czy jest w stanie to dostrzec, gdyż w pokoju panował półmrok, rozjaśniony tylko mdłym światłem lampki w przeciwległym kącie. Jednak moje oczy zdążyły się przyzwyczaić do takiego oświetlenia. Ścisnąłem ją za rękę, pocałowałem w czoło i powiedziałem:

- Cześć, Jilly!

- Przez cały czas siedziałeś tu przy mnie?

- Tak, bo Paul już zasypiał na stojąco, więc odesłałem go do domu. Czy mam zawołać pielęgniarkę?

- Nie, bo muszę najpierw uwierzyć, że znowu żyję. Głowa przestała mnie boleć, jestem tylko trochę osłabiona.

Dałem jej wody i powiodłem palcami po gładkim policzku.

- Jilly, ja od początku byłem z tobą, siedziałem w samochodzie, kiedy zjechałaś z klifu i razem z tobą poszedłem na dno. Czuję taki sam wstrząs jak ty!

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na mnie wyczekująco.

- Leżałem wtedy w szpitalu, pamiętasz? - dokończyłem.

- Po tym, jak nadziałeś się na bombę w Tunezji?

- Tak, ale nie masz pojęcia, jak mnie wystraszył ten sen czy wizja, czy cokolwiek to było. Zdawało mi się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie rozumiem tylko, skąd ja się w tym wszystkim wzięłem. Musiałaś nawiązać ze mną kontakt telepatyczny. Pewnie przez cały ten czas myślałaś o mnie?

- Przecież już mi o tym mówiłeś! - potrząsnęła głową. - Kiedy przyszedłeś tu do mnie, słyszałam wyraźnie, jak przemawiałeś do mnie. Nie wierzysz mi?

- Ależ wierzę, nic mnie już nie zdziwi, odkąd znalazłem się razem z tobą w tym porsche.

- Strasznie to wszystko skomplikowane, co?

- Tak, Jilly, ale teraz powiedz prawdę. Czy myślałaś wtedy także o Laurze?

Myślałem, że zemdleje, bo pobladła, jej oddech stał się świszczący, a głowa zaczęła podskakiwać na poduszce.

- Ona tu była z tobą! Przeprowadziłeś ją, a ja ją widziałam tak samo wyraźnie jak ciebie. Nikogo innego, tylko najpierw ciebie, a potem ją. Dlatego zaczęłam krzyczeć.

- I tym krzykiem wybudziłaś się ze śpiączki! Nie mogłaś znieść myśli, że ona tu jest, prawda? Czyli, że właściwie ona przywróciła cię do przytomności!

Wydawało się, że Jilly nie ma zamiaru odpowiedzieć, ale wyszeptwała:

- Wiem tylko, że musiałam jakoś uwolnić się od niej. Nie wierzyłam własnym oczom, że tu przyszła. Coś ty tu z nią robił?

Powtarzałem sobie, że mam mówić prawdę i tylko prawdę. Jednak w tych dniach padło już tyle

kłamstw, że zatraciłem rozeznanie, co właściwie jest prawdą. Mogłem najwyżej powiedzieć jej, co sam o tym myślę.

- Wczoraj, kiedy siedziałem przy tobie, zasnąłem z głową na twoim ręku...

- Wiem, widziałam to.

- Pomówimy jeszcze o tym później, ważne jest tylko to, że nagle się obudziłem i usłyszałem, jak mówisz, że Laura cię zdradziła. Wieczorem przy kolacji spytałem Paula, kto to jest Laura. Nie od razu, ale w końcu się przyznał, że miał z nią romans, chociaż zapewniał, że wszystko skończone, że to nic ważnego i że ty nic o tym nie wiedziałaś. Założyłem jednak, że musiałaś przynajmniej słyszeć to imię, więc odszukałem tę publiczną bibliotekę w Salem, gdzie ona pracuje.

Jilly z wysiłkiem chwytiała oddech.

- Fordzie, musisz mi uwierzyć! - wy dyszała. - Trzymaj się z dala od niej, bo to niebezpieczna kobieta.

Według mojego rozeznania, Laura była najbardziej nieszkodliwą osobą, jaką zdarzyło mi się spotkać. Oznaczało to jednak, że coś się święci. Ciekawe, co?

- Czy Paul z nią żył?

Jilly, tak blada, że gotowa lada chwila zemdleć, najpierw potrząsnęła głową, a potem nią pokiwała. Nie wiedziałem więc, czy to oznacza „tak”, czy „nie”. Dałem jednak spokój, bo była za bardzo zmęczona i wystraszona. Poklepałem ją po ręku i delikatnie przykryłem cienkim kocem. Ja też zaczynałem odczuwać zmęczenie.

- Jest już późno, powinnaś odpocząć. Zawolałam tu pielęgniarkę, dobrze?

Nie spieszyłem się z tym, wołałem obserwować, jak się odpręża powoli. Moje pytania mogły poczekać do jutra. Jilly powinna się przede wszystkim wyspać. Jednak gdy się odwróciłem, w otwartych drzwiach zobaczyłem pielęgniarkę, siostrę Himmel.

- Pewnie chciał mi pan powiedzieć, że bym jej nie budziła? Niech pan będzie spokojny, nie zrobię tego.

Cofnąłem się, aby mogła wejść do pokoju. Zdażyłem już polubić tę siostrę, niską i krępa, lecz zawsze miłą i uczynną. Przypominała trochę Midge. Gdybym ją poprosił, na pewno przyniosłaby mi piwo.

- Już śpi, panie MacDougal - uspokoiła mnie, otulając Jilly kołdrą. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku, i tętno, i wymiana gazów. Ani się obejrzymy, jak wstanie z łóżka i zacznie normalnie chodzić. A pan niech już idzie do domu i prześpi się we własnym łóżku, bo szczęka panu opada.

- Rzeczywiście, mojej szczęce przyda się odpoczynek! - Uśmiechnąłem się, a ona odpowiedziała tym samym.

Miała rację. Wszystko, co Jilly miała mi jeszcze do powiedzenia, śmiało mogło poczekać. Byłbym idiotą, gdybym wyłożył się na tej sprawie, a moi koledzy z FBI nigdy by mi tego nie darowali. Wyobrażam już sobie, jak detektyw Quinlan wyzywa mnie od mięczaków! Nie minęło więc dwadzieścia minut, a już podjeżdżałem pod dom Paula i Jilly. Rozebrałem się do slipek i po pięciu minutach byłem w łóżku.

Śniło mi się, że pracowałem jako kelner w nocnym lokalu. Miałem ścierkę przerzuconą przez ramię i tacę pełną drinków, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kto je zamówił. Latałem więc jak wściekły w kółko po sali i rozglądałem się bezradnie. Wszystkie stoliki były okrągłe i przy każdym siedzieli klienci, a między nimi tańczyła Jilly całkiem nago, stepując z biegłością zawodowej

striptizerki. Widzowie gwizdali i klaskali, tylko jakiś facet, którego twarzy nie widziałem, biegł za nią, wymachując obszernym płaszczem.

Zbudziłem się trochę przed dziewiątą rano. To była pierwsza tak spokojnie przespana noc od czasu wybuchu bomby w Tunezji. Czułem się już prawie normalnie, więc przeciągnąłem się, a przy goleniu wreszcie uśmiechnąłem się do swego odbicia. Moja cera przestała przypominać kolorem owsiankę!

Paula nie było w domu, więc przypuszczałem, że pewnie pojechał do Jilly i tam z nim porozmawiam. W ciągu pół godziny dotarłem do szpitala.

8

Mijając poczekalnię na trzecim piętrze, usłyszałem głos Maggie Sheffield.

- Powiem ci tylko tyle, Cotter, że ktoś uderzył Charliego Ducka w głowę. Zdążył jeszcze przyczołgać się do domu Doca Lamberta, ale zaraz potem zmarł.

- I nie znaleziono żadnych śladów? Żadnych poszlak?

- Żebyś wiedział, że najtrudniej wykryć sprawcę morderstwa takiego nieszkodliwego staruszka. To nie Salem ani Portland, tylko Edgerton, małe miasteczko. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wydarzyło się tu morderstwo, ale faktem jest, że ktoś zaciukał Charliego.

Gdy wkroczyłem do poczekalni, przekonałem się, że pani szeryf rozmawia z młodym człowiekiem, którego nigdy przedtem nie widziałem. Na oko w moim wieku, był niższy, za to atletycznej budowy, w typie ciężarowca. Wyglądał na niebezpiecznego osobnika, choć jako mężczyzna nie powinienem wyciągać takich wniosków. Musiałem jednak ze wstydem przyznać, że od razu poczułem do niego antypatię.

- Cotter Tarcher - przedstawił się nieznajomy, czyniąc w moją stronę powitalny gest. - Pan jest bratem Jilly, prawda?

- Tak, nazywam się Ford MacDougal. A pan jest bratem Cal?

- Rzeczywiście, zapomniałem, że pan już ją poznał w domu Paula. Przyjdziecie do nas dziś wieczorem? Jak co roku, obchodzimy urodziny naszej pani burmistrz.

Zdecydowaliśmy jednak nie odkładać tej imprezy, mimo śmierci Charliego.

- To było morderstwo, Cotter! - przypomniała Maggie.

- Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałem - przyznałem się. - Dla mnie najważniejsze, że Jilly się obudziła, o niczym innym nie myślałem.

Cotter Tarcher wyglądał jak Cygan ze smolisto-czarnymi włosami i krzaczastą brodą. Byłem pewien, że baby do niego lgnęły, bo rajcowała je taka zbójcka uroda. Gdyby jednak miały olej w głowie, powinny uważać. Cal opowiadała, że lubił, kiedy dziewczyny przyjeżdżały po niego własnymi samochodami, bo to dawało im złudzenie przewagi. Miałem jednak wrażenie, że celowo stosuje ten sprytny chwyt, aby je rozbroić. Przypomniałem sobie, że Jilly też go nie lubiła.

- Ach, tak, rzeczywiście! - rzucił luźno Cotter. - Dopiero co ją widziałem, akurat jakaś praktykantka myła jej włosy. To cud, że wygląda zupełnie normalnie.

Zwróciłem się do Maggie.

- Podśledzałem, że mówiliście o Charliem Ducku. Dla takiego małego miasteczka jak Edgerton to musiał być prawdziwy szok. Zawiadomiłaś już specjalistów od medycyny sądowej z Portland? Mają tam najlepszych biegłych na Zachodnim Wybrzeżu. Szczególnie dobry jest taki jeden Ted Lepra...

- Po co? - Potrząsnęła głową. - I tak wiem, jak doszło do zgonu. Od uderzenia w głowę zrobił mu się krwiak, który razem z odłamkami kości uszkodził mózg. Szkoda czasu na biegłego, który



tłumaczyłby mi to wszystko z medycznego na nasze. W każdym razie szkoda chłopca, bo mieszkał u nas dobre piętnaście lat. Pogrzeb odbędzie się we wtorek, a nabożeństwo żałobne w kościele Komitetu.

- Komitetu? - powtórzyłem.

- No, Komitetu Obywatelskiego, nie pamiętasz? Należą do niego wszyscy mieszkańcy miasta, więc wyznaczyli jeden budynek na wspólną świątynię wszystkich wyznań. Nabożeństwa różnych kościołów odbywają się o różnych porach, a na pogrzebach przedstawiciele grup wyznaniowych mają limity czasowe na wystąpienia. Stary Charlie był niewierzący, więc wszystkie wyznania otrzymają po tyle samo minut, bo gdyby był na przykład baptystą, to oni dostaliby najwięcej czasu. Przyjdź, Mac, jeśli możesz, będziesz miał okazję poznać większość mieszkańców naszego miasta. Chyba że chcesz wracać do Waszyngtonu, skoro Jilly już się obudziła? Opowiedziała ci, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy? Czy to się zgadza z twoim snem?

- Właśnie dzisiaj mam zamiar z nią o tym pomówić - obiecałem, choć byłem zły na Maggie, że wygadała się w obecności Cottera Tarchera. Z drugiej strony, jakie to miało znaczenie, nawet gdyby ktoś pomyślał, że mam nierówno pod sufitem? Tarcher, mimo że należał do Komitetu, na razie nie zachowywał się jak osioł.

- Miejmy nadzieję, że wszystko ci powie - podchwyciła Maggie. - Chociaż, gdy pytałam ją o to rano, utrzymywała, że nic nie pamięta. A kiedy wspomniałam, że według relacji Roba celowo prowadziła wóz prosto do morza, wyglądała na zszokowaną. Nie powiedziała mi nic więcej, może ty się czegoś dowiesz.

- A może nie ma nic więcej do powiedzenia?

- Obyś miał rację. Boję się tylko, by znów nie próbowała coś sobie zrobić.

Cotter spoglądał to na jedno, to na drugie z nas, wreszcie wydusił:

- Postaraj się przyjść dziś do nas, Mac. Moi rodzice chcieliby cię poznać.

Uścisnął mi rękę mocniej niż należało, uklonił się Maggie i wyszedł, na odchodnym rzucając mi spojrzenie mówiące, że jeszcze zdąży nakopać mi do dupy. Stanowczo nie mógł wzbudzać pozytywnych uczuć! Po jego wyjściu zwróciłem się do Maggie.

- Czy w tamten wtorek byłaś zaproszona do domu Paula i Jilly na imprezę?

- Nie, a bo co?

- Laura Scott powiedziała mi, że Paul i Jilly oczekiwali jeszcze innych gości, ale ona musiała wcześniej wyjść, więc nie widziała, ile osób przyszło i kto to był.

W gruncie rzeczy nie wiedziałem, dlaczego ta informacja ma mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Jedyne, co się teraz liczyło, było zdrowie Jilly i pewność, że wyszła z dołka i nie będzie już próbowała żadnych sztuczek.

Myślałem też o Laurze, bo jeszcze dotąd nie spotkałem kobiety, która by mnie tak rajcowała. Postanowiłem na razie nie wracać do Waszyngtonu. Nabrałem ochoty na imprezę u Tarcherów.

- Słuchaj, Mac, jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć, zanim pójdziesz do Jilly. Coś tajemniczego, co ma związek ze śmiercią Charliego Ducka. Nie chciałam tego mówić przy Cotterze, ale w końcu ty też jesteś z naszej branży.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego?

- Chyba tak, choć nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Mało tego, że ktoś załatwił Charliego, także splądrował jego dom. Wysłałam już tam chłopaka, żeby zebrał odciski palców, i sama dokonałam oględzin. Nie zauważyłam niczego, co mogłoby kogokolwiek zainteresować. Jeśli morderca czegoś szukał, prawdopodobnie znalazł. Zabrał też ze sobą narzędzie zbrodni. - Przerwała,

aby wziąć głęboki oddech, i ciągnęła: - Ale jest jeszcze coś. Może pomożesz mi to rozgryźć? Doc Lambert powiedział mi później, że Charlie na chwilę przed śmiercią odzyskał przytomność...

Serce zaczęło mi bić szybciej, chociaż nie wiedziałem, dlaczego. Z zapartym tchem czekałem na ciąg dalszy.

- Doc Lambert twierdzi, że Charlie był wyraźnie podniecony, bełkotał jakieś słowa bez ładu i składu, ale dało się w tym wyróżnić jeden sensowny fragment: „...mocne uderzenie... za mocne... a jednak mnie dopadli!”. Co o tym sądzisz?

- Koniecznie sprowadź patologa z Portland i zarządzaj sekcję zwłok - poleciłem. - Zrób to nawet zaraz!

- Po co?

- Bo czuję przez skórę, że to nie jest zwykłe zabójstwo i włamanie. Charlie Duck chciał rozmawiać z tobą, a także ze mną. Szkoda, że nie zdążył, ale widać nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ktoś uderzył go tak mocno, że staruszek tego nie przeżył.

- Ależ, Mac, to jak w najgorszym kryminale. Ofiara w ostatnim przebłysku świadomości próbuje wskazać mordercę? To się zdarza w filmach, ale nie w życiu.

- Kim właściwie był ten Charlie Duck?

- Policjantem w Chicago, już od ponad piętnastu lat na emeryturze.

Serce znów mi przyspieszyło.

- Zastanów się, Maggie. Jilly taranuje samochodem barierę nad brzegiem morza, a równocześnie ktoś zabija emerytowanego policjanta. Może te dwa zdarzenia nie mają z sobą nic wspólnego, ale mam przeczucie, że mają -

- Co jego śmierć mogła mieć wspólnego z wypadkiem Jilly? To się nie trzyma kupy!

- Proszę cię, Maggie, zarządzaj sekcję zwłok. Zadzwoń do tego biegłego, on się nazywa Ted Leppra. Miejmy to już za sobą!

„Mocne uderzenie, za mocne, jednak mnie dopadli...” Co tu, do jasnej cholery, się dzieje? Zostałem Jilly samą. Czytała gazetę, ale na mój widok jakby znieruchomiła. Czym prędzej znalazłem się u jej boku.

- Jilly, kochanie, co ci jest? Podniosła do mnie uśmiechniętą twarz i odłożyła gazetę.

- Nic, Fordzie, po prostu znowu zaczynam wyglądać jak człowiek. Przyszedłeś się ze mną pożegnać?

- Nie, na razie przyszedłem, aby z tobą porozmawiać. Powtórnie zamknęła się w sobie, jakby nie chciała mnie więcej widzieć ani tym bardziej ze mną rozmawiać. Nie miałem pojęcia, dlaczego się tak zachowuje, ale postanowiłem spróbować:

- Jilly, przecież jesteś moją siostrą i znasz mnie od urodzenia. Wiesz, że cię kocham. Jeśli chciałaś popełnić samobójstwo, powiedz mi, co cię do tego pchnęło. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Naprawdę chcę ci pomóc, tylko zechciej ze mną porozmawiać!

Znałem ją na tyle dobrze, że umiałem rozpoznać po oczach, kiedy kłamie, więc szybko dodałem:

- Tylko mi nie mów, że nic nie pamiętasz. Taki kit możesz wciskać Maggie, mnie musisz powiedzieć prawdę. Czy próbowałaś skończyć ze sobą?

- Ależ skąd, nigdy nie popełniłabym takiego głupstwa! Prawda jest taka, że po prostu straciłam panowanie nad porsche. Śpiewałam za głośno, jechałam za szybko i nie wyrobiłam się na zakręcie. Przysięgam, że tak było!

- Rob Morrison zeznał, że przyspieszyłaś, kiedy leciałaś na klif.

- Jeśli tak utrzymuje, to się myli. Mówię ci, że straciłam panowanie nad wozem. No, może przypadkiem nacisnęłam na gaz, kiedy rąbnęłam w barierkę. Nie pamiętam dokładnie, ale myślę, że to możliwe. A ty najlepiej wróć do domu, bo dobrze wiesz, że nie jesteś jeszcze w pełni formy. Weź przynajmniej z tydzień urlopu i jedź na ryby nad jezioro Tahoe. Przecież to lubisz, a ja czuję się już zupełnie dobrze.

- W porządku, pomyślę o tym.

- No więc uważaj na siebie, w razie gdybyśmy się już nie zobaczyli. Spotkamy się wszyscy na Boże Narodzenie w Nowym Jorku, u Gwen.

Była to nasza tradycja rodzinna - Kevin, Gwen, Jilly i ja co roku organizowaliśmy nasz świąteczny zjazd. Kiedy w zeszłym roku nie udało się nam spotkać w święta, przełożyliśmy to na luty. Na razie więc tylko przycisnąłem Jilly mocno do piersi i zapewniłem, że bardzo ją kocham.

- Ja cię też kocham, Fordzie. Nie martw się już więcej o mnie, tylko nie zapomnij zadzwonić do Kevina i Gwen, żeby im powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Dom Tarcherów położony był w ślepyńm końcu ulicy Brooklyn Heights. Zbudowany w stylu dworcowym, chyba ze trzy razy większy niż dom Paula i Jilly, wyraźnie dominował nad innymi budynkami z tej samej ulicy, z rzadka rozrzuconymi i schowanymi wśród świerków i daglezji. Przypominał monumentalne, wiktoriańskie gmazyska z San Francisco. Elewację utrzymano w kolorze kremowym, ale ramy okienne, parapety, poręcze balkonów, gzymsy i inne ozdóbki, których nawet nie umiałem nazwać, wносиły chyba ze cztery lub pięć innych barwnych akcentów. Całość wyglądała jak wielopiętrowy, przeładowany, urodzinowy tort. Projektanci takiej rezydencji musieli mieć za dużo pieniędzy i wyobraźni.

Czterej służący ubrani w czerwone koszule i czarne spodnie zajmowali się samochodami gości.

Zanim Paul i ja przyjechaliśmy jego fordem explorerem, po obu stronach krętej alei stało już około trzydziestu wozów. Chyba całe miasto zjechało się na tę imprezę!

Jilly też chciała pojechać z nami do Tarcherów. Najwidoczniej chodziło jej o to, aby pokazać wszystkim, że jest już na chodzie, przynajmniej ona, skoro nie porsche. Nawiasem mówiąc, wspomniała mi, że zamówiła już pomoc drogową, aby sprawdzić, czy da się wyciągnąć samochód z morza. Odpowiedziałem perfidnie, że owszem, może pojechać, jeśli da radę przejść bez pomocy do końca korytarza. Skończyło się na tym, że zrobiła osiem kroków i osunęła się na podłogę. Jednak wyniki badań, jakie przeprowadził doktor Coates, wypadły pozytywnie. Spytałem go, czy też się wybiera na przyjęcie do Tarcherów, a on mi na to, że za nic nie opuści tej imprezy, chyba że musiałby przyjmować na świat trojaczki! Myślę, że moja siostra Gwen, która akurat ma trojaczki, też by mu tego nie darowała.

Wysiedliśmy z explorera, ale zanim skierowaliśmy się w stronę domu gospodarzy, zaczepiłem Paula:

- Słuchaj, powiedz mi coś więcej o tym Tarcherze!

- Właściwie nazywa się Alyssum Tarcher, ale nie pytaj mnie, skąd wzięło się to idiotyczne imię. Mieszka tu chyba ze trzydzieści lat i jest nieprzyzwoicie nadziany. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że połowa naszego stanu należy do niego. Każdy w tym miasteczku coś mu zawdzięcza i nic tu nie dzieje się bez jego akceptacji, a nasza pani burmistrz je mu z ręki i robi wszystko na pierwsze jego skinienie. Zresztą przypuszczam, że większość z nas zachowałaby się tak samo.

- Czy pytałeś go o zgodę na powrót z Pensylwanii? - zainteresowałem się.

- Prawdę mówiąc, ułatwił mi ten powrót - odpowiedział Paul chłodnym i oficjalnym tonem. - Nie jest to żadną tajemnicą, podobnie jak to, że sfinansował mój aktualny temat badawczy, a nasz dom też kupiliśmy od niego.

- Aha! - To wyjaśniało, z czego żyli, on i Jilly. Z tym tylko, że ich luksusowy dom i porsche Jilly wykraczały znacznie ponad minimum egzystencji. - Chodzi o ten eliksir młodości?

- Trafiłeś w dziesiątkę. - Paul zatrzasnął drzwiczki wozu. - Słuchaj, Mac, nie masz pojęcia, jak mi ulżyło, kiedy się dowiedziałem, że Jilly po prostu straciła panowanie nad pojazdem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby to była rzeczywiście próba samobójstwa.

- Ja też nie wiem. Ktoś z obsługi parkingu przybiegł w te pędy, wręczył Paulowi dużą, liliową kartę i odprowadził explorera gdzieś dalej.

- Ale odwalił sobie chałupę, co?

- Rzeczywiście - przyznałem, pokonując pół tuzina stromych schodków do drzwi frontowych. Ze środka promieniowała feeria światła i łagodna muzyka kameralna. W przestronnym holu zatrzymałem się na chwilę, aby powdychać jedyny w swoim rodzaju zapach, jakim przesycone było wnętrze tego domu. Przypominało to konglomerat woni zalanego słońcem lasu, wilgotnego mchu, leśnych kwiatów i czystego powietrza. Zacerpnałem w płuca dużo tego pachnącego powietrza i odwróciłem się w samą porę, bo zbliżał się do nas wysoki mężczyzna z orlim nosem. Nie miałem wątpliwości, że był to sam Alyssum Tarcher, patriarcha miasteczka Edgerton.

Sam mam metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a przed zamachem bombowym ważyłem siedemdziesiąt pięć kilo. On przy takiej samej wadze musiał mierzyć przynajmniej o pięć centymetrów więcej. Na oko mógł mieć około sześćdziesięciu lat, włosy gęste i szpakowate. Wyglądał na silnego, energicznego mężczyznę, bez śladu brzuszka czy sflaczałych mięśni. Stojący za nim jego syn, Cotter, czarniawy i z byczym karkiem, dla kontrastu przypominał kryminalistę. Na pewno dopiero co się golił, ale już na jego policzkach przebijał czarny cień zarostu. Trząskając stawami palców, a spojrzeniem przewiercał mnie na wylot.

- Pan Ford MacDougal? - spytał tymczasem Alyssum Tarcher głosem tak pełnym i nasyconym, jak najlepszy burbon z Kentucky.

- Tak, proszę pana - odpowiedziałem. Uścisnąłem wyciągniętą do mnie rękę, przy czym spostrzegłem, że przypominała dłoń artysty - szczupła, o długich palcach i nieprzyzwoicie wręcz gładka.

- Nie jest pan nic a nic podobny do Jilly - oświadczył Alyssum Tarcher, jakby mógł widzieć wszystkie moje komórki. Od razu uznałem go za bardziej niebezpiecznego osobnika niż jego nieokrzesany syn.

- Rzeczywiście nie jestem - przyznałem.

- Tyle tylko, że macie podobny koloryt i oboje jesteście parą przystojnych, młodych ludzi. Poznał pan już mojego syna, Cottera?

Uścisnąłem rękę Cottera, witając go przyjaznym uśmiechem. Czekałem tylko, kiedy zaczniemy się nawzajem prowokować, i nie musiałem czekać długo. Ustawiłem dłoń pod takim kątem, aby wywrzeć większy nacisk i patrząc mu prosto w oczy, o mało nie zmiażdżyłem mu palców. Zwolniłem chwyt dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem skurcz bólu w okolicy ust. Chyba jedynym spośród obecnych, który to zauważył, był Paul. Natomiast Cotter zareagował dosyć dziwnie, bo wściekłość na jego twarzy walczyła o lepsze ze skupieniem, jakby chciał przejrzeć mnie na wylot, aby dzięki temu łatwiej mi dołożyć. Nie wątpiłem, że odtąd będę miał w nim wroga, co zresztą mało mnie wzruszało. Byłem tylko ciekaw, o czym mógł teraz myśleć. Przez ostatnie pół roku nie miałem do czynienia z tak zdecydowanie aspołecznym typem!

Cotter nie spuszczał ze mnie wzroku, ale odwróciłem się od niego, gdy usłyszałem głos Alyssuma Tarchera:

- No, Paul, teraz, kiedy Jilly jest już zdrowa, możesz znów zabrać się do roboty. Wiem, że przeżywałaś ciężkie chwile, ale chyba najgorsze masz za sobą.

- Oczywiście - potwierdził Paul. - Jilly nawet chciała tu dziś przyjechać, ale jest jeszcze zbyt słaba. Bardzo była zawiedziona, ale zasnęła, zanim odjechaliśmy. Prosiła tylko, żebym przekazał wam pozdrowienia i przekonał wszystkich, że wcale nie zamierzała się zabić, tylko straciła panowanie nad samochodem. Dała także słowo, że nigdy już nie będzie jeździć z taką szybkością.

- Chwała Bogu! - Alyssum Tarcher zdjął dwa kieliszki szampana z obnoszonej przez kelnera tacy i podał Paulowi i mnie. Sobie wziął trzeci i wzniosł toast: - No, to za naszą dalszą współpracę. Oby sukces naszego wynalazku przeszedł najśmielsze oczekiwania!

- W twoje ręce! - zawtórował mu Paul. Ani Cotter, ani ja nie przyłączyliśmy się do toastu, tylko w milczeniu popijaliśmy kiepskiego szampana. Z łezką wspominałem piwo Bud Light, które Midge przyniosła mi tamtej nocy w szpitalu. Jej mąż, Doug, ten to miał farta! Odstawiłem więc kieliszek na tacę, choć Alyssum karcąco uniósł brew. Jednak nie przejąłem się tym.

- Z tym Charliem Duckiem, to dopiero tragedia! - Paul zmienił temat. - W życiu nie spodziewałbym się czegoś takiego w naszym pięknym mieście.

- To rzeczywiście straszne - pokiwał lwią głową Alyssum Tarcher. - Wszyscy próbujemy się domyślić, kto mógł to zrobić i dlaczego.

- Ten wścibski dziadyga niejednego wnerwiał, kiedy się wtrącał w nie swoje sprawy! - wyrwał się Cotter z nietaktownym komentarzem.

- Na pewno ktoś obcy włamał się do jego domu - rzekł Alyssum. - To czysty przypadek, że trafił akurat na niego. Nikt z Edgerton nie tknąłby włosa na jego głowie!

- No, tych włosów nie miał znów tak wiele - mruknął Paul, wywołując powściągliwy uśmiech na twarzy Alyssuma.

Przeszedłem do miejsca, gdzie Rob Morrison dotrzymywał towarzystwa Maggie Sheffield. W czarnych spodniach, takiejże koszulce i sportowej marynarce wyglądał jak atleta. Natomiast kompletnym zaskoczeniem dla mnie okazał się widok Maggie bez munduru. Czerwona sukienka szczególnie korzystnie prezentowała się na kobiecie niezbyt szczerze wyposażonej w naturalne okrągłości, do tego włosy upięte na czubku głowy i ponad siedmiocentymetrowe obcasy! Korciło mnie, żeby podejść chyłkiem, ugryźć ją w ucho i szybko zwiać. W porę rękę Roba Morrisona na jej nagich plecach widocznym w głębokim dekolcie. Stanowczo za śmiało sobie poczynił!

- Cześć, Mac, do twarzy ci w tym garniturze! - Z tyłu podeszła do mnie Cal Tarcher.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że ubrana była pretensjonalnie, w długą spódnicę, czarną, jedwabną bluzkę z wysokim kołnierzykiem i baletki na płaskim obcasie. Dobrze choć, że spódnica i bluzka z grubsza na nią pasowały. Rude włosy przyczesła gładko i ściągnęła czarną wstążką na karku, a okulary, które założyła, też miały czarne oprawki. Dobrze przynajmniej, że ubrała się do koloru!

- Cześć! - przywitałem ją, zachodząc w głowę, jak ta sama dziewczyna, którą spotkałem w domu Jilly i Paula, mogła tak błyskawicznie przechodzić od chłodnej i aroganckiej wyższości do rozbrajającej niezręczności i pruderii.

- Widziałam, jak się gapiłeś na Maggie! Wygląda odłotowo, no nie?

- Mnie też bardziej się podobają kobiety bez mundurów. Może i ty w końcu wyzbędzisz się swojego i też włożysz taką czerwoną sukienkę?

Przez chwilę jej twarz przybrała wyraz chłodnej i aroganckiej kobiety, ale zaraz rysy jej złagodniały.

- Przywitałeś się już z moją mamą, Elaine? - zmieniła temat.

- Założycielką Komitetu Osielskiego? Nie, jeszcze nie.

- Właśnie! - potwierdziła Cal, wyraźnie zadowolona, że to zapamiętałem. - Słyszałam, że Jilly doszła już do siebie. Myślałam, że znajdę dziś chwilę czasu, żeby wpaść do szpitala, ale byłam strasznie zaganiana w związku z tą imprezą. Nie masz pojęcia, ile ci wszyscy goście mogą zjeść! I uwierzyłbyś, że ktoś mógł załatwić pocziwego, starego Charliego?

- Rzeczywiście, to nie do wiary.

- Jesteś głodny?

- Owszem, nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie dostaniemy coś na ząb. Aha, Cal, wiesz może, czy Paul przesypiał się z innymi kobietami oprócz Jilly?

Cal zrobiła oczy jak spodki. Albo zaszokował ją poruszony przeze mnie temat, raczej nieodpowiedni w wytwornym towarzystwie, albo też była zaskoczona, że wiem o tym.

Zdecydowałem więc, że na razie dam spokój tej sprawie. Grunt, że Jilly czuła się dobrze i nie popełniono żadnego przestępstwa... oczywiście oprócz zabójstwa Charliego Ducka. Tymczasem po namyśle Cal jednak udzieliła mi odpowiedzi.

- Paul kocha Jilly i w życiu nie poszedłby do łóżka z inną kobietą. A w ogóle to jest za chudy na te rzeczy. Chociaż Jilly mówiła mi, że jest dobry w łóżku i lubi seks.

- Oj, Cal, czy ty czasem nie jesteś zazdrosna o Jilly?

9

Cal bynajmniej nie próbowała lawirować, tylko odpowiedziała obojętnym, nawet uprzejmym tonem:

- Ani trochę. Zawsze ją bardzo lubiłam, bo była taka wesoła, często śpiewała... Może napiłbyś się piwa?

Próbowałem zmusić ją do spuszczenia oczu, ale wytrzymała moje spojrzenie. Kiwnąłem więc

potakująco głową.

- No to chodźmy do kuchni. Cotter i ja zrobiliśmy sobie zapas piwa tam, gdzie tato trzyma zapasy owoców mango. Mama nie znosi mango, więc nigdy tam nie zagłąda. Widzisz, ona uważa, że piwo jest nieeleganckie!

Poszedłem jej śladem, gdy torowała sobie drogę wśród tłumu co najmniej pięćdziesięciu osób w różnym wieku. Odświętnie wystrojeni goście mile spędzali czas, racząc się wykwintnymi daniami ze szwedzkiego stołu długiego na jakieś sześć metrów. Mogli wybierać między ostrygami a la Rockefeller, płatami ryb na zimno przekładanych plasterkami limetki, spaghetti z sosem bazyliowym i mnóstwem innych przysmaków.

Kuchnia stanowiła centrum dowodzenia tą kulinarną kampanią, ale Cal nawet nie zwolniła kroku, tylko zwinnie przemykała się między kelnerami i kucharzami. Dotarła wreszcie do ogromnej lodówki i otworzyła ją. Pochyliła się do jej wnętrza i przez jakiś czas nie było jej widać, aż wynurzyła się, trzymając dwie puszkę piwa Coors.

- Niestety, te są ostatnie - oznajmiła. - Cotter był tu przed nami. Ale jak bardzo zechce się nam pić, przyniosę z garażu następną zgrzewkę.

- Dobra, to na razie wystarczy. - Zręcznie oderwałem denko, uniosłem puszkę w geście toastu i zająłem się jej zawartością. Uwielbiam piwo!

- Ile lat ma Cotter? - spytałem, aby zmienić temat.

- Dwadzieścia osiem. Jest o dwa lata starszy ode mnie, a ty pewnie myślałeś, że więcej? Wiem, że wyglądam na dziewczynkę, ale tylko wyglądam. Pewnie zaraz zapytasz, dlaczego jeszcze dotąd mieszkamy z rodzicami?

- Rzeczywiście, zaciekawilo mnie to, ale przez grzeczność nie śmiałem pytać.

- A śmiałeś pytać, czy jestem zazdrosna o Jilly! Jak mogłeś w ogóle pomyśleć o czymś podobnym?

- Coś takiego obilo mi się o uszy. No więc, dlaczego ty i Cotter jeszcze siedzicie rodzicom na karku?

Za całą odpowiedź roześmiała się i z rojnej, gwarnej kuchni wyprowadziła mnie do pokoiku na zapleczu, który wyglądał na bibliotekę. Pokoik był pusty i ciemny, więc zapaliła małą lampkę w stylu Tiffany'ego stojącą na biurku. Na tym samym biurku postawiła puszkę z resztką piwa.

- No więc Jilly się myliła. - Nie tylko nie jestem o nią zazdrosna, ale wręcz chciałabym namalować jej portret, tylko ona ciągle mnie spławia.

- Ach tak, Paul i Maggie mówili mi, że jesteś artystką. Co najchętniej malujesz?

- Przeważnie pejzaże, ale fascynują mnie też fizjonomie. Jilly ma niezwykle wyraziste kości policzkowe i oczy. To prawdziwe zwierciadło jej duszy. Ty też masz piękne oczy, Mac, takie ciemnobłękitne, jak wzburzone morze. To bardzo romantyczne!

- Uważaj, żebym nie zakrzusił się piwem. Cal przestała rozwijać ten temat, otrząsnęła się i zamarkowała promienny uśmiech.

- Jak się teraz czujesz? Dziś wyglądasz na zdrowszego i silniejszego niż wczoraj.

- Czuję się świetnie.

- Widzisz, Cotter mieszka z nami, bo tak sobie życzył ojciec. Chciał, żeby Cotter nauczył się przy nim prowadzenia interesu. Nie pozwolił mu wyjechać na studia na Uniwersytecie Los Angeles w Kalifornii, dochodziło nawet między nimi do przepychanek. Ukończył Wyższą Szkołę Biznesu i Administracji, ale ojciec i tak nie wierzy, że Cotter dałby radę przejąć po nim firmę. Pewnie prędzej umrze niż mu ją przekaze, a Cotter obawia się, że ojciec będzie żyć wiecznie.

- Więc Cotter chciałby stąd wyjechać?

- No, tak naprawdę Cotter chciałby sam wszystkim rządzić, ale mu powiedziałam, że to trudne dla takiego konusa jak on. Powinien nosić buty na platformach, bo wysokich facetów, jak nasz ojciec, ludzie bardziej szanują. A Cotter jeszcze do tego wygląda jak zbój z tysiąca i jednej nocy!

- Ciekawe, czy zastosował się do twoich rad? - spytałem, zaciekawiony.

- Zdaje mi się, że zamówił takie buty w katalogu sprzedaży wysyłkowej. Może nawet teraz je włożył, ale na tę jego zbójcejką gębę chyba nic nie pomoże.

- Oj, coś się paniencie nagle zebrało na szczerłość! A mógłbym się dowiedzieć, od czego zdrobnieniem jest „Cal”?

- Wcale nie chcesz tego wiedzieć! - wypaliła bez ogródek. Zbliżyła się do mnie i oparła otwarte dłonie na mojej piersi. - Lubię cię, Mac, a Cal to skrót od Calista.

Ująłem jej ręce w swoje i lekko odepchnąłem.

- Bardzo mi miło, a Calista brzmi całkiem niezłe, chociaż Cal może bardziej naturalnie. Wiesz, że naprawdę nie wiem, co mam o tobie myśleć? Pewnie sama świetnie się bawisz, kiedy obserwujesz reakcje otoczenia na własny wizerunek, który wykreowałaś?

Cal wyrwała ręce i zaczęła się wycofywać, aż oparła się o biurko.

- Nawet nie próbuj zaprzeczać - uprzedziłem jej ewentualną odpowiedź. - Wczoraj, kiedy odprowadzałem cię do samochodu, na chwilę odsłoniłaś swoje prawdziwe oblicze. Jesteś przebiegła i pozbawiona skrupułów, a przy tym na tyle pewna siebie, że uważasz wszystkich za idiotów. Albo jesteś zazdrosna o Jilly, albo ona o ciebie, bo przejrzała cię na wylot, co?

- Czy mówisz to w imieniu FBI? - spytała z uśmiechem. Nawet z tonu jej głosu przebijała wesołość.

- Nie, w swoim własnym.

- Zajmujesz się sporządzaniem rysopisów?

- Nie, zwalczaniem terroryzmu. Ale jeśli już mówimy o Jilly, to nie wiem, jakie miałyby powody do zazdrości. Jest przecież wystarczająco ładna...

Cal gwałtownie potrząsnęła głową, co świadczyło, że ma już dość udawania. Stojąc w cieniu rzucanym przez lampę zaczęła zupełnie z innej beczki:

- Stój tam, gdzie stoisz i nie ruszaj się. Chciałabym narysować twój portret!

Byłem tak zaskoczony, że zupełnie mnie zatkało. Tymczasem Cal wypadła z pokoju, zostawiając mnie samego z dwiema prawie pustymi puszkami piwa Coors. Wróciła po jakichś dwóch minutach z dużym szkicownikiem i oprawionym kawałkiem węgla.

- Nie ruszaj się, dobrze? - poprosiła, wracając do biurka.

Nie miałem nic przeciwko temu, bo przy okazji mogłem się jej przyjrzeć, kiedy przerzucała kartki szkicownika rozłożonego na podolku. W tym czasie zmienił się wyraz jej twarzy. Miejsce żalostnego brzydkiego kaczątka zajęła kobieta skoncentrowana i pewna swej siły. Kiedy chciałem unieść nieco rękę, od razu to zauważyła.

- Nie, Mac, prosiłam cię, żebyś się nie ruszał!

- Przepraszam, jeszcze nigdy nie pozowałem do portretu. Ale mówić mogę?

- Oczywiście - rzuciła, nie patrząc na mnie, tylko rysując.

- To powiedz, dlaczego tak się dziwnie ubierasz.

- Zamknij się!

- Przecież sama powiedziałaś, że mogę mówić. Wczoraj na przykład miałaś na sobie workowate dzinsy i męską koszulę. Czy celowo tak się szpecisz?

- Tak, bo chcę, żeby mężczyźni widzieli we mnie przede wszystkim umysł, a nie ciało.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu, ale na wszelki wypadek spróbowałem wymyślić mniej



provokujące pytanie.

- Jak sądzisz, czy Maggie żyje z Robem Morrisonem? Zatrzymała węgiel w połowie pociągnięcia i pogardliwie wydeła wargi.

- Rob jest tak przystojny, że mógłby mieć każdą, nie tylko Maggie - oświadczyła i wróciła do rysowania. Tylko teraz pociągnięcia po papierze stały się szybsze i mocniejsze.

Nagle przerwała rysowanie, zatrzymując w powietrzu rękę z węglem. Wbiła wzrok we mnie, oddychając ciężko i nie mogąc ukryć drżenia rąk. Wargi lekko rozchyliła.

- Skończyłaś już? - zagadnąłem. Nie odpowiedziała wprost, tylko odłożyła węgiel i szkicownik, a lampę zgaszyła.

- Och, Mac... - wychrypiała i nagle skoczyła na mnie.

Przez trzy i pół sekundy próbowałem ją od siebie oderwać, ale potem przestałem, bo i mną owładnęło pożądanie. Cał okrywała moją twarz pocałunkami, a jej ręce szybko przebiegły po mojej piersi, aby zaraz rozpiąć rozporek i znaleźć się w slipkach. Ani się obejrzałem, jak poczułem jej palce wokół mojego członka. Ruchy jej rąk i całego ciała były tak dzikie i niepoahamowane, że sam też straciłem panowanie nad sobą. Zacząłem szarpać na niej ubranie, podarłem jej bluzkę, ale nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Pchnęła mnie na dywan i sama rozciągnęła się na mnie. Od dołu widziałem jej odrzuconą w tył głowę i białą, gładką szyję, słyszałem przyspieszony oddech, jakby brała udział w wyścigu...

- Słuchaj, Cal... - Próbowałem ostudzić jej zapędy. - Nie mam dziś przy sobie prezerwatyw...

- Nie bój się, przecież jesteś agentem, a ja jestem zdrowa i biorę pigułki.

W jednej chwili ściągnęła majtki, zrzuciła z nóg baletki i dosiadła mnie w pozycji na jeźdźca. Wszedłem już w nią i wyczuwałem dokładnie wszelkie szczegóły jej budowy, ale zadałem sobie trud, żeby jeszcze nie kończyć sprawy.

- Nie - powiedziałem głośno i oderwałem ją od siebie, prawie kładąc na plecy. Widziałem, jak zerwała z nosa okulary i rzuciła na drugi koniec pokoju, ale patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem... - zaczęła.

- Wcale nie musisz! - dokończyłem, podciągając ją do swoich ust. Po kilku sekundach sam się zdziwiłem, dlaczego jeszcze nie zlecieli się tu wszyscy domownicy i goście, tak głośno krzyknęła. Na wszelki wypadek położyłem rękę na jej ustach, czując, jak ciepły oddech przenika przez moje palce, a jęki rozkoszy wsiąkają w skórę dłoni. Dopiero kiedy się całkiem odprężyła, wszedłem w nią dziko i namiętnie, ale zakończyłem szybko, bo nie mogłem już dłużej przeciągać.

Zwykle potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie, a tym razem nawet specjalnie mi się nie spieszyło. Wolałem nie myśleć o ewentualnych konsekwencjach mego czynu, po prostu trochę poleżeć, nie przejmując się niczym. Z tego błogostanu wyrwało mnie dopiero nagłe poruszenie się Cal. Patrzyła na mnie zupełnie trzeźwo, aż niespodziewanie zażądała:

- Teraz ty włącz na wierzch! Wciąż czułem na języku jej podniecający smak, więc nietrudno mi było znów osiągnąć stan gotowości.

- Dobra, czemu nie? - zgodziłem się, wysuwając się spod niej. Oparłem się na łokciu i raz po razie całowałem jej usta. Prosto w jej wargi wymówiłem:

- Czy to rysowanie tak cię rajcuje?

- Na ogół nie - wyznała, odwzajemniając pocałunek. Przy tym obrysowywała palcami linię mojej szczęki i włosów. - Ale z tobą, Mac, było inaczej niż ze wszystkimi innymi. Zarys twoich ust i szczęki tak na mnie działa...

Westchnęła i przewróciła się na bok, dzięki czemu znalazła się twarzą do mnie.

- Zróbmy to jeszcze raz! - poprosiła.

- Chętnie! - zgodziłem się. Tym razem też nie trwało to długo, ale zawczasu przygotowałem się do stłumienia jej krzyków rozkoszy. Wiedziałem, że jeszcze przez jakiś czas będę pamiętał jej zapach i smak, ale przede wszystkim dowiedziałem się o niej dwóch ważnych rzeczy. Raz, że naprawdę lubiła seks, a dwa, że miała długie, smukłe nogi, które w uroczy sposób zarzucała mi na szyję.

Cieszyłem się nawet, że nie była w nastroju do rozmowy, bo i ja nie miałem nic specjalnego do powiedzenia. Jeszcze raz mnie pocałowała i poklepała po policzku, potem wstała, wytarła się chusteczką higieniczną, poprawiła sukienkę i nałożyła na nos okulary. Wyszła z pokoju mówiąc, że idzie do sypialni doprowadzić się do porządku. Ja nie działałem tak szybko. Najpierw dopiłem piwo, teraz już ciepłe, i wyrzuciłem pustą puszkę do śmieci. Potem zapiąłem spodnie i poszukałem łazienki, aby splukać z twarzy to nieprzyzwoite zadowolenie, co nie było proste, gdyż właściwie chciało mi się jeszcze.

Wróciłem do salonu pewien, że wyglądam prawie normalnie, może z wyjątkiem podejrzenia rozmarzonych oczu... Niestety, tuż przede mną wyrosła jak spod ziemi Maggie Sheffield. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i wypaliła ze znaczącym uśmiechem:

- Widzę, Mac, że ktoś cię już pocieszył! Jak, do pioruna, mogła poznać, co przed chwilą robiłem? Niemożliwe, żeby było to po mnie widać!

- Może zatańczymy? - Próbowałem zmienić temat, ale ona nadal myślała głośno:

- No, ciekawam... - Filuternie przechyliła głowę na bok, bębniąc palcami po policzku.

- Dobra, nie musimy tańczyć. Może w takim razie przedstawiś mnie Elaine Tarcher? Chciałbym ją poznać.

- Czemu nie? Chodź, Mac, stoi tam otoczona wianuszkami wielbicieli. Ciągle jeszcze próbuje odgrywać femme fatale, chociaż mogłaby być moją matką. W jej wieku to już śmieszne.

Na widok Elaine Tarcher pierwszą moją myślą było, czy i ona spróbuje rzucić się na mnie, jak jej córka. Gdyby tak się stało, nie wahałbym się dłużej niż w przypadku Cal. Musiała być dużo młodsza od męża. Zważywszy wiek Cottera, nie mogła mieć mniej niż czterdzieści kilka lat, ale nie wyglądała na tyle. Z pewnością korzystała z usług dobrego chirurga plastycznego, bo czas zatrzymał się dla niej około trzydziestki. Osobiście nie miałem nic przeciwko takim zabiegom, jeśli potrafiły skutecznie przeciwdziałać prawom natury...

Elaine miała takie same bujne, kasztanowate włosy jak Cal, ułożone w krótką fryzurę, pozornie naturalną, a w istocie bardzo skomplikowaną. Ubrana była w czarną sukienkę koktajlową, czarne, przezroczyste rajstopy i czółenka na wysokich obcasach. Otaczała ją sześciu panów, którym pozwalała się adorować, tryskając od czasu do czasu kaskadami perlistego śmiechu. Wcale nie wydawała mi się śmieszna, więc uznałem, że Maggie nie ma racji.

Tymczasem Alyssum Tarcher zawołał Maggie po imieniu, ścisnęła więc w biegu moją rękę i zostawiła mnie samego. Mogłem teraz bez przeszkód podziwiać uwodzicielskie talenty Elaine Tarcher.

- Wszyscy uważają moją mamę za słodką idiotkę, ale to nieprawda! - oświeciła mnie Cal, która tymczasem podeszła od tyłu. Po niej też nie można było poznać, że przed chwilą uprawiała seks. Znowu przybrała pozę zaniedbanej starej panny w okularach, zmieniała tylko bluzkę, bo tamtą rozerwałem, tyle że ta też nie miała w sobie ani źdźbła kobiecości.

- Przedstaw mnie swojej mamie! - zwróciłem się do niej. Popatrzyła na mnie przez chwilę i po krótkim namyśle mruknęła:

- Szkoda, że mieszkasz u Paula!

Przypomniałem sobie, jak zachłannie brała mnie w posiadanie, i głośno przełknąłem ślinę. Jej zaś odpowiedziałem:

- Masz rację, ale nic na to nie mogę poradzić.

- Biedny stary Charlie ubóstwiał moją matkę. Ona już szykuje przemówienie nad jego grobem.

Będiesz na pogrzebie, prawda? Mama przez cały dzisiejszy wieczór nie rozmawiała o niczym innym, jak tylko o tym morderstwie.

- Oczywiście, że przyjdę na pogrzeb, może nawet zabiorę ze sobą Jilly.

- A kiedy chcesz wracać do Waszyngtonu?

- Nie wiem, może zostanę jeszcze ze dwa dni... W tym momencie pomyślałem o Laurze i poczułem wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że nie powinienem być kochać się z Cal, ale trudno - stało się.

Na razie zostałem więc przedstawiony Elaine Tarcher, wszystkim jej wielbicielom i panie Geraldine - prezesce Komitetu Obywatelskiego i burmistrzynie miasta Edgerton. Ta elegancka, starsza dama miała ostry język i wypętlę, niebieskie oczy, których przenikliwemu spojrzeniu chyba nic nie mogło umknąć.

- Domyślam się, młody człowieku, że przyjechałeś tu sprawdzić, co się wydarzyło twojej siostrze - przywitała mnie. - Zaraz ci powiem, jak było naprawdę. Po prostu Jilly nie wyrobiła się na zakręcie. Tyle razy ją prosiłam, żeby uważała, ale jak mogła uważać, kiedy przez cały czas śpiewała, prowadząc taką zrywną maszynę! Chwała Bogu, że podobno już z nią wszystko w porządku.

- Jilly powiedziała mi to samo - potwierdziłem.

- A długo jeszcze zostaniesz w Edgerton?

- Geraldine, jak możesz pytać Maca o (;oś takiego? Jeszcze pomyśli, że chcemy się go pozbyć! - wtrąciła się Elaine Tarcher. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała w mojej obecności, bo dotychczas tylko w milczeniu mi się przyglądała. Nie próbowała bynajmniej mnie uwodzić, więc byłem ciekaw, czy uwzględni moją skromną osobę jako potencjalnego partnera dla swojej córki. Zauważyłem natomiast, że gdy do grupki, która jej towarzyszyła, zbliżył się jej mąż - wielbiciele natychmiast wycofali się w cień.

Alyssum gestem pozdrowił żonę, a pannę Geraldine ucałował w policzek przypominający pergamin.

- Poznałaś już naszego gościa? - zagadnął.

- Owszem, wygląda nawet na porządnego chłopaka, choć może jest tylko wysoki i przystojny. Słyszałam, że próbuje odgadnąć znaczenie nazwy naszego komitetu.

- Rzeczywiście, usiłuję to rozpracować - potwierdziłem.

- Charlie Duck też usiłował. - Elaine weszła mi w słowo. - Dwa dni temu pochwalił mi się, że już mu niewiele brakuje. Sama myślałam nad tym i myślałam, ale nic nie wymyśliłam, bo nie miałam żadnego punktu zaczepienia.

- OSIELSKI - wiadomo, co to znaczy razem, ale każda litera z osobna to nie takie proste! - W głosie Alyssuma znać było zniecierpliwienie. Ciekawe, gdzie się tymczasem podział ten kutas Cotter?

- Komitet Obywatelski to dużo prościej i od razu wiadomo, o co chodzi. - Elaine próbowała znaleźć kompromisowe rozwiązanie.

- To za proste, a ja lubię takie skomplikowane dwuznaczniki, bo to test na inteligencję! - sprzeciwiła się Geraldine. - Liczę na naszego przystojnego gościa z FBI, bo to spece od rozwiązywania zagadek. Dobrze mówię?

- Tak, proszę pani.

- Słyszałam też, że przed przyjazdem tutaj też byłeś w szpitalu.

- To prawda, ale już dobrze się czuję.

- Podobno zachowałeś się jak bohater?

- Skąd, raczej w niewłaściwym momencie znalazłem się w nieodpowiednim miejscu. Może ta wasza nazwa ma oznaczać: Oświata. Selekcja, Informacja i Edukacja Ludu Skutecznym Kluczem Integracji?

- To brzmi całkiem nieźle! - ucieszyła się Elaine. Czyżby potraktowała mnie poważnie? Skąd, w jej oczach błysnęła iskierka humoru.

- Przecież to stek bzdur, który nic nie znaczy! - Alyssum się zdenerwował. Natomiast Elaine obdarzyła mnie słodkim uśmiechem.

- Pracuj nad tym dalej, Mac, a może do czegoś dojdiesz. Nie obrazisz się, jeśli będę cię nazywać Mac? To takie sympatyczne, konkretne imię. Biedna Cal teraz będzie miała ciężki...

- Mamo, przecież cię prosiłam! - przerwała Cal.

- Przepraszam, kochanie, zapomniałam.

- Może gdybym znał cele działania waszego Komitetu... - Próbowałem ratować sytuację. - Prędzej rozszyfrowałbym tę nazwę?

Elaine Tarcher dała oczami znak pannie Geraldine, która z uśmiechem zaczęła:

- Zajmujemy się właściwie wszystkim po trochu. Pierwotnie założyłam Komitet, aby zmusić miejscowe zakłady chemiczne do większej troski o czystość środowiska. Przy pomocy Alyssuma zrealizowaliśmy ten plan, a przy tym przekonaliśmy się, że możemy mieć na coś wpływ. Kiedy wszyscy mieszkańcy miasta skupiają się na jednym zagadnieniu, mogą osiągnąć dużo więcej. Działamy więc tym sposobem, kiedy ktoś potrzebuje pomocy albo pojawia się problem równie istotny dla wszystkich. To daje świetne wyniki!

- Na co dzień stanowimy raczej klub towarzyski - uzupełniła Elaine. - Jutro na przykład organizujemy czuwanie przy zwłokach biednego Charliego. Chcemy pożegnać go, jak na to zasłużył.

- Biedny staruszek! - dodała Cal.

- Chyba już najwyższy czas, żeby Geraldine pokroiła tort urodzinowy. - Alyssum zmienił temat.

Przeszedłem więc z wszystkimi do długiego stołu, na którym stał trzypiętrowy tort ozdobiony tyloma świecami, że nie dałem rady ich policzyć.

- Nie myśl, że to złośliwość wobec Geraldine - uprzedziła mnie Cal. - Ona zawsze życzy sobie, żeby na torcie było dokładnie tyle świec, ile ma lat.

Tymczasem kątem oka zauważyłem, że Paul usiłuje przepchnąć się do mnie przez tłum gości.

- Co się stało, Paul?

- Dostałem właśnie telefon ze szpitala. Jilly zniknęła jak kamfora. Może ty wiesz, dokąd mogła pójść? Nie mówiła ci, że gdzieś się wybiera?

10

Zanim dotarliśmy do szpitalnego pokoju Jilly, było już dobrze po północy. Przyjrzałem się dokładnie jej łóżku, które wyglądało tak, jakby Jilly wstała, lekko przygładziła ręką pościel i po prostu wyszła z pokoju.

- Przecież nie miała nic do ubrania! Chyba nie mogła wyjść stąd tylko w szpitalnej koszuli?

- Nie, bo dziś po południu prosiła mnie, żebym przyniósł jej jakieś rzeczy - rzekł Paul. -

Przyniosłem, bo nie chciałem, żeby się tu czuła jak więzień. Słowo daję, że nigdy nie wspominała o żadnych planach ucieczki lub wypisu na własne żądanie.

- To dziwne - zauważył Rob Morrison, który akurat wszedł do pokoju. - Czyżby nabrała już sił na tyle, żeby wyjść stąd bez pomocy?

- Owszem, nabierała sił z minuty na minutę - potwierdziła Maggie. - Leżała tu tylko przez cztery dni, więc mięśnie jeszcze nie zdążyły zwiotczeć. Czy spotkałeś kogoś, kto wie coś więcej na ten

temat, Rob?

- Nikt nic nie widział. - Rob potarł ręką kark, aż zatrzeszczały kręgi szyjne. - To się w ogóle nie trzyma kupy. Niby dlaczego miałyby nagle zniknąć jak kamfora? Czy nie wspominała pielęgniarce, że na przykład chce się wypisać lub coś podobnego? Ona musi gdzieś tu być. Kazałem moim ludziom przeszukać szpital od piwnic po strych. Ochroniarze patrolują parkingi i całe otoczenie szpitala. Nie wypuszczą jej, choćby schowała się pod samochodem.

- Przesłucham, kogo tylko się da - dodała Maggie. - Ktoś przecież musiał ją widzieć, jak wychodziła. Nie mogła rozpuścić się w powietrzu niczym duch!

- A może ktoś ją porwał? - odezwał się nagle Paul. Otworzył usta po raz pierwszy, odkąd ponad trzy godziny temu wyszliśmy z przyjęcia u Tarcherów. Odwróciłem się do niego.

- Uważasz, że ktoś miałby powody, aby ją porwać?

- Nie wiem, ale na przykład ktoś mógł się obawiać tego, co zapamiętała z tamtej wtorkowej nocy. Przecież przepadła wtedy na trzy godziny, a czy wiemy, gdzie była i co robiła? - Przerwał na chwilę i dodał, tym razem szeptem: - Mogła to zrobić nawet Laura, bo dalej nie rozumiem, co zaszło między nimi. A jeśli nie ona, to kto?

Ta wersja nie zgadzała się z wizerunkiem Laury, jaki pozostał w mojej pamięci, bo w głowie mi się nie mieściło, aby była do czegoś takiego zdolna. Jednak Jilly uważała Laurę za osobę niebezpieczną i zarzucała jej, że ją zdradziła!

- No, dobrze - zgodziłem się, ale złapałem Paula pod ramię i wyciągnąłem z pokoju Jilly, rzucając po drodze w stronę Maggie i Roba: - Przepraszam was, ale musimy sobie z Paulem to i owo wyjaśnić, i to szybko!

- Laura mogła ją porwać! - powtórzył Paul, gdy znaleźliśmy się na pustym o tej porze szpitalnym korytarzu.

- Przypuśćmy, że to zrobiła, ale jak? Przystawiła jej pistolet do skroni czy przerzuciła sobie przez ramię? Gdyby tak było, przynajmniej jedna osoba musiałaby zobaczyć je razem, bo przecież nie schowała jej do kieszeni! Nie, Paul, to śmieszne, ale wyciągnąłem cię na stronę także po to, żeby nareszcie dowiedzieć się prawdy. Czy byłeś w łóżku z Laurą?

- No więc dobrze, nie byłem! - wyrzucił z siebie, ale zaczerwienił się przy tym po korzonki włosów.

- W takim razie, dlaczego oczerniłeś niewinną kobietę?

- Bo chciałem się z nią przespać, ale dała mi kosza. Zmyśliłem to, żeby się na niej zemścić.

- Bzdury pleciesz, Paul. Co warta taka zemsta, przecież nie mogłeś wiedzieć, czy kiedykolwiek w życiu spotkam się z Laurą.

- Wiem, Mac, ale ja po prostu marzyłem, żeby się z nią przespać, więc tak sobie fantazjowałem. Przyznaję, powiedziałem, ale teraz odszczekuję. Wystarczy?

- Jilly wyraziła się w ten sposób, że Laura ją zdradziła - mówiłem powoli, cedząc słowa. - Jeśli nie miała na myśli tego, że się z nią przespałeś, jeśli to wszystko zmyśliłeś, to co mogła przez to rozumieć?

- Może wmówiła sobie, że Laura była moją kochanką?

- Paul wzruszył ramionami.

- Pewnie robiłeś przy niej jakieś aluzje, które mogła błędnie zinterpretować. - Aż się prosiło, żeby go trochę podpuścić!

- O rany, Mac, po ośmiu latach małżeństwa każdemu zdarzają się nieporozumienia. My też nie byliśmy święci.

- Kiedy ostatni raz widziałem się z Jilly, mówiła mi, że prawie nie wychodzicie z łóżka.

- No, wiesz, seks to jeszcze nie wszystko.

- A czy to prawda, że Laura była u was w tamten wtorek wieczorem?

- Ależ skąd! Przecież ci już mówiłem, że byliśmy tylko we dwoje, Jilly i ja, no i jeszcze ten pieczony halibut. Zresztą, jakie to ma znaczenie, czy była u nas, czy nie? Wracam do pokoju Jilly.

Odprowadziłem go wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem korytarza wychodzącego z holu. Tymczasem Maggie i Rob wyszli już z pokoju Jilly i ich głosy przemieszały się z głosami ochroniarzy.

Zauważyłem też siostrę Himmel, a za nią jeszcze chyba z sześcioro innych pracowników szpitala. Dała mi znak ręką, abym podszedł, a kiedy się zbliżyłem, spostrzegłem, że jest bardzo zdenerwowana, gotowa lada chwila wybuchnąć płaczem. Załamywała ręce, a jej bladość mnie zaniepokoiła, więc uspokajającym gestem dotknąłem jej ramienia.

- No, siostro...

- Panie MacDougal, to wszystko moja wina. Nie upilnowałam pani Bartlett i gdzieś przepadła!

Wypróbowałem na niej spokojny i rzeczowy ton głosu, który czasem okazywał się skuteczny w takich wypadkach.

- Może byśmy porozmawiali gdzieś na osobności? Siostra mogłaby mi bardzo pomóc! - zaproponowałem. Pokazała mi drogę do pokoju pielęgniarek, gdzie siedziały przy kawie dwie jej koleżanki. Jedna z nich akurat mówiła:

- Podobno chciała popełnić samobójstwo, ale ją odratowali. Pewnie teraz spróbuje znowu, może tym razem skutecznie...

Tymczasem jej interlokutorka zobaczyła mnie i zerwała się na równe nogi.

- O, pan MacDougal!

- Przepraszam panie na chwilę. Chciałbym z siostrą Himmel zamienić parę słów w cztery oczy.

Pielęgniarki ulotniły się w jednej chwili, więc podprowadziłem siostrę Himmel w stronę kanapy obitej brązową ceratą pamiętającą lepsze czasy sprzed mniej więcej trzydziestu lat.

- Proszę mi opowiedzieć, co tu się działo - zachęciłem, siadając przy niej.

Nabrała powietrza w płuca i zacisnęła rękę w pięść, aż się napięły jej potężne mięśnie. Była silną kobietą, więc i kolory zaczęły z wolna powracać na jej policzki.

- Pani Bartlett zachowywała się bardzo spokojnie - zaczęła swoją relację. - Nic dziwnego, miała o czym myśleć! Słyszałam, ile różnych pytań jej zadawano, aż w końcu odpowiedziała komuś, że pamięta wszystko jak przez mgłę. To oczywiście możliwe, ale nie wydaje mi się, żeby tak było... Zresztą, powiem panu wszystko, co mi leży na sercu. Gdyby nie to, że jadłam na obiad krewetki, siedziałabym przez cały czas przy pani Bartlett i nie doszłoby do tego nieszczęścia!

- Krewetki? - Musiałem aż zamrużyć z niedowierzaniem, bo pani Himmel uspokajająco poklepała mnie po ręku.

- No tak, skąd mogłam wiedzieć? Wprawdzie kiedyś też mi zaszkodziły, ale to było dawno, a te wyglądały tak apetycznie, że chciałam spróbować. I tak mnie pogoniło, że rzygałam jak kot, gorzej niż ten pan z dołu, co bierze chemioterapię! Zamiast na swoim posterunku, siedziałam w ubikacji, a pani Bartlett tymczasem spokojnie sobie wyszła, nikt nawet jej nie zauważył... Zwłaszcza że miała swoje rzeczy, doktor Bartlett przyniósł jej w walizce... Tak dla świętego spokoju, bo strasznie mu wierciła dziurę w brzuchu...

Pomyślałem sobie, że Paul będzie umiał opisać części garderoby, jakie przyniósł Jilly. Tymczasem siostra Himmel mówiła dalej:

- Dopiero co podsłuchałam, jak Brenda Flack, ta, co pracuje na OIOM-ie, rozmawiała z którąś z dziewczyn, że pani Bartlett uciekła stąd, żeby się zabić. Przykro mi, panie MacDougal, ale to całkiem

możliwe.

- Nie. Jilly powiedziała mi wyraźnie, że wcale nie chciała skończyć ze sobą, tylko straciła panowanie nad samochodem, a ja jej wierzę. Nie wiem jeszcze, dlaczego znikła stąd tak nagle, ale na pewno to ustalimy. Nie przypomina sobie siostra, czy nie zdarzyło się dziś coś dziwnego lub niepokojącego?

- Bo ja wiem... Zaraz, chyba dzwoniła ta młoda pani, która była tu wczoraj.

- Laura Scott?

- Rzeczywiście, tak się przedstawiła. Chciała rozmawiać z panią Bartlett, ale źle ją połączyli i w końcu się nie dodzwoniła. Czy to mogło mieć jakieś znaczenie? Te panie chyba się przyjaźnią, prawda?

Jeszcze o trzeciej nad ranem tkwiliśmy w punkcie wyjścia. Nie spotkaliśmy nikogo, kto widział Jilly bądź kogoś wynoszącego ją ze szpitala. Maggie Sheffield zredagowała odpowiedni komunikat, ale niewiele mogliśmy w nim podać. Nie mieliśmy żadnej wskazówki dotyczącej samochodu, jakim mogła się oddalić. Podaliśmy tylko rysopis uzupełniony o informacje Paula na temat stroju. Przywiózł jej bowiem szary dres z czarną lamówką i czarno-białe adidasy.

Przeprowadziłem szczegółowy wywiad w centrali telefonicznej, gdzie dowiedziałem się, że o godzinie 20.48 ktoś dzwonił do pokoju Jilly z automatu przy Piątej Alei w Edgerton. Laura dzwoniła około ósmej wieczorem, lecz nie uzyskała połączenia.

Odszukałem Paula, chcąc podzielić się z nim tymi informacjami. Siedział w pokoju Jilly z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Ktoś wieczorem dzwonił do Jilly z automatu w mieście - powiedziałem mu.

- Tu jest tylko jedna budka telefoniczna, przy Piątej Alei, naprzeciw delikatesów „U Grace” - wyjaśnił mi Paul.

- Czyli że każdy mógł urwać się na chwilę z przyjęcia u Tarcherów i wykonać ten telefon - podsumowałem. - Ty też, Paul.

- Rzeczywiście - przyznał, nie patrząc mi w oczy. - Cotter ma własny pogląd na tę sprawę. Uważa, że Jilly się wnerwiła, bo wszyscy z góry założyli, że chciała ze sobą skończyć. Chciała nas przestraszyć, żebyśmy się trochę o nią pomartwili, a wtedy wróci i roześmieje się nam w nos. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że Cotter był tu wcześniej i pomagał w poszukiwaniach.

- Chodźmy lepiej się przespać - zdecydowałem. - Zrobiło się późno, a mnie się już mózg lasuje. Do rana i tak nic nie zdziałamy, jedźmy do domu!

Chciałem zdrzemnąć się przynajmniej jakieś trzy godziny, zanim wybiorę się do Salem, aby odwiedzić Laurę.

11

Nazajutrz zaraz po siódmej rano stawiałem już swój samochód na parkingu należącym do osiedla szeregowych domków tuż obok parku. Wysiadłem i zacząłem od tego, że przede wszystkim rozejrzałem się dokładnie. Domki mogły mieć najwyżej trzy-cztery lata. Zaprojektowano je w stylu francuskiej prowincji, a każdy składał się z trzech segmentów oszalowanych jasnopopielatymi, drewnianymi panelami. W parku rosły głównie sosny i świerki, ale znajdowały się tam także place zabaw dla dzieci i staw zarośnięty liliami wodnymi, po którym pływały kaczki. Zanim wszedłem na teren osiedla, po drodze zauważyłem basen pływacki, pawilon klubowy, a nawet nieduże pole golfowe. Od razu przypomniałem sobie słowa Laury o jej niskich zarobkach w bibliotece i coś mi tu zazgrzytało. Mieszkania w takim osiedlu nie mogły być tanie.

Laura Scott otworzyła drzwi i na mój widok zamrugła z niedowierzaniem.

- Ładnie sobie mieszkaasz! - Pozdrowiłem ją jakby nigdy nic.

- Skąd się tu wzięłaś, Mac? - rzekła zamiast powitania.

- A ty, dlaczego nie byłaś wczoraj u Jilly? - zrewanżowałam się pytaniem. - Mówiłaś, że się do niej wybierasz.

Za całą odpowiedź tylko potrząsnęła głową, aż zafalowały jej długie, rozpuszczone włosy. Miała na sobie dobrze dopasowane dzinsy i luźną koszulkę, a na nogach adidas. Mimo to w moich oczach przedstawiała się bardzo elegancko i seksownie.

- Wejdz, Mac. Napijesz się kawy? Zaraz zaparzę.

- Chętnie - odpowiedziałem, bo jak mógłbym postąpić inaczej? Wszedłem więc za nią do najpiękniejszego mieszkania, jakie w życiu widziałem. Niewielki hol wyłożony był francuskimi płytkami w stylu rustykalnym, brzoskwiniowymi lub przedstawiającymi wiejskie scenki rodzajowe. Po jego lewej stronie znajdowały się dębowe schody prowadzące na piętro. Pod łukowatym sklepieniem przeszliśmy do ośmiokątnego salonu, zagospodarowanego na każdym centymetrze wolnej powierzchni. Pokój był utrzymany w żywych kolorach - w wykuszowych oknach leżały czerwone poduszki, a obicie kanapy zdobiły drukowane motywy mórz południowych. Liczne fotele, lampy i pozornie bezużyteczne bibeloty we wszystkich kolorach tęczy potęgowały wrażenie przytulności. Do wytworzenia odpowiedniego nastroju przyczyniały się również porozstawiane wszędzie kwiaty i rośliny doniczkowe, a na oparciu fotela siedział szpak azjatycki - gwarek, który skrzeczał i skubał dziobem piórka pod skrzydłem.

- To jest Nolan - zaprezentowała go Laura. - Nie umie mówić, tylko tak skrzeczy, ale może to i lepiej...

- Skuaak!

- On tak się wita z gośćmi.

- Cześć, Nolan! - odpowiedziałem ptaszкови i poszedłem w ślad za Laurą przez jadalnię do małej kuchenki, która wyglądała jak wycięta z czasopisma „Moje Gotowanie”. Spostrzegłem, że mieszkania w tych segmentach są dość duże, może nie tak jak mój dom, ale ustawne.

- Ile masz sypialni? - spytałem z ciekawości.

- Trzy na górze i jeszcze gabinet na dole. Nalała mi kawy, ale na propozycję mleka i cukru odpowiedziałem odmownie.

- Ładnie tu - zagaiłem.

- Miło mi.

- Czy mi się zdawało, czy przy każdym segmencie jest garaż na dwa samochody?

- Dobrze ci się zdawało, ale zanim podniesiesz brew jeszcze wyżej, pozwól sobie powiedzieć, że to mieszkanie odziedziczyłam po moim wujku George'u. Półtora roku temu, jeśli chcesz wiedzieć więcej.

Pewnie, że chciałem, bo to przynajmniej była jakaś konkretna informacja, której mogłem się trzymać.

- To wcześniej mieszkał tu twój wujek? Przytaknęła, sącząc powoli kawę. Przechyliła przy tym głowę na bok, wskutek czego jej długie włosy zwisały przy twarzy jak lśniąca kurtyna. Jakże chętnie zanurzylbym twarz w te włosy i przesiewał je między palcami! Zauważyłem przy tym, że nie nosiła stanika, więc nie mogłem się powstrzymać, żeby nie przełknąć śliny. Musiałem jednak opanować fizyczne pożądanie i trzymać się zasadniczego tematu mojej wizyty.

- A myślałem, że te domki nie mają więcej niż trzy lata...

- Zgadza się, bo wuj George kupił to mieszkanie, kiedy tylko rozpoczęto budowę osiedla. Zmarł półtora roku temu, ale wtedy ta chałupa w środku wyglądała zupełnie inaczej. Ściany były pomalowane na bure kolory, a w pokojach stały ciężkie, toporne mebliska, aż się niedobrze robiło na



sam widok. Oczywiście, wywaliłam to wszystko i świetnie się bawiłam, kiedy urządziłam mieszkanie po swojemu.

Skierowała się z powrotem do salonu, więc podążyłam za nią. Nolan przywitał nas okrzykiem „Skuaak”, co Laura tym razem podsumowała:

- On bardzo lubi kawę, ale pozwalam mu spróbować tylko trochę przed spaniem.

Wolałam jednak nie siadać na fotelu, którego oparcie upodobał sobie Nolan. Wybrałam inny, naprzeciw Laury, kryty bladożółtym jedwabiem. Obok tego fotela stał drewniany, ręcznie malowany stojak na czasopisma. Nie było w nim jednak gazet ani barwnych magazynów, tylko dwa kryminały, atlas świata i trzy książki podróżnicze.

- Nie odwiedziłam wczoraj Jilly, bo musiałam zostać dłużej w pracy - tłumaczyła się Laura. - Mieliśmy po południu zebranie Rady Nadzorczej, na którym wygłaszałam referat. No, a wieczorem do niej nie pojechałam, bo zwyczajnie źle się poczułam. Może pojedę dzisiaj.

Źle się poczuła? Ciekawe. Może jadła krewetki jak siostra Himmel, i też przez cały wieczór nie wychodziła z ubikacji?

- Ale teraz wyglądasz świetnie. Co to było, infekcja wirusowa czy zatrucie?

- Ani jedno, ani drugie. Po prostu strasznie bolała mnie głowa. Nie, żeby to była migrena, ale w każdym razie nic przyjemnego. Wróciłam z pracy o czwartej po południu i jak się wtedy walnęłam do łóżka, tak spałam aż do rana. Mniej więcej godzinę temu dzwoniłam do szpitala, żeby sprawdzić, co porabia Jilly i kiedy będę mogła ją odwiedzić, ale nikt nie umiał mi nic powiedzieć. Może dlatego, że to była dopiero szósta rano, więc nie chcieli mnie z nią połączyć. A co ciebie sprowadza o tej porze? Może ty mi powiesz, co się tam dzieje!

- A czego dotyczył twój referat na zebraniu Rady Nadzorczej? - zmieniłem temat.

Laura zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Jego tytuł brzmiał „Nowe Stulecie”. Chodziło o ekonomiczne podstawy działania biblioteki w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku, czyli, krótko mówiąc - co należy zrobić, aby utrzymać się na powierzchni.

- A ja przyjechałem do ciebie, bo Jilly zginęła! - Znów wróciłem do sedna sprawy.

Laura zerwała się na równe nogi, zrobiła dwa kroki w moją stronę i wykrzyczała mi prosto w twarz:

- To nieprawda, niemożliwe, żeby umarła! Przecież odzyskała przytomność i czuła się już dobrze, sam doktor mi to mówił! Dopiero co wczoraj do niej dzwoniłam i pielęgniara też mówiła, że wszystko w porządku!

- Więc nie rozmawiałaś wtedy bezpośrednio z Jilly?

- Nie, bo coś im się popieprzyło z telefonem i jedna pielęgniara przełączyła do drugiej zamiast do Jilly. Co tam właściwie się stało, Mac?

- Ona nie umarła, ale gdzieś przepadła. Po prostu zniknęła ze szpitala.

Laura cofnęła się tak gwałtownie, że strąciła ze stolika filiżankę z kawą. Filiżanka rozbiła się w drobny mak o dębową podłogę, a kawa pociekła cienkim strumyczkiem w stronę perskiego dywanika. Laura wydała tylko słaby jęk rozpacz i bezradnie patrzyła na rosnącą kałużę kawy, aż w końcu nie wytrzymałam. Najpierw podniosłem dywanik i usunąłem go z zagrożonego miejsca, a potem złapałem Laurę za rękę i przyciągnąłem do siebie. Początkowo lekko się opierała, ale po chwili sama zarzuciła mi ramiona na szyję. Z ustami w jej włosach powtórzyłem jeszcze raz:

- To, że Jilly zginęła, nie znaczy, że umarła, tylko że zniknęła. Przyjechałem do ciebie, bo może ty wiesz, dlaczego opuściła szpital.

Laura świetnie pasowała do mnie wzrostem, i nie tylko. Na wszelki wypadek odsunąłem ją od

siebie, aby móc zachować przynajmniej minimum obiektywizmu.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj około dziesiątej wieczór - wyjaśniłem, odstępując jeszcze o krok. - Nikt nie ma bladego pojęcia, gdzie może być. Liczyłem, że trochę nam pomożesz.

Nie ruszyła się z miejsca, w którym ją zostawiłem.

- Niby dlaczego właśnie ja? - obruszyła się. - Tak samo jak wy nie mam pojęcia, gdzie jest. Skąd miałabym wiedzieć? Poczekaj chwilę, Mac, muszę to wytrzeć.

Poczekalem, aż przyniesie z salonu papierowy ręcznik i na kolanach zetrze z podłogi rozlaną kawę. Gdy to robiła, uzupełniłem:

- O to chodzi, że nie ma najmniejszego śladu, żadnej wskazówki. Nikt nie widział jej wychodzącej, ani samej, ani z kimś.

Laura zbierała akurat skorupy z rozbitej filiżanki. Przysiadła na piętach i zaatakowała mnie frontalnie:

- A ty oczywiście myślisz, że maczałam w tym palce?

- Miałem tylko nadzieję, że może wiesz coś więcej niż inni - sprostowałem. - Choćby dlatego, że jeszcze wczoraj do niej dzwoniłaś. Nie, nie przerywaj, wiem, że się nie dodzwoniłaś. Ale wiem też, że Jilly nigdy cię nie lubiła. Może nawet bała się ciebie, bo uważała, że w jakiś sposób ją zawiodłaś. Wiem również, że chciała trzymać się od ciebie z daleka, nawet do tego stopnia, że twoja obecność pomogła jej wyrwać się ze stanu śpiączki. Po prostu nie chciała mieć z tobą nic wspólnego. Nie nabierzesz mnie także na historyjkę, że szukała w waszej bibliotece publikacji o niepłodności, choćby dlatego, że dopiero pół roku temu uświadomiła sobie, że chce mieć dziecko. Przedtem się tym nie martwiła.

Laura ze ściągniętą twarzą podniosła się z fotela, oddychając ciężko.

- Ja cię nie okłamuję, naprawdę w ten sposób poznałam Jilly! Sama też nie wiem zbyt wiele o niepłodności, ani jak długo trwa, zanim kobieta się upewni, że nie może zajść w ciążę. Może już od dłuższego czasu próbowała, ale nie mówiła ci o tym? To chyba możliwe, prawda? Jilly może nie miała wielkiego wykształcenia, ale na pewno nie była głupia.

- Naprawdę sądzisz, że Jilly nie miała wykształcenia?

- Tyle przynajmniej wiem od niej. Zwierzyła mi się, że ledwo przebrnęła przez szkołę średnią, a ukończyła ją tylko dlatego, że jeden z nauczycieli się do niej dostawiał. Natomiast wечно rozpływała się w pochwałach nad nadzwyczajnym umysłem Paula. Uważała go wręcz za geniusza i czuła się zaszczycona, że może go wspierać i dbać o niego. Mnie to śmieszyło, ale Jilly chyba naprawdę w to wierzyła i dlatego tak pragnęła urodzić jego dziecko. Wmawiała sobie, że będzie równie genialne jak on, chociaż z drugiej strony zdręczała się, co się stanie, jeśli dzidzius po niej odziedziczy ptasi mózdzek! W takiej sytuacji nie mówiłam jej, że Paul, jak na mój gust, jest za chudy, zaniedbany i zaczyna łyseć. Miałam tylko nadzieję, że akurat tych cech nie przekaże dziecku!

Jeśli kłamała, to trzeba przyznać, że robiła to nad wyraz umiejętnie!

- Ciekawe! - rozważałem głośno. - Czy to znaczy, że Jilly nigdy ci się nie przyznała, że jest magistrem farmacji i zajmuje się pracą naukową? I że ma już zaawansowaną rozprawę doktorską, tylko na razie odłożyła ją na bok, bo uznała prowadzone teraz doświadczenia za ciekawsze? Ale jakie mogła mieć powody, aby to przed tobą ukrywać, i dlaczego Paul w twojej obecności potwierdzał te kłamstwa? Przykro mi, Lauro, ale ci nie wierzę. Postaraj się znaleźć świadka, który widział cię wczoraj wieczorem, bo wprawdzie nie ma jeszcze dowodów, że ktoś uprowadził Jilly ze szpitala wbrew jej woli, ale wygląda mi na to, że możesz potrzebować alibi.

- Co... takiego? Obawiałem się już, że Laura zemdleje, bo zbladła jak ściana i na taką właśnie

białą ścianę się osunęła, o mały włos nie strącając lustra w kolorowej ramie. Zaczęła nerwowo kiwać głową w przód i w tył, a mnie było głupio, bo tak naprawdę to wolałbym utulić ją w ramionach i zanurzyć twarz w jedwabnej przędzy jej długich włosów.

- Skuaak! Laura rzuciła gniewne spojrzenie w stronę Nolana i obronnym gestem wyciągnęła ręce przed siebie.

- Niemożliwe, Mac, na pewno to wszystko zmyśliłeś! Jilly w rozmowach ze mną określała się jako gospodyni domowa bez żadnych kwalifikacji. Nawet śmieszył mnie ten jej wieczny kompleks niższości, bo przecież jest piękna, elokwentna i tak otwarta na wszystkich, że każdy musi ją polubić. A tu tymczasem okazuje się, że była specjalistką w dziedzinie farmakologii! W głowie mi się to nie mieści!

Wyglądała, jakby lada chwila miała się rozplakać. Potrząsała głową, aż jej długie włosy rozsypywały się na boki. Niemożliwe, żeby udawała, bo tak dobrze nie zagrałby najlepszy aktor!

- Wczoraj przez cały wieczór spałam! - dodała z rozpaczą. - Byłam sama i nikt mnie nie widział. Ale dlaczego Jilly mnie okłamała?

- Paul poinformował mnie też... - zadałem następny cios - że w tamten wtorek, kiedy Jilly miała wypadek, nie było u nich żadnej imprezy, zjedli kolację we dwoje. O dziewiątej Jilly wyszła, żeby przejechać się porsche, a on zamknął się w laboratorium i pracował. W końcu przyznał się, że wcale z tobą nie spał. Wprawdzie chciał, ale nic z tego nie wyszło, bo ty się nie zgodziłaś.

Laura na ślepo szukała drogi między oparciami foteli, aż namacała poduszkę kanapy i osunęła się na nią. Oparła głowę na rękach pod kaskadą opadających włosów.

- Ależ to zupełny bezsens! - szeptała we własne dłonie. - Nic z tego nie rozumiem!

- Witaj w klubie, bo ja też nie, ale to nie zmienia faktu, że Jilly gdzieś wsiąkła. Rozpłynęła się w powietrzu, czy co? - Postanowiłem jednak zaatakować ją frontalnie, czy mi się to podobało, czy nie. - Lauro, muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest, w jaki sposób ją przekonałaś, żeby z tobą poszła i jak ci się udało wyprowadzić ją ze szpitala, żeby nikt tego nie zauważył.

Tym razem Laura spojrzała na mnie wzrokiem skupionym i przenikliwym, a odpowiedziała tonem zdecydowanym, bez drżenia:

- Posłuchaj, Mac. Wszystko, co ci dotąd powiedziałam, było prawdą. Z tą imprezą też. Musiałam wyjść od nich wcześniej, żeby podać Grubsterowi lekarstwo, a jeśli później z przyjęcia wyszły nicy, to nie miało to nic wspólnego ze mną. Powtórzyłam ci tylko to, co usłyszałam od Paula i Jilly.

- A gdzie jest ten Grubster? - spytałem, rozglądając się wokoło. Nie wierzyłem bowiem, że w domu, gdzie ptak może łązić luzem po oparciu fotela, jest także kot.

- Nie wierzysz nawet w to, że mam kota, prawda? - Laura wstała z kanapy i wyszła z salonu. Słyszałem jej lekkie kroki na wewnętrznych schodach apartamentu, a po dwóch minutach wróciła, niosąc na rękę spasionego, pręgowanego kota. - To właśnie jest Grubster. Jak widać, lubi jeść, bo waży ponad siedem kilo. Dlatego też nie rusza się zbyt szybko, chyba że chodzi o jedzenie. Ma prawie osiem lat, a na widok Nolana tylko ziewa. Czasem najwyżej mierzą się nawzajem wzrokiem albo Nolan siada mu na grzbiecie i drapie go dziobem między uszami.

- Skuaak!

- Chodź tu, Nolan, przywitaj się z Grubsterem! - zawołała go Laura. Kot ziewnął i zwinął się w kłębek u jej boku. Gwarek zaś przeskoczył z fotela na kanapę, skąd mógł przyglądać się kotu. Grubster otworzył jedno oko i obdarzył ptaka obojętnym spojrzeniem. Z taką samą obojętnością Laura spytała mnie jakby nigdy nic:

- Chcesz jeszcze kawy, Mac? Kiwnąłem tylko głową, przenosząc równocześnie wzrok z Grubstera na Nolana. Czułem, że ktoś bawi się ze mną w kotka i myszkę, a ja nie znam reguł gry ani

też nie wiem, kiedy się skończy. Nadal nie miałem pojęcia, gdzie może znajdować się Jilly, a wymówka Laury na temat bólu głowy była dobra, bo nie dało się tego sprawdzić.

Tymczasem Laura przyniosła mi filiżankę świeżej, parującej kawy. Była jeszcze lepsza niż poprzednia, bo chyba dołała do niej kroplę likieru Amaretto. Napiłem się, licząc, że odzyskam jasność myśli. Laura poczęstowała mnie chrupiącymi, czekoladowymi ciasteczkami, jakby wiedziała, że je lubię. Specjalnie zjadłem dwa, aby wsiąknął w nie alkohol domieszany do kawy. Patrząc spod oka na Laurę, która spokojnie piła swoją kawę, zadałem jej kolejne pytanie:

- A kiedy byłeś w tamten wtorek u Jilly i Paula, co robiliście po kolacji?

- Bardzo trafne pytanie - rzekła, pociągając następny łyk kawy. - No więc przyjechałam do nich o wpół do siódmej. Jilly miała ochotę na rybę, Paul przygotował sałatkę ze szpinaku, a ja pomogłam zrobić grzanki z chleba natartego czosnkiem. Zjedliśmy to, potem słuchaliśmy muzyki, nawet tańczyliśmy z Jilly do kilku utworów. Paul sporo wypił. Jilly wiedziała, że nie będę mogła zostać do późna, bo nazajutrz od rana muszę być w pracy, no i Grubster jest w trakcie kuracji. Uprzedziła mnie, że spodziewają się jeszcze kilku osób, ale one przyjadą później, więc najwyżej spotkam się z nimi kiedy indziej. Zresztą w Edgerton zapowiada się niedługo prawdziwe przyjęcie.

- Czy to jest cała prawda, Lauro? - Wychyliłem się z fotela, aby dokładniej ją obserwować. Ponieważ milczała, upiłem jeszcze trochę kawy i dodałem: - Ejże, chyba nie dopowiedziałas wszystkiego.

Zamiast odpowiedzi zaczęła drapać Grubstera za uszami. Kot mruczał tak głośno, że słychać go było z mojego miejsca.

- Tak, jest coś jeszcze - przyznała w końcu. - Wolałabym o tym nie mówić, ale Jilly zaginęła, a wiem, że ty nie spocznesz, dopóki się nie dowiesz wszystkiego, choćby to akurat nie miało nic wspólnego z Jilly. - Przerwała na chwilę, aby wziąć głęboki oddech. - Kiedy Jilly wyszła do kuchni, Paul rzucił się na mnie, zaczął miętosić moje piersi i pociągnął mnie na kanapę. Całował namiętnie, próbował wepchnąć mi kolano między nogi... Całe szczęście, że Jilly zawołała go z kuchni, więc odskoczył jak oparzony. Dyszał jak miech, ale powiedziałam mu tylko, że jest łajdakiem, a kiedy Jilly wróciła, wymyśliłam naprędce historyjkę o chorym kotku, który musi dostać lekarstwo. Chciałam po prostu jak najprędzej stamtąd wyjść, a nie mogłam przecież powiedzieć Jilly, jakim draniem jest jej uwielbiany mąż. Ona go ubóstwiała i chciała za wszelką cenę mieć z nim dziecko, czy to nie straszne?

- I nigdy nie podejrzewałaś, że Jilly może być czymś więcej niż bezdzietną gospodynią domową?

- Żadne z nich nie próbowało nawet czegoś takiego zasugerować.

- Czy to już wszystko?

- Tak, przysięgam, że to są nagie fakty.

- Dobrze więc, powiedz mi jeszcze, jaką rybę jedliście na tę kolację?

Na jej twarzy nie odbiły się żadne emocje.

- Prawdę mówiąc, nie przepadam zbyt za rybami, więc nie zwróciłam na to uwagi, ale mógł to być albo okoń morski, albo halibut.

Co do ryby, odgadła prawidłowo za drugim razem, reszta posiłku zgadzała się z opisem podanym mi przez Paula... Jednak nagle poczułem tak obezwładniające zmęczenie, że utraciłem zdolność logicznego rozumowania. Wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju, ale nic to nie dało, bo miałem wrażenie, jakbym brnął w błocie.

- Co się stało, Mac? - zaniepokoiła się.

- Powiniennem już jechać - odpowiedziałem, nie przestając spacerować. Czuję, że muszę wydostać się stąd i odetchnąć świeżym powietrzem. Co się ze mną, do jasnej cholery, dzieło?

Zdawało mi się, że wiem, co. Najwyraźniej w ostatnim czasie za bardzo się sforsowałem. Wiedziałem, że powinienem dalej przesłuchiwać Laurę, ale za cholerę nie mogłem wymyślić, o co by ją jeszcze spytać.

- Do zobaczenia, Lauro! - rzuciłem i wyszedłem nie oglądając się za siebie, choć słyszałem, że coś za mną wołała. Tylko Nolan zaskrzeczał mi na pożegnanie.

W samochodzie pootwierałem okna, wyszukałem stację nadającą muzykę rockową i nastawiłem na cały regulator. Po drodze wstąpiłem do McDonalda na jeszcze jedną mocną kawę. W końcu zacząłem śpiewać piosenkę Król szos, a kiedy zapomniałem słów - mruczałem melodię, aby nie dać się wszechogarniającej senności. I tak jednak oczy mi się zamykały do tego stopnia, że waliłem czołem w kierownicę, a kiedy trzy lub cztery razy zjechałem z szosy - ledwo zdołałem zawrócić. Mało brakowało, a wbiłbym się pod ciężarówkę, która zrobiłaby ze mnie mokrą plamę. Kiedy jej kierowca zatrąbił mi nad uchem - strach otrzeźwił mnie na kilka minut, ale potem senność znów zaczęła brać górę.

Zrozumiałem, że nie zdołam dojechać do domu Paula. Spociłem się już przecież jak mysz i mało nie pogryzłem kierowcy ciężarówki! W tym momencie przyszedł mi na myśl szpital. Nie było do niego dalej niż jakieś sześć minut jazdy, więc powinienem się wyrobić, dopóki jeszcze jako tako trzymałem się szosy i tylko kilku kierowców dawało mi znaki klaksonem. Nie bardzo wierzyłem, że mi się to uda, ale jakoś dojechałem na parking przed izbą przyjęć, ścinając po drodze zaledwie jeden krzak. Chciałem wyłączyć silnik, ale już nie zdążyłem. Poczulem, że zginam się w pół i uchodzą ze mnie resztki sił. Nie miałem wyboru i poleciałem głową naprzód, uruchamiając czołem przycisk przy kierownicy. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałem i zapamiętałem, było wycie klaksonu.

12

- No, obudź się wreszcie, Mac, wracaj do nas, przecież widzę, że możesz!

Nie miałem wcale ochoty ruszyć się ani otworzyć oczu, ale nosowy głos nie ustępował.

Przypominałem sobie mętnie ten głos, ale działał mi na nerwy, gdyż przyprowadzał mnie o ból głowy. Kiedy więc w końcu zdołałem wydusić z siebie kilka słów, warknąłem:

- Odpieprz się!

- Nie wygłupiaj się, Mac - powtarzał Nosowy Głos. - Otwórz oczy, żebym zobaczył, że żyjesz.

- Oczywiście, że żyję! - wrzasnąłem, wściekły, że nie mogę podnieść ręki i przypalantować temu gadatliwemu typkowi. - Dajcie mi, do jasnej cholery, spokój!

Słyszałem, jak ten sam głos zwraca się do kogoś trzeciego. Odpowiedziała mu kobieta, w której rozpoznałem siostrę Himmel:

- Klepnij go po policzkach. To ci dopiero herod-baba, od razu chce policzkować mężczyznę!

- Nie, proszę mnie nie dotykać! - zaprotestowałem.

- No, dochodzi już do siebie - orzekł Nosowy Głos. W tym momencie byłem pewien, że poczułem na skórze jego oddech, a po chwili dotyk czegoś chłodnego na mojej nagiej piersi. Czyżby to miało znaczyć, że ktoś zdjął mi koszulę?

- Wszystkie czynności życiowe są w normie - dodał inny męski głos, którego nie rozpoznałem. - Tak, wraca już do nas.

Zdenerwowałem się jeszcze bardziej, że jakiś obcy facet wtrąca swoje trzy grosze.

- A pan niech pilnuje swego nosa! - warknąłem. - Nikt pana nie pytał o zdanie!

Posiadacz nosowego głosu zachichotał.

- Widzę, że trzeba dać mu jeszcze trochę czasu, żeby całkiem wrócił do formy. Grunt, że nic mu nie będzie.

- No właśnie. Spieprzaj pan! Kiedy jednak w końcu otworzyłem oczy - ujrzałem nad sobą doktora

Sama Coatesa, tego samego, który opiekował się Jilly. To on tak mówił przez nos.

- Witamy wśród żywych! - Uśmiechnął się do mnie. - Rozumiesz, co mówię, Mac?

- Rozumiem, ale co się właściwie stało? Co pan doktor tu robi i gdzie się podziała moja koszula?

- Wygląda na to, że udało ci się dojechać pod samą izbę przyjęć, zanim straciłeś przytomność.

Mało tego, osuwając się przycisnąłeś czołem klakson, aż zbiegli się tu wszyscy lekarze, pielęgniarki, ochroniarze i pacjenci!

Przypomniałem sobie wycie klaksonu.

- Czy to znaczy, że przedobrzyłem? Zanadto się sforsowałem, aż w końcu organizm odmówił mi posłuszeństwa?

- Paul opowiedział nam, że padłeś ofiarą zamachu terrorystycznego poza granicami kraju i dopiero niedawno wyszedłeś ze szpitala. To jednak nie ma nic wspólnego z twoim zasłabnięciem, spowodowanym wyłącznie wysokim poziomem fenobarbitalu w organizmie. Minęły już trzy godziny, odkąd ustaliliśmy przyczynę zatrucia i podjęliśmy leczenie, ale takie przypadki wymagają czasu. Możesz jeszcze czuć się trochę oszołomiony.

Słabo mi się zrobiło, kiedy uświadomiłem sobie, jakie leczenie mogło tu wchodzić w grę.

- Tylko proszę, nie mówcie, że płukaliście mi żołądek! Raz to widziałem i od razu mnie zemdliło.

- Przykro mi, Mac, ale musieliśmy to zrobić. Nie mieliśmy innego wyjścia, a zresztą i tak byłeś nieprzytomny. Podaliśmy ci też węgiel, aby wchłonął resztki trucizny. Stąd się wzięły te czarne plamki na twojej górnej wardze i na piersi. Nie dziw się też, że masz założoną kroplówkę i przewody doprowadzające tlen. Na wszelki wypadek potrzymamy je jeszcze przez pewien czas, w razie gdybyś poczuł się gorzej. Gardło cię nie boli?

Bolało, więc przytaknąłem. W końcu mój mózg zaczął działać jak trzeba.

- Mam przez to rozumieć, że to było zatrucie fenobarbitalem?

- Tak, chociaż nikt nawet nie próbuje sugerować, że usiłowałeś popełnić samobójstwo. Powiedz od razu, Mac, kto mógł podać ci to świństwo?

Powiodłem spojrzeniem po twarzach doktora Coatesa, siostry Himmel i trzeciego, nieznanego mi faceta.

- O, kurczę blade... - zacząłem, a już po kilku sekundach doktor Coates mógł uwierzyć, że całkowicie odzyskałem świadomość. - Słuchajcie, panowie, to bardzo ważne. Niech policja jedzie natychmiast do domu Laury Scott w Salem. Byłem tam dziś rano i może to ona próbowała mnie zabić.

Doktor Coates nie był już najmłodszy, ale potrafił ruszać się bardzo szybko. W okamgnieniu wyskoczył z pokoju. Przy mnie została siostra Himmel, która poklepała moją rękę.

- Nie martw się, Mac, wszystko będzie dobrze. A to jest doktor Greenfield, któremu przykazałeś, by pilnował własnego nosa.

Doktor Greenfield okazał się kościstym, starszym panem z czarną brodą i zieloną muszką w białe groszki.

- Przepraszam, panie doktorze. Chwała Bogu, że żyję. Dziękuję panu.

- No, muszę powiedzieć, że jeszcze nie jest pan całkiem zdrow - zauważył. - Chyba miał pan przedtem jakiś wypadek.

- Tak, zgadza się - bąknąłem.

- Jest pan młody i silny, więc powinien pan wyjść z tego bez szwanku. Zostawiam pana w dobrych rękach. - Odwrócił się na pięcie, gestem pożegnał siostrę Himmel i wyszedł.

- Doktor jest naszym głównym konsultantem - wyjaśniła siostra Himmel. - Niech pan teraz odpocznie. Ciekawe, dlaczego ta kobieta miałaby pana zabić?

- Też chciałbym wiedzieć. Odwiedziłem ją dziś rano, bo przypuszczałem, że może mieć coś

wspólnego ze zniknięciem Jilly. Niczego się jednak nie dowiedziałem, ale poczęstowała mnie kawą, po której poczułem się dziwnie zmęczony, więc czym prędzej chciałem stamtąd wyjść.

Tak naprawdę to chciało mi się płakać, wręcz wyć. Jak mogłem tak fatalnie pomylić się co do Laury?

- Mało brakowało, a w ogóle nie dotarłbyś do nas, Mac wtrącił się doktor Coates, który właśnie wrócił na salę.

- Dlaczego od razu nie zjechałeś gdzieś na parking, żeby się przespać?

- Z pewnych powodów nie brałem w ogóle tej ewentualności pod uwagę. Myślałem tylko o tym, żeby za wszelką cenę dojechać do Edgerton, postój nie wchodził w grę. Pewnie dlatego w końcu straciłem przytomność.

- No, dobrze, że jednak do nas dotarłeś, bo niektóre odcinki tej szosy są trudne nawet dla przytomnego kierowcy.

- O mało nie wpakowałem się pod ciężarówkę, ale wtedy na chwilę podniósł mi się poziom adrenaliny. Śpiewałem na głos, byleby tylko nie zasnąć, bo nie mogłem sobie pozwolić, żeby stoczyć się z klifu, tak jak Jilly. Po prostu musiałem dojechać. - Przerwałem na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza. - Czy wiadomo już, co się dzieje z Laurą?

- Detektyw Minton Castanga da nam znać, kiedy tylko policja wkroczy do jej mieszkania i zbada sytuację. Wystarczyło, że na jednym oddechu powiedziałem mu o usiłowaniu zabójstwa i o agencji FBI.

- Pewnie dawno już jej tam nie ma. Jeśli chciała mnie zabić, to nie przypuszczam, aby czekała, aż ją złapią.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że jeśli Laura rzeczywiście to zrobiła, to pójdzie siedzieć. Tylko właściwie za co? Co takiego ukrywa, że aż uznała za konieczne usunięcie mnie z drogi?

- Tego na razie nie wiemy. Musimy poczekać, aż ją złapią i sama się przyzna - rzekł doktor Coates. - Dawka narkotyku, jaką otrzymałeś, nie była śmiertelna i prawdopodobnie przeżyłbyś także i bez naszej pomocy. Zobaczmy, co ona zezna.

- Obawiam się, że jej nie złapią. - Potrząsnąłem głową. - Jest za sprytna, aby zostać tam i czekać. Siostra Himmel zmierzyła mi ciśnienie, a doktor Coates jeszcze raz mnie osłuchał.

- Aha, byłbym zapomniiał! - zreflektował się. - Doktor Paul Bartlett strasznie się o ciebie denerwował, chodził od ściany do ściany, aż odesłaliśmy go do domu. Zadzwońię do niego, żeby przywiózł tu panią szeryf i tych wszystkich twoich przyjaciół, którzy chcieli wejść, żeby cię zobaczyć. Maggie wspominała, że zadzwoni do FBI i przekaze im, co się stało.

- O rany! - jęknąłem. - A pan doktor oczywiście jej tego nie wyperswadował?

Jasne było, że Maggie musiała rozmawiać z moim bezpośrednim przełożonym, „Dużym Carlem” Bardolino. Bezradnie spojrzełem na aparat telefoniczny stojący na mojej nocnej szafce. Nie miałem innego wyjścia, tylko sam też musiałem wykonać ten cholerny telefon. Sekretarka połączyła mnie z Dużym Carlem. Przepracował już dwadzieścia pięć lat w branży i wysoko go ceniłem, ale nie należał do ludzi, którzy łatwo na wszystko się godzą. Dlatego znacznie bardziej wolałbym nie rozmawiać z nim na ten temat.

- To ty, Mac? Co się z tobą, do jasnej cholery, dzieje? Szeryf z tej jakiejś Pipidówki dzwoniła, że ktoś cię podtruł czy coś podobnego...

- Właśnie, szefie, dzwonię, żeby pana zawiadomić, że już się czuję dobrze, a tutejsza policja prowadzi w tej sprawie dochodzenie.

- Kurczę, pewnie dałeś się omotać jakiejś babie, co? Ile razy mam wam, gówniarze, powtarzać,

żebyście uważali na te wasze rozhukane hormony? Tylko się kompromitujecie lub raczej, przepraszam, trujecie!

- Racja, szefie, ale tym razem nie o to chodzi.

- No, dobrze już, dobrze, chyba mówisz prawdę, bo wiem, że nie umiesz kłamać. Ile razy wam mówiłem, że przede wszystkim macie zachować czujność?

- Chyba ze sześć.

- No właśnie, i wszystko na nic, jakby grochem o ścianę! Chwalić Boga, mam już pięćdziesiąt trzy lata i nie w głowie mi takie głupoty, ale widzę, że ty jeszcze nie zmądrzałeś. Miałeś przecież odpoczywać, a dajesz się truć! Jak się teraz czujesz i co z twoją siostrą?

- Po tamtym wypadku już doszła do siebie, ale za to gdzieś zniknęła ze szpitala i nie wiem jeszcze, gdzie jej szukać. Niepotrzebnie ta pani szeryf pana niepokoiła.

- Tylko spróbuj znowu coś sobie zrobić, to ci natrę uszu, rozumiesz? FBI to nie partyzantka.

- Rozumiem, szefie, ale ja nie uprawiam żadnej partyzantki. Chodzi mi tylko o to, żeby ustalić, co się stało z moją siostrą. Nie wszcząłem jeszcze w tej sprawie oficjalnego śledztwa, ale byłbym rad, gdyby pan pozwolił mi się tym zająć.

Duży Carl chrząknął, a ja wiedziałem, że pewnie już o mało nie przegryzł swojego cygara.

- Ale masz być ze mną w kontakcie, zrozumiano?

- Tak jest, szefie, rozumiem. Poczuję taką wdzięczność i ulgę, że szybko zasnąłem.

Specjalne urządzenie pompowało do mojego nosa tlen, a prosto do żyły płynęła kroplówka.

Po przebudzeniu spostrzegłem przy łóżku nieznanego mężczyznę, który wyraźnie patrzył na mnie. Był to elegancki blondyn o wąskim nosie i przenikliwym spojrzeniu, w białej koszuli i wypolerowanych do połysku włoskich półbutach. W zakłopotaniu pocierał długimi palcami starannie wygolony policzek. Na oko mógł mieć około czterdziestki, wyglądał na wysportowanego, ale w niczym nie przypominał lekarza.

Kiedy zauważył, że wracam do życia, przemówił rozwlekłym akcentem stanu Alabama:

- Jestem detektyw Minton Castanga z komendy policji w Salem. A pan nazywa się Ford MacDougal i jest pan agentem FBI, który poszukuje swojej siostry, prawda?

- Zgadza się.

- To jeszcze nie wszystko. Leży pan tutaj, ponieważ ktoś dosypał panu fenobarbitalu do kawy.

- Nawet wiem, kto. Laura Scott, znaleźliście ją?

- Owszem, w ciągu dziesięciu minut po telefonie od doktora Coatesa byłem w jej mieszkaniu.

Tyle tylko, że niczegośmy się od niej nie dowiedzieli.

- Pewnie, to chytra sztuka. Nie wierzyłem, że ją w ogóle złapiecie.

- Źle mnie pan zrozumiał. Kiedy weszliśmy do mieszkania, zastaliśmy ją nieprzytomną. Kot leżał zwinięty w kłębek na jej plecach, a gwarek siedział na krześle tuż przy głowie.

Z wysiłkiem uniosłem się na łokciach, tak mnie zaskoczyła usłyszana wiadomość.

- Ale chyba nie umarła, prawda? - Oczekiwałem, że utwierdzi mnie w tej nadziei.

Detektyw pokręcił głową, jakby wspomagając swój wysiłek myślowy.

- Skądże znowu, żyje. Leży w szpitalu miejskim w Salem, tam jej płuczą żołądek, podają tlen, tak samo jak przedtem panu. Powiedzieli, że z tego wyjdzie. Wracając do tego, o czym mówiliśmy, skończył pan na tym, że poczęstowała pana kawą. Pan ją wypił i ona też piła w pana obecności?

- Tak. - Usiłowałem przypomnieć sobie przebieg wydarzeń. - Z tym, że przy mnie wypła najwyżej pół filiżanki. Ja wypilem dwie, więc dostało mi się więcej tego paskudztwa.

- Czy w mieszkaniu był jeszcze ktoś trzeci, czy tylko was dwoje?

- Tylko ja z Laurą, kot i ptak. Przynajmniej nikogo więcej nie widziałem.



- Mamy więc dwie możliwości - podsumował policjant z uśmiechem, trochę ironicznym, a trochę konfidencjonalnym. - Po pierwsze, ktoś chciał zabić was oboje, ale to się nie trzyma kupy, chyba że ten ktoś wiedziałby, że pana u niej zastanie.

- Nie mówiłem nikomu, że się do niej wybieram.

- Jeśli tak, to znaczy, że przypadkowo stał się pan ofiarą zamachu, którego celem była pani Scott.

- Ale kto mógł chcieć zabić Laurę? - Zaraz pożałowałem, że to powiedziałem, bo w ten sposób rzucałem na nią cień podejrzania.

- Na razie nie mamy żadnego śladu. Musimy poczekać, aż ją przesłucham. Pan w każdym razie nie przypuszcza, że próbowała pana zabić i, aby nas wprowadzić w błąd, sama zażyła narkotyk?

- Nie, taką możliwość zdecydowanie wykluczam. Na zdrowy rozum nie miałyby przecież żadnych powodów, aby mnie zabić. Z tego, co wiem, nie widzę w niej żadnej winy. Niech pan mnie źle nie zrozumie, ale tu się równocześnie dzieje wiele rzeczy i nie wszystkie zdążyłem dotąd rozgryźć. Chociażby ten wypadek mojej siostry, a później jej tajemnicze zniknięcie. Jilly była przekonana, że Laura w jakiś sposób ją zdradziła. Nie chciała jej widzieć, a może nawet się jej bała, chyba że wszystko to zmyśliła. Tak czy owak, nie widzę powodu, dla którego Laura chciałyby się mnie pozbyć.

- Chyba że pan stał się za bardzo dociekliwy... - zaczął detektyw, ale w tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy. Przeprosił mnie i podszedł do okna.

Ja tymczasem spróbowałem powoli zsunąć nogi z łóżka. Nie mogłem przecież leżeć tu jak worek, wystarczy, że przeleżałem tak dwa tygodnie w szpitalu Bethesda! Okazało się jednak, że rozebrali mnie do naga. Rozglądałem się więc, co by tu założyć. Tymczasem za moimi plecami znów odezwał się detektyw Castanga:

- Dzwonili, że pani Scott zaczyna odzyskiwać przytomność. Aha, i jeszcze jedno. Wysłałem do jej mieszkania chłopaków z zakładu medycyny sądowej. W drugiej sypialni znaleźli w apteczce flakon fenobarbitalu, prawie pusty. Został przepisany niejakiemu George'owi Grafionowi co najmniej rok temu.

Przypomniałem sobie, że George Grafton to był wujek Laury, który zapisał jej w testamencie mieszkanie. To jednak nie wyjaśniało, jakim sposobem fenobarbital znalazł się w kawie.

- Laura nie jest głupia - powiedziałem na głos. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że zrobił to ktoś trzeci. I słusznie pan powiedział, że ten ktoś zamierzał zabić Laurę.

Mówiąc to, próbowałem wstać, osłaniając się prześcieradłem i cienkim, szpitalnym kocem.

- A czy pani Scott spodziewała się innego gościa oprócz pana?

- Nic o tym nie wiem.

- Zamierzam ją przesłuchać, ale najpierw proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie, żebym nie musiał zaczynać od początku.

Powtórzyłem mu więc to, co słyszałem i pozytywnie zweryfikowałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jak na śledztwo w sprawie o usiłowanie zabójstwa miałem w zanadrzu śmiesznie mało faktów.

Detektyw Castanga coś sobie zapisał i zadał kilka pytań, ale głównie słuchał tego, co miałem do powiedzenia. Czulem, że słucha uważnie, co dobrze o nim świadczyło. Chował już notes do kieszeni, kiedy od wejścia usłyszałem syk wciąganego gwałtownie powietrza.

W drzwiach stała Maggie Sheffield w mundurze szeryfa. Nie patrzyła jednak na mnie, tylko na detektywa Mintonę Castangę.

- Cześć, Margaret! - Detektyw postąpił krok w jej kierunku, ale zaraz się zatrzymał, gdyż na jej twarzy malowała się jawna abominacja, czytelna nawet dla mnie. - Byłem ciekaw, czy tu przyjdiesz.

- Niby dlaczego miałabym nie przyjść, chyba jestem szeryfem! A co ty tu, do jasnej cholery, robisz?

- Znaleźliśmy Laurę Scott na podłodze w jej mieszkaniu, nafaszerowaną fenobarbitalem, tak samo jak agent MacDougal. Ładnie wyglądasz, Margaret.

- Ty też, Mint. Mint? Margaret? Co to, u licha, miało znaczyć?

- To wy się znacie?

- O, cześć, Mac! - Maggie zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół. - Widzę, że wciąż jeszcze masz imponujące blizny. Stoisz już mocno na nogach?

- Nie wiem, czy mocno, ale jakoś się trzymam.

Detektyw Minton Castanga dopiero teraz odpowiedział na moje pytanie, spoglądając chłodnym okiem na Maggie.

- Margaret była kiedyś moją żoną, panie MacDougal.

13

Laura leżała w sali nr 511 szpitala miejskiego w Salem. Stałem cicho przy jej łóżku, przyglądając się, jak oddycha powoli i równo. W jej nozdrzach wciąż tkwiły przewody doprowadzające tlen, a przez wenflon w ramieniu sączyła się do żyły kroplówka z soli fizjologicznej. Grunt, że żyła i wiadomo było, iż wkrótce dojdzie do siebie, tak jak ja. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie cieszyłem, wyjąwszy moment, kiedy Jilly odzyskała przytomność. Jej przynajmniej założyli szpitalną koszulę i okryli aż po pachy, nie tak jak mnie. Ktoś także zaczesał jej włosy, żeby nie spadały na twarz, leżały rozsypane na twardej, szpitalnej poduszce.

Pochyliłem się nad nią, lekko dotknąłem policzka i zagadałem:

- Lauro, powtórzę ci teraz to samo, co mnie nawijali do znudzenia, kiedy jeszcze nie mogłem się ruszyć. Obudź się, dosyć tego spania. Wróć do mnie!

Wargi Laury poruszyły się ledwo dostrzegalnie, układając się w kształt mojego imienia. Całkiem spontanicznie pochyliłem się jeszcze bardziej i delikatnie pocałowałem jej blade usta.

- Tak, to ja, Mac. Lubię, jak wymawiasz moje imię. Powtórz je jeszcze raz. Wróć do mnie, Lauro.

- Właśnie chcieliśmy ją wybudzić, ale widzę, że pan świetnie to robi! - Usłyszałem za sobą głos, który zidentyfikowałem jako należący do wysokiej kobiety w białym fartuchu. - Niech pan ją zachęci, żeby otworzyła oczy. Pan jest jej mężem?

Zabawne, ale wcale nie zabrzmiało to źle. Jakoś mi nie przeszkadzało, że znam Laurę dopiero od dwóch dni.

- Nie, jestem jej przyjacielem - wyjaśniłem.

- A ja jej lekarką prowadzącą. Nazywam się Elsa Kiren. Czy mam pana zastąpić albo przysłać tu którąś z pielęgniarek?

- Dziękuję, ale zostanę przy niej. Ja też dopiero co obudziłem się po takim samym zatruciu, więc wiem, co teraz dzieje się w jej głowie.

- Dobrze, ale jeśli pan będzie potrzebował pomocy, proszę zawołać. Będę w pobliżu - obiecała i wycofała się.

Wróciłem do Laury, zastanawiając się, czy też byłem taki blady, zanim się obudziłem.

- Posłuchaj mnie, Lauro. Przemyślałem całą sprawę dokładnie i doszedłem do wniosku, że ja wpłatałem się w to przypadkiem, natomiast ktoś dybał na twoje życie. Obudź się, bo musimy sobie to wszystko dobrze poukładać. No już, otwórz oczy! - Poklepałem ją po policzku. - Zrozum, że ktoś chciał cię zabić!

- Nie bij mnie, głuptasie!

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha i trzepnąłem ją w drugi policzek.

- Tak, masz rację, jestem głuptas. Wydała gardłowy dźwięk podobny do gniewnego mruczenia jej kota.

- Kiedy stąd wyjdę, pojedę do twojego mieszkania i zajmę się Nolanem i Grubsterem, tylko musisz mi powiedzieć, czego im trzeba. Obudź się, Lauro, pomyśl o swoich zwierzakach!

Powoli otworzyła oczy, choć nie od razu mnie poznała. Widziałem, jak stopniowo w jej oczach zapala się iskierka, co oznaczało, że umysł zaczyna pracować na pełnych obrotach.

- Cześć! - przywitałem ją. - Spokojnie, ładuj akumulatory. To może trochę potrwać, ale już ci niewiele brakuje.

- Mac, chyba to nie ty podałeś mi narkotyk? W życiu nie uwierzę. Dlaczego miałbyś to zrobić?

- Dobrze, że nie wierzysz, bo ja tego nie zrobiłem. Jeszcze dwie godziny temu też leżałem jak worek. Ktoś chciał załatwić nas oboje.

Zrobiła oczy jak spodki, jej wzrok nie był już zamglony.

- Tak mnie strasznie boli głowa! - poskarżyła się.

- Wiem, mnie też bolała, ale to przejdzie, mnie już prawie nie boli. Jak myślisz, kto mógł nas tak urządzić?

- Nie mam pojęcia. Ktoś musiał dosypać tego świństwa do kawy, bo oboje ją piliśmy. Ty nawet więcej, o ile pamiętam.

W tym momencie po mojej prawej stronie poruszył się jakiś cień. To detektyw Minton Castanga wszedł do sali, w której leżała Laura. Wyczułem, jak napięła mięśnie, przybierając postawę zaczepno-odporną.

- Był tu, jeszcze zanim się obudziłam. To jakiś nieprzyjemny facet. Odeślij go, Mac.

- Nie mogę, bo to policjant, ale nie bój się go. Detektyw Castanga z Komendy Policji w Salem próbuje odnaleźć tego, kto nas w to wpakował. Panie Castanga, pani Laura Scott obudziła się i może z nami rozmawiać.

Detektyw Castanga stanął po drugiej stronie łóżka Laury. W milczeniu przyglądał się jej przez chwilę, a potem swoim rozwlekłym głosem wycedził:

- Ma pani rację, że byłem tu już wcześniej. Przyglądałem się pani i próbowałem sobie wyobrazić, jak pani będzie wyglądać po przebudzeniu, ale moje przewidywania się nie sprawdziły. Cieszę się, że pani już doszła do siebie, bo musimy porozmawiać.

Na bladej twarzy Laury nie uzewnętrzniły się żadne emocje, ale bystrym, skupionym wzrokiem otaksowała detektywa i trudno było odgadnąć, co przy tym myślała. W końcu ledwo zauważalnie kiwnęła głową i oświadczyła:

- Proszę bardzo, panie śledczy.

- Agent MacDougal powiedział mi, że wczoraj w pani mieszkaniu byliście tylko wy, kot i ptak. Dobrze mówię?

- Tak, przynajmniej nie zauważyłam nikogo ukrytego w szafie. Jeśli ktoś tam był, musiał zachowywać się bardzo cicho.

- Słusznie pani przypuszczała, że wsypano wam fenobarbital do kawy. Prawdopodobnie był to ten sam preparat, jaki znaleźliśmy w pani apteczce.

- Ależ ja nie trzymam takich rzeczy w domu! Chyba że coś zostało po moim wuju George'u...

- Otóż to. Czemu nie wyrzuciła pani tych starych pigułek?

Laura wzruszyła ramionami, a przy tym ruchu zsunęło się z niej przykrycie. Bez namysłu poprawiłem prześcieradło i poklepałem ją po policzku.

- Bo ja wiem? Po prostu leżały sobie w apteczce. Słyszałam, że fenobarbital pomaga na kłopoty z zaśnięciem, więc trzymałam je na wypadek bezsenności. Przypuszczam, że nie było to zbyt mądre z

mojej strony.

W jednej chwili detektyw Castanga zrzucił maskę spokojnej uprzejmości, a przeobraził się w cynicznego, podejrzliwego gliniarza.

- A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, ktoś dostał się do pani domu, buszował w pani apteczce, nasypał wam obojgu fenobarbitalu do kawy, a pani przez cały czas nic nie zauważyła?

- Myślę, panie śledczy, że nie ma innej możliwości.

- A ja myślę, że jest. Równie prawdopodobne jest to, że pani nasypała tego środka do kawy i wypita trochę dla zatarcia śladów.

Rzuciłem mu karcące spojrzenie, ale nie zauważył go, koncentrując się na osobie Laury.

- Rozumiem, chce mi pan wmówić, że podtrułam najpierw Maca, a potem siebie? A może byliśmy kochankami, którzy postanowili wspólnie popełnić samobójstwo? Proszę, niech więc mi pan powie, dlaczego miałabym zabić Maca?

- Ponieważ za dużo o pani wiedział i chciał panią zdemaskować.

Teraz ton jego głosu stał się ostry i sarkastyczny. Nachylił się nad Laurą, jakby rzucał jej w twarz oskarżenia. Zdecydowałem, że pozwolę mu na to przez trzy sekundy, nie dłużej.

- Przykro mi, panie śledczy, ale nie mam nic do ukrycia. - Już prawie chciałem przerwać to przesłuchanie, gdy Laura zmieniła ton na równie odstręczający jak ton detektywa. - Niech pan mnie zostawi w spokoju. Źle się czuję, głowa mnie boli i zimno mi, a pan z góry traktuje mnie jak przestępcę. Niech pan nie traci na mnie swojego cennego czasu, bo nie mam nic więcej do powiedzenia.

Detektyw Castanga wyprostował się, wyraźnie zaskoczony taką reakcją. Poznałem to po gwałtownym skurczu na jego policzku i nieco bardziej chrapliwym oddechu.

- Sądzę jednak, że próbowała pani zabić pana MacDougala, i mam zamiar to pani udowodnić.

- A to proszę bardzo, niech pan się zapędza we wszystkie możliwe ślepe uliczki za pieniądze podatników, widzę, że to panu jak najbardziej odpowiada. Rzygać mi się chce na widok takich gliniarzy jak pan!

Castanga próbował opanować śmiech, ale mu się to nie udało.

- Twarda z pani sztuka, pani Scott! Oj, coś mi się nie wydaje, żeby pani była tylko skromną bibliotekarką. Rozłożyła mnie pani na łopatki w pięknym stylu!

Miał rację, bo ona okazała się większym twardzielem niż on - trafiła kosa na kamień. Jednak śmiech detektywa Castangi ucichł równie szybko, jak się rozpoczął.

- Dobrze więc, dajmy na to, że przyjmę pani wersję. Załóżmy, że to pani była obiektem ataku. Zaczynamy więc. Mac, przysuń sobie krzesło, bo jesteś cały roztrzęsiony. Nie musisz grać roli obrońcy pani Scott, bo widzę, że ona świetnie sobie radzi bez ciebie. Może podać pani aspirynę?

Laura zażyła aspirynę. Doktor Kiren jeszcze raz pobieżnie ją zbadała, skinęła nam głową i opuściła pokój. Castanga usadowił się wygodnie na krześle, z otwartym notatnikiem na udzie. Ja natomiast siedziałem sztywno wyprostowany.

- No, to mówcie - polecił. - Widzę, że dobraliście się w korcu maku, więc powiedzcie mi przede wszystkim, kto mógłby pragnąć śmierci pani Scott.

Oboje milczeliśmy, bo nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć. W końcu wzruszyłem ramionami i przystąpiłem do rzeczy.

- Dla jasności, panie Castanga, mówiłem już panu, że przede wszystkim przyjechałem do Edgerton ze względu na moją siostrę Jilly. Natomiast z panią Scott poznaliśmy się dopiero dwa dni temu.

Detektyw zdawał się nie wierzyć mi, bo uniósł brwi na dobre dwa centymetry w górę. Zwrócił

się teraz do Laury, ale i ona nie udzieliła mu odpowiedzi, jakiej oczekiwał.

- Jakoś nikt taki nie przychodzi mi na myśl. W końcu jestem tylko bibliotekarką, nie znam się na tym.

W tym momencie nie miałem wątpliwości, że skłamała gładko i bez zająknięcia. Nie wiem, co pomyślał o tym detektyw, ale przez dłuższy czas przyglądał jej się uważnie.

- Wydaje mi się, Mac, że kłopoty zaczęły się wraz z twoim przyjazdem - oświadczył wreszcie. - Podaj mi nazwiska osób, z którymi miałeś do czynienia w Edgerton.

Odniosłem wrażenie, że Laurze to pytanie przyniosło ulgę. Wymieniłem więc posłusznie nazwiska wszystkich, których poznałem w Edgerton. Kiedy skończyłem, Castanga podsumował:

- Dobrze więc, mamy tu jakieś dwanaście nazwisk. Przeczytam je teraz na głos, a ty możesz dodać lub skreślić z tej listy, kogo zechcesz. Zaczniemy od najgrubszej ryby, Alyssuma Tarchera. Facet jest cholernie nadziany i ma olbrzymie wpływy; słyszałem, że we władzach stanowych, a nawet w Waszyngtonie. Wciągnąłeś go na listę razem z całą rodziną...

- A jak inaczej? - przerwałem mu. - Ale zaraz, coś jeszcze wydarzyło się w Edgerton od mojego przybycia. Przecież dwa dni temu załatwili Charliego Ducka, a Maggie do tej pory nie odkryła ani motywów zabójstwa, ani tego, z jakiego powodu splądrowano jego dom.

W tym miejscu poczułem nad nim przewagę, więc spojrzałem mu prosto w oczy i dodałem:

- Ona twierdzi, że Charlie był przypadkową ofiarą. Może ma rację, ale kto wie...

- Tak, to rzeczywiście paskudna sprawa! - przyznał Castanga. - Tym bardziej, że dziadek był emerytowanym gliniarzem, który kiedyś podobno miał niezłą opinię.

- Tak, Maggie wspomniała mi o tym.

- Już dawno temu odszedł z Komendy Policji w Chicago. Muszę zapytać Maggie, czego tymczasem dowiedziała się w tej sprawie. Miała wysłać zwłoki do Portland, żeby zrobili sekcję, chociaż i tak widać było, że śmierć nastąpiła od ciosu w głowę. Jednak zawsze lepiej sprawdzić, bo nie wiadomo, co się jeszcze okaże. Maggie naciskała, żeby odesłali ciało do wtorku, bo na ten dzień wyznaczony jest pogrzeb.

Następnie zwrócił się do Laury.

- Pani twierdzi, że nie ma pani wrogów. Proszę więc zrobić listę osób, które zna pani w Salem i razem ją potem przejrzymy.

Laura potakująco kiwnęła głową, ale zaraz przymknęła oczy. Była blada i wyglądała na zmęczoną. Podejrzywałem, że sam wyglądam nie lepiej.

Zastanawiałem się, czy powinienem powiedzieć mu o ostatnich słowach Charliego. Po namyśle zdecydowałem się pozostawić decyzję w tej sprawie Maggie.

Pomyślałem także o Jilly i Paulu. Czyżby nienawidzili Laury tak mocno, że postanowili wyprawić ją na tamten świat? Może Jilly o własnych siłach opuściła szpital, pojechała do Salem, wdarła się do mieszkania Laury i wsypała fenobarbital do puszek z kawą?

- Czy Jilly miała klucz do twojego mieszkania? - spytałem Laury, choć te słowa z trudnością przeszły mi przez gardło.

- Chyba nie, choć odwiedzała mnie od czasu do czasu... Na razie muszę wziąć silniejszy środek przeciwbólowy, bo łeb mi pęka!

Detektyw Castanga podniósł się z krzesła i wsunął notatnik do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Dobrze, wystarczy na razie. Porozmawiamy o tym, kiedy pani się lepiej poczuje. Tymczasem postawię funkcjonariusza pod drzwiami pani domu.

- Dziękuję, panie śledczy. - Laura westchnęła, zamknęła oczy i odwróciła się plecami do niego.

- Idziesz ze mną, Mac? - zapytał mnie.

- Na razie nie chciałbym zostawiać jej samej. Nie zapominajmy, że ktoś chciał ją zabić, a trochę potrwa, zanim zdąży pan kogoś tu przysłać.

- Nie tak długo - pocieszył mnie detektyw. - Mam tu takiego chłopaka, trochę już się zdążył wypalić w naszej robocie, ale dobrze jej przypilnuje. Nazywa się Harold Hobbes, jest całkiem sympatyczny, ale jeśli zaszłaby taka potrzeba, nie wpuści tu nawet własnej matki. - To ostatnie zdanie skierował do Laury.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziała.

Podprowadziłem Castangę kawałek, wzdłuż szpitalnego korytarza, na którym nasze kroki wmieszały się w kakofonię odgłosów szpitalnych, czyichś krzyków, brzęczącej w tle muzyki, pikania urządzeń elektronicznych i przypadkowych przekleństw. Kiedy wróciłem do pokoju Laury, zastałem tam wysoką kobietę pochyloną nad jej łóżkiem.

- Hej, co tam się dzieje? - krzyknąłem i jednym krokiem byłem przy niej. Dopiero kiedy kobieta wyprostowała się i spojrzała na mnie pytającym wzrokiem, rozpoznałem w niej doktor Kiren.

- Pani Scott chciała mnie o coś spytać, ale jest tak zmęczona, że musiałam się nachylić, aby ją zrozumieć - wyjaśniła lekarka.

- Och, przepraszam.

- Do wieczora powinna czuć się już całkiem dobrze. Może nawet puścimy ją do domu...

Do domu? Nie, to stanowczo nie był dobry pomysł. Postanowiłem, że wymyślę coś innego. Tymczasem odezwał się pager doktor Kiren, więc w biegu przykazała Laurze odpoczywać i opuściła pokój. Przypomniałem sobie jeszcze o pogrzebie Charliego Ducker. Żeby tylko zdążyli odesłać z powrotem jego ciało, bo ceremonia ostatniego pożegnania musiała się odbyć jak należy.

Pochyliłem się jeszcze nad Laurą i musnąłem kciukiem czoło nad jej brwiami.

- Jeszcze przyjdę do ciebie dziś po południu - obiecałem. - Wtedy porozmawiamy, a na razie odpoczywaj. Harold Hobbes będzie pilnował twojego pokoju. Jeśli mimo to ktoś się tu wślisnie, po prostu krzycz.

- Dobrze... - odpowiedziała, nie otwierając oczu. Dopiero kiedy byłem już przy drzwiach, zawołała za mną: - Dziękuję, Mac!

- Nie ma za co.

- Tak mi przykro, że przeze mnie omal nie zginąłeś...

- Ja myślę! Kiedy pożegnałem się z Laurą, podjechałem pod jej dom. Ludzie Castangi skończyli już zabezpieczanie śladów, ale musiałem pokazać administratorowi odznakę FBI, żeby wpuścił mnie do środka. Grubster czekał pod samymi drzwiami na swoją panią. Na mój widok miauknął, obrócił się na miejscu i poszedł naprzód z ogonem uniesionym pionowo w górę.

- Czekał, zaraz dam ci jeść! - zawołałem za nim. Zupełnie jakby zrozumiał, zatrzymał się, podniósł lewą przednią łapkę, oblizał ją i usiadł tam, gdzie stał. Zagadywałem więc dalej: - Zobaczmy, gdzie pańcia schowała jedzonko dla ciebie?

Wyłożyłem na kocią miskę całą puszkę łososia z ryżem. Domieszałem do tego przygarść jakiejś suchej karmy, która jednak wyglądała tak nieapetycznie, że polałem to wszystko po wierzchu odtłuszczonym mlekiem. Grubsterowi najwidoczniej to zasmakowało, bo jedząc, przez cały czas mruczał. Postawiłem mu więc do dyspozycji pełną miskę wody i zabrałem się do wymiany zawartości kuwety. Grubster obserwował moje czynności i chyba doszedł do wniosku, że dobrze to robię, bo wychodząc z kuchni, przystanął na chwilę i potarł pyszczkiem moją nogę.

- Teraz kolej na ciebie, Nolan! - Gwarek, ledwo usłyszał swoje imię, wydał serię skrzekliwych wrzasków, które w ptasim języku najwyraźniej miały oznaczać polecenia. Zmieniłem mu więc wodę w poidełku, pokruszyłem na kawałki kromkę chleba i rozsypałem ziarna słonecznika po podłodze

klatki. Nolan zeskoczył tam natychmiast i zaczął z apetytem zajadać.

Wychodząc, przeniosłem wzrok z Grubstera na Nolana i z westchnieniem zawróciłem. Pogłaskałem kota i podrapałem go za uchem, a Nolan odprowadzał mnie ożywionym skrzeczeniem. Wychowałem się wśród psów, ale przez ostatnie cztery lub pięć lat nie trzymałem w domu żadnego zwierzaka. Jednak już po kilku minutach spędzonych w towarzystwie tych dwojga wydało mi się całkiem oczywiste, że muszę się z nimi uprzejmiem pożegnać. Zawołałem więc do nich:

- Cześć, na razie, niedługo po was wrócę!

- Skuaak! - odpowiedział mi Nolan. Natomiast Grubster nie zareagował, bo już spał.

Wczesnym popołudniem byłem już z powrotem w Edgerton. Wstąpiłem do delikatesów „U Grace” i zamówiłem kanapkę z tuńczykiem na żytnim chlebie, z pomidorami i piklami. Przy posiłku wypytywałem Grace, czy nie wie o jakimś domu lub mieszkaniu do wynajęcia, w mieście lub pod miastem, na przykład w pobliżu domku Roba Morrisona.

Grace była stanowczą kobietą, wysoką i szczupłą, z gęstymi, szpakowatymi włosami.

- Przypuszczam, że mógłby pan zatrzymać się „Pod Jaskrami”... - zaczęła z porozumiewawczym uśmiechem - ale Arlene Hicks nie jest zachwycona pańskim pobytem tutaj. Nawet nie przyjdzie jej na myśl, że przecież pieniądze nie śmierdzą. Powiedziała już panu, że nie ma wolnych pokoi, prawda?

Przytaknąłem, ale nie darowałem sobie kąśliwej uwagi:

- Może powinienem był ją uspokoić, że jeśli tylko nie szmugluje narkotyków, nie ma się czego obawiać?

- Cóż, nie można wykluczyć, że właśnie tym się zajmuje. Arlene to bardzo tajemnicza osoba. Mam dla pana coś lepszego, panie MacDougal. W południowej części miasta, prawie przy samym klifie, jest taki mały domek należący do Alyssuma Tarchera. Nazywa się „Chata pod Mewami”. W tej chwili stoi pusty, bo ostatni lokatorzy wyprowadzili się miesiąc temu.

- Ach, to świetnie! - Skończyłem kanapkę i wstałem od stolika. - Wybiera się pani na pogrzeb Charliego Ducka?

- Oczywiście, za nic nie opuściłabym takiej uroczystości. Przygotowałam już trzyminutowe przemówienie. Widzi pan, reprezentuję buddyjską grupę wyznaniową.

Uśmiechnęła się, widząc moje zmieszanie.

- Pani jest buddystką?

- Jeszcze nie całkiem, ale prawie dojrzałam do tego. Rzecz w tym, że według buddystów najłatwiej jest uzyskać wieczne zbawienie, czyli nirwanę. Wystarczy żyć uczciwie, myśleć uczciwie i odmawiać sobie właściwie wszystkiego. To już jest coś, prawda?

- Dobrze, ale skąd wiadomo, co jest uczciwe, a co nie? - odparowałem. Grace hardo podniosła głowę, ale tylko uśmiechnęła się i wyszedłem. Potem zadzwoniłem do Tarchera i nawet się zdziwiłem, że patriarcha Alyssum sam podniósł słuchawkę. Poinformowałem go, że chciałem wynająć „Chatę pod Mewami” i wyłuszczyłem powody. Nawet gdyby się okazało, że to on podał Laurze środek nasenny, w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia. Prędzej czy później i tak by się dowiedział, gdzie ona przebywa. Poza tym sam chciałem, aby tutejsi mieszkańcy dowiedzieli się, że działamy ręką w rękę z Laurą, i w tym celu zaplanowałem okopanie się na ich własnym zapleczu.

- ...więc sam pan rozumie, dlaczego nie mogę dopuścić, żeby pani Scott wróciła do domu - kończyłem wyjaśnienia. - Grace była taka miła, że poinformowała mnie o domku na klifie, który pan ewentualnie mógłby mi wynająć.

- No, to rzeczywiście niespodzianka, agencie MacDougal! - rzekł Alyssum Tarcher. - A więc będzie pan teraz pilnował pani Scott?

Z naciskiem dałem mu do zrozumienia, że Laura będzie teraz miała silną obstawę. Maggie ma zapewnić jej policyjną ochronę, ale ja wziąłem na siebie obowiązki głównego opiekuna.

- Wobec tego, panie MacDougal - sapnął potężnie Alyssum - wykażę obywatelską postawę i wynajmę panu ten dom na miesiąc za darmo!

Wprawdzie sprawy finansowe nie stanowiłyby dla mnie problemu, jednak podziękowałem mu wylewnie i umówiłem się na termin odbioru kluczy. Przewidywałem jedynie problemy ze skłonieniem Laury, aby wyprowadziła się z Salem i zamieszkała ze mną w Edgerton. No i może z wydobyciem od niej całej prawdy.

Do szpitala w Salem wracałem, mając na tylnym siedzeniu samochodu Grubstera i Nolana, a w bagażniku trzy walizki, do których załadowałem wszystko, czego Laura mogłaby potrzebować. Wjeżdżając windą na piąte piętro, wiedziałem już, jakim sposobem ją stąd wyciągnę.

14

Laura siedziała na brzegu łóżka. Zielona szpitalna koszula zsunęła się z jej lewego ramienia. Rozpromieniła się na mój widok.

- O, Mac, dobrze, że jesteś. Zaczynałam się już zbierać do wyjścia. Może byłbyś tak miły i odwiózł mnie do domu?

Zapewniłem ją, że zrobię to z przyjemnością. W szafie wisały jej rzeczy, które miała na sobie, kiedy ją przywieźli, więc wyszedłem, aby mogła się przebrać. Przez ten czas uciałem sobie pogawędkę z Haroldem Hobbesem, który nie krył swojego oburzenia.

- Co za draństwo, żeby jakiś skurwysyn chciał załatwić taką ładną babkę! - W tym przyznałem mu rację. - Ale tu nikt się nie zbliżył, nawet na przeszpiegi.

Zapukałem do drzwi pokoju i Laura odkrzyknęła, że już mogę wejść. Nie trzymała się jeszcze zbyt pewnie na nogach, ale wyglądała dużo lepiej niż przedtem. Pielęgniarka zwiozła ją windą na wózek, co wcale się jej nie podobało. Posadziłem ją na przednim siedzeniu taurusa i szybko zatrzaskałem drzwi.

- Co to ma znaczyć, Mac? - zaczęła, kiedy sadowiłem się za kierownicą. Zamiast odpowiedzi odwróciłem się i rzuciłem w stronę tylnego siedzenia: - Cześć, chłopaki! Wszystko w porządku?

- Skuaak!

- A co u ciebie, Grubster? Nie usłyszałem odpowiedzi.

- Co tu się dzieje, Mac? - Laura domagała się wyjaśnień. Ja tymczasem wyjechałem ze szpitalnego parkingu.

- A nic takiego, zrobimy sobie małe wakacje. Wynająłem dla nas uroczy, mały domek nad morzem. Nazywa się „Chata pod Mewami”. Będziemy mieszkać razem i do tego za frajer, bo pan Alyssum Tarcher był tak wspaniałomyślny, że na miesiąc umorzył nam czynsz!

Laura przetrawiała tę wiadomość przez mniej więcej dwadzieścia dwie sekundy.

- Niemożliwe, muszę wracać do Salem, inaczej stracę pracę.

- Bynajmniej, bo załatwiłem ci dwa tygodnie bezpłatnego urlopu. Powiedziałem w bibliotece, że zachorowałaś na boreliozę, a sam podałem się za twojego brata. Rozmawiałem z niejakim panem Dirksonem i chyba zrobiłem na nim wrażenie. To chyba dobrze?

- A co z moim mieszkaniem?

- Powiedziałem administratorowi, że wyjechałaś, i poprosiłem, by miał je na oku.

- Nie mam nic do przebrania...

- Wszystko jest w bagażniku.

Na razie skończyły się jej wymówki, a tymczasem wyjechaliśmy z Salem i skręciliśmy na szosę



- Uwierz mi, Lauro, naprawdę tak będzie lepiej - zapewniałem ją z uśmiechem. - Tyle tylko, że naszym gospodarzem jest Alyssum Tarcher, ale gdyby miał z tym zamachem coś wspólnego, i tak wiedziałby już, że się im wymknęłaś. Za to teraz niech wszyscy wiedzą, że nie jesteś sama, masz dobrą obstawę, a mianowicie niżej podpisanego.

- Co ty tam wiesz, Mac!

- Jeśli nawet nie wiem, to się niedługo dowiem. Nie myśl, że prowadzę cię prosto do jaskini lwa, bo będę tam z tobą i mam broń. Gdybyśmy uciekli, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co naprawdę stało się w Edgerton, a szczególnie z moją siostrą.

Czekałem, co Laura na to powie, ale się nie odezwała, tylko po jakimś czasie kiwnęła głową. Tymczasem zaczęło padać. Najpierw była to tylko mżawka, potem rozpadało się na dobre.

- Przykro mi, ale nie zabrałem twojego płaszcza od deszczu - powiedziałem. Ale Laura nie odzywała się przez następne jedenaście kilometrów, aż musiałem spytać: - No więc jak? Dobrze będzie?

- Naprawdę chcesz, żeby całe miasto się dowiedziało, iż ktoś szykował zamach na moje życie? Albo zamierzasz trzymać się wersji, że chodziło o nas oboje?

- Powiedziałem już Alyssumowi, że sprawa dotyczy tylko ciebie. Kiedy dojedziemy do Edgerton, wstąpię jeszcze do Paula, żeby wziąć jakieś rzeczy na zmianę. Muszę też zobaczyć się z Maggie, bo może dowiedziała się czegoś nowego o Jilly. No i niedługo będą już znane wyniki sekcji zwłok Charliego Ducka.

- Uważasz, że jego śmierć ma coś wspólnego z tą sprawą, prawda?

- Mój szef w FBI, Duży Carl Bardolino, zwykł mawiać, że w naszej branży nie zdarza się coś takiego jak zbieg okoliczności.

- Skuaak!

- Na tylnym siedzeniu jest torebka z ziarenkami dla Nolana. Możesz mu dać trochę, jeśli uważasz, że jest głodny.

Samochód jadący za nami zamierzał nas wyprzedzić. Nie świadczyło to zbyt dobrze o jego kierowcy, jako że wchodziliśmy właśnie w zakręt. Na wszelki wypadek zwolniłem i zjechałem na prawy pas, aby go przepuścić.

Laura sięgnęła po torebkę z nasionami słonecznika i chciała coś powiedzieć, gdy rozległ się trzask, a zaraz potem drugi. Odruchowo odchyliłem się do tyłu, nim zdałem sobie sprawę, że to kula przebiła szybę w oknie po prawej stronie, minęła o centymetry moją szyję i wypadła na zewnątrz przez moje okno, pozostawiając na szybie siatkę pęknięć.

Skręciłem gwałtownie kierownicą w prawo, a potem zaraz w lewo, ledwo unikając zderzenia czołowego. Oczywiście wyobraźni zobaczyłem siedzącego obok kierowcy mężczyznę podnoszącego pistolet. Tuż przed nami dostrzegłem ciemnoczerwoną hondę. Dodałem gazu, ale pod strachem Boga, bo przy takim deszczu mogliśmy łatwo wylecieć z szosy. Honda wyrwała się do przodu i ścięła ostry zakręt, ale wiedziałem, że taurus nie ma takiego przyspieszenia ani takiej zwrotności. Musiałem zwolnić, a zanim pokonałem zakręt, honda zwiększyła odległość między nami.

- O Boże, Mac, nic ci się nie stało?

- Nie, a tobie?

- Myślę, że nie, ale gdybym się akurat nie odwróciła...

- Wiem, wiem. Na razie usiądź normalnie i zapnij pas.

- Skuaak!

- W porządku, Nolan, niech ci się zdaje, że to taka fajna przygoda!

Laura zapięła pas, więc przyspieszyłem na tyle, że zdołałem wyprzedzić dwa wozy, chociaż z

drugiego omal nie zdrapałem lakieru. W uszach zadźwięczały mi ich klaksony. Zbliżyłem się nieco do hondy.

- Chyba ich nie złapiemy, ale może uda nam się odczytać numer rejestracyjny - podsunąłem Laurze.

- Spróbuję - obiecała i opuściła przebitą szybę. Do środka wdarły się strugi deszczu. Usiłowałem się odprężyć i swobodnie trzymać kierownicę, ale serce waliło mi mocniej, ilekroć spojrzałem na wylot kuli, otoczony pajęczyną pęknięć. Wyprzedziłem następny samochód - landrovera, którego kierowca puścił siarczystą wiązkę i pokazał mi obraźliwy gest palcem. Nie miałem mu tego za złe.

Od hondy dzieliło nas raptem ze czterdzieści metrów. Widziałem więc wyraźnie, jak z przedniego okna wychylił się mężczyzna z pistoletem w rękę i patrzył do tyłu.

- Padnij! - krzyknąłem Laurze. Posłusznie rozpląszczyła się na tylnym siedzeniu i w tym samym momencie pasażer hondy oddał pięć czy sześć strzałów.

- Ty też masz spluwę, prawda, Mac? - spytała.

- Mam, ale muszę ich pilnować.

- To daj mnie, umiem strzelać.

Nie bardzo mi się to uśmiechało, a ściślej mówiąc, była to ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem. Laura jednak zręcznie wyłuskała pistolet z kabury, którą miałem pod pachą.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła! Przynajmniej uważaj!

- Dobra, bylebyśmy mogli zbliżyć się do tej pieprzonej hondy!

Udało mi się zmniejszyć odległość do jakichś piętnastu metrów. Niestety, ten odcinek szosy 101 obfitował we wzniesienia, wiraże i wyboje. Dobrze, że przynajmniej deszcz nieco zelżał. Już prawie dostrzegałem numer rejestracyjny hondy, gdy znowu znikła za kolejnym zakrętem.

Laura ścisnęła kurczowo klamkę tylnych drzwi i czekała, tak skupiona i spokojna, że aż wydało mi się to podejrzane. Na wszelki wypadek zapytałem:

- Dobrze się czujesz?

- Ja świetnie, a ty siedź im na ogonie i spróbuj podjechać jeszcze ciut bliżej.

W jednej chwili wysunęła się do połowy przez otwarte okno i mimo siąpiącego deszczu wystrzeliła szybko połowę magazynka.

Kule roztrzaskały tylne okno hondy, prze? boczne natychmiast wychylił się mężczyzna z wycelowanym w nas pistoletem. Zanim jednak zdążył wypalić, Laura wystrzeliła dalsze trzy naboje. Najwyraźniej trafiła? bo widziałem, jak z jego ręki wyleciał pistolet i potoczył się po szosie, ale za zakrętem znów zniknęli nam z oczu.

Dodałem gazu i pokonałem zakręt, po to tylko, aby zobaczyć, jak na krótkim odcinku prostej honda zwiększa dystans dzielący ją od nas.

- Kurczę, myślałam, że ją trafię w tylne koło! - zżymała się Laura.

Po raz ostatni zobaczyliśmy hondę, jak zносиło ją po mokrej szosie, a kierowca usiłował wyprowadzić ją z poślizgu. U szczytu wzniesienia udało mu się to i błyskawicznie pomknął naprzód. Spróbowałem jeszcze przyspieszyć, ale przeszkodził nam deszcz. Na śliskim odcinku taurus wykonał pełny obrót w miejscu i zatrzymał się na poboczu o niecałe dwa metry od rowu.

- Cholera, nie zdołaliśmy spisać numerów! - narzekała Laura.

- No i dranie nam uciekli. Na drugi raz wynajmę porsche.

Teraz dopiero Laura zaczęła się śmiać, ja też się roześmiałem, a że oboje byliśmy napompowani adrenaliną, śmiech cudownie rozładował napięcie. Najważniejsze, że oboje wyszliśmy z tego z życiem. Aby się zupełnie uspokoić, zaczęliśmy głaskać Grubstera i czule przemawiać do Nolana.

- Wszystko w porządku? - spytałem. Przytaknęła, nie przestając drapać Grubstera za uszami.

- Jezu, Mac, serce mi wali jak młotem. Kurczę, przecież byliśmy o włos od śmierci! Poziom adrenaliny tak mi się podniósł, że chyba mogłabym wyfrunąć przez to rozpieprzone okno!

Nachyliła się do mnie i zawadziła łokciem o kierownicę, chcąc zarzucić mi ręce na szyję. Grubster siedział między nami, mruczając z ukontentowania. Przytuliłem Laurę tak mocno, że aż czułem przy swoim boku bicie jej serca i ciepły oddech na szyi. Rzeczywiście, chwała Bogu, że przeżyliśmy tę strzelaninę, bo mało brakowało... Pobieźnie obejrzałem uszkodzenia taurusa. Miał jedno wybite okno, a drugie, po stronie kierowcy, pokryte siateczką pęknięć, z małym, okrągłym otworem w środku. Szkoda, że nie zatrzymało kuli, gdyż przydałby się jakiś konkretny dowód.

- Co teraz robimy? - spytała Laura. Spodobało mi się, że mówiąc to, nie zmieniła pozycji.

- Gdybym miał przy sobie komórkę, zadzwoniłbym do Castangi, a może nawet do prezydenta i szefa Sztabu Generalnego.

- Mojej też nie mam, została na stole w jadalni... - wyszeptała mi w szyję.

- Skuaak!

- O rany, zapomniałam zupełnie o Nolanie i Grubsterze!

Przesadziła Grubstera ze swoich kolan na tylne siedzenie, a Nolanowi dała garstkę nasion słonecznika. Tymczasem Grubster przeciągnął się, zaczepiając przednimi łapami o oparcie mojego siedzenia. Wydał mi się w tym momencie nieomal tak wysoki, jak ja. Nie potrwało długo, a już przeskoczył z powrotem na kolana Laury i zwinął się tam w kłębek.

Sięgnąłem ręką, aby złapać pasemko włosów, które wymknęło się spod klamry podtrzymującej uczesanie Laury. Zacząłem miąć to pasemko w palcach, na co nie zareagowała.

- Tak się cieszę, że jeszcze żyjemy! - wyznała rozmarzonym głosem.

- Chyba najbardziej z nas wszystkich cieszy się Grubster.

Kocur mruczał tak donośnie, że musiała podnieść głos, abym ją słyszał. Przyjąłem więc normalną pozycję za kierownicą, bębniąc w nią palcami.

- To był świetny strzał - dodałem jeszcze.

- Dziękuję.

Uśmiechnąłem się do niej, zastanawiając się, jak bardzo przypomina to prawdziwy uśmiech.

- Teraz przynajmniej wiem, co przede mną ukrywałaś. Jesteś gliną, Lauro, i to tajniakiem, bo podawałaś się za bibliotekarkę. Mam rację?

Na jej twarzy odbiły się kolejno różne emocje, od powątpiewania poprzez strach do poczucia winy. Pewnie w końcu zdała sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia, tylko musi powiedzieć prawdę.

- Możesz mi zaufać, Lauro - zachęciłem. - Nie mam zamiaru cię skompromitować, zdekonspirować ani oczernić przed przełożonymi. Uważam tylko, że powinnaś wprowadzić minie w swoje zadanie, bo za wiele razem przeszliśmy, abyś mogła mnie teraz zostawić na lodzie. Jeśli nie będę poruszał się po omacku, będę mógł ci pomóc.

Zanim podjęła decyzję, zaczerpnęła głęboki oddech. Trzymałem ją przy tym za rękę i przysięgałem, że jej oczy pojaśniały co najmniej o dwa tony. Przypuszczalnie zrozumiała już, że nie ma sensu dalej brnąć w kłamstwach.

- Tak, jestem gliną - wyznała wreszcie. Kiwnąłem tylko głową, aby nie przeszkadzać jej w dalszych wynurzeniach. Grubster nadal mruczał melodyjnie, uderzając do taktu ogonem w górę i w dół. Laura nerwowo zacisnęła w dłoni kępkę jego sierści. - Oni chcieli mnie zabić! Pomyśleć tylko, co by było, gdybym nie odwróciła się po te ziarenka dla Nolana...

- Zawrzyjmy układ - zaproponowałem, podnosząc szybko swój pistolet z siedzenia i chowając go z powrotem do kabury. Wyglądziłem nad nim marynarkę i przyciągnąłem Laurę do siebie. Między

nami leżał kot, a ja usadowiłem się tak, aby Laura mogła oprzeć się głową o moje ramię. Nasze czoła zetknęły się i ująłem w dłonie jej głowę. - Za długo już dźwigałaś ten ciężar sama. Teraz będę cię wspierał. Masz pojęcie, czego będziemy w stanie dokonać we dwójkę?

- Niewiele dokonamy, odkąd się zdekonspirowałam. Teraz już muszę cię wtajemniczyć we wszystko, bo moje instrukcje straciły aktualność.

- No więc mów, słucham.

Pracuję w DEA, to znaczy w brygadzie antynarkotykowej. Jeszcze ze szpitala zadzwoniłam do szefa i zameldowałam mu, że chciano mnie otruć. Kazał mi się na razie przyczaić i czekać, aż spróbuje przewąchać, co oni już wiedzą i jak się tego dowiedzieli. Oczywiście wspomniałam mu o tobie, ale wtedy jeszcze bardziej się zawziął, że niby nie po to tyramy jak dzikie osły, żeby FBI zdmuchnęło nam sprawę sprzed nosa. Przepraszam cię, Mac, że musiałam cię okłamywać.

- Ten wasz szef musi być strasznie pewny siebie, ale chyba jeszcze nie załapał, że to był zamach na twoje życie!

- Na razie zdążyłam zdobyć kwalifikacje dyplomowanej bibliotekarki. Przynosiłam prawie cały materiał wymagany na tym stanowisku.

- A jak się naprawdę nazywasz?

- Laura to moje prawdziwe imię, zmieniłam tylko nazwisko, bo naprawdę nazywam się Bellamy. Przybyłam tu przed czterema miesiącami w tajnej misji dotyczącej narkotyków...

- ...a także Paula i Jilly, prawda? - dodałem powoli, przyglądając się jej uważnie. Laura zbladła, lecz z odpowiedzią zwlekała, mając świadomość, że to, co powie, może mnie zmartwić. Pomogłem jej więc: - No, wyrzuc to wreszcie z siebie!

Tymczasem Grubster głośno miauknął, więc Laura zwróciła się najpierw do niego:

- Prześpij się teraz, Grubster, masz dosyć wrażeń jak na jeden dzień. - Przymknęła oczy, przebierając palcami w futrze kota. Po chwili jego mruczenie wypełniło wnętrze samochodu i dopiero wtedy Laura zaczęła mówić: - Jakies pięć miesięcy temu policyjne jednostki prewencji zaalarmowały nas, że wynaleziono nowy narkotyk, szybko uzależniający i tani w produkcji.

- Czyli coś, o czym marzy każdy dealer?

- Właśnie, przynajmniej takie pogłoski miał rozgłaszać niejaki John Molinas. Podejrzewaliśmy, że szmugluje prochy na większą skalę, ale nie mieliśmy na to dowodów. W przeszłości miał powiązania z mafią narkotykową, której bossem był Del Cabrizo.

- Coś o nim słyszałem.

- Czasem pojawia się w Stanach, ale tylko po to, aby zagrać nam na nosie. Mnie natomiast przysłano tutaj, gdy doszły nas słuchy, że w tę sprawę zamieszany jest miejscowy rekin finansowy, mianowicie pan Alyssum Tarcher.

Muszę przyznać, że mnie zatkało, wytrzeszczyłem na nią oczy.

- Tarcher jest współnikiem Dela Cabrizo?

- Gorzej, bo John Molinas jest szwagrem Tarchera. Pewnie dlatego wciągnął go w swoje nieczyste interesy.

- No, to rzeczywiście sensacja! - przyznałem. - Wiedziałem, że to wpływowy facet, a tu się okazuje, że do tego kawał drania!

- Na to wygląda. Nas to też trochę zaskoczyło, bo przez ostatnie kilka lat John Molinas siedział cicho. Nie wiedzieliśmy, czy sumienie go ruszyło, czy może lekarz wykrył u niego raka? Dopiero kiedy do tej układanki doszłusował jeszcze Alyssum Tarcher, nietrudno było skojarzyć to z niespodziewanym przybyciem z Filadelfii dwojga biegłych farmakologów, Paula i Jilly Bartlettów, którym Tarcher sprzedał dom za symboliczną cenę. Zestawiliśmy z sobą te fakty i wzięliśmy na spytki

ich poprzednich pracodawców, firmę VioTech. Udało się nam wyciągnąć od nich, że Paul i Jilly pracowali przedtem nad specyfikami wspomagającym pamięć. Brzmi to jak pomysł z kiepskiej powieści, ale nasi ludzie powtórzyli całe doświadczenie i przekonali się, dlaczego VioTech nakazał przerwać prace nad tym środkiem. Może on i coś poprawiał, ale przede wszystkim był toksyczny jak jasna cholera. Zwierzęta laboratoryjne dostawały po nim obłądu. Bartlettowie wpakowali miliony dolarów w preparat, który nie nadawał się do niczego! To jednak nie wyjaśnia, dlaczego ni stąd, ni zowąd przenieśli się do Edgerton. Wprawdzie Paul stąd pochodzi, ale to jeszcze słaby powód.

- Na pewno stał za tym Alyssum Tarcher - podsunąłem.

- Zgadza się i właśnie dlatego podjęłam pracę bibliotekarki w Salem, inaczej nie byłam w stanie zbliżyć się do naszych głównych bohaterów. Myślałam, że Grace przyjmie mnie do pracy w swoich delikatesach, ale nie potrzebowała pomocy. Nie mogłam tak sobie wprowadzić się do Edgerton, bo w takim małym miasteczku byłoby to podejrzane.

- Ale dlaczego wybrałaś właśnie bibliotekę?

- Mac, naprawdę mi przykro, że muszę to powiedzieć, ale wysledziliśmy, że Jilly Bartlett regularnie trzy razy w tygodniu przyjeżdża do biblioteki w Salem. I jeszcze raz cię przepraszam, ale nasz wywiad wykrył, że spotyka się tam z kochankiem, miejscowym torakochirurgiem. Na miejsce schadzek wybrali akurat dział naukowy i dlatego musiałam się tam zatrudnić. Prawdziwy bibliotekarz dostał nieograniczony, płatny urlop, a ja postarałam się zaprzyjaźnić z Jilly, co mi się udało.

Wyłowiłem z tej informacji tylko jeden, interesujący mnie fakt.

- Jilly miała kochanka? I trzy razy w tygodniu spotykała się z nim w bibliotece?

- Tak, chociaż nie udało nam się dojść, gdzie i jak się poznali. Na razie nie mamy powodów podejrzewać, że może być zamieszany w to, co dzieje się w Edgerton.

Zauważyłem, że mija nas policyjny wóz patrolowy, którego załoga nas obserwuje. Pomachałem im ręką i włączyłem silnik.

- Zawróćmy do baru McDonalda, koło którego przejeżdżaliśmy - zaproponowałem. - Chciałbym trochę odetchnąć i napić się kawy.

Musieliśmy się cofnąć około siedmiu kilometrów autostradą nr 133. Oprócz McDonalda znajdowały się obok siebie zajazdy „U Denny’ego” i „U Wendy”, a każdy z tych lokali dysponował własną stacją benzynową.

Grubster nie zbudził się, kiedy wsadziliśmy go do pojemnika transportowego, a Nolan bez protestu pozwolił przykryć swoją klatkę.

Przy Big Macach i kawie podsumowałem:

- A więc twoja tajna misja trwała cztery miesiące. Czego się w tym czasie dowiedziałaś?

- Na temat Jilly i Paula?

- Oczywiście. Gównu mnie obchodzą Molinas, Tarcher, a nawet Del Cabrizo!

- Jeszcze raz cię przepraszam, Mac, ale prawda jest taka, że Jilly od początku mnie okłamywała. Wmówiła mi, że chce za wszelką cenę zajść w ciążę i że nie ma wykształcenia. Nie doszłam jeszcze, czy chciała tym sposobem chronić siebie, czy mnie, ale mimo wszystko naprawdę ją lubię. Kiedy powiedziałaś mi, że nie może odzyskać przytomności, byłam wstrząśnięta. Ona ma w sobie tyle radości, że gdy wbiega do pokoju, z rozwichrzonymi włosami, powiewając spódniczką, od razu robi się jaśniej. Wydawało mi się, że byliśmy ze sobą zaprzyjaźnione, ale najwyraźniej nie na tyle, aby szczerze otworzyła się przede mną.

- Dostyc tego, Lauro! - zdenerwowałem się. - Nie masz żadnego haka na Jilly ani na Paula i nic takiego nie znajdziesz. W życiu nie uwierzę, żeby moja siostra miała coś wspólnego z narkotykami! Przecież oboje z Paulem są naukowcami, nie kryminalistami, na miłość boską! To ludzie z zasadami

moralnymi, którzy na pewno nie wynaleźliby jakiegoś świństwa do trucia ludzi. Mylisz się co do nich, Lauro, a przynajmniej co do Jilly.

Broniłem Jilly zażarcie, jak brat siostry, nie zważając, że zachowuję się agresywnie i obraźliwie. Nie mogłem ani nie chciałem przyjąć do wiadomości, że moja siostra byłaby zdolna do uczestnictwa w tak niecnym procederze. Nie powstrzymałem się też od zadania Laurze złośliwego pytania, choć czułem się przy tym podle:

- Nadal utrzymujesz, że ani razu nie przespałaś się z Paulem?

- Nie - odpowiedziała rzeczowo, ale czułem, że ją zaskoczyłem i uraziłem. Upuściła trzymaną w rękę frytkę z powrotem na talerz i uzupełniła: - Jilly nigdy nie powiedziałaby czegoś takiego. W gruncie rzeczy nadal kocha Paula.

- A mówiła, że ją zdradziłaś! - przypomniałem. - Myślałem, że miała na myśli twój romans z Paulem, gdy tymczasem chodziło całkiem o co innego. Pewnie domyśliła się, że jesteś agentką, prawda?

- Chyba tak, choć nie mam pojęcia, jak na to wpadła. Musiałam się przy niej z czegoś wygadać. W każdym razie na pewno zarówno ona, jak i Paul wiedzieli już o tym tamtej fatalnej nocy. Wystarczyło, że ktoś z nich wykonał telefon do Molinasa. To on jest odpowiedzialny za wszystko, co się potem zdarzyło.

- Teraz znów sugerujesz, że moja siostra uczestniczyła w planowaniu morderstwa? Nigdy w to nie uwierzę. Pewnie Molinas sam cię rozszyfrował, Jilly nie potrafiłaby nikogo wkopać.

Laura ujęła moją rękę w obie swoje dłonie.

- Zauważ, że znikła, ledwo wybudziła się ze śpiączki - tłumaczyła. - Zorientowała się, że współdziałamy, i wołała się ukryć.

- W takim razie, dlaczego Paul nie ukrył się razem z nią?

- Nie wiem, choć dużo o tym myślałam. Może dlatego, że nie mamy przeciw żadnemu z nich bezpośrednich dowodów? Natomiast chciałabym ci powiedzieć coś jeszcze. Przez ostatnie dwa miesiące Jilly zachowywała się dziwnie. Wciąż rozprawiała o seksie i dowodziła, że teraz sprawia jej dużo większą przyjemność niż kiedyś. Wracała do tego w każdej rozmowie, a kiedy przechodziłyśmy na inne tematy, zdarzało się, że mówiła zupełnie od rzeczy, jakby duchem była gdzie indziej.

- Sądzisz, że testowała własny wynalazek na sobie?

- Nie chcę nic sugerować, ale zachowywała się inaczej niż zwykle.

Wolałem nie rozwijać tego tematu, bo zbyt świeże było jeszcze w mojej pamięci wspomnienie ostatnich odwiedzin Jilly w lutym zeszłego roku. Zamiast tego zapytałem:

- A gdzie się w tej chwili obraca Molinas? Czy widział się z Jilly i Paulem, pokazał się choć raz w ich domu lub domu Tarcherów?

- Nie, ale faktem jest, że to Alyssum Tarcher sprowadził Paula i Jilly do Edgerton, sprzedał im dom na korzystnych warunkach, a Jilly sprezentował porsche. Przykro mi, Mac, ale takich rzeczy nie robi się bez powodu! Zakładamy, że zadaniem Paula i Jilly było takie udoskonalenie tego preparatu, aby stał się mniej toksyczny lub bardziej uzależniający. Wtedy można by skierować go do masowej produkcji i rozprowadzać choćby na ulicach.

- Dobra, założmy, że masz rację, ale musiałby to być jakiś superśrodek, który fundowałby klientom taki odlot, jakiego jeszcze nie przeżywali. Czy ten środek tak działał?

- Nie wiemy dokładnie, ale na pewno miało to coś wspólnego z seksem.

Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić Jilly opętanej obsesją seksu!

- To znaczy, że facetowi staje jak po viagrze, a potem tylko leży i przeżywa orgazm za orgazmem?

- Być może, w każdym razie badania przeprowadzone przez VioTech wykazały istotne zmiany w zachowaniach płciowych zwierząt laboratoryjnych. Wykraczały one poza przyjęte ramy i często przybierały charakter wyraźnie agresywny. Oczywiście potrzeba na to więcej dowodów, ale przypuszczam, że niektóre wyniki Jilly i Paul mogli zabrać ze sobą. Wprawdzie szef kazał mi się przyczać, ale nie mogłam wytrzymać, żeby przynajmniej nie próbować czegoś przewąchać. Nie wiem, jak daleko zdążyli się posunąć w udoskonalaniu tego narkotyku, ale usiłuję nie dopuścić do jego rozpowszechnienia. Nie wiem tylko, jak się do tego zabrać.

- W każdym razie, Lauro, nie mam zamiaru zaprzestać poszukiwań mojej siostry. Nie widzę też innego wyjścia poza połączeniem naszych wysiłków.

- Tak, ale i ty możesz mieć kłopoty w swojej firmie. Przede wszystkim jednak nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. W końcu wplątałeś się w to wszystko przypadkowo, a już o mały figiel nie przyplącałeś tego życiem. Nie zniósłabym, gdyby tak się stało!

- Coś podobnego! - udałem zdziwienie. - Przecież znamy się dopiero od dwóch dni.

- Dziwne, prawda?

- Daj spokój, Lauro, przecież wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli nie zawiadomisz swojego przełożonego o tej strzelaninie na szosie, to twoja kariera w DEA szybko się skończy. Jesteś w niebezpieczeństwie i powinnaś myśleć przede wszystkim, jak ratować swoją skórę. Najlepiej byłoby wyjechać na przykład na Bainbridge Island i zamelinować się w jakimś motelu. Dobrze ci radzę, zrób to.

- Ależ ja nie chcę wszczynać alarmu, tylko znaleźć Jilly! - zaprotestowała Laura. - Gdybym zadzwoniła do mojego szefa, na pewno kazałby mi się usunąć i nasłałby na to miasto całą brygadę antynarkotykową. Tym sposobem nic by nie znalazł, bo ci ludzie są na to za sprytni.

- Tymczasem Jilly i Paul ulotniliby się pociągiem - uzupełniłem. - Muszę się upewnić, czy naprawdę tkwią po uszy w szambie, czy tylko wplątali się w to przypadkiem, jak ja dwa dni temu. Oczy Laury zabłyśły, a jej dłonie zacisnęły się w pięści.

- Lauro... - zacząłem, ale nie dała mi skończyć.

- Nie, Mac, to musi być moja decyzja. Na dłuższą metę nie mam zamiaru odwracać się plecami ani do Jilly, ani do ciebie. Będę z tobą współpracować.

- Świetnie! - Uśmiechnąłem się do niej i powoli próbowałem rozgiąć jej ściśnięte palce. - Jesteśmy oboje zawodowcami i wiemy, jakie podejmujemy ryzyko. Wracasz ze mną do Edgerton?

- Tak, bo nie widzę innego wyjścia. Dopilem do końca kawę, która tymczasem zdążyła wystygnąć.

- Czy w tamten wtorek Paul rzeczywiście dobierał się do ciebie? - zaryzykowałem, spoglądając na nią spod oka.

- Owszem.

- Tak też myślałem - westchnąłem. - Paul nie umie tak dobrze kłamać jak ty.

- On nie jest agentem, tylko naukowcem, a my mamy to prawie w genach. W tej sprawie prawda tak często miesza się z kłamstwem, że można się pogubić. No, ale jeśli wrócimy do Edgerton, zagramy im wszystkim na nosie.

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, aby próbowali wyciąć jakiś numer w Edgerton. Zwłaszcza, kiedy Alyssum Tarcher wynajmie nam mieszkanie i wszyscy będą wiedzieli, że jestem z tobą. Pod latarnią jest najciemniej.

- Nie tak bardzo, bo ci dranie mają taki tupet, że mogą równie dobrze stuknąć nas na Piątej Alei, jak na szosie 101. To już nie twoja działka, Mac.

- Masz rację, bo to więcej niż moja działka. Tu chodzi o moją siostrę! Daj spokój, Lauro, bo

sama wiesz najlepiej, że będę ci potrzebny. W końcu jestem z FBI, a zacznę akcję od tego, że ściągnę tu dwoje moich kolegów z Waszyngtonu, agentów Savicha i Sherlock.

Musiałem zamówić rozmowę na rachunek adresata, bo nie miałem przy sobie dosyć drobnych na automat. Na szczęście zastałem ich w domu i w ciągu piętnastu minut wyjaśniłem, w czym rzecz. Po powrocie do stolika mogłem z zadowoleniem poinformować Laurę:

- No, wkrótce zrobi się nas dwa razy więcej. Sherlock i Savich niedługo tu będą.

Na przedmieściach Edgerton zdecydowałem:

- Musimy wstąpić do Tarchera po klucz do naszej „Chaty”. Na razie nie chcę go podpuszczać, ale nie wierzę, aby mógł jeszcze o nas nie wiedzieć. Molinas musiał dać mu cynk.

Znów zaczęło padać. Zauważyłem, że Laura drży, więc włączyłem ogrzewanie.

- Za parę minut powinno zrobić się cieplej.

- Ależ mnie tu jest zupełnie dobrze.

Przechyliła się do tyłu i pogłaskała po głowie Grubstera. Wyjęła go z pojemnika transportowego i kot wyciągnął się na tylnym siedzeniu na całą swoją długość, przyciskając nos do klatki Nolana.

W taką pogodę nawet okazały dwór Tarcherów prezentował się nader żałośnie. Sytuacja wyglądała na beznadziejną, więc biegiem przebyłem drogę od samochodu na werandę, odwracając się jeszcze, by gestem dać Laurze znak, że ma zostać w wozie. Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że zostawiam ją samą, a więc bardziej narażoną na atak. Mimo deszczu zawróciłem więc do taurusa, otworzyłem drzwi i wręczyłem Laurze swój rewolwer. Ze słowami: „Trzymaj go dobrze”, zamknąłem ponownie drzwi.

Służąca ubrana w dżinsy i sweter wprowadziła mnie do przestronnego holu i poprosiła, bym zaczekał. Woląla najwidoczniej, że bym ociekał wodą na marmurowej posadzce niż na dębowych parkietach salonu.

Z kuchni położonej na zapleczu wyłonił się, pogwizdując, Cotter Tarcher. Na mój widok stanął jak wryty.

- Co się stało? Czyżby Jilly się znalazła?

- Nie, przyjechałem tylko po klucz do „Chaty pod Mewami”, którą wynajął nam pański ojciec. Laura Scott i ja pomieszkamy tam przez jakiś czas.

- Po co? - Patrzył na kałużę wody u moich stóp. Sam miał na sobie dres i adidasy, ale suche jak pieprz.

Zamiast odpowiedzi zrewanżowałem się pytaniem:

- To panowie obydwaj pracujecie w domu?

- Przeważnie tak. Zwykle kończę robotę około piątej i idę pobiegać albo poćwiczyć w siłowni.

Ale dlaczego pan z Laurą chcecie wprowadzić się do naszej „Chaty”?



- Ponieważ ktoś próbował ją zabić, więc myślę, że będzie bezpieczniejsza tu ze mną niż sama w Salem. Nie za mokro dzisiaj na bieganie?

- Pewnie, dlatego dziś ćwiczyłem w siłowni. Gdzie jest Laura Scott?

- W samochodzie.

- A ona zna Jilly?

- Nawet bardzo dobrze.

Ze schodów po mojej prawej stronie zszedł majestatycznym krokiem Alyssum Tarcher. Robił wrażenie tyleż bezczelnego, co inteligentnego, jego wzrok był bardziej wyzywający niż wzrok syna. Jakimś dziwnym trafem wydał mi się też wyższy niż wczoraj.

- O, pan MacDougal, witam! - Wylewnie uściśnął mi rękę. - Proszę, tu jest klucz do „Chaty pod Mewami”. Sprawdziłem, że w środku jest wysprzątane i telefon działa. Ogrzewanie także, co jest ważne zwłaszcza przy tej pogodzie. Czy ta pani Laura Scott przyjechała z panem?

- Tak, czeka w samochodzie z pistoletem gotowym do strzału, ponieważ usiłowano ją zabić.

Napomknąłem o tym celowo, ale zdecydowałem się nie wspominać o istnieniu Grubstera i Nolana, aby nasz gospodarz, pod pretekstem, że nie życzy sobie zwierząt, nie wycofał się z umowy. Podziękowałem mu tylko i zabierałem się do odejścia, gdy mnie zatrzymał:

- W razie jakichś problemów, niech pan do mnie zaraz dzwoni.

- Tak, ojciec zawsze przeżuwa każdy problem i wypluwa gotowe rozwiązanie! - dodał Cotter. Alyssum Tarcher roześmiał się dobrodusznie i szturchnął syna w ramię.

- Kto tam jest, Aly? Elaine Tarcher nie czekała na odpowiedź, tylko lekko zbiegła ze schodów. Podobnie jak syn, miała na sobie dres i adidas. W tym stroju nie wyglądała na dużo starszą niż Cal. Nagle uświadomiłem sobie, że nie myślałem o Cal już od dłuższego czasu. Z daleka ukloniłem się pani Tarcher i uprzedziłem:

- Niech pani nawet nie zbliża się do mnie, bo jestem cały mokry.

- Widzę, widzę. Słyszeliśmy też, że miał pan jakieś zatrucie. Dobrze się pan już czuje?

- Dziękuję, w porządku. Czy małżonek uprzedził panią, że Laura Scott i ja wprowadzamy się na jakiś czas do „Chaty pod Mewami”?

- Tak, powiedział mi też, że ktoś planował zamach na życie pani Scott. Nie przywykliśmy do tego w naszym mieście, agencie MacDougal! Chyba to pan sprowadził na nas te wszystkie nieszczęścia, bo do chwili zamordowania biednego Charliego Ducka Edgerton nie miało nigdy problemów z przestępczością. Dowiedział się pan może czegoś nowego o Jilly?

Odpowiedziałem przecząco, a po trzech minutach, w strugach deszczu, ponownie pokonałem biegiem odcinek drogi do samochodu. Zmokłem tak, że trząsałem się z zimna jeszcze pięć minut po włączeniu ogrzewania. Laura zatkała rozbite okno swoją kurtką, co chroniło wnętrze przed deszczem, ale nie przed uciekaniem ciepła na zewnątrz.

Po drodze wstąpiłem do domu Paula i nawet się ucieszyłem, że go nie było. Prawdę mówiąc, nie byłem przygotowany na konfrontację z nim, a nie chciałem go tak wystraszyć, aby uciekł lub może nawet znikł jak Jilly. Spakowałem tylko swoje rzeczy i zostawiłem dla Paula liścik z informacją o moim aktualnym miejscu pobytu. Oczywiście z niczego mu się nie tłumaczyłem.

Podjechaliśmy jeszcze do sklepiku spożywczego o nazwie „Nad Zatoką”, aby zaopatrzyć się w niezbędne produkty. Za każdym razem Laura pozostawała w samochodzie, trzymając na kolanach mój

pistolet.

Ściemniło się już, zanim przybyliśmy do „Chaty pod Mewami”, położonej zaledwie około piętnastu metrów od skraju klifu. Wyobrażałem już sobie, jaki za dnia musi być stamtąd widok na wybrzeże Oregonu! Teraz jednak, po ciemku i przy zimnym, ulewnym deszczu wszystko wydawało się czarne i jednostajne. Do tego całkowicie bezwietrzna pogoda sprawiała, że strugi deszczu uderzały w ziemię prawie prostopadle. Surowość krajobrazu łagodziło jedynie chyba ze sześć świerków.

Otrzymałem od Tarchera kluczem otworzyłem drzwi, sprawdziłem, czy wewnątrz wszystko jest w porządku, i dopiero wtedy pozwoliłem Laurze wejść.

15

O siódmej wieczorem siedzieliśmy z Laurą przy kominku i jedliśmy kolację - rosół z makaronem i gorące bułeczki ociekające masłem. Grubster spałaszował dwie puszki karmy dla kotów i spał teraz smacznie u stóp Laury, od czasu do czasu podrygując przez sen. Kłatkę Nolana Laura przykryła na noc.

- To było pyszne! - Odchyliła się do tyłu i ziewnęła.

- Rzeczywiście. - Z trudem sam stłumiłem ziewnięcie. - Myślałem, że ten dzień nigdy się nie skończy.

- To za mało powiedziane.

Byłem już zanadto zmęczony, aby na poczekaniu wymyślić dowcipną odpowiedź. Rzuciłem więc tylko:

- A chciałabyś to dokończyć? Laura spojrzała na drzwi chaty, nawet nie próbując ukryć napięcia.

- Nie - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że tu, w Edgerton, nie ośmielą się wyciąć żadnego numeru.

- Też tak sędzę. Jutro odbędzie się pogrzeb Charliego Ducka. Mam zamiar przedstawić cię reprezentantom miejscowej społeczności i zacząć rzucać się w oczy Tarcherowi. Natomiast z Pauliem musimy obchodzić się jak z jajkiem, bo nie chciałbym, żeby uciekł.

- Głowę dam, że Paul w życiu się do niczego nie przyzna. Będzie się starał raczej chronić Jilly.

Przypuszczalnie miała rację. Wyobraziłem więc sobie, co by się stało, gdybym tak złapał Paula za kark, podniósł w górę i porządnie potrząsnął?

- Poczekajmy, aż dołączą do nas Sherlock i Savich - postanowiłem. - Wtedy razem wybierzemy odpowiednią taktykę. Oni wiedzą, że musimy działać szybko.

- Widzę, że twoi koledzy są bardzo dyspozycyjni.

- Oboje pracują w tym samym wydziale, ale on jest wyższy rangą. Jego przełożony, Jimmy Maitland, zwykle daje mu wolną rękę, a zresztą nie wykonują tu zadania służbowego, tylko robią mi koleżeńską przysługę. Są świetnymi pracownikami i moimi dobrymi kumplami, więc może spojrzą na sprawę świeżym okiem i wyłapią szczegóły, które uszły naszej uwadze. Miewają nieraz świetne pomysły i zawsze można na nich liczyć.

- Jaka szkoda, że w naszej brygadzie nie znam nikogo takiego... - Nie dokończyła i położyła mi palce na ustach. - No, tylko nie próbuj robić sobie żartów z naszej agencji!

- Gdzieżbym śmiał! Na razie tylko podstawię krzesło pod kłamkę i położę spluwę przy samym łóżku. Pozamykamy dokładnie okna i szczelnie zaciągniemy zasłony, więc nic nie powinno nam grozić.

- W każdym razie więcej nie możemy zrobić. Czy to możliwe, że jest dopiero wpół do dziewiątej? Taka jestem zmęczona, że wydaje mi się, jakby była północ!

- No to idź się kąpać pierwsza, a ja się jeszcze rozejrzę.

- Tylko uważaj, Mac! - Dotknęła lekko mojego policzka. - Mówię poważnie, bo nagle zaczęłaś dla mnie dużo znaczyć.

Najchętniej zacząłbym ją całować i długo nie przestawał, więc szybko wyszedłem na dwór. Deszcz chwilowo ustał, ale nisko nawisłe czarne chmury o groteskowych kształtach przesuwały się, zasłaniając księżyc w pełni. W taką noc mogły swobodnie hulać upiory i wilkołaki!

W którymś momencie usłyszałem po mojej lewej stronie, z przeciwnego kierunku niż klify, jakiś dziwny szelest, jakby stąpanie ciężkich stóp. Zaraz po nim nastąpiła chwila ciszy, a potem nowy szelest.

Zastygłem w bezruchu w takiej ciszy, że słyszałem własny oddech. I nic poza tym. Im dłużej czekałem, tym bardziej dzwoniła w uszach cisza. W końcu doszedłem do wniosku, że wyobraźnia płata mi figle.

Przypomniałem sobie, jak Cal mówiła, że za nic nie poszłaby w nocy na cmentarz, bo ma wrażenie, że drzewa rosną tam do środka, a ich korzenie przewijają się między trumnami. Myślałem wtedy, że plecie głupstwa, a teraz sam stwarzałem strachy, których się bałem.

Podszedłem do skraju klifu i spojrzałem z góry na równą taflę czarnej wody. Rozciągała się w nieskończoność, sprawiając wrażenie, że zlewa się z nisko nawisłymi, ciemnymi chmurami. Zarys linii brzegowej wyznaczały wieczorne mgiełki i poukładane w stosy bądź porzrzucone luzem drewno wyrzucone przez morze. Z wody wystawały czarne skałki jak jacyś upiorni wartownicy. Fale rozbijały się o nie, bryzgając białą pianą. Miało to trwać niezmiennie, w nieskończoność. Zastanawiałem się, czy gdybym musiał na to patrzeć przez resztę życia, to zaznałbym spokoju ducha czy przeciwnie - zwariowałbym?

Zawróciłem w stronę „Chaty”, ale zatrzymałem się na chwilę, aby zanalizować sytuację. Domek znajdował się na samym końcu wąskiej, wyboistej drogi gruntowej, wijącej się w kierunku południowo-zachodnim aż do klifu. Nie mogłem stąd dostrzec drogi głównej, gdyż nie przejeżdżał tędy żaden samochód, którego światła byłyby widoczne z większej odległości. Obszedłem domek od tyłu, dokładnie sprawdzając zamknięcie okien. Na południe od niego rozciągały się dzikie, niezamieszkałe wzgórza. Nie byłem tym zachwycony, gdyż od tamtej strony niemal każdy mógł dostać się do „Chaty”. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jesteśmy czasem największymi idiotami w stanie Oregon, siedząc tu pod samym nosem Tarchera. Mało tego, że narażałem swoje życie, to jeszcze i Laury... Tak czy owak, nie mogłem się już wycofać i nie przypuszczałem, aby Laura myślała o czymś podobnym.

Okna naszego domku, przesłonięte wyblakłymi, bawełnianymi zasłonkami w kwiatki, wyglądały na dobrze zabezpieczone. Chyba nie mogłem zrobić nic więcej. Do tego znów rozbolała mnie głowa i całe ciało, jakbym oberwał pociskiem burzącym. Byłem tak zmęczony, że ledwo się trzymałem na nogach, ale równocześnie przejmował mnie dziwny niepokój.

W sypialni czekała Laura w długiej, nocnej koszuli. Stała przy łóżku i patrzyła na mnie.

- Cześć! - przywitała mnie głosem głębokim i pełnym, a przy tym seksownym jak jasny gwint. Czterema krokami pokonałem przestrzeń dzielącą mnie od niej. Wyszła mi naprzeciw, podniosła do góry głowę i pocałowała mnie w usta.

Ustało bez śladu moje zmęczenie. Wprawdzie znałem tę kobietę dopiero od kilku dni, ale pragnąłem jej bardziej niż jakiegokolwiek innej. Miałem nadzieję, że w naszych wzajemnych stosunkach nie było już miejsca na kłamstwo.

Moje ręce poszły w ruch, przebierały w jej gładkich, gęstych włosach i wędrowały wzdłuż pleców. Przygarniałem ją do siebie coraz mocniej.

- Ależ to czyste szaleństwo! - Roześmiałem się jej prosto w twarz, obserwując, jak nabiera

kolorów. Oddychała szybko, równie podniecona jak ja.

- Owszem, bo szaleję za tobą! - Ugryzła mnie w ucho, zahaczyła od tyłu moją nogę i obaliła mnie na łóżko. Rzuciła się na mnie, całując i wicherząc mi włosy. Ja robiłem to samo, czując, jak rozpiera mnie energia.

Nie minęła minuta, a zrzuciłem z siebie wszystko. Jej nocna koszula frunęła w odległy kąt pokoju. Nie wierzyłem swemu szczęściu, pozerając wzrokiem jej ciało i nie wiedząc, od czego zacząć. Wyрęczyła mnie w tym, całując mnie i dotykając chyba wszędzie.

Wśród paroksyzmów śmiechu i jęków rozkoszy pogrążyłem się w niej, a ona wygięła się w łuk, na zmianę to gryząc, to oblizując mój kark i podskubując mnie drobnymi pocałunkami. Na chwilę się opanowałem, aby chwycić ją silniej w objęcia i lepiej poczuć, jak ogarnia mnie zewsząd.

- O rany, Lauro, chciałem zrobić to z tobą już wtedy, kiedy pierwszy raz zobaczyłem cię w bibliotece! - mruknąłem.

- A ja pragnęłam cię, kiedy jedliśmy kurczaka po tajlandzku! - przypomniała, obejmując mnie mocniej za szyję. - Poczekaj, Mac, niech tylko się lepiej poczuje.

Jeszcze dziś wieczorem nie przypuszczałam, że do tego dojdzie...

Poczułem, jak pręży się pode mną z rozkoszy. Nie wytrzymałem więc długo i razem z nią poszybowałem na szczyty.

- Jesteśmy teraz tylko we dwoje, Lauro.

- No i świetnie! Tak się cieszę, że przyszedłeś wtedy do biblioteki, choćbyś nawet nie miał pojęcia o żadnych gangach narkotykowych!

Mniej więcej dziesięć po pierwszej nad ranem znów nie spaliśmy, tylko gwałtownie dawaliśmy upust swoim żądom, tym razem już bez śmiechu. W ciemnościach czułem tylko przy sobie ponętne ciało Laury i słyszałem rozkoszne jęki dobywające się z jej ust. Gdy ochłonęliśmy, podparłem się na łokciach i pozwoliłem, aby zetknęły się nasze czoła.

- No, to koniec ze mną - westchnąłem.

- Właśnie to czuję! - wyzłościwiła się perfidnie.

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem, wiem. - Pocałowała mnie w podbródek, ugryzła lekko w ucho i pociągnęła na siebie.

Otoczyła mnie ciasno ramionami i wymruczała: - Ze mną był koniec, kiedy pojawiłeś się w dziale naukowym naszej biblioteki i rozśmieszyłeś mnie swoim pierwszym słowem. Do tej chwili trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie też. Szkoda, że nie poznaliśmy się w bardziej normalnych okolicznościach. Jeśli w czasie zalotów ktoś człowieka podtruwa lub strzela do niego, i to wcale nie jest tatuś panienki, to siłą rzeczy biedak musi ciągle oglądać się za siebie.

- Tak mi przykro, że zmusiłam cię do tego! Niedobrze mi się robi, ilekroć pomyślę o tych wszystkich kłamstwach, których musiałam ci naopowiadać. Powiedz, że mi przebaczyłeś!

- Chyba nie mam innego wyjścia, ale pamiętaj, Lauro, żadnych więcej kłamstw ani uników, dobrze?

- Obiecuję, ale ty mi za to obiecaj, że to wszystko dobrze się skończy.

- Mogę ci przyrzec, że postaramy się wyjść z tego z życiem, ale czy to się może skończyć dobrze, jeśli Jilly jest w to zamieszana?

W odpowiedzi tylko mnie pocałowała i oboje zapadliśmy w sen. Pamiętałem tylko, że czułem jej ciepły oddech na skórze mojego karku.

Śniło mi się, że wokół naszej chatki krążyły wilkołaki, ale żaden z nich nie ośmielił się zajrzeć do środka.

Obudziło mnie gwałtowne walenie do drzwi i czyjs głos. Mój mózg od razu nastawił się na najwyższe obroty, a ja wciągnąłem szybko na siebie stary, bawełniany dres, złapałem pistolet z szafki nocnej i zeskoczyłem z łóżka. Laura, wyciągnięta na wznak, ciągle jeszcze spała. Była naga, ale zanim pośpiesznie ją przykryłem, nie mogłem powstrzymać się od jej dotknięcia.

Przez szczelnie zasłonięte okna nie przedostawało się światło dzienne, więc w saloniku było szaro i chłodno, bo ogień na kominku dawno wygasł. Ciekawe, gdzie podziewał się Grubster?

Na zewnątrz ktoś uporczywie walił w drzwi i wołał:

- No, wyłaż, Mac, otwórz te pieprzone drzwi! Od razu poznałem ten miły, choć teraz gniewny głos.

Wyciągnąłem krzesło spod klamki, przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi. Na ciasnej werandzie stała oczywiście agentka do specjalnych poruczeń Lacy Savich, którą wszyscy poza jej rodzicami nazywali Sherlockiem. Z rudymi włosami podświetlonymi porannym słońcem wyglądała jak ożywiony obraz Tycjana. W jednej chwili rzuciła mi się na szyję i wyściskała, a potem odstaąpiła nieco w tył i uśmiechnęła się promiennie.

- Cześć, Mac!

- Cześć, aniołku! - Podniosłem ją do góry i obróciłem wokół siebie. - Nie spodziewałem się, że dotrzecie tu tak szybko. Musieliście chyba od razu wskoczyć do samolotu!

- Tak, załapaliśmy się na najwcześniejszy lot. - Cmoknęła mnie w ucho, ale zaraz rzuciła w kierunku za moim ramieniem: - A pani to kto?

Postawiłem Sherlock na podłodze, bo za nami stała Laura, w dresie, rozczochrana i jeszcze zarumieniona od snu. O jej bose stopy ocierał się Grubster.

- Tak szybko przyjechali, Mac? - Nie kryła zdziwienia.

- Lauro, to jest właśnie Sherlock, ta, która tylko dzięki mnie zaliczyła test sprawnościowy na Akademii Policyjnej.

- Zgadza się, bo on ma lepsze bicepsy, a ja szare komórki. - Obie panie uściśniły sobie ręce, przy czym Sherlock taksowała Laurę wzrokiem tak samo, jak robiłaby to moja matka.

- A gdzie jest Savich? - zapytałem po wstępnej wymianie serdeczności. - Mam nadzieję, że zabrałaś go ze sobą, nie zostawiłaś w domu z Seanem? Pamiętasz, że nieraz nam się przydawał.

Sherlock dała mi żartobliwego szturchańca.

- No, chyba nie wątpisz, że Dillon jest wspaniałym facetem! Seana zostawiliśmy u jego mamy, która nie może się doczekać, żebyśmy gdzieś wyjechali, bo wtedy może bez przeszkód rozpuszczać go jak dziadowski bicz. Teraz Dillon poszedł sprawdzić najbliższe otoczenie tej chałupki, czy nie ma gdzieś jakichś śladów ludzkiej obecności. Kazał mi zachowywać się cicho, żebyście mogli jeszcze pospać, ale jest już po ósmej, więc nie mogłam wytrzymać, żeby nie zobaczyć, co z wami. Na pewno dobrze się czujesz, Mac? A ty, Lauro?

Przyszła mi do głowy zabawna myśl - czy Savich rozpoznałby tropy wilkołaków, gdyby je zauważył?

- Tej nocy nic się tu nie działo - oświadczyłem. - Może niedźwiedzie jeszcze się nie obudziły?

- A jeśli nawet, to Dillon i ja jesteśmy dobrzy w tropieniu niedźwiedzi. - Sherlock bez słowa zaczęła badać dotykem moje ramiona, twarz, a nawet podniosła bluzę, aby obmacać żebra. Z uwagą oglądała siniaki, które jeszcze nie zdążyły się wchłonąć. - Wszystko ci się już zrosło jak należy?

- Myślę, że tak, tylko męczę się jeszcze szybciej niż przedtem, ale z dnia na dzień mi się poprawia. Bez przesady, Sherlock, nie ściągaj mi spodni!

- Dobra, dobra. - Wyprostowała się z niechęcią, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem. - A jak się oboje czujecie po tym fenobarbitalu?

- Mnie się jeszcze trochę kręci w głowie - przyznała się Laura.

- A ja jestem prawdziwym mężczyzną, więc nie odczuwam już żadnych skutków. - Za tę odpowiedź dostałem szturchańca.

- Idę nastawić kawę - oświadczyła Laura. - Wszyscy się napijemy, prawda?

Słyszałem, jak krzątała się po małej kuchni oddzielonej od aneksu jadalnego ladą, przy której stały trzy wysokie stołki barowe.

- Skuaak!

- Nolan mówi nam dzień dobry! - Laura zdjęła przykrycie z klatki. - Jeśli chcecie, możecie go wypuścić, okna są zamknięte. Ewentualnie sypnijcie mu trochę ziaren słonecznika, zanim zrobię grzanki. Słyszysz cię, Grubster, nie prychaj, zaraz otworzę konserwę.

Sherlock otworzyła drzwiczki od klatki. Nolan przyglądał się jej przez chwilę, potem, krok po korczku, wywędrował na zewnątrz, przechylił główkę i zaskrzeczał: „Skuaak!” Przeskoczył na oparcie kanapy, wziął ziarenko z wyciągniętej dłoni Sherlock, upuścił je na oparcie i skoczył na ramię mojej koleżanki, przebierając dziobem w jej włosach. Sherlock zareagowała na to śmiechem.

- Skuaak!

- Idź, Nolan, zjedz swoje śniadanko. - Posadziła go z powrotem na oparcie kanapy. Grubster miauczał jak opętany, aż nagle ucichł. Najwidoczniej zanurzył pysk w swojej miseczce z karmą.

- Siadaj, Sherlock - zaprosiłem. - Nie pamiętam, jaką pijesz kawę.

- Z odrobiną słodziku i kropelką mleka, ale jeśli nie macie, może być czarna. - Skierowała te słowa do Laury.

- Mamy, na szczęście ja też lubię taką - uspokoiła ją Laura. - Mac, a ty?

- Mnie nie nalewaj! - krzyknąłem od drzwi. - Najpierw chcę zobaczyć, co porabia Savich.

- Dobra, tylko najpierw załóż buty! - odkrzyknęła Sherlock, zajęta wkładaniem następnego ziarenka do dzioba Nolana.

Wyszedłem na dwór, gdzie mile zaskoczyła mnie piękna pogoda. Niebo było tak błękitne jak oczy Jilly i powiewał lekki wiaterek. Skierowałem się na południe, gdzie trafiłem na Savicha, który z daleka zamachał do mnie ręką.

Podobnie jak jego żona, poddał mnie dokładnym oględzinom. Dobrze, że robił to tylko wzrokiem.

- Dobrze się czujesz?

- Nie bój się, wszystko w porządku. Zauważyłeś może coś ciekawego? Cieszę się, że już jesteście. Sherlock siedzi w kuchni i pije kawę. Chodź do środka.

- Nie widziałem tu żadnych śladów. Ziemia jest miękka po deszczu, więc gdyby ktoś się kręcił, zostawiłby odciski stóp. Zresztą tyś się już pewnie dobrze rozejrzał.

- Dziś jeszcze nie.

- No, to nie musisz, ale wygląda na to, że wdepnęliście w niezłe szambo. Dobrze, żeście nas zawiadomili, ale to śmierdząca sprawa i cholernie nam przykro, że Jilly jest w to zamieszana. Rozmawialiśmy o tym przez całą drogę i zdecydowaliśmy, że ze względu na Jilly zostaniemy z wami przez dzień czy dwa, bo przez tyle czasu możemy być względnie bezpieczni. Ktoś musiałby z byka spaść, żeby się porywać na czworo agentów federalnych, zwłaszcza że każdy wie, po co tu jesteśmy. Starałem się nie mówić za wiele Jimmy'emu Maitlandowi, tym bardziej, że ty dostałeś już błogosławieństwo od waszego Carla Bardolino. Musimy ci jeszcze zadać kilka pytań i dopiero wtedy ustalimy właściwą strategię.

Przerwał na chwilę, aby ścisnąć mnie za ramię i dodać już z innej beczki:

- Cholernie mi przykro, jeśli chodzi o Jilly. Masz może jakieś wieści o niej?

- Niestety, nie. Mnie z kolei jest przykro, że musieliście zostawić Seana.

- Nic mu nie będzie. Sherlock uważa, że takiego małego dziecka jeszcze nie można skutecznie zepsuć, więc nic się nie stanie, jeśli moja mama będzie drapać go w brzusek i powtarzać, że jest małym książką. A ja mam dziwną pewność, że ma rację.

Były to pierwsze normalne słowa, jakie usłyszałem przez ostatnie cztery dni. Westchnąłem więc tylko i zaprosiłem go do środka.

- Chodź, poznasz Laurę Scott.

16

Po wypiciu filiżanki mocnej kawy powiedziałem:

- Mamy na dziś kupę roboty do odwalenia. Ponieważ nie wiemy, jak długo będziemy mogli tu zostać, musimy efektywnie wykorzystać każdą minutę.

Spojrzałem na Savicha, który tępo wpatrywał się w zawartość niedopitej filiżanki. Drań był wysoki i dobrze zbudowany, w dzinsach i ciemnoniebieskim golfie, o posturze budzącej zaufanie.

- Mamy na razie piętnaście po ósmej, ale nie ruszę się stąd, zanim nie wrzucę czegoś na ruszt - mruknął.

- Wy oboje z Laurą powinniście też wziąć prysznic - dodała Sherlock. - A ty, Mac, musisz się ogolić i uczesać, włosy ci sterczą na wszystkie strony. Właściwie moglibyście jeszcze trochę pospać, ale wyglądacie mi na dziwnie wypoczętych...

Uniosła brwi, dwa razy mrugnęła znacząco i szybko wyszła do kuchni.

- Ona już wie! - szepnęła do mnie Laura.

- Mam nadzieję, że cię zaakceptowała. Nie poszliśmy z Laurą razem pod prysznic, chociaż korciło mnie, aby to zrobić. Umyliśmy natomiast jednocześnie zęby. Po powrocie do kuchni zachłysnąłem się apetycznym zapachem jajek na bekonie. Savich trzymał na ramieniu Nolana, a Grubster siedział na kolanach Sherlock.

- Macie tu całą menażerię - zauważył Savich, czochrając palcem piórka na piersi Nolana.

- Skuaak!

Tymczasem usiedliśmy, jak przystało na dorosłych ludzi, do elegancko nakrytego stołu. Savich wyjął z piekarnika talerze z nałożonymi już porcjami, które trzymał w ciepłe. Przez pięć minut zajął się wyłącznie jedzeniem, aż wreszcie zdecydował się zabrać głos.

- Wspominałeś, Mac, że zamordowali tu starszego faceta, Charliego Ducka. Co to za gość i czy pasuje do naszej układanki?

- Jediną wskazówką, jaką mamy, są jego ostatnie słowa, które wypowiedział do Doca Lamberta: „mocne uderzenie... za mocne... a jednak mnie dopadli!” Osobiście jestem pewien, że musiał coś wiedzieć o tym narkotyku, którym uraczono Laurę. Nie wiadomo tylko, co.

- Zgadza się z tym, choć nie mieliśmy zbyt wiele czasu, aby to dobrze przemyśleć - dodała Laura. - Na pewno Charlie Duck zginął, bo wpadł na trop czegoś, o czym nie powinien był się dowiedzieć.

- Po śniadaniu mam zamiar zadzwonić do specjalisty od medycyny sądowej w Portland, aby sprawdzić, co wykrył - powiadomiłem zebranych. - Chcę też skontaktować się z szeryfem, Maggie Sheffield, chociaż przypuszczam, że gdyby dowiedziała się czegoś nowego o Jilly, sama dałaby mi znać.

- Dziś jest pogrzeb Charliego Ducka - dodała Laura, karmiąc Nolana ziarnami słonecznika. - Może powinniśmy tam pójść, żeby przewąchać, co jest grane, i ewentualnie trochę im namieszać?

- Namieszamy im wcześniej - uspokoiłem ją. - A zaczniemy od Paula.

Savich schylił się i podał Grubsterowi skrawek bekonu.

- Jak sądzisz - spytał Sherlock - czy oni potrafią tak absorbować naszą uwagę jak Sean?

- Och, on już potrafi nieźle narozrabiać - rozczuliła się Sherlock. - Savich poszukuje dla niego odpowiednio lekkich hantli, żeby miał się na czym wyżyć.

Z zachwytem popatrzyła na Grubstera, który siedział na kanapie i się mył.

- To dopiero kawał kota! Cholernie wielkie bydlę, ale strasznie słodki.

- Znalazłam go jeszcze podczas studiów - wyjaśniła Laura. - Był wtedy tak drobny i chudy, że chyba teraz jedna jego łapa jest większa. Weterynarz ocenia, że może mieć siedem lub osiem lat. To on nauczył mnie otwierać puszki i od tej pory nie przestaje jeść.

Sherlock zaparzyła więcej kawy, ja rozpałem w kominku i od razu zrobiło się przytulnie. Całkiem niespodziewanie Sherlock wygłosiła szokującą opinię.

- Właściwie to nawet lepiej, że widziałeś, jak Laura posługuje się bronią. Dzięki temu nie mogła dłużej ukrywać, kim naprawdę jest, bo nie cierpię działać po omacku.

- Moja żona potrafi spojrzeć na wszystko od jaśniejszej strony! - Savich poklepał ją po udzie. - Może to i lepiej, że tym, którzy do was strzelali, udało się uciec. Gdybyście ich od razu złapali, oglądalibyście teraz siebie w telewizji, a wasi dyrektorzy kłóciliby się, czyja to jest zasługa. Ciebie z Laurą obwoziliby po całym kraju i żądali od was niekończących się sprawozdań, a prawdziwi szefowie gangu, korzystając z zamieszania, dawno by się ulotnili. Czyli Sherlock, jak zwykle, ma rację!

Wstał i otrzepał ze swoich spodni sierść kota.

- Powiem ci jeszcze jedno, Mac. Laura szaleje za tobą i to jest następna dobra strona tego całego rejuwachu. No więc do dzieła!

W tym momencie usłyszałem warkot samochodu nadjeżdżającego po drodze gruntowej. Odruchowo sięgnąłem do pasa, gdzie miałem zatknięty pistolet.

- Gdzie zaparkowałeś, Savich?

- Za tą chałupą.

- Dobra. Wy zostańcie tutaj - zakomenderowałem. Wyciągnąłem pistolet, jednym ruchem otworzyłem drzwi, i gdy tylko przekroczyłem próg, zamknąłem je za sobą.

17

Z wyciem silnika zbliżał się do mnie niebieski bmw - kabriolet prowadzony przez Cal. Ziemia była jeszcze wilgotna po deszczu, więc nawet ostre hamowanie nie wznieciło tumanów kurzu, chociaż Cal chyba specjalnie starała się, aby do tego doszło. Wzdrygnąłem się, gdy przypomniałem sobie, jak zabawialiśmy się na imprezie u jej rodziców.

Szybko zatknąłem spluwę z powrotem za pas, zawołałem do Cal i pomachałem jej ręką. Od razu wyskoczyła z wozu, ale nie odwzajemniła mojego gestu ani się nie odezwała, tylko czekała, aż podejść bliżej. Tym razem miała na sobie workowate dzinsy i luźny sweter sięgający prawie do kolan. Włosy ściągnęła do tyłu w kucyk, a okulary siedziały mocno na nosie.

Kiedy przybliżyłem się dostatecznie - znów rzuciła się na mnie, jak tamtego wieczoru. Oplotła nogi wokół mojej talii, ramiona zarzuciła mi na szyję i zaczęła obcałowywać mnie po całej twarzy. Zawiodła się jednak, gdyż uściśnąłem ją krótko i strząsnąłem z siebie.

- Cześć, Cal, co tam słyhać nowego?

- Co z tobą, Mac? Nie chcesz się ze mną pokochać? Moglibyśmy to zrobić na tym wysokim brzegu. Dziś jest ciepło, a zresztą, już ja bym cię rozgrzała! To jak, pójdziemy?

- Nie jestem sam, Cal.

- Ach, tak, rzeczywiście, mama mówiła, że siedzisz tu z Laurą Scott i robisz za jej ochroniarza. Zgadza się?

- Mniej więcej, a poza tym jest jeszcze wcześniej. Czym mogę służyć?



- To raczej ja przyjechałam, żeby sprawdzić, czy nie mogę ci w czymś pomóc. Gdzie jest ta

Laura, którą się opiekujesz?

- Tu jestem!

Laura we własnej osobie stała na schodku prowadzącym do drzwi wejściowych.

- Cześć, jestem Laura Scott.

- A ja Cal Tarcher. Wszyscy zachodzimy w głowę, dlaczego ktoś chciałby cię zabić.

- Przecież to proste - wyjaśniła Laura. - Jestem agentką DEA i wykonywałam tutaj ściśle tajne zadanie. Dopiero w zeszłym tygodniu musiałam się zdekonspirować, bo okazało się, że za bardzo zainteresowałam się pewną sprawą. Proszę, Cal, wejdź do środka. Jemy akurat śniadanie, a widzę, że dobrze znacie się z Makiem.

- Czy DEA to taka policja narkotykowa? - zaciekała się Cal.

- Tak, to właśnie to.

- A co robisz tu z Makiem?

- To długa historia. Wejdź, proszę. Cal wyminęła nas oboje i weszła do chatki, a ja szepnąłem Laurze do ucha:

- Kurczę, musiałaś ją zapraszać?

- A niby czemu nie, skoro jesteście ze sobą tak blisko, powiedziałybyśmy nawet, intymnie zaprzyjaźnieni? Sherlock i Savich zamelinowali się w sypialni, więc zobaczmy, jakie jeszcze twoje wielbicielki się tu objawiają.

- Daj spokój, Lauro, to wcale nie jest tak, jak ci się wydaje. Zresztą, chyba cię jeszcze nie znałem, kiedy Cal mnie poderwała.

- Ona ciebie? Zwykle bywa odwrotnie. Biedny Mac, jak te dziewczyny na ciebie lecą...

- Ostatnio ty poleciałaś na mnie, więc lepiej nic już nie mów.

Poklepała mnie po policzku i w ślad za Cal weszła do domku. Przedtem zdążyła usunąć wszelkie ślady bytności Sherlock i Savicha, choć nie wiedziałem, dlaczego nie chcieli się pokazać.

- Może zjesz grzankę i kawałek bekonu? - zaproponowałem.

- Chętnie, Mac. A któż to znowu?

- To mój kot, Grubster - odpowiedziała jej Laura.

- Ale gruby niczym prosiak! - Cal od razu podzieliła się z nim plasterkiem bekonu. Sama odgryzła kawałek grzanki, a kotu oddała drugą połowę plasterka bekonu.

- No, teraz na pewno dałby się zabić za ciebie.

- Jest naprawdę piękny. A to co za ptaszek?

- Skuaak!

- To gwarek, nazywa się Nolan. Napijesz się kawy, Cal?

Ponieważ odpowiedziała twierdząco, Laura przyniosła dzbanek, nalała jej kawy i wycofała się do kuchni. Cal pociągnęła duży łyk, nachyliła się do przodu i oznajmiła scenicznym szeptem:

- Słuchaj, Mac, wiem, że musisz ją chronić, ale może byśmy się jej na jakiś czas pozbyli?

Niechby się przeszła po skałach. Wygląda na sympatyczną, więc nie musiałyby łązić tam długo. Potrafię wyłuskać cię z tych portek w ciągu niecałych trzech sekund.

Przezornie nabrałem wody w usta, ale Cal tokowała dalej.

- Może tym razem spróbowałibyśmy w łóżku, nie na podłodze? Byłoby fajniej, co, Mac?

- Nie pora teraz na to - próbowałem oponować. - Nie mogę zostawić Laury samej ani na chwilę. To nie żarty, ktoś naprawdę nastawał na jej życie!

- Czy ja wiem, może spacer dobrze by mi zrobił? - Okazało się, że Laura stała o mniej niż dwa metry od nas i teraz śmiała nam się w nos. - Możecie sobie tymczasem pobaraszkować. Czy mam

pościelić wam łóżko?

Wiedziałem, że do tego dojdzie, bo na tym świecie stanowczo nie było ani cienia sprawiedliwości. Była natomiast Laura, na której twarzy nie uzewnętrzniły się żadne emocje. Obawiałem się, że to zły znak.

- Widzisz, Mac, Laura nie ma nic przeciwko temu! - podchwyciła Cal. - Naprawdę pościeliłabys nam łóżko?

- Właściwie nawet nie muszę - oświadczyła kobieta, z którą tej nocy dzieliłem łóżko i która, według słów Savicha, szalała za mną. - Spaliśmy oboje jak zabici, więc nie skopaliśmy pościeli. Najwyżej przyrzuciłabym to wszystko z wierzchu kapą. Wystarczy wam?

Cal od razu straciła poprzednią elokwencję.

- Spaliście razem tej nocy?

- Tak - potwierdziłem, wstając. - Widzisz, Cal, mamy dziś masę roboty. Czy to, z czym przyjechałaś, to coś ważnego?

- Nie, chodziło mi tylko o ciebie, Mac - wyjaśniła Cal, zsuwając się z barowego stołka. Przełknęła ostatni kęs grzanki i wytarła ręce o spodnie. - Myślałam, że to tylko twój policyjny przydział - wycedziła jeszcze na pożegnanie.

- To jest i jedno, i drugie, i jeszcze coś więcej. Macie może jakieś nowe wiadomości o Jilly? Cal potrząsnęła głową.

- Gdyby Maggie dowiedziała się czegoś nowego, pierwsza zadzwoniłaby do ciebie. - Obrzuciła Laurę długim spojrzeniem. - Wiesz co, Lauro?

- Co takiego?

- Właściwie chciałabym cię namalować. Wprawdzie twarz jest raczej nieciekawa, ale w tych obcisłych ciuchach widać, że masz świetną figurę. Co ty na to?

Wyobraziłem sobie, jak Cal kreśli portret Laury, a potem rzuca się na nią jak tygrys na ofiarę... Laura natomiast mierzyła Cal takim wzrokiem, jakby była brakującą deską w podłodze.

- A co ty o tym sądzisz, Mac? - zwróciła się do mnie.

- Cal ma duży talent plastyczny.

- Ale czy i ty sądzisz, że mam świetną figurę?

- Tak, ale Cal oprócz tego ma talent.

- No, dobrze. - Cal nerwowo zatarła ręce. - W takim razie może umówimy się na przyszły tydzień. Z tobą, Mac, także pogadam kiedy indziej, skoro jesteś taki zajęty. Aha, byłabym zapomniała, mam teraz takie fajne, francuskie gumki, żebrowane i z poślizgiem, wiesz?

Chciałem być elegancki, więc nie skomentowałem tej wypowiedzi. Przez ostatnie dziesięć sekund nie śmiałem nawet odetchnąć. W milczeniu odprowadzałem wzrokiem Cal, która czym prędzej opuściła „Chatę”, a po chwili dał się słyszeć warkot silnika jej bmw.

- No, to chyba wystarczy za całe przesłuchanie - rzekła Laura, przenosząc wzrok ode mnie na talerzyk z resztkami grzanek pozostawionymi przez Cal.

Ze śmiechem porwałem ją w ramiona i zacząłem całować. Nie przestałem, mimo że Savich i Sherlock akurat wrócili do pokoju. Całowałem ją tak długo, aż zaczęła się śmiać.

- No, tak już lepiej - pochwaliłem tę zmianę nastroju, gładząc ją po ramionach. - To się po prostu zdarzyło, kiedy cię jeszcze nie znałem. W porządku?

- No, w porządku to nie jest, ale już cię za to nie ukarzę.

- Jaką karę miałaś na myśli? Roześmiała się i szturchnęła mnie w żołądek.

- A wy, dlaczegoście tu nie przyszli zapoznać się z Cal? - zwróciłem się do Savicha.

- Działaleś z takim rozmachem, że nie chcieliśmy psuć ci zabawy.

- Dziękujemy za miłą rozrywkę! - dodała Sherlock.

- ŚmieJCie się sami ze swoich dowcipów! - rzuciłem im i wybrałem numer telefonu Teda Lepra, specjalisty w zakresie medycyny sądowej z Portland. Już po minucie ten wspaniały chłopak poinformował mnie, że Charlie Duck istotnie zginął od uderzenia w głowę.

- Po tym ciosie żył jeszcze dziesięć, może dwadzieścia minut - wyjaśniał głosem przerywanym typowym, papierosowym kaszlem. - Powiedziano mi, że zmarł na podłodze domu miejscowego lekarza, wskutek szybkiego i obfitego krwotoku wewnątrzczaszkowego. Mówiąc bardziej obrazowo, krew zalała jego mózg.

- Jesteś tego pewien?

- Jak najbardziej. Zabawne, że ten facet był przedtem gliniarzem w Chicago. Podczas sekcji przez cały czas pilnował nas detektyw, więc, chcąc nie chcąc, rozmawialiśmy z nim o tym. Myślisz, że śmierć Ducka może być skutkiem jego wcześniejszych powiązań? Na przykład czyjaś zemsta, kiedy już odszedł z czynnej służby?

- To możliwe - powiedziałem sucho. - Tutejszy szeryf na pewno weźmie ten wariant pod uwagę.

- Ej, coś taki skwaszony?

- Bo miałem nadzieję, że wykrylicie coś więcej. Ted rozkaszał się, więc na ten czas odsunął mikrofon od ust.

- Przepraszam, wiem, że powinienem rzucić palenie.

- Kto jak kto, ale ty widziałeś nieraz, jak wyglądają płuca palaczy - zazaczyłem dyskretnie.

- Tak, oczywiście. Słuchaj, niewykluczone, że za tym się kryje coś więcej.

O, kurczę blade!

- Poczekaj chwilkę, Ted - poprosiłem. - Włączę zestaw głośnomówiący, bo jeszcze parę osób chce usłyszeć, co masz do powiedzenia.

- Dobra, Mac, okazało się, że miałeś rację. Wykryliśmy w jego organizmie jakąś substancję o charakterze narkotyku. Mógł to być któryś z opiatów lub ich pochodnych, bo test na obecność opiatów dał wynik pozytywny. Nie potrafiłem jednak zidentyfikować tej substancji. Przypuszczam, że to nowy rodzaj narkotyku, z jakim jeszcze nie mieliśmy od czynienia. Dziwne, co?

- Nie tak bardzo - zgasiłem go. - Całkiem możliwe, że jest to nowo wyprodukowany narkotyk świeżo wprowadzony do obiegu. Kiedy możesz dostarczyć mi więcej informacji na ten temat?

- Potrzebuję jeszcze około dwóch dni. Zadzwoń do mnie w piątek, chyba że odkryję coś wcześniej, wtedy dam ci znać.

- Najpierw przestań palić, głupolu!

- Że co takiego? Bo nie dosłyszałem! Odwiesiłem słuchawkę i powiodłem wzrokiem po obecnych.

- Słyszeliście? Charlie musiał ich namierzyć. W jego organizmie wykryto jakiś narkotyk.

- Albo dowiedział się o istnieniu czegoś takiego i chciał wypróbować na sobie, jak działa, albo ktoś zmusił go do zażycia... - myślała głośno Laura. - Wskazywałyby na to jego ostatnie słowa: „...mocne uderzenie... za mocne... a jednak mnie dopadli”.

- Może więcej osób wie o tym i chce spróbować, nie zważając na skutki uboczne? - spekulował Savich, drapiąc Grubstera za uszami.

- Raczej sam coś wykrył i chciał ze mną o tym porozmawiać, ale nie przypuszczał, że to aż tak pilne.

- Ale się biedak pomylił - mruknęła Laura.

- No więc już wiemy, że załatwili go ci gangsterzy. Dowodzi tego narkotyk. Że też od razu go nie wysłuchałem, ale jak ostatni idiota myślałem, że chce mi opowiedzieć swoje wędkarskie

wspomnienia!

- Próbował też powiedzieć doktorowi, co się przydarzyło - dodała Laura. - Szkoda, że nie zdążył.

- Spróbuję zadzwonić na komendę policji w Chicago - oświadczyłem, ponownie podnosząc słuchawkę. - Może pracują tam jacyś jego dawni koledzy, z którymi się kontaktował.

Po kolei przedstawiałem się trzem mało znaczącym pracownikom trzech różnych wydziałów Komendy Policji w Chicago, w tym także Wydziału Spraw Wewnętrznych. Pod koniec skontaktowałem się z pracownicą Wydziału Personalnego, która całkiem serio nazywała się Liz Taylor i miała nie mniej wdzięku niż pierwowzór.

- Nie, nie jestem jej żadną krewną. - Od razu rozwiała wątpliwości. - Chciałby pan dowiedzieć się czegoś więcej o Charliem Ducku?

- Owszem, jeśli pani byłaby tak miła. Z tego, co wiem, jeszcze jakieś piętnaście lat temu pracował u was jako detektyw...

- Tak, pamiętam go dobrze. Pracował w dziale zabójstw i był cholernym bystrzakiem. Zabawne, bo zwykle szefowie chcą się pozbyć starych pracowników jak najszybciej, wręczają im w nagrodę złoty zegarek i elegancko wyprowadzają za próg. Z Charliem było inaczej, bo wszyscy chcieli, żeby został. Mógł tu pracować do późnej starości, ale sam wolał odejść. Na swoich sześćdziesiątych urodzinach wyznał mi, że ma dość zajmowania się mętami warunkowo zwalnianymi z więzień, którzy pojawiają się z powrotem na ulicach szybciej niż gliny zdążą ich znowu złapać. Poza tym źle znosił ostre zimy w Chicago. Mówił, że od mrozu skóra szybciej się starzeje. W następnym tygodniu złożył wypowiedzenie. A w ogóle, kim pan jest? To znaczy, wiem, że pracuje pan w FBI, ale do czego panu potrzebne te wiadomości o Charliem?

- Charlie został zamordowany - wyjaśniłem krótko. - Próbuję ustalić, kto mógł go zabić i dlaczego.

- No nie! - Liz Taylor się rozpląkała. - Jeszcze w grudniu dostałam od niego kartkę na święta. Biedny, poczciwy Charlie!

- Proszę, niech mi pani coś więcej o nim opowie. Słyszałem, że nie ufał nikomu...

- Tak, to był cały Charlie! - podchwyciła Liz, pociągając nosem. - Nie wszyscy go lubili, niektórzy wyzywali go od szpiclów i skurwysynów. Nigdy jednak nie skrzywdził kogoś, kto miał czyste sumienie. W swoim wydziale osiągnął najwyższy wskaźnik wykrywalności zabójstw i nadal nikt nie pobił jego rekordu. Jeśli zwęszył coś podejrzanego, nic nie było w stanie go powstrzymać.

No proszę, mało tego, że detektyw, to jeszcze specjalizował się w zabójstwach i był w tym dobry! Wydał na siebie wyrok śmierci.

- Czy mogłaby pani podać mi nazwiska ludzi z Chicago, z którymi nadal utrzymywał kontakty? Na przykład innych policjantów?

- Chwileczkę. Czy zaszedł taki właśnie wypadek, że Charlie zwęszył coś podejrzanego i dlatego musiał zginąć?

- Przypuszczalnie tak. Czy miał jakichś krewnych lub znajomych, którym ufał?

- Nie zostawił żadnej rodziny. Jego żona, biedaczka, zmarła na raka piersi, jeszcze zanim odszedł z policji. Po przejściu na emeryturę miał zamiar osiedlić się gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu. W końcu wylądował w Oregonie, prawda?

- Zgadza się. - Chciało mi się zgrzytać zębami ze zniecierpliwienia. - No więc miał jakichś przyjaciół, czy nie?

- Pracują jeszcze w komendzie tacy dwaj starsi faceci, z którymi kiedyś się kolegował, ale idę o zakład, że już od lat nie rozmawiali ze sobą. Mogę najwyżej popytać, kto z naszych ludzi ostatnio miał z nim kontakt.

- Będzie mi bardzo miło - podziękowałam jej wylewnie. Dałam jej numer telefonu do „Chaty pod Mewami” i odwiesiłam słuchawkę.

- Zapowiada się ciekawie - podsumowała Laura. - Szkoda tylko, że nie powiedziała ci nic konkretnego.

- Jeśli chce jeszcze z czymś wyskoczyć, to niech się pospieszy, bo będzie za późno - dodał Savich.

- Święte słowa - uzupełniła Sherlock. Podeszedłem do Laury, ująłem ją pod brodę i poprosiłem:

- Zapomnij o Cal Tarcher i o tych setkach innych kobiet, dobrze?

Śmiała się z wyraźnym wysiłkiem, więc musiałem ją sprowokować do większej wylewności. Najwyraźniej uważała, że to ja jestem śmieszny.

O drugiej po południu siedzieliśmy już wszyscy - Laura, ja, Sherlock i Savich - w ekumenicznym kościele pod patronatem Komitetu Obywatelskiego Edgerton, mieszczącym się przy Greenwich Street, poprzecznej do Piątej Alei. Kościół, zbudowany z białej cegły, nie bardzo wyglądał na świątynię - pewnie dlatego, że użytkowali go wyznawcy różnych religii. Uzupełnienie tej bryły architektonicznej stanowił mały park i rozległy parking.

Przedstawiłem Laurę wszystkim zgromadzonym jako agentkę brygady antynarkotykowej i moją współpracowniczkę, a Savicha i Sherlocka jako agentów FBI, którzy pomagają mi rozwiązywać zagadki kryminalne. Jakie zagadki? Na przykład takie, kto próbował zabić Laurę. Celowo operowałem niejasnymi aluzjami, a uśmiech, jakim obdarzyłem Alyssuma Tarchera, miał wyraźny podtekst: „Jeszcze cię dostanę!” Głowę dałbym, że wiedział, o czym w tej chwili myślałem.

Prochy Charliego Ducka zajmowały honorowe miejsce pośrodku nawy głównej. Srebrną urnę ozdobioną rzeźbami umieszczono w szklanej kuli balansującej na czubku piramidy z różanego drewna, wysokości około półtora metra. Za nic nie mogłem zgłębić, jak ta kula z dymnego szkła trzyma się na konstrukcji i nie spada!

W oczekiwaniu na rozpoczęcie nabożeństwa objaśniałem moim towarzyszom, kim są ludzie, których przed chwilą poznali.

Pojawił się także Paul, ale nie przysiadł się do nas, bo w ogóle nie poznał ani mnie, ani Laury. Wyglądał na zmęczonego, cerę miał ziemistą, a oczy podkrążone. Sprawiał także wrażenie wystraszonego.

Rozejrzałem się i spostrzegłem, że wszystkie ławki są zajęte przez blisko setkę osób, a jeszcze ze dwa tuziny tłoczyły się na stojąco za ławkami. Wszyscy ci ludzie zwolnili się dzisiaj z pracy, żeby oddać Charliemu ostatnią posługę. W pewnej chwili ucichł gwar rozmów.

Na kazalnicę wstąpił Alyssum Tarcher w czarnym garniturze sprowadzonym na zamówienie z Anglii. Nie była to właściwie prawdziwa kazalnica, tylko mahoniowy blat oparty na marmurowych słupkach. Cały wystrój tego kościoła stanowił mieszaninę różnych stylów i materiałów, ale bez elementów charakterystycznych dla określonych wyznań w rodzaju świecznika siedmioramiennego lub cerkiewnych kopuł.

Alyssum Tarcher, skąpany w świetle słonecznym wpadającym przez gotyckie okna, odchrząknął i podniósł głowę. W tej chwili panowała absolutna cisza połączona z bezruchem powietrza.

Prawie niedostrzegalnym gestem dał znak kobziarzom, którzy zaintonowali surową i posępną melodię. Zebrani nie okazali zdziwienia, bo widocznie spodziewali się czegoś takiego. Pierwsze akordy przejmowały rozdzierającym smutkiem, potem stopniowo cichły i oddalały się, jakby powtarzało je echo.

- Charles Edward Duck - przemówił Alyssum Tarcher mocnym, nośnym głosem - przeżył wspaniałe, bogate życie...

Nie słuchałem jego mowy, bo wołałem uważnie obserwować wyraz twarzy Paula z profilu. Zachodziłem w głowę, co to miało oznaczać.

- ... Pracował jako detektyw w chicagowskiej policji do chwili przejścia na emeryturę jakieś szesnaście lat temu. Wtedy wrócił do Edgerton i zamieszkał ze swoimi starymi rodzicami, obecnie już nieżyjącymi. Będzie nam go brakowało, bo był jednym z nas.

Znów rozległ się skrzypiący dźwięk kobzy w tonacji minorowej. Akordy jękliwie przechodziły jeden w drugi, aż w końcu ucichły. Senior rodu, Alyssum Tarcher, wrócił na miejsce w pierwszej ławce.

Po nim na kazalnicy wstąpiła Elaine Tarcher, jak zawsze szczupła i zadbana, w eleganckim, ciemnym kostiumie, z perłami na szyi. Przemawiała pełnym głosem, nabrzmiałym emocją:

- Poznałam Charliego pod koniec lat osiemdziesiątych, na sylwestrze, którego, jak zawsze, organizowaliśmy w zajezdzie „Pod Królem Edwardem”. Charlie grał nam wtedy na gitarze. Zegnaj, Charlie!

Następnie zabierało głos chyba ze dwunastu przedstawicieli społeczności miejskiej. Jako pierwszy wystąpił Rob Morrison w imieniu kościoła anglikańskiego. Mówił o miłym usposobieniu Charliego, jego tolerancji i życzliwości dla wszystkich.

Panna Geraldine, burmistrzynie Edgerton i przewodnicząca Komitetu Obywatelskiego, reprezentowała dziś wyznawców religii mojżeszowej. Wspominała łagodność Charliego, który nie żywił złości do nikogo.

Z tych wszystkich wystąpień wynikało, że każdy mówca postrzegał Charliego w inny sposób. Jako ostatnia zabrała głos dziewięćdziesięcioletnia Matka Marco, właścicielka stacji benzynowej koncernu Union 76. Była to drobna, krucha staruszka, z rzadkimi, siwymi włosami, przez które przeświecała różowa skóra czaszki.

- Nie reprezentuję tu żadnej religii - przemówiła nadszpiewanie mocnym głosem. - Pewnie powiecie, że mogę reprezentować tylko stojących nad grobem staruszków? Owszem, jestem stara, nawet starsza niż te skały na wybrzeżu Edgerton i szczycę się tym!

Starsza pani roześmiała się nam w nos, ukazując garnitur bardzo białych, sztucznych zębów.

- Znałam Charliego Ducka lepiej niż ktokolwiek z was - mówiła dalej. - To był mądry chłopak, dużo wiedział. Uwielbiał rozwiązywać zagadki. Jeśli czegoś nie rozumiał, to tak długo drążył temat, aż znalazł odpowiedź. A ponieważ był detektywem, widział i wiedział dużo, więc nie miał o nikim zbyt dobrej opinii.

Doszedłem do wniosku, że spośród wszystkich mówców tylko Matka Marco trafiła w dziesiątkę.

Alyssum Tarcher podszedł do drewnianej piramidy i zdjął z niej srebrną urnę z prochami Charliego. Uniósł ją w górę nad swoją głowę i wzniósł okrzyk:

- Na cześć Charliego! Zebrani odpowiedzieli takimi samymi okrzykami i utworzyli procesję, która wymaszerowała z kościoła.

- O rany! - nie wytrzymała Sherlock.

- Co za cyrk! - zgorszył się Savich. Laura zacisnęła kurczowo palce wokół mojej ręki.

- Nie chcę iść z nimi na cmentarz! Nie chodźmy tam!

- Wcale nie musimy iść, nawet nie powinniśmy - uspokoiłem ją. - Nikt tego od nas nie oczekuje, bo jesteśmy tu obcy.

W tym momencie zauważyłem Roba Morrisona asystującego Maggie Sheffield i przypomniałem sobie słowa detektywa Castangi: „Margaret była kiedyś moją żoną”...

- A tyś co za jeden? - To pytanie adresowane było do Savicha. Od razu pośpieszyłem z wyjaśnieniem.

- Słuchajcie, to Cotter Tarcher, jedyny syn Alyssuma. Cotter nie zwracał uwagi na dwie kobiety i tylko Savicha taksował gniewnym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Tu mamy najśłabsze ogniwo! - szepnąłem do Laury.

- Chyba cię o coś spytałem, koleś! - warknął Cotter. - Skąd tu się wzięłeś? Nie jesteś stąd. Nikt cię tu nie prosił.

- Ja go zaprosiłem. - Ostentacyjnie trzymałem Laurę pod rękę, wskazując na Savicha i Sherlock tak, aby widział to Cotter. - Ci państwo są moimi przyjaciółmi.

- Nikt z was nie powinien się tu znaleźć! Savich uśmiechnął się prowokująco, lecz nie zwróciło to uwagi Cottera, choć powinno. Savich dobrze wiedział, co robi, bo w lot ocenił Cottera.

- Ależ, kolego, mnie się wasza uroczystość bardzo podobała! - Wyraźnie udawał głupiego. - Ci wszyscy ludzie, którzy przemawiali, byli tacy mądrzy! Dlaczego ty nic nie powiedziałeś, czyżbyś nie był ani pobożny, ani mądry?

Oczy Cottera płonęły, bo szybko wpadał w gniew i łatwo tracił panowanie nad sobą. Savich dosyć skutecznie go rozdrażnił, jednak byłem zaskoczony, kiedy Cotter zamachnął się na niego. Zrobiło mi się nawet trochę żal Cottera, Sherlock krzyknęła: „Co ty robisz, kretynie?”, ale było już za późno.

Savich zręcznie schwycił Cottera za nadgarstek i przycisnął mu rękę do boku. Cotter spróbował go kopnąć, ale Savich złapał jego nogę pod kolaniem i wyrzucił go w powietrze. Równocześnie puścił rękę, tak że Cotter wylądował na grządce nagietków. Poszło mu to tak gładko, jak łatwo wlewa się do gardła dwunastoletnią whisky.

Sherlock, trzymając się pod boki, spoglądała z góry na Cottera.

- Musiałeś zachowywać się jak gówniarz?

- Najwyższy czas dorosnąć - dodał Savich.

- Wszyscyście funta kłaków niewarci! Wielcy agenci, też mi coś! Śmiech na sali! W życiu niczego się nie dowiecie! - Cotter miotał obelgi, podnosząc się z grządki i wycofując się z ostentacyjnym tupaniem.

- Ten człowiek musi mieć poważne problemy! - zatroskała się Laura.

- To prawdziwy aspołeczny typ - uzupełniłem. - Według niego niczego się nie dowiemy, tak?

Z daleka obserwowałem, jak Cotter wyluszcza coś Alyssumowi Tarcherowi, na co ojciec przecząco potrząsa głową.

- Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, myślałem, że to tylko kąpany w gorącej wodzie gówniarz, ale po dzisiejszym przedstawieniu zastanawiam się, czy nie jest czasem prawą ręką tatusia.

- Ten tatuś ma taką arystokratyczną urodę! - rozmarzyła się Sherlock. - On wygląda jak chart wśród kundli, natomiast Cotter jak mały buldog.

- Wydaje mi się, że Cal i Cotter są bardzo niepodobni do siebie - zauważyła Laura. - Wprawdzie Cal czasem też zachowuje się dziwnie, ale jej Mac nigdy nie nazwał typem aspołecznym!

- Tak ich nazywam, jak ich widzę - zaprotestowałem. - A Cal przynajmniej ma dobry gust, jeśli chodzi o mężczyzn!

W tym momencie zauważyłem spojrzenie, jakim mnie obdarzył Alyssum Tarcher. Wyraz jego twarzy pozostał chłodny, ale oczy płonęły takim samym ogniem jak u jego syna.

18

O wpół do szóstej po południu Savich i ja podjechaliśmy pod numer 12 przy Liverpool Street. Paul był z pewnością w domu, ale tuż obok jego samochodu stał zaparkowany samochód szeryfa Maggie Sheffield. Już z werandy dobiegły nas odgłosy kłótni ich obojga, więc przystanęliśmy za frontowymi drzwiami, żeby posłuchać.

- Ty śmierdzący gnojku! - wrzeszczała Maggie co sił w płucach. - Spróbuj jeszcze raz czegoś takiego, to rozwalę ci łeb! Jilly dopiero co zaginęła, a tobie już odbiło?

- Co ty w ogóle wiesz? - To Paul. - O niczym nie masz pojęcia! Wydaje ci się, że możesz wykonywać męską robotę, ale kiepsko ci to idzie. Już lepiej zarabiałabyś dupą! Co ty jesteś, lesbija?

Natychmiast dał się słyszeć łomot, więc z westchnieniem otworzyłem drzwi, minąłem hol i wpadłem do salonu utrzymanego w czarno-białej tonacji. Zostałem tam Maggie pochyloną nad Pauliem leżącym plackiem na posadzce. Trzymała go za gardło i przyciskała jego głowę do podłogi.

Savich podkradł się do niej od tyłu, złapał pod pachy i podniósł w górę. Rzuciła się na niego z pięściami, ale nadal trzymał ją w powietrzu, pouczając łagodnym głosem:

- Fe, nieładnie. Nie rób tego więcej.

- Dostyc już tego! - zdenerwowałem się, pomagając Paulowi wstać. - Co się tu właściwie dzieje? Wasze wrzaski słychać aż na werandzie.

- Ten twój szwagier to głupi kutas! - parsknęła Maggie. - Puść mnie, ty mięśniaku, bo cię przymknę. Jestem szeryfem, do jasnej cholery!

- A ja nie jestem żadnym mięśniakiem, pani szeryf. Nazywam się Dillon Savich, agent FBI do specjalnych poruczeń.

- Och, przepraszam! - Zreflektowała się. - Pan przyjechał tu do Maca, prawda? Widziałam pana na pogrzebie Charliego Ducka, ale spóźniłam się i nie zdążyliśmy się poznać.

- Zgadza się. Czy już mogę postawić panią na podłodze?

- O, tak, proszę! Nie zrobię krzywdy temu wypierdkowi. - Spojrzała na Paula z taką pogardą, jakby chciała na niego splunąć.

- Usiądź, Paul - wtrąciłem. - Musimy porozmawiać. A ty, Maggie, siadaj na tamtym krześle. Jeśli któreś z was zrobi ruch w stronę drugiego, oberwie od Savicha albo ode mnie. Raczej od Savicha, bo mnie jeszcze żebra bolą. Jasne?

- Zrobię, co zechcę! - prychnęła gniewnie Maggie. - Chyba jestem szeryfem, do jasnej cholery!

- Wspaniale, to się nazywa fantazja! - zakpił Savich. - My jednak wolelibyśmy, żeby pani spokojnie usiadła i powiedziała nam, czy są jakieś nowe wieści o siostrze Maca.

- Ani słychu, ani dychu - skwitowała krótko Maggie, zerkając spod oka na Paula. - Dziś rano nawet pytałam o to Minton. Też nie wiedział nic konkretnego, tylko coś burczał pod nosem, że nie wie, co wy tam z panią Scott knujecie. Powiedziałam mu, że gdyby to była jego sprawa, na pewno udzieliłbyś mu stosownych informacji, a on mnie za to wyzwał od kurew. Dobra, wystarczy już tego dobrego na dzisiaj. Idę, bo gdybym musiała zostać jeszcze chwilę dłużej z tym bałwanem, to nie ręczę za siebie. Zadzwoni do mnie, gdybyś wpadł na jakiś trop, Mac. Skinęła głową Savichowi.

- Agencie Savich, dziękuję panu za pomoc. Gdyby pan czegoś potrzebował ode mnie, na pewno pan mi da znać.

- Odprowadzę cię, Maggie - zaoferowałem się szybko.

- Co za nędzna gnida! - warknęła, kiedy wyszliśmy z domu Paula.

- Czym tak cię wyprowadził z równowagi?

- Nie uwierzysz, Mac. Próbował pchać mi łapy pod mundur, żeby dostać się do majtek! Dureń był tak nachalny, że trochę potrwało, nim dałam mu nauczkę.

- Dlaczego miałby próbować czegoś podobnego?

- Diabli wiedzą. Zawsze był dziwakiem.

- No, to na razie, Maggie. Będziemy w kontakcie. Czekałem aż odjedzie. Machała do mnie dłonią zza szyby samochodu. Wróciłem do salonu. Savich, ledwie wszedłem, polecił Paulowi:

- No, to opowiedz nam teraz o tym cudownym środku, który wyprodukowałaś.



- Tak, powiedz koniecznie - dodałem zaraz. - Bardzo nas to interesuje.  
Paul siedział bez ruchu, wpatrzony w dłonie splecione między kolanami.  
- Nie mam wam, do cholery, nic do powiedzenia. Spieprzajcie stąd!  
- Nie ruszymy się ani na krok, dopóki nie powiesz nam wszystkiego.  
Paul skurczył się w sobie, ponownie sprawiał wrażenie wystraszonego.  
- No, gadaj! - ponagliłem go.

Chyba ze dwa razy przemierzył wzdłuż pokój, zatrzymując się przed jednym ze swoich abstrakcyjnych obrazów. Czekaliśmy cierpliwie, aż w końcu zwróci się do nas.

- To wszystko jest jeszcze na etapie doświadczeń - tłumaczył się. - Wątpię, czy w ogóle cokolwiek z tego wyjdzie. Sam wiesz, Mac, jakie trudności napotykają teraz badania naukowe, szczególnie w dziedzinie farmacji. Wymagają kosztownej aparatury, mnóstwa roboczości i specjalistycznych programów komputerowych. A jeszcze do tego trzeba ciągle użerać się z Instytutem Kontroli Żywności i Leków...

Przerwał na chwilę, aby wyciągnąć nitkę zwisającą z jego tweedowej marynarki, po czym mówił dalej:

- Chciałem kontynuować pewien temat badawczy, ale szefostwo VioTech uznało go za zbyt kosztochłonny. Chcieli skierować mnie i Jilly do prac nad AIDS, ale to nas nie interesowało. Kiedy więc Alyssum Tarcher zaproponował nam sponsoring, bez wahania przyjęliśmy go do spółki.

- Co to za lek, nad którym pracowaliście? - spytałem.

- To miał być tylko środek wspomagający pamięć.

- Nie bardzo wiem, co przez to rozumiesz - wtrącił się Savich. - Umysł ludzki i mechanizm działania pamięci jest jeszcze tak mało poznany... Jak to działa?

- W założeniu ten preparat ma eliminować psychiczne reakcje na nawroty przykrych wspomnień. Uaktywnia się, kiedy występują zewnętrzne objawy stresu, takie jak podwyższony poziom adrenaliny, przyspieszone tętno lub rozszerzone źrenice. Chodzi o to, aby osłabić negatywny wpływ pamięci przez eliminację stresu i indukowanie dobrego samopoczucia. Działanie to jest szczególnie korzystne w odniesieniu do pacjentów po przykrych przejściach, na przykład żołnierzy, którzy przeżyli bitwę albo dzieci maltretowanych lub molestowanych seksualnie. Jeżeli uda się zneutralizować emocjonalne obciążenie ich pamięci, to samo stanie się z reakcjami fizjologicznymi.

Siedziałem na kanapie wychylony do przodu, z dłońmi między kolanami. Byłem zadowolony, że Paul zaczął mówić, byleby tylko za wcześnie nie nabrał znów wody w usta.

- Zaraz, zaraz - wyraziłem swoje wątpliwości. - Te objawy fizjologiczne, jakie opisałeś, nie muszą być wywołane złymi wspomnieniami. Mogą również wskazywać na strach, podniecenie czy napięcie.

- To prawda, ale przewidujemy podawanie tego leku w określonych okolicznościach, kiedy pamięć jest sztucznie pobudzana. Wtedy środek działa wybiórczo.

- Nie do wiary - wycedził powoli Savich. - I jesteś w stanie kontynuować takie badania w warunkach domowych?

- Zanim odszedłem z VioTech, były prawie ukończone, choć decydenci tej firmy utrzymywali co innego.

- A czy ten środek ma działanie uzależniające? - zapytałem.

- Ależ skąd! - Paul gwałtownie potrząsnął głową.

- Myślałeś może o jego zastosowaniu do celów wojskowych? - podsunął Savich. - Jeśli redukuje fizyczne objawy stresu, można go wstrzyknąć wszystkim żołnierzom i stworzyć cały batalion bohaterów.

- Nie, nie mam zamiaru zajmować się sprawami wojskowymi.

Paul wyglądał na strasznie zmęczonego. Mówił głosem obojętnym i bezbarwnym, jakby już o nic nie dbał.

- Kiedy poprzednio zapytałem cię o to - przypominałem - żartowałeś, że szykujesz eliksir młodości. Teraz widzę, że to zupełnie co innego.

- Czymkolwiek by to było, i tak nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Jilly, ani w ogóle z niczym. Nie chcę już o tym z wami rozmawiać. Idźcie sobie i dajcie mi spokój!

- Po to, żebyś swobodnie mógł zaczepiać Kobiety, które do ciebie przychodzą? - udałem zdziwienie.

- To, co ci Maggie powiedziała, to kłamstwa. Przecież sama mnie sprowokowała, a kiedy potraktowałem to dosłownie, rzuciła się na mnie z pięściami. Mężczyzna czasem może nie zapanować nad sobą, kiedy baba go podpuszcza, a nie dopuszcza.

- Lepiej powiedz, gdzie jest Jilly.

- Gdybym wiedział, byłbym tam teraz z nią.

- Dosyć już tej komedii, Paul! - zdenerwowałem się. - Laura pracuje w brygadzie antynarkotykowej i wiedziała od dawna o właściwościach tego preparatu. W DEA wiedzą też, kim jest Molinas. Od czasu zniknięcia Jilly miały miejsce dwa zamachy na życie Laury. Kto za tym stoi, ty, Tarcher czy może ten kryminalista Del Cabrizo? Opowiedz nam, jaką rolę pełni Tarcher, a jaką Molinas.

- Nie muszę się z niczego tłumaczyć. Chcę, żebyście się obaj stąd wynieśli!

Z tymi słowami wstał i wyszedł z salonu, zrazu wolnym krokiem, ale kiedy usłyszał, że za nim idę, zaczął biec. Sadził po trzy stopnie naraz i zanim go dopędziłem - zamknął się w swoim laboratorium. Miało ono pancerne drzwi, a ja nie znałem zaklęcia, które otworzyłoby taki Sezam. Prosiłem go raz i drugi, żeby mnie wpuścił dobrowolnie, zanim zjawi się tu policja z nakazem przeszukania, ale bez skutku.

Po dziesięciu minutach Savich dotknął mojego ramienia.

- Zostaw go, jedźmy. Musimy się przegrupować. Laura powinna zadzwonić do swego szefa w DEA, żeby wziął sprawę w swoje ręce. Nakaz przeszukania to całkiem dobry pomysł. Gliniarze z brygady mogą nakryć Paula razem z Tarcherem i obu przesłuchać. Na razie jestem tak skonany, że nosem się podpieram. Ten ostatni lot dał mi popalić.

- Może razem z Sherlock będziecie mogli trochę odsapnąć w naszej chałupie.

19

Trzymając się za ręce, podziwialiśmy z Laurą zachód słońca nad oceanem. Wieczór był ciepły, tylko lekki wiaterek powiewał od strony morza. Spacerowaliśmy wzdłuż klifu, zatrzymując się co chwila, aby wymieniać poglądy lub pocałunki.

- Miałeś rację - rzekła, obejmując mnie ciasno w pasie.

- W jakiej sprawie tym razem? - Zdążyłem ją pocałować, zanim się cofnęła.

- Rozmawialiśmy dziś chyba ze wszystkimi, z kim się dało. Podpuściłeś Tarchera, a Paula zmusiłeś do ucieczki, ale trudno wyczuć, co mamy robić dalej. Dopóki nie wpadniesz na lepszy pomysł, może rzeczywiście powinnam zawiadomić o wszystkim szefa, żeby nasza brygada wkroczyła do akcji?

I Savich, i ja byliśmy tego samego zdania. Mnie natomiast najbardziej uderzyło, że znałem Laurę ledwo tydzień, a już byłem pewny jej uczciwości i lojalności, jak też tego, że nie chciałbym się z nią rozstać.

Nie mogłem też oderwać od niej oczu. Miała na sobie adidasy, obcisłe dzinsy i długą, luźną,

białą koszulę. Włosy upięła do góry w „banana”, ale oprócz koralowej szminki na ustach nie miała innego makijażu. Tę szminkę prawie zupełnie scałowałem i wziąłem za punkt honoru, aby oprócz jej ust zdobyć także resztę.

Zacisnąłem palce wokół jej przedramienia, sygnalizując, by się zatrzymała. Ogarnialiśmy wzrokiem bezbrzeżną taflę oceanu, śledząc lot mew, które polowały na ryby. Wokół panowała cisza i spokój; wiatr zostawiał nam słony smak w ustach.

- Usiądźmy - zaproponowałem. Wskazałem w tym celu trzy skałki oparte o siebie nawzajem, położone około pięciu metrów od klifu. - Mów do mnie!

- O czym? O tym, jak seksownie wyglądasz?

- To może trochę poczekać. Na razie opowiedz mi o sobie.

- Ale ja nie przeżyłam w młodości nic ciekawego. Wychowałam się w Tacoma, w stanie Waszyngton, w normalnej, kochającej się rodzinie. Tyle tylko, że w szkole średniej grywałam na klarnecie i nawet miałam dobrą technikę, ale nie umiałam prowadzić melodii.

- Więc nigdy nie wykonywałaś tych uroczych solówek?

- Tylko raz, w pierwszej klasie szkoły średniej. Moja mama widziała ten występ i orzekła, że przyjemniej było na mnie patrzeć niż słuchać. Dlatego, kiedy poszłam na studia, dałam sobie spokój z klarnetem, bez większego uszczerbku dla muzyki. Skończyłam psychologię, ale zawsze chciałam być policjantką. Mój tatuś też był gliną, a starszy brat Alan - detektywem w wydziale zabójstw. Tatuś już nie żyje, a mama mieszka z bratem w Seattle.

W ciągu ostatnich pięciu minut wiatr jakby się nasilił, bo zauważyłem, że zwichrzył włosy Laury i stracił parę nieposłusznym kosmyków na jej twarz. Obserwowałem grę cieni rzucanych na nią w zmierzchowym świetle, gdy w tej samej chwili kula świsnęła o centymetry od jej ręki, odłupując kilka skalnych odprysków. Laura spojrzała na mnie ze zdziwieniem, gdy błyskawicznie pchnąłem ją na ziemię i przeturlaliśmy się za skałki. Nie dawały one dostatecznej ochrony, ale lepszą niż nic.

Dwa następne strzały zadzwoniły nam w uszach - jeden pocisk odbił się rykoszetem od skalistego podłoża, a drugi przeleciał górą. Przycisnąłem głowę Laury do ziemi, osłaniając ją całą swoim ciałem. Prosto w jej ucho wyszeptalem:

- Cholera, do chałupy mamy ze sześć metrów odkrytego terenu, nie ma się nawet za czym schować!

Następna seria zagrzechotała po skałach. Pod osłoną własnego ciała starałem się odciągnąć Laurę do tyłu. Obejrzałem się w kierunku naszej chatki, mierząc wzrokiem otwartą przestrzeń, jaką mieliśmy do pokonania. Zauważyłem przy tym, że drzwi powoli się uchyliły.

- Sherlock, Savich, nie wyląźcie! - zawołałem do nich. - Siedźcie w środku i zadzwoncie na policję!

W kierunku chaty poleciało przynajmniej ze sześć kul. Namierzyłem, że wystrzelono je z mojej prawej strony, w pobliżu klifów. Obróciłem się wokół własnej osi, wyciągając przy tym pistolet. Uniosłem się nieco na łokciu i wystrzeliłem sześć naboju w kierunku, skąd strzelano. Usłyszałem czyjś krzyk bólu.

- No, trafiłem drania! Teraz przynajmniej wiedzą, że nie jesteśmy bezbronni. Na pewno też słyszeli, że wezwałem posiłki. Trzymaj się mnie, Lauro, i niech ci się zdaje, że jestem twoją kamizelką kuloodporną.

Twarz Laury była pokryta warstwą kurzu, część musiała dostać się do jej ust, bo odpluwała.

- Cholera, mało brakowało! - zrywała się. - Nie do wiary, co za durnie, żeby porywać się na agentów federalnych! Przecież tym tylko sobie zaszkodzą.

Teraz osłaniałem ją swoim ciałem tylko do połowy. Usłyszałem trzy dalsze strzały skierowane w

stronę chaty. Nie zdziwiłem się, że z wnętrza Sherlock i Savich też odpowiedzieli ogniem. Musieli trafić kogoś z napastników, gdyż znowu rozległ się krzyk bólu. Ciekawe, ilu ich było?

Potem zapanowała cisza, umilkły nawet mewy. Laura próbowała wysunąć się spode mnie, ale przytrzymałem ją za ramię.

- Na razie się nie ruszaj, poczekaj trochę - poprosiłem i ostentacyjnie zawołałem w stronę chaty:  
- Dodzwoniłeś się, Savich?

- Tak, gliny będą tu najwyżej za trzy minuty - odkrzyknął. Jednak coś w tonie jego głosu nie spodobało mi się, bo zabrzmiało jakoś nieszczercze. Ci durnie myśleli już, że złapali Pana Boga za nogi, kiedy myśmy się tu pojawili.

Spojrzałem w niebo. Na oko zostało nam jakieś piętnaście minut dziennego światła. Za całe schronienie musiały nam starczyć trzy skałki.

Laura przybrała wygodniejszą pozycję, wpełzając całkowicie spode mnie.

- Ilu ich może być? - spytała.

- Bo ja wiem? Co najmniej trzech. Dwóch mogło oberwać, ale poczekajmy, co zrobią Sherlock i Savich. To już nie potrwa długo.

Czekaliśmy więc w milczeniu i bezruchu przez jakieś dwie minuty. Zdażyliśmy zeszywnieć, a Laura wypluwała piasek, który dostał się jej do ust.

Wreszcie otworzyły się drzwi i Savich zawołał:

- Szybko, Mac, do środka! Przebiegliśmy zakosami przestrzeń dzielącą nas od chatki, przygięci do ziemi, jak nas uczono. Sherlock i Savich osłaniali nas ogniem. Padły jeszcze może ze trzy lub cztery strzały, ale niecelne. Po nich zapanowała cisza. Wepchnąłem Laurę do środka, a sam odwróciłem się i jeszcze wystrzeliłem za siebie. Sherlock i Savich cofnęli się do wewnątrz. Szybko zatrasnąłem drzwi od środka i przypadłem do podłogi, ale gdy się odwróciłem - zobaczyłem obie kobiety turlające się ze śmiechu.

- Świetnie się spisaliście - pochwaliła Laura, obejmując Sherlock ramionami. - Naprawdę ocaliliście nasze głowy.

Patrząc na nie, doszedłem do wniosku, że każdy inaczej reaguje, kiedy znajdzie się pod ostrzałem. Wyrząłem na zewnątrz przez wąskie okno wychodzące na klify. Nie zauważyłem nic podejrzanego, więc szczelnie zaciągnąłem zasłonkę.

- Z tej strony powietrze czyste - oznajmiłem. Savich kiwnął głową z aprobatą, ale sam przenosił wzrok z Laury na żonę i z powrotem. Laura miała zabrudzoną twarz i włosy w strąkach, a Sherlock śmiała się z niej jak opętana.

- Masz pełno błota w uchu! - zauważyła i sama przetarła ucho Laury.

- Do kogo właściwie się dodzwoniłeś? - spytałem tymczasem Savicha. Ten zaciągnął zasłonkę tak, jak była, i wyznał:

- Ci dranie przecięli druty telefoniczne, Mac. Prawda jest taka, że siedzimy tu zamknięci jak w pułapce.

- Cwane bestie - przyznałem. Przeszedłem do kuchni, aby sprawdzić zaplecze domku, a przy okazji przyniosłem ostatnie dwa piwa, jakie zostały w lodówce. Wyciągnąłem z kieszeni monetę ćwierćdolarową i podałem Sherlock, aby podrzuciła ją do góry. Tym sposobem los miał rozstrzygnąć, kto napije się piwa, gdyż nie miałem złudzeń, bym w innym przypadku miał je dostać. I tak jednak wypadło na Laurę i Sherlock, które bez wyrzutów sumienia zabrały się do opróżniania puszek.

- To jednak faceci z jajami - rzekł Savich, czyszcząc broń przy oknie. - Kiepsko strzelają, ale traktują to cholernie poważnie.

- Dillon, powiedz, że w naszym wynajętym samochodzie jest komórka! - poprosiła Sherlock z nadzieją w głosie.

- Gdyby była, na pewno powiedziałbym ci o tym - rozwiął jej nadzieje.

- Jakie to smutne. Szkoda, że tak szybko skończyłam piwo!

Sprawdziłem zamek w drzwiach i mocniej wcisnąłem krzesło pod klamkę.

- Kiedy się porządnie ściemni, musimy się stąd wydostać - obwieściłem.

- Już jest wystarczająco ciemno - skorygowała mnie Laura. - Jedźmy stąd zaraz, najlepiej twoim wozem, Mac, bo z tego dodge'a dużo nie wyciśniemy.

Za późno ugryzła się w język. Gdy spojrzała na Savicha, ten jednak nie skomentował jej słów.

Dopiero po namyśle odpowiedział:

- Zgoda, ale zauważcie, że już od prawie pół godziny panuje cisza. Gdyby chcieli nas zabić, strzelaliby dalej. Spróbujmy więc pryskać stąd zaraz.

Bezszelestnie otworzyłem frontowe drzwi. Oczekałem chwilę, następnie wysunąłem się na zewnątrz, w stronę klifów, osłaniając się pistoletem gotowym do strzału. Nad oceanem lśniła tarcza księżycyca w pełni, ale na szczęście coraz to przesuwały się przed nią strzępiaste chmury. Oczekałem, aż chmury przesłonią księżyc i chyłkiem przebiegłem do taurusa, mając za sobą Savicha, Sherlock i Laurę.

Kobiety położyły się płasko na podłodze przy tylnym siedzeniu, Savich usiadł na przednim, a ja przekręciłem kluczyk w stacyjce. Nic jednak z tego nie wyszło. Spróbowałem jeszcze raz, ale potem dałem spokój.

- Ktoś uszkodził mi wóz - oświadczyłem.

- Musieli to zrobić bardzo dyskretnie - rzekł Savich. - W takim razie wracajmy. Będę was osłaniał.

Pobiegliśmy z powrotem jak wariaci, ale nikt do nas nie strzelał. Ledwo znaleźliśmy się w środku, zaryglowaliśmy i zabarykadowaliśmy drzwi.

- To zabawne, że w Ameryce można zostać równie skutecznie odcięty od świata, jak w Afryce Północnej, co Mac? - zauważył Savich. Przypomniałem sobie, jak wtedy myślałem, że już po mnie, ale tam jednak nadeszła jakaś pomoc.

- To powinno było spotkać tylko mnie - Laura potrząsnęła głową z twarzą ściągniętą smutkiem. - Wiem, że i wy jesteście policjantami, ale to nie było wasze zadanie, tylko moje. Byliście tylko przypadkowymi obserwatorami, a przeze mnie znaleźliście się w samym oku cyklonu.

- Podjąłem tę decyzję wspólnie z tobą - zaprotestowałem. - To Sherlock i Savich są przypadkowymi obserwatorami.

- Daj spokój, Mac - poprosił Savich, a Sherlock zaproponowała:

- Właściwie możemy napić się kawy. Tak czy siak, musimy tu czekać na przyjazd szeryfa. Chyba zechce sprawdzić, co się z nami dzieje, prawda?

- Nie przypuszczam, żeby pozwolili nam przesiedzieć tu przy kawie całą noc - zauważył trzeźwo Savich. - Na pewno znowu przyjdą.

- Ciekawe, jak to możliwe, że wystrzelili przynajmniej dwanaście magazynków i ani razu nie trafili? - zastanawiałem się głośno.

- Może z jakichś powodów nie chcą nas zabić? - podchwycił Savich.

- Możliwe. W jednej chwili wszystkie trzy okna od frontu rozbiły się w drobny mak, a do środka wpadły nieduże, lecz ciężkie, metalowe pojemniki. Tocząc się po podłodze, wydawały dudniące odgłosy i wyrzucały z siebie obłoki gryzącego dymu, który palił usta.

Nie było już czasu na jakąkolwiek reakcję. Laura wpatrywała się z przerażeniem w szary,

jajowaty zasobnik, który upadł około półtora metra od niej i ciągnął za sobą smugę bladoniebieskiego dymu.

- Tak mi przykro, kochani! Przepraszam was, ale to kwas lodowy!

Chciałem od razu zapewnić ją, że nie jest niczemu winna, ale ledwo otworzyłem usta, miałem wrażenie, że wdychany kwas wypalił mi język. Krzyczeć z bólu też nie mogłem, bo coś ścisnęło mnie za gardło. Było to najdziwniejsze w świecie uczucie, jakbym kurczył się w sobie. Wargi mi drętwiały, a zęby szczękały jakby z zimna. Właśnie dlatego nazwano tę substancję kwasem lodowym, bo zanim zwała człowieka z nóg - fundowała mu takie sensacje.

Dopóki jeszcze mogłem cokolwiek widzieć, zobaczyłem, jak Savich mocno przyciska żonę do siebie. Laura leżała na boku z podkurczonymi nogami. Nie ruszała się, więc próbowałem zbliżyć się do niej, dopóki nie straciłem jej z oczu. Poczułem, że powieki przymarzają mi do policzków, a z oczu ciekną łzy, które też zamarzały. Chciałem jeszcze powiedzieć Savichowi, że musimy się stąd wydostać, a potem już nic nie czułem.

20

Wiedziałem, że nie śpię, ponieważ słyszałem własne jęki. Nie czułem jednak żadnego bólu, słyszałem tylko, jak Laura powtarza raz po raz:

- Mac, nie rób tego. Proszę cię, przestań. No, obudź się!

Otworzyłem oczy i ujrzałem pod sobą twarz Laury, która nie przestawała mówić:

- Mac, widzę, że nie śpisz. Daj spokój, nie rób tego! Nie rozumiałem, o czym mówi. Czego miałem nie robić?

- Mac, proszę cię, odejdz. No, przestań!

Wprawdzie nie czułem bólu, ale za to czułem coś aż zanadto konkretnego, co śmiertelnie mnie męczyło, ale nie miałem pojęcia, skąd się wzięło.

- Mac, zbudź się! W tym momencie uświadomiłem sobie, że leżę na niej, ona jest naga i ja też, a jeszcze do tego znajduję się między jej nogami i szykuję się do wykonania pchnięcia. Czułem tak przemożne pragnienie, że nie przypuszczałem, abym mógł się temu oprzeć.

- O Boże, Laura!

- Mac, przestań!

- O Boże, chyba nie mogę! Dyszałem, próbując zapanować nad ruchami własnego ciała, ale popęd płciowy był silniejszy ode mnie. Napiąłem mięśnie i krzyczałem w głos, bo przecież nie chciałem jej zgwałcić, tylko działało się ze mną coś, czego nie pojmowałem. To coś popychało mnie wbrew mojej woli, czułem jej nagie ciało tuż przy swoim i nie byłem w stanie powstrzymać się od tego, do czego mnie ciągnęło. Kiedy spojrzałem na nią - zauważyłem łzy ściekające po jej policzkach.

- Nie! - krzyknąłem, odrzuciłem głowę do tyłu i wysiłkiem woli stoczyłem się z niej na podłogę. Leżałem tam, ciężko dysząc, klnąc i czując przenikającą całe moje ciało nieprzewartą chęć, żeby ją osiąść.

- Mac... - Jej głos dobiegał jakby z daleka, chociaż wiedziałem, że leży tuż przy mnie. - Dobrze się czujesz?

W tym pytaniu pobrzmiwała raczej ulga niż strach. Przekręciłem się na bok, aby dojrzeć jej twarz. Laura patrzyła na mnie i uśmiechała się, ale dopiero teraz zauważyłem, że ręce ma związane nad głową. Była bezbronna, zdana na moją łaskę, gdy tymczasem ja mogłem swobodnie się poruszać, nie zdjęto ze mnie wszystkiego, miałem na sobie koszulę i adidasy.

Zacząłem głęboko oddychać, raz po razie, żeby nałykać się świeżego powietrza, a przy tym przewentylować mózg. Wyciągnąłem rękę, aby dotknąć Laure, ale zaraz cofnąłem, bo brakło mi sił.

Na jej policzkach wciąż widniały łzy. Nie mogłem na to patrzeć, spróbowałem je otrzeć.

- Tak mi przykro, Lauro. Co się właściwie stało?

- Odurzili nas narkotykami! Popełniłem ten błąd, że znów spojrzałem na jej nagie ciało.

Zacisnąłem zęby i czym prędzej przetoczyłem się na drugi bok, bo czułem, że ciągle mi stoi.

Zerwałem się więc na równe nogi, pozbierałem z podłogi rzeczy i szybko naciągnąłem slipki i spodnie. W ubraniu poczułem się bardziej normalnie. Powtarzałem sobie tylko raz po raz, że muszę z tym walczyć.

Przykłąkłem przy niej i spostrzegłem, że nogi miała szeroko rozstawione i przywiązane do pierścieni wbitych w podłogę.

- Tak mi przykro! - powtórzyłem. - Przepraszam cię, Lauro, nie wiedziałem, co robię.

- Przecież wiem, że to nie ty mnie związałeś. Nic mi nie zrobiłeś, bo zdołałeś się powstrzymać.

Ręce mi się trzęsły, więc trochę potrwało, zanim rozplatałem węzły sznurów na jej nadgarstkach i kostkach. Powoli złączyła nogi i usiadła, rozcierając przeguby.

- Dziękuję ci, Mac.

- Gdzie są twoje rzeczy?

- Nie wiem. Bez namysłu oddałem jej swoją koszulę. Przyglądałem się, kiedy ją zakładała, ale czułem, że mózg pracuje już na wolniejszych obrotach, a pociąg seksualny osłabł na tyle, że byłem w stanie nad nim panować.

Laura wstała i w mojej koszuli, sięgającej ud, przeniosła się na wąskie łóżko stojące w kącie pokoju. Usiadła na nim, nadal rozcierając nadgarstki.

Usiadłem przy niej, ale wolałem jej nie dotykać, gdyż bałem się, że mogę nie zapanować nad sobą.

- Powiedz, co oni właściwie z nami zrobili i gdzie jesteście? - poprosiłem.

- Nie wiem, bo mówili po hiszpańsku, więc ich nie rozumiałam. Widziałam tylko, jak zrobili ci jakiś zastrzyk. Byłeś przytomny, ale oszołomiony. - Wzdrygnęła się.

Przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem mocno.

- Damy sobie z nimi radę - pocieszałem. - Dobrze, że nic nam się nie stało.

- Chcieli sobie zrobić z nas widowisko. Rozebrali mnie do naga, przywiązali do podłogi i puścili cię na mnie jak ogiera na klacz. Najpierw wcisnęli ci twarz między moje nogi i zaśmiewali się, gdy cię odciągnęli. Potem jeden z nich, pewnie ich szef, powiedział coś i zostawili nas samych.

Umilkła, a ja pocałowałem ją we włosy i zacząłem rozcierać plecy.

- Nic się nie stało - pocieszałem.

- Dobrze, że w porę doszedłeś do siebie na tyle, że zdałeś sobie sprawę, co robisz. Nie sądziłam, że będziesz w stanie zapanować nad sobą. Chryste, to był zupełny koszmar!

Przymknąłem oczy, tak porażająca wydała mi się ohyda sytuacji, w jakiej mnie postawiono.

Laura była naga, związana i bezbronna, więc gdybym nie zdołał się opanować, to...

- Chcieli, żebym cię zgwałcił?

- Na to wygląda. Ciekawe, ale świadomość tego, że nie jesteś w pełni sobą, jeszcze bardziej mnie przerażała. Zachowywałeś się jak obcy człowiek, któremu wszystko jedno, kim jestem.

Poznałeś tylko po zapachu, że jestem kobietą, i to ci wystarczyło. Widocznie ten narkotyk tak działa.

- Ten narkotyk... - powtórzyłem powoli. - Pamiętam, że środek, którego poszukujemy, też ma jakiś wpływ na seks.

- Tak, i chyba właśnie z nim mamy do czynienia. Chcieli wypróbować jego działanie na tobie.

Mało mnie szlag nie trafił. Chętnie pozabijałbym drani, którzy potraktowali nas jak zwierzęta laboratoryjne dla wypróbowania możliwości tego ich pieprzonego narkotyku!

- Pewnie dali ci większą dawkę od tej, jaka wystarcza dla zwiększenia potencji.

- Zgadza się, bo nie przeżywam najszcześniejszych chwil w moim życiu!

Wyczułem uśmiech na jej twarzy wtulonej w moje ramię i dodałem jeszcze:

- Nie zrobili ci krzywdy?

- Przynajmniej nic takiego, o czym bym wiedziała. Nie wiem, jak długo byliśmy nieprzytomni.

Rozbudzili mnie, podając mi sole trzeźwiące do wachania, bo chcieli, żebym odzyskała świadomość, zanim posadzili cię na mnie. Co za koszmar, nie mogłam się bronić, a ty nie byłeś sobą! Dobrze, że zacząłeś wracać do przytomności, więc mówiłam do ciebie, dopóki całkiem się nie ocknąłeś.

- Zorientowałaś się, gdzie jesteśmy?

- Skąd, jestem przytomna mniej więcej od godziny. Wiem tylko tyle, że jest noc. Jeśli mój zegarek dobrze chodzi, minęła dziesiąta.

Mały pokój, w którym nas trzymano, nie miał okien. Był prawie kwadratowy, o wymiarach około trzy i pół na trzy i pół metra. Stało tam jedynie wąskie, pojedyncze łóżko, przed nim stary, szmaciany dywanik, a w rogu sedes i umywalka.

- Zasobniki z kwasem lodowym wrzucono do naszego domku około ósmej wieczorem - przypomniałem sobie.

- Tak, ale nie wiemy, czy od tego czasu upłynęły tylko dwie godziny, czy może kilka dni? Powiem ci tylko jedno, Mac. Gdybym teraz miała w ręku spluwę, bez wahania zdmuchnęłabym łeb z karku pierwszemu z tych drani, którzy tu wleźli. Wprost nie mogę uwierzyć, że mogli zrobić coś takiego. I jeszcze się przy tym śmiali!

- Ilu ich było?

- Najpierw trzech, a potem przyszedł ten, który chyba nimi dowodzi, i kazał im wyjść. -

Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Wszyscy mówili po hiszpańsku, więc nie przypuszczam, abyśmy wciąż znajdowali się w Oregonie.

- Może w Meksyku?

- Całkiem możliwe - zgodziła się - choć równie dobrze możemy być w Kolumbii. Pamiętasz, jak kilka lat temu w Meksyku złapali jednego naszego agenta, torturowali go i zamordowali, ale jakoś nikt za to nie beknął?

- Nawet nie myśl o takich rzeczach! - odsunąłem ją od siebie. - A widziałaś Sherlock albo Savicha?

- Nie - potrząsnęła głową. - Kiedy się obudziłam, byłam sama. Ten pokój stał pusty, kiedy mnie do niego przynieśli. Nie wiedziałam, gdzie cię trzymają, dopóki dwóch facetów cię tu nie przywlokło. Wyglądałeś na odurzonego. Rzucili cię na to łóżko i zrobili ci zastrzyk, a po pięciu minutach położyli cię na mnie. Są gorsi od zwierząt!

- Ciekawym, co by się stało, gdybym nie odzyskał kontroli nad sytuacją. Sądząc po tym, jak się czułem, mogło to trwać, póki bym nie umarł lub narkotyk nie przestał działać. Może to właśnie chcieli sprawdzić? Nie zdziwiłbym się, gdyby robili między sobą zakłady!

- Grunt, że jednak zapanowałaś nad sobą. Pocałowałem ją w usta, odgarnąłem jej włosy do tyłu i powiodłem wielkim palcem nad brwiami.

- To dlatego, że cię w porę rozpoznałem. Kocham cię, Lauro. Nie mógłbym zrobić ci krzywdy.

- Dobrze więc, najpierw uporządkujmy nasze sprawy, a potem się pobierzmy. Zrobimy tak, Mac?

Nie mogłem uwierzyć, że musiałem dożyć do dwudziestego dziewiątego roku życia, by poznać wreszcie taką kobietę. Ucałowałem czubek jej nosa i zapewniłem:

- Dokładnie w takiej kolejności. Przyjrzałem się małym kółkom przyśrubowanym do desek podłogi. Ciekawe, czy przedtem służyły one do tego samego celu? Czyżby ci bandyci przyprawiali



tutaj kobiety i na zmianę zabawiali się z nimi? Narkotyk też robił swoje. Czuję, że wciąż miałem erekcję.

Spojrzałem jeszcze raz na Laurę. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że jej spływające na twarz włosy są puszyste i lśniące.

- Czyżby wyszczotkowali ci włosy? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Tak, i nie tylko to - odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy. - Przygotowali mi kąpiel, umyli włosy i spryskali perfumami. Dokładniej robiły to dwie kobiety, szkoda tylko, że nie znały ani w żąb angielskiego. Ci dranie cały czas się przyglądali, a potem zawlekli mnie do tego pokoju.

Podejrzewam, że musieli to już robić przedtem z innymi kobietami.

Przytuliłem ją mocniej i tym razem rzeczywiście poczułem od niej zapach piżma. Spowodowało to kolejny przypływ pożądania, na szczęście nie tak silny, abym nie mógł sobie z nim poradzić.

Wolałem jednak nie przeciągać struny.

- Chce mi się pić - oznajmiłem, aby pod tym pretekstem oddalić się nieco od niej. Podeszedłem do zlewu, który wyglądał na równie stary jak szmaciany dywanik, bo był zardzewiały i popękany.

Najważniejsze jednak, że z kranu leciała czysta, chłodna woda. Obmyłem sobie twarz, aby spłukać zapach Laury. Ustępowało również z wolna nieprzyjemne otępienie umysłu, dzięki czemu mogłem rozważać więcej niż jedno zagadnienie naraz. I tak jednak nic nie zaprzętało mi głowy oprócz jednej myśli - żeby ich zabić! Nie mogłem przejść obojętnie obok tego problemu, gdyż wiedziałem, że po prostu muszę to zrobić. Musieliśmy przecież jakoś stąd się wydostać.

- Czy odszedłeś na bok dlatego, że narkotyk znów zaczął działać? - zainteresowała się Laura.

- Tak, ale nie martw się, już mi lepiej. Albo nie, powiem inaczej. Gdybym zaczął jakoś dziwnie na ciebie patrzeć lub się nienormalnie zachowywać, staraj się uciec ode mnie. A w razie gdybyś nie zdążyła, po prostu wal mnie po mordzie. Zwyczajnie broń się, jasne?

Przypatrywała mi się przez dłuższy czas, ale w końcu przytaknęła. Widząc, że idzie w moją stronę, sam obrałem kurs w kierunku łóżka. Kiedy Laura nabierała w dłonie wody z kranu, zaproponowałem:

- Musimy pogłótkować, w jaki sposób się stąd wydostaniemy.

Równocześnie spojrzeliśmy w stronę jedynych drzwi.

- Myślisz, że dadzą nam jeść? - Żołądek wprawdzie przysychał mi do kręgosłupa, ale nie o to mi chodziło. - Gdyby przynieśli nam coś do jedzenia, można by przy okazji spróbować ucieczki.

Nie minęło nawet dziesięć minut, a przynieśli nam jedzenie. Otworzyli nieskomplikowany zamek w drzwiach i do środka wszedł młody, chudy chłopak niosący dwa kopiasto naładowane talerze. Za nim szedł dorosły mężczyzna z automatem AK-47 gotowym do strzału. Ten nie wchodził do pokoju, tylko zatrzymał się w drzwiach, celując prosto w mój brzuch.

Nie zauważyłem nawet momentu otwierania i zamykania drzwi, bo moja uwaga skoncentrowała się wyłącznie na jedzeniu. Na talerzach znajdowały się placki tortillas, fasolka ze skrawkami wołowiny i pieczone kartofle nadziewane papryką i cebulą. Byłem tak głodny, że smakowało mi to, jak żaden inny posiłek w moim życiu.

Nasi nadzorcy zostawili nam także dzbanek zimnej wody. Papryka była tak ostra, że osuszyliśmy go do dna. Z talerzy też znikło wszystko, co nam przyniesiono. Laura wyraziła nadzieję, że nie pochorujemy się z przejedzenia. Także i ja nie zachwyciłbym się taką perspektywą, gdyż pamiętałem, jak dwa lata temu dopadła mnie biegunka zwana „zemstą Montezumy”, kiedy wybrałem się na ryby do Cozumel. Wskutek odwodnienia straciłem wtedy cztery kilo.

- Tylko jeden facet z kałaszem.. - myślałem głośno. - Gdybyśmy stanęli bliżej drzwi, to mielibyśmy przewagę, jeśli znów przyjdzie sam.

Laura uzupełniła mój pomysł.

- Tu jest tylko jedna cienka poduszeczka i koc, ale może uda mi się ułożyć je tak pod prześcieradłem, żeby wyglądało, jakbyśmy spali?

Wykonaliśmy ten zabieg i otaksowaliśmy wzrokiem nasze dzieło.

- Niezbyt udana podobizna, ale może przynajmniej przez chwilę się nabiorą - oceniłem. - Którą stronę drzwi wybierasz?

Ostatecznie ustawiłem się od strony zamka, a Laura za drzwiami. Zdjęła ciężką, porcelanową pokrywę sedesu i trzymała ją na wysokości piersi.

- Oni na pewno zdają sobie sprawę, że nie będziemy siedzieć tutaj beczynnienie - zauważyła. - Spodziewają się, że coś knujemy. Może nawet i w tej chwili nas podglądają.

Pomyślałem o tym samym, więc obszedłem wokoło cały pokój i zbadałem go centymetr po centymetrze. Nie znalazłem jednak niczego, co przypominałoby ukrytą kamerę albo judasza. Usiadłem z powrotem na swoim miejscu.

- W Bogu nadzieja, że Sherlock ani Savichowi nic się nie stało.

- Może Sherlock też w tej chwili siedzi przy jakichś drzwiach i trzyma przy piersi pokrywę od sracza?

Czekaliśmy dosyć długo, aż w końcu zmorzył nas sen. Obudziliśmy się wczesnym rankiem. Mój zegarek wskazywał wpół do siódmej.

Po kolei umyliśmy się i skorzystaliśmy z toalety. Punktualnie o siódmej usłyszeliśmy kroki za drzwiami.

21

Klucz przekręcił się w zamku i drzwi powoli się otworzyły. Nikt się nie ruszył, nie pisnął ani słowa, tylko przez otwarte drzwi wtoczył się zasobnik z gazem. Błyskawicznie wrzuciłem go do sedesu i spuściłem wodę. Z muszli zaczął wydobywać się dym, ale stłumiłem go pokrywą. Na szczęście nie zdążyłem dużo się nawęchać i nie czułem żadnych sensacji.

Usłyszałem czyjś śmiech, a kiedy się odwróciłem - zorientowałem się, że od progu obserwuje mnie dwóch mężczyzn.

- Asi se hace! - zagrzmiął głębokim basem jeden z nich, drobny, żylasty i czarniawy, podobnie jak kolega ubrany w ćwiczebne, wojskowe moro. Następnie przeszedł na angielski, choć z silnym obcym akcentem: - Si, to była dobra robota! Myślisz, że nie wiedzieliśmy, że będziecie na nas czekać? Zrobiłeś już swoje, tak? No, to rusz się! - Zamachał mi automatem przed nosem. - A ta twoja kobieta jeszcze śpi? Toś ją musiał porządnie zmordować!

Postąpiłem krok w ich stronę, nie spuszczać obu panów z oka. Osobnik mówiący basem uniósł w górę broń, ale nie zdążył powiedzieć ani zrobić nic więcej, bo w tym momencie Laura pchnęła gwałtownie skrzydło drzwi, za którymi stała, i trzasnęła go prosto w łeb porcelanową pokrywą od sedesu. Jego towarzysz wskoczył do środka z kałachem gotowym do strzału, ale patrzył tylko na Laurę, więc zaskoczyłem go, kiedy rzuciłem się na niego z dzikim wyciem. Jego automat zatoczył szerokie koło, kiedy Laura także i jemu wymierzyła cios pokrywą w skroń. Jęknął tylko i poleciał z łomotem na podłogę.

Tymczasem pierwszy zaczął się ruszać, więc Laura jeszcze raz przyłożyła mu pokrywę od sedesu i dla pewności dołożyła obydwóm po kopniaku w żebra.

- Szybko, zamknij drzwi! - poleciłem, a sam złapałem potężniejszego z naszych napastników pod pachy i wciągnąłem go do środka. Zrobiła to samo z drugim.

Zabrałem jednemu z nich kałasznikowa i wyrzuciłem na zewnątrz. Za drzwiami znajdował się długi, wąski korytarz prowadzący w obie strony, na którym nie było widać żywej duszy.

- Przeberzemy się w ich rzeczy - zarządziłem. Po pięciu minutach zapinaliśmy już wojskowe spodnie w barwach ochronnych i sznurowaliśmy glany. Laura oderwała rękawy od mojej białej koszuli i wepchnęła je w noski swoich buciorów. Przytupnęła kilka razy i uśmiechnęła się do mnie, zadowolona z wyniku.

- No, teraz pasują. Dobrze, że ten drugi był wyższy, bo w sam raz zmieściłeś się w jego mundur.

Potrwało nieco, zanim unieszkodliwiliśmy ich na dłuższą metę. Laura rozebrała obydwu do naga i przywiązała ich nogi do tych samych kółek w podłodze. Skończyła, otrzepała ręce, wyprostowała się i spojrzała na mnie.

- Dobra, zjeżdżajmy stąd. Sherlock i Savich muszą być gdzieś w pobliżu.

Zamknęliśmy drzwi na klucz i skręciliśmy w lewą odnogę korytarza. Wybraliśmy ten kierunek bez żadnej specjalnej przyczyny poza tą, że jestem leworęczny. Mieliśmy po automacie z załadowanym magazynkiem i drugi zapasowy magazynek, który każdy z naszych strażników nosił przy pasie. Byłem więc uzbrojony, ale powodowała mną bardziej wściekłość niż rozsądek. Laura upchnęła włosy pod połową czapkę i z odległości mniej więcej trzech metrów można było ją wziąć za mężczyznę.

- Głupie palanty udają żandarmów - szepnęła.

- Nie narzekaj, bo dzięki temu łatwiej będzie nam się stąd wydostać. - Buty zaczynały mnie już uwierać i przypuszczałem, że porobią mi się pęcherze.

Wtem usłyszeliśmy tupot nóg w ciężkich butach, zbliżający się w naszą stronę. Po naszej prawej stronie zauważyliśmy drzwi, trzecie od początku korytarza, więc otworzyłem je tak cicho, jak tylko mogłem, i wśliznęliśmy się do środka. Nasłuchiwalismy, gdy w pomieszczeniu, do którego weszliśmy, rozległ się odgłos jak gdyby chrząknięcia.

Błyskawicznie odwróciliśmy się o sto osiemdziesiąt stopni i w zaciemionym kącie pokoju zauważyliśmy starszego człowieka siedzącego przy małym stoliku pod wąskim jak szczelina oknem. Jadł z miski zupę, zagryzając ją plackiem. Łysa czaszka i pomarszczona twarz były spalone słońcem. Nosił długą siwą brodę, a ubrany był w ciemnobrązowy habit z szorstkiej wełny, przewiązany w pasie sznurem.

Patrzył na nas osłupiałym wzrokiem, a jego ręka trzymająca placek zawisała w połowie drogi do ust. Dałem znak, żeby się nie ruszał i szepnąłem mu w ucho po hiszpańsku:

- Tylko spokojnie, ojczulku!

Kątem oka spojrzałem na Laurę, która stała jak przyklejona do drzwi i nasłuchiwała. Powszechnie zrozumiałym gestem palca na ustach nakazywała ciszę. Kroki wielu stóp w podkutych butach przesunęły się za naszymi drzwiami, ale na szczęście nikt się nie zatrzymał. Zakonnik siedział nieruchomo, dopóki kroki nie ścichły.

- Kim jesteście? - zapytał głębokim, starczym głosem po hiszpańsku.

- Jesteśmy agentami amerykańskich służb śledczych. Tamci ludzie odurzyli nas narkotykami i uwięzili tutaj. Jeśli nas znowu złapią, to zabiją. Próbuje się stąd wydostać. A księdzka też tu trzymają?

- Nie, przychodzę tu raz w tygodniu z posługą duchową. Jedna z ich kobiet zawsze przygotowuje mi śniadanie. - W jego mowie słowa się zlewały i trudno mi było go zrozumieć. Zrozumiałem jednak tyle, ile trzeba.

- Jaki dzień dziś mamy? Tym razem musiał dwukrotnie powtórzyć odpowiedź, zanim go zrozumiałem. Był czwartek, a więc w naszych rachubach pomyliliśmy się o dzień.

- A gdzie my w ogóle jesteśmy, proszę księdzka? Spojrzał na mnie jak na wariata.

- Jesteśmy tuż pod Dos Brazos.

Tym razem dał się słyszeć tupot większej grupy maszerujących ludzi. Ich kroki zaczęły zwalniać.

Znaleźliśmy się w pułapce, bo przez tę szparę okienną nie prześliznęłoby się nawet chude dziecko. Staruszek obrzucił nas przelotnym spojrzeniem i z wolna wymówił:

- Nie ma czasu do stracenia. Szybko, włączcie pod łóżko, a ja już ich zagadam.

Gdyby nas zdradził, wciśnięci pod wąskie, zakłęśnięte łóżko byłibyśmy bez szans. Nie mieliśmy jednak wyboru. Wczołgaliśmy się pod łóżko, gdzie było bardzo mało miejsca, ale przynajmniej okrywająca je sznurkowa kapa spadała do samej podłogi. Leżałem na swoim automacie, a Laura przyciskała się razem ze swoim AK-47 do moich pleców.

Ktoś z zewnątrz otworzył drzwi bez pukania. Spod łóżka zauważyłem przynajmniej trzy pary butów. Wysoki, przenikliwy męski głos zapytał po hiszpańsku:

- Ksiądz tu już długo siedzi?

- No, tyle, ile trzeba, żeby zjeść śniadanie.

- I nie widział ksiądz nikogo obcego ani nie słyszał niczego podejrzanego?

- Nie widziałem nikogo poza panem, señor, i pańskimi ludźmi. A co, stało się coś? Może pożar?

- Och, nie, nic podobnego. Uciekło nam tylko dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, których chcieliśmy oddać w ręce policji, ale niech się ksiądz nie obawia. Złapiemy ich!

Zakonnik nie odezwał się ani słowem i chyba nie dawał im żadnych znaków, bo odwrócili się i wyszli. W ostatniej chwili jeden z nich zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał:

- Ojcie Orlando, jedna z naszych kobiet, Hestia, wspominała mi, że jej syn cierpi na straszne bóle. Czy mógłby ksiądz go odwiedzić? Moi ludzie dopilnują, żeby ci obcy nie zrobili księdzu krzywdy.

- Owszem, chętnie pojedę - zgodził się franciszkanin, wstając. Wtedy zobaczyliśmy, że ma sandały nałożone na bose stopy, węzlaste i guzowate jak konary. Kiedy drzwi w końcu definitywnie się zamknęły, ostrożnie wypęzliśmy spod łóżka.

- No, mało brakowało! - odetchnęła Laura z ulgą, otrzepując się z kurzu. Ja zaś zwróciłem uwagę, że na stoliku zostały jeszcze trzy tortille. Ponieważ zdążyłem znowu zgłodnieć, porwałem je z talerza, zwinąłem w rulon, podsunąłem Laurze, aby odgryzła, ile zechce, a resztę wpackowałem do ust.

- No, zaczynam znowu czuć się jak człowiek!

22

Znajdowaliśmy się w drewnianych barakach ustawionych wzdłuż linii zygzakowatej jak królicza nora. Pierwsze dwa pomieszczenia, do których zajrzeliśmy, były puste. W trzecim na dolnej prycy spał jakiś mężczyzna obrócony do nas plecami. Nawet się nie poruszył, gdy cicho zamknęliśmy drzwi i kontynuowaliśmy poszukiwania. Sherlock i Savich musieli znajdować się w którymś z tych pomieszczeń.

Szliśmy korytarzem, aż doszliśmy do miejsca, gdzie skręcał. Wskazałem Laurze gestem, aby pozostała w tyle, a sam wychyliłem się zza rogu. Zamarłem ze strachu, bo w odległości niecałych pięciu metrów ode mnie stało przynajmniej dziesięciu mężczyzn w różnym wieku, ubranych w połowe mundury. Odwróceniem plecami do mnie stali na baczność, z automatami w pozycji „na ramię broń”. Nie odzywali się ani nie wykonywali żadnych ruchów, nie słyszałem nawet ich oddechów.

Naprzeciw nich stał starszy od nich mężczyzna, około pięćdziesiątki, w cywilnym ubraniu. Ubrany był w białą, lnianą koszulę rozpiętą pod szyją, brązowe spodnie i włoskie mokasyny. Łysy jak kolano, choć raczej przypuszczałem, że golił głowę dla efektu, prawie równie wysoki jak ja, miał potężną budowę i dobrze rozwiniętą muskulaturę, a przez ramię przewieszony biały fartuch laboratoryjny. Tłumaczył coś szybko swoim podwładnym po hiszpańsku, ale prawie wszystko zrozumiałem:

- ...musimy znaleźć tego mężczyznę i tę kobietę, bo to niebezpieczni amerykańscy agenci, którzy

przybyli tu, żeby nas zniszczyć. Tylko pamiętajcie, nie wolno ich zabić. Musicie wziąć ich żywcem.

- Tam jest dwunastu żołnierzy! - szepnąłem do Laury. - Czy ten facet, który odwołał swoich od nas, był wysoki, muskularny i łysy?

- Nie, tamten wyglądał inaczej.

- Ten chyba jest ich szefem. Wydawał im rozkaz, żeby nas złapali, ale przynajmniej dobrze, że kazał zachować nas przy życiu. A elegancki drań, niech go licho!

- Zmywajmy się stąd! Przebiegliśmy szybko w drugi koniec korytarza, gdzie znajdowały się szerokie, dwuskrzydłowe drzwi. Nacisnąłem błyszczącą, mosiężną klamkę, która ustąpiła lekko i bezszelestnie. Przygiąłem się nisko i pchnąłem drzwi, zamiatając przed sobą automatem. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że ten pokój pełni funkcję gabinetu, choć urządzone go z wielkim przepychem, umeblowano antykami inkrustowanymi złotem i wyłożono perskimi dywanami. Nie było tam natomiast tak podstawowego wyposażenia biura, jak telefon, faks czy komputer, które umożliwiłyby nam wezwanie pomocy.

Wsunęliśmy się do środka i zamknęliśmy drzwi. Przekręciłem klucz w zamku i wyjaśniłem Laurze:

- To gabinet szefa. Pewnie jest nim ten łysy facet. Ciekawym, kto to taki. Popatrz, nie mają tu nawet telefonu! Pewnie nawiązują łączność przez radio.

Laura weszła już za monumentalne biurko w stylu Ludwika XIV i przeglądała leżące tam papiery. Za plecami miała duże, przeszklone okno wychodzące na mały, ogrodzony murem ogródek w stylu angielskim, obsadzony roślinami tropikalnymi.

- Kurczę, nic nie rozumiem, wszystko po hiszpańsku! - niecierpliwiła się. - Mac, chodź tu, szybko!

Tymczasem ktoś próbował od zewnątrz dostać się do gabinetu, szarpiąc za klamkę. Rozległy się krzyki i odgłosy dobijania się, walenia kolbą najpierw w jedne drzwi, potem w drugie, aż kosztowne drewno łupało się na drzazgi.

Odmówiłem krótką modlitwę i złapałem Laurę za rękę. Wskoczyliśmy na biurko, osłoniliśmy twarze i przez szybę okna przebiliśmy się do ogrodu. Na szczęście wylądowaliśmy miękko na trawie, przeturlaliśmy się po niej i poderwaliśmy się do biegu. Ogródek musiał być czyjąś prywatną własnością, bo kwiaty były starannie utrzymane i pielęgnowane. Normalnie bardzo lubię kwiaty, ale tym razem nie poświęciłem im ani chwili naszego cennego czasu.

„Nie ma lekko!” - pomyślałem, wylamując kolbą bramkę w przeciwnym końcu ogrodu. Zbutwiałe drewno łatwo ustąpiło, więc wydostaliśmy się z obozu, ale zaraz stanęliśmy jak wryci. Przed nami widniała tylko ściana dżungli, odgrodzona rowem szerokim na jakiś metr lub metr dwadzieścia, który pewnie miał za zadanie zatrzymanie pochodu dżungli w głąb obozu. W rowie płynęła brudna woda, która wyglądała, jakby niosła śmierć każdemu, kto się do niej choćby zbliży.

Znów chwyciliśmy się z Laurą za ręce i razem przeskoczyliśmy rów. Za naszymi plecami usłyszeliśmy strzały, a nad naszymi głowami przeleciały serie. Widocznie ci mafiosi zapomnieli, że ich boss kazał zachować nas przy życiu!

Przebiliśmy się przez zieloną ścianę roślinności, która skutecznie blokowała dopływ światła słonecznego. Niestety, musieliśmy się ścigać z dwunastoma facetami pochodzącymi z tych stron i przyzwyczajonymi do takich warunków.

Nigdy przedtem nie byłem w dżungli i wyobrażałem sobie, że będziemy musieli wyrąbywać sobie drogę w gęstym podszyciu, jak to nieraz oglądałem na filmach. Tymczasem wcale nie potrzebowaliśmy maczety, bo pod nogami mieliśmy zaledwie jedną warstwę liści. Były zbutwiałe, ale wszystko, co nas otaczało, albo rosło i zieleniło się, albo gniło.

W miarę jak odbiegaliśmy coraz dalej, robiło się coraz ciemniej, bo zieleń nad naszymi głowami tworzyła nieprzezroczysty baldachim. Przenikały przez niego tylko nikłe promyki słońca, toteż nic dziwnego, że wszystko szybko gniło. Ludzie pewnie też, tym bardziej, że żyło tu mnóstwo różnych stworzeń, które się do tego dokładały. Stanowczo nie było to odpowiednie miejsce do życia!

Przebiegliśmy jeszcze ze sześć metrów, ale musieliśmy się zatrzymać, bo gałęzie i pnącza przed nami tworzyły nieprzenikniętą ścianę. Przystanęliśmy więc i zaczęliśmy nasłuchiwać. Przez kilka sekund nie słyszeliśmy nic, a potem krzyk mężczyzny, wołającego coś po hiszpańsku tak szybko, że nie rozumiałem, o co chodzi. Słyszałem też trzeszczenie gałązek pod butami ludzi, którzy nie zważali, po czym stąpają, byleby dotrzeć do celu, a tym celem byliśmy my.

- Musimy się ukryć - postanowiłem. Zrobiliśmy dokładnie dziesięć dużych kroków w prawo, tak, aby nie zostawiać śladów, po czym przycupnęliśmy pod wielkim drzewem. Spojrzałem w górę i zauważyłem żabę, która patrzyła mi prosto w oczy. Przynajmniej jednego mogłem być pewien - ona na pewno nas nie zje.

Najgorzej, że poza odzieżą i bronią nie mieliśmy żadnego wyposażenia niezbędnego w tym klimacie. A tym samym żadnych szans na przeżycie. Wolałem nie myśleć o takiej perspektywie, bo nie miałem zamiaru zostać tutaj ani chwili dłużej niż to konieczne.

Żołnierze zbliżali się coraz bardziej i dzieliło ich od nas nie więcej niż sześć metrów. Dwóch spierało się, w którą stronę mają iść. Po moich stopach łąziły mrówki, a Laura trzepnęła się po wierzchu dłoni. Niecałe dwa metry od jej stóp przepełnił wąż koralowy, barwne obrączki przestrzegały, że jego jad zabija szybko. Na wszelki wypadek otoczyłem Laurę ramieniem.

Było tak gorąco, że krew gotowała mi się w żyłach, a pot ściekał wzdłuż krzyża. Nie znosiłem takiego upału. Szkoda, że ci bossowie narkotykowi nie działali w Kanadzie! Z gałęzi nad moją głową spadł mi na przedramię jakiś urodziwy owad wielkości monety pięćdziesięciocentowej. Wygryzł mi kawałek ciała, spadł na ziemię i czmychnął, żeby ukryć się pod liśćmi.

Nasi prześladowcy rozbiegli się promieniście po lesie.

Kilku ruszyło w moją stronę. Postąpili mądrze, bo ja na ich miejscu zrobiłbym to samo. Zaczęłem uważnie nasłuchiwać każdego trzaśnięcia gałązki pod butem. Poznałem na tej podstawie, że prosto na nas idzie tylko dwóch. Pokazałem to Laurze na palcach, a ona przytaknęła, potwierdzając swoją gotowość.

Wskazałem na nasze automaty i potrząsnąłem przecząco głową. Potwierdziła, że rozumiała wymowę tego gestu. Po chwili napastnicy deptali nam po piętach, wymachując automatami i miotając hiszpańskie przekleństwa pod adresem tak owadów, jak i spadających liści. Wiedzieliśmy, że jeśli się na nas natkną, będziemy musieli działać szybko i bezszmerowo. Tymczasem jeden z poszukujących wrzasnął przeraźliwie. Pewnie ten sam owad, który ugryzł mnie, dopadł i jego.

Wreszcie jeden z żołnierzy spojrzął w dół, a my spojrzeliśmy po sobie. Bezszelestnie poderwałem się na nogi i zmiażdżyłem mu szczękę kolbą mojego karabinu. Ten trzask był jedynym słyszalnym dźwiękiem, bo Latynos, zanim upadł, wypuścił tylko z sykiem powietrze.

Laura działała jeszcze szybciej. Najpierw kopnęła drugiego żołnierza w brzuch, a dopiero potem walnęła go kolbą automatu w skroń. Nadal jednak uważaliśmy, żeby nawet nie oddychać za głośno, bo słyszeliśmy, jak nawoływali się pozostali ścigający. Na szczęście nie usłyszeli, jak ci tutaj padali, ale wiedzieliśmy, że wkrótce zauważą ich brak. Czym prędzej więc ściągnęliśmy odzież najpierw z tego, którego obezwładniła Laura, bo był niski i szczupły. Laura włożyła jego spodnie i wojskowe buty, a te, które miała na sobie, cisnęła w krzaki. Oczywiście odebraliśmy im broń.

Cała akcja nie trwała dłużej niż trzy minuty. Następnie skierowaliśmy się na zachód, orientując się według rzadkich przebłysków słońca. Po zrobieniu mniej więcej dwunastu kroków zacieraliśmy

za sobą ślady, dlatego nie mogliśmy się posuwać zbyt szybko. Ociekaliśmy potem, a z pragnienia zeszywniały nam języki. Na gałęziach nad naszymi głowami jazgotały małpy i nawoływały się różne zwierzęta, o których istnieniu w życiu nie słyszeliśmy. Natomiast niskie, ostrzegawcze warknięcia Laura zidentyfikowała jako wydawane przez pumę. Najwidoczniej wszystkie te stworzenia wiedziały już o naszej obecności i przekazywały tę informację innym swoim krewnym.

Ptaki anonsowały swoją obecność, skrzecząc głośniejsz i bardziej wściekle niż Nolan w chwilach najwyższej furii.

- Tylko posłuchaj, jak wrzeszczą! - gorączkowała się Laura. - Jak myślisz, czy ten ich kwas lodowy działa na zwierzęta? Na przykład takie jak Grubster i Nolan?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem, spojrzałem na nią osłupiały, a ona roztrząsała dalej ten sam problem:

- Nie myślałam dotąd o nich, a przecież to ciekawe, czy one też by zasnęły, a po przebudzeniu robiły to, co my? A potem wróciły do zdrowia?

Myślałem, że się rozplacze, więc postanowiłem uciąć te idiotyczne rozważania.

- Nie masz większych zmartwień? Założę się o mój automat, że są zdrowe i niczego im nie brakuje. Na pewno Maggie dba o nie, więc nie musisz się przejmować.

Na szczęście wyraz popłochu zniknął z jej spojrzenia, więc mogliśmy kontynuować marsz, patrząc uważnie pod nogi i wokół siebie. Obliczyłem, że w tym tempie przejście półtora kilometra zajmie nam trzy godziny, zwłaszcza że wojskowe buciory obcierały mi pięty.

Całkiem niespodziewanie zaczęło padać. Spojrzeliśmy tylko po sobie i jak na komendę odchyliłiśmy głowy do tyłu, szeroko otwierając usta. W tej chwili nawet woda deszczowa miała dla nas wyborny smak. Nie przeszkadzało mi, że na moim policzku wylądowało jakieś wielonogie stworzonko żwawo przebierające łapkami. Strząsnąłem je, podstawiłem złożone dłonie pod strugi deszczu i napiłem się wody.

Padalo tak bardzo, że krople bez trudu przeniknęły przez gęsty baldachim zieleni nad naszymi głowami. Wystarczyła minuta lub dwie takiej ulewy, abyśmy całkowicie zaspokoili pragnienie. Zmokliśmy do suchej nitki, ale panował tak straszny upał, że nasza odzież szybko zaczęła parować. Nie czułem się zbyt dobrze w takiej temperaturze. Gorąco pragnąłem znaleźć się teraz na stoku narciarskim i widzieć w chłodnym powietrzu obłoki pary z własnych ust!

Wyciągnąłem rękę, aby zetrzeć brudną plamę z policzka Laury.

- Wiesz co, Lauro? - zagadnąłem. - Kiedy tydzień temu wylatywałem z Waszyngtonu, nawet przez myśl mi nie przeszło, że wyląduję w lesie tropikalnym z kobietą, którą kocham i do której musiałem przelecieć taki szmat drogi!

- Też bym na to nie wpadła - zgodziła się ze mną. - Ale na razie musimy przede wszystkim znaleźć Sherlock i Savicha.

Położyłem broń na ziemi i zapiąłem koszulę Laury pod szyję, a kołnierzyk podniosłem tak, aby mogła schować w nim podbródek.

- Lepiej zasłonić wszystkie odkryte miejsca - wyjaśniłem i zrobiłem to samo z moją koszulą. Mankiety rękawów zapięliśmy przy samych nadgarstkach, a nogawki spodni i tak mieliśmy wpuszczone w glany, które były zrobione z grubej skóry. Dawało to dobrą ochronę przed różnymi fruującymi, biegającymi i pełzającymi stworzonkami, na jakie mogliśmy się natknąć.

Skierowaliśmy się na północny wschód, usiłując iść mniej więcej równolegle do przecinki odgraniczającej ścianę lasu. Chcieliśmy ukrywać się pod osłoną gąszczy leśnego tak długo, dopóki nie oddalimy się dostatecznie od obozu. Po godzinie marszu skręciliśmy znów na południe i wkrótce doszliśmy do skraju lasu. Gęstwina liści nagle się przerzedziła, nad głowami ukazało się słońce,

nawet powietrze stało się bardziej rześkie. Przekroczyliśmy granicę między dwiema skrajnie różnymi strefami geograficznymi i przyrodniczymi. Bujna, tropikalna dżungla ustąpiła miejsca gołej ziemi. Oznaczało to, że odeszliśmy o co najmniej sto metrów na północny wschód od obozu narkotykowych gangsterów.

23

W dalszej perspektywie rysowały się góry, których szczyty tonęły w chmurach. Nigdzie natomiast nie było widać śladu ludzkiego bytowania. Z zielonego świata zamieszkanego przez więcej żywych istot niż gdziekolwiek indziej na kuli ziemskiej trafiliśmy na pustynię. Słońce w piętnaście minut wysuszyło nasze ubrania, ale w gardłach zaschło nam jeszcze szybciej.

- Potrzebujemy wody i jakiegoś ukrycia - mruknęła Laura. Miała nawet na oku coś konkretnego - wskazała kępę drzew rosnących na małym pagórku, niezbyt daleko od nas. Z wyżej położonego miejsca mogliśmy przyjrzeć się okolicy.

- Posłuchaj! - Wskazała palcem w niebo. Zobaczyłem nadlatujący mały samolot. Dopiero teraz zauważyłem także pusty pas startowy o jakieś kilkaset metrów od miejsca, gdzie staliśmy. Miała na nim wylądować czteremiejskowa cessna.

Szybko wycofaliśmy się pod osłonę lasu, dopóki nie usłyszeliśmy odgłosów lądowania. Wtedy ostrożnie unieśliśmy głowy na tyle, aby dojrzeć sylwetki trzech osób wysiadających z samolotu, które następnie wsiadły do czekającego z boku dzipa. Z tej odległości nie mogliśmy rozróżnić, czy to byli mężczyźni, czy kobiety. Dżip odjechał w kierunku wschodnim, licząc od pasa startowego. Wbrew moim oczekiwaniom upłynęło zaledwie kilka minut, a już Cessna uniosła się w powietrze i znikła nad łańcuchem górskim.

- Szkoda, że ten samolot nie kręcił się tu dłużej - narzekala Laura. - Może udałoby się przekonać pilota, żeby nas zabrał.

- Wystarczyłoby, gdyby był z nami Savich. Ma licencję pilota i potrafi latać wszystkim, czym się da.

Chcąc nie chcąc, musieliśmy znów wyjść spod osłony lasu, choć nie tałem, że powiew suchego powietrza na twarzy sprawiał mi przyjemność. Laura też z lubością nadstawiła twarz pod promienie słońca.

- Mamy wczesne popołudnie, a więc zostało nam około czterech godzin do zmroku - oświadczyłem.

- Wystarczy, żeby się rozejrzeć za najbezpieczniejszą drogą powrotną do obozu.

- Tak, ale ja jestem głodny. - Poglaskałem się po brzuchu, ale nagle znieruchomiałem, widząc oczy Laury, najpierw śledzące moje ruchy, potem rozszerzone strachem. Ni stąd, ni zowąd poczułem silny przypływ pożądania i oczywiście odnośny narząd stwardniał mi jak kołek, czego nie dało się ukryć. Czulem, że tracę panowanie nad sobą.

- Co ci jest, Mac? - spytała z przerażeniem Laura. Nagle rzuciłem się na nią, zatkałem jej usta dłonią i wychrypiałem nieswoim głosem:

- Lauro, musimy się pokochać. Tu i teraz, bo nie wytrzymam...

- Mac, przestań! Słyszałem jej głos, ale nie zwracałem uwagi na to, co do mnie mówi. Myślałem tylko o jednym i dążyłem do tego za wszelką cenę. Próbowaliśmy równocześnie zerwać z Laury koszulę i rozpiąć rozporek. Nie w głowie mi były jakieś pieszczoty czy intymne dotknięcia - pragnąłem po prostu jak najszybszego zespolenia. Na szczęście Laura wyrwała się z moich rąk.

Na chwilę odzyskałem zdolność logicznego myślenia i wykrztusiłem:

- To mnie znowu napadło. Nie wiem, czy będę w stanie to pohamować. Uciekaj, bo mogę ci zrobić krzywdę!



- Nie, Mac, już raz to zwalczyłeś, na pewno i teraz potrafisz.

- Lauro, proszę... - Znów rzuciłem się na nią, pchnąłem ją na drzewo, ale na szczęście nie upadła. I nie uciekła, tylko ruszyła na mnie i z całej siły kopnęła mnie w jaja. Zapało mi dech, ale ból wyparł z mojego mózgu wszystkie inne popędy. Stałem zgięty wpół jak staruszek, bo wiedziałem, że ten ból będzie się jeszcze nasilał. Tak też się stało, więc jęczałem i skręcałem się, czekając, kiedy cierpienie dobiegnie końca. Staralem się równo oddychać i siłą woli powstrzymałem się, by nie upaść na ziemię i nie płakać jak dziecko. Laura przez ten czas stała może niecały metr przede mną, nie odzywając się ani słowem.

- Masz cios! - pochwaliłem, kiedy już odzyskałem mowę. Żadne z nas się nie poruszyło. Nadal stałem zgięty w kabłąk, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Nie przypuszczałem, że ten narkotyk ma tak silne działanie. Człowiek męczy się jak ranne zwierzę i chciałby za wszelką cenę z tym skończyć. Myślałem, że prędzej mnie zabijesz niż powstrzymasz, ale na szczęście skutecznie wybiłaś mi głupoty z głowy.

- A co mogłam innego zrobić? Mam nadzieję, że nic ci się nie stało?

- Nie będziesz musiała mnie znowu kopać, przynajmniej na razie, bo już się pozbierałem. Były jednak takie chwile, że seks znaczył dla mnie więcej niż życie.

Laura położyła mi palce na ustach.

- Jeśli chcesz dostać jeszcze jednego kopa, to lepiej od razu mi powiedz.

- Chyba już nie - wyznałem, więc usiedliśmy oboje w cieniu karłowatego, poskręcanego drzewka. Wątpliwa to była osłona, bo więcej cienia dałby jeden liść z jakiegokolwiek drzewa w lesie. Laura tymczasem zaczęła analizować sytuację.

- Zauważ, Mac, że ani nas nie zabili, ani nawet nic właściwie nam nie zrobili. Owszem, chcieli się zabawić naszym kosztem, ale nas nie torturowali. Tak nie postępuje żaden gang narkotykowy, jeśli przypuszcza, że ktoś zagraża ich działalności. Koło „Chaty pod Mewami” też strzelali do nas tak, aby nie trafić, tylko zapędzić nas do środka. W ten sposób mogli nas uspić i przewieźć tutaj.

- Może potrzebne im były króliki doświadczalne do wypróbowania nowego narkotyku?

- Do tego mogli porwać przypadkowych ludzi z ulicy, niekoniecznie czterech agentów federalnych. - Mówiąc to, wzięła mnie za rękę. - Wiem, że trudno ci będzie to znieść, ale ktoś musiał wydać im rozkazy, aby nas nie zabijali. A jedyną osobą, której zależało na twoim życiu, mogła być tylko Jilly. Myślę, że gdybyś nie był w to wplątany, dawno byśmy nie żyli.

- To już prędzej Paul - zaoponowałem. - Wydał taki rozkaz, bo wiedział, jak ciężko Jilly przeżyłaby moją śmierć.

- Przykro mi, Mac. - Laura zabiła kolejnego owada na swoim kolanie. - Musisz spojrzeć na to obiektywnie. Pomyśl: czworo federalnych agentów pojawia się w Edgerton. Zaczyna się robić gorąco, a szczególnie zagrożeni czują się Jilly, Paul, Molinas i Tarcher. Potrzebują czasu, aby zatrzeć ślady swojej działalności, zanim gliny dobiorą się im do dupy. Aha, nie zdążyłam ci powiedzieć o jeszcze jednym facecie. To Del Cabrizo, najgrubsza ryba kartelu Maille. Przy nim John Molinas to drobna płotka. Cabrizo posłużył się nim tylko po to, aby za jego pośrednictwem dotrzeć do Tarchera, Jilly i Paula. Natomiast głównym zadaniem, jakie miał do spełnienia Alyssum Tarcher, było sprowadzenie Paula i Jilly do Edgerton.

- Tak, ale jestem pewien, że tylko Jilly mogła spowodować, że darowano nam życie! - zaprotestowałem. - Tylko ona zna kompletną technologię produkcji tego narkotyku, tamci dobrze wiedzą, że sami nie daliby rady wdrożyć go do produkcji.

- Jilly uciekła ze szpitala, aby uwolnić się od ciebie, Mac. Wiedziała, że nie dasz jej spokoju, więc wołała się ukryć, licząc, że może zrezygnujesz i wrócisz do domu.

- Nie wiem, co ona jeszcze zrobiła, ale to moja siostra i jestem pewien, że nie naszpikowała by mnie narkotykiem. Uważała, że ją zdradziłaś, więc nienawidziła ciebie, nie mnie.

- Jilly siedzi w Oregonie i nie widzi, co oni tu z nami wyprawiają, ale na pewno wie, z jakim rodzajem ludzi ma do czynienia. Mogła się domyślać, że nie będą obchodzić się z nami w białych rękawiczkach.

Laura wiedziała, że nie chciałem tego usłyszeć i była na tyle miła, że nie powiedziała nic więcej na temat roli Jilly. I bez tego nie miała wątpliwości, że dała mi do myślenia.

- To wiesz w końcu, kim jest ten łysy facet w obozie? - spytałem.

- Myślałam już o tym. Z twojego opisu wynika, że to musi być John Molinas, chociaż na zdjęciu miał gęste, czarne włosy.

- Pewnie uważał, że ogolona głowa wzbudza większy respekt.

- Jeśli to rzeczywiście Molinas... - ciągnęła Laura - to przypuszczalnie przysłano go tu, aby dopilnował naszego bezpieczeństwa. Może Jilly domagała się gwarancji, że Del Cabrizo nie zażąda naszych głów i Molinas miał stanowić tę gwarancję? Pewnie chciała chronić cię w ten sposób.

Oparłem głowę na złożonych rękach, bo nagle ogarnęło mnie obezwładniające zmęczenie. Tym razem nie miało to nic wspólnego z popędem płciowym, czułem się kompletnie wyczerpany.

- Lauro, co się znowu, do jasnej cholery, ze mną dzieje? - wymamrotałem, usiłując podnieść głowę.

Słyszałem jej głos, ale słaby, wątły i z bardzo daleka. Spróbowałem spojrzeć w górę, ale nie znalazłem w sobie nawet tyle siły, aby podnieść powieki. Widziałem natomiast wyraźnie terrorystów z Tunezji, słyszałem, jak głośno zastanawiali się, czy wyjdę z tej awantury z życiem, potem samochód, ale bez kierowcy, jechał prosto na mnie, aż stanął w płomieniach, które i mnie wyniosły pod niebo. Najciekawsze, że strach, który mnie teraz ogarniał, był dużo bardziej paraliżujący niż wtedy, kiedy to się stało naprawdę.

Przypuszczałem, że znów działa na mnie jakiś cholerny narkotyk, ale z tej wiedzy i tak nie mogłem zrobić żadnego użytku. Tymczasem słońce przygrzewało coraz mocniej, a powietrze robiło się coraz bardziej suche. Jednak największy żar rozsadzał mnie od wewnątrz. Czułem się tak, jakbym wyleciał prosto w słońce i zapadł się w jego tarczę.

- Mac! W głosie Laury dźwięczało przerażenie. Próbowałem na nią spojrzeć, ale jej twarz zamazywała mi się w oczach, aż rozplynęła się w chłodną, szarobiałą mgłę, która zdawała się nie mieć końca.

Miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu i patrzę na siebie z zewnątrz. Widziałem więc, że ten wielki facet, którym byłem, leży z zamkniętymi oczami i oddycha z wysiłkiem. Nie miałem wątpliwości, że to ja, ponieważ w którymś momencie też zacząłem mieć kłopoty z oddechem. Wydawało mi się, że umieram.

Nie czułem bólu, ale otaczała mnie białoszara próżnia, która prowadziła donikąd. Odczuwałem natomiast zimno, co było zrozumiałe, gdyż byłem goły. Chciałem się czymś przykryć, ale nie miałem siły ruszyć ręką.

W pewnej chwili poczułem na przedramieniu łagodne dotknięcie miękkich, ciepłych paluszków. Nagle zapragnąłem nie tylko wiedzieć, kto mnie dotyka, ale też zobaczyć. Zmusiłem się do otwarcia oczu i skupienia wzroku na nieokreślonej, białoszarej przestrzeni, aby z niej wyodrębnić osobę o tak czułych, delikatnych palcach.

Okazało się, że przy mnie stała Jilly, tyleż przestraszona, co zagniewana, choć nie wiedziałem, czego miałyby się bać lub o co złościć. Chciałem się jednak tego dowiedzieć, więc zebrałem wszystkie siły i wyszeptałem:

- Jilly, to ty? Dobrze się czujesz? Chwała Bogu, że jesteś, bo martwiłem się o ciebie, ale co tu robisz? Gdzie właściwie jesteśmy?

Uśmiechnęła się do mnie i lekko dotknęła czubkami palców mojego policzka.

- Posłuchaj mnie, Ford. Wszystko będzie dobrze, wyjdiesz z tego, i to całkiem niedługo. Trzymaj oczy otwarte i słuchaj mnie, dobrze? Nie wolno ci tu nic jeść ani pić, rozumiesz? Nawet wody z kranu!

- Jilly, a co z Laurą? Gdzie ona jest?

- Wszystko będzie w porządku, Ford. Laura jest tutaj. Leż spokojnie i nabieraj sił.

W tym momencie przestałem czuć jej palce na swoim ramieniu, a gdy się obejrzałem - Jilly zniknęła. Białoszara mgła zgęstniała wokół mnie i dałem się przez nią wchłonąć. Byłem ciekaw, dlaczego przestałem odczuwać zimno.

Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że przy mnie nie ma żywej duszy. Umysł miałem już jasny, lecz byłem tak głodny, że zjadłbym wszystko w dowolnej ilości. Nadal nie miałem pojęcia, co się właściwie ze mną stało, więc na wszelki wypadek zawołałem:

- Lauro! Dopiero teraz zauważyłem ją na kocu rozesłanym na podłodze obok łóżka, na którym leżałem. Była naga tak samo jak ja. W jednej chwili znalazłem się przy niej, wołając z lękiem: - Lauro!

Namacalem palcami jej tętnicę szyjną i zmierzyłem tętno. Na szczęście uderzenia pulsu były równe i mocne. Uklęknąłem przy niej, rozmyślając, co robić i gdzie właściwie jesteśmy. Na pewno stało się coś strasznego, ale jeszcze nie wiedziałem, co. Pogładziłem ją więc tylko po ramieniu i przewróciłem na plecy.

- Lauro! - powtórzyłem. Pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. Wargi miała wyschnięte i była taka blada, że aż się przestraszyłem. Na szczęście otworzyła oczy. Zobaczyłem w nich niemy krzyk, więc czym prędzej położyłem jej dłoń na ustach. - Cicho, nic nie mów. Jeszcze nie wiem, co tu się dzieje. Dobrze się czujesz?

Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem, marszcząc brwi.

- Mac... - wymówiła w końcu, a jej głos zabrzmiał w moich uszach jak najpiękniejsza melodia.

- Wszystko w porządku, kochanie. Grunt, że żyjemy, chociaż jeszcze nie wiem, gdzie jesteśmy i skąd się tu wzięliśmy. Wiem tylko, że ktoś rozebrał nas do naga.

Laura nawet nie próbowała się przykryć, bo w ogóle się nie ruszała. Dopiero kiedy wzięła głęboki oddech, zaczęła sobie coś przypominać.

- Nagle zobaczyłam, że za tobą pojawił się jakiś facet. Podszedł tak bezszelestnie, że wcale go nie słyszałam. Prysnał na mnie jakimś aerozolem, ale zanim straciłam przytomność, widziałam jeszcze, jak uderzył cię od tyłu w głowę. Więcej nie pamiętam, a teraz chciałabym wstać.

Podąłem jej rękę, ale w tym momencie poczułem, że znowu mi stanął. Zmieszałem się i wystraszyłem. Czegoś takiego nie przeżywałem jeszcze nigdy w życiu i Bóg mi świadkiem, że to wyjątkowo paskudne uczucie.

Czym prędzej odwróciłem się, ściągnąłem z łóżka koc i obwiązałem się nim w pasie. Dla Laury zostało tylko brudne prześcieradło, ale owinęła się nim cała, zatykając końce nad piersiami.

Usiadła na łóżku i nie patrząc na mnie, tylko na swoje bose stopy, poskarżyła się:

- Umieram z pragnienia.

- Nie możemy tu nic pić, nawet wody z kranu.

- A dlaczego? Odwróciłem się do niej. Ująłem jej rękę i zamknąłem w swoich dłoniach. Oparła policzek na moim ramieniu.

- Posłuchaj, Lauro, odwiedziła mnie Jilly. Jest tutaj i wygląda na zmartwioną. Ostrzegła mnie,

żeby tu niczego nie jeść ani nie pić.

- Jilly tutaj? Kiedy ją widziałeś?

- Nie wiem, ale była tu tak samo, jak my tu jesteśmy.

- To znaczy, że maczała w tym palce. Chyba nareszcie sam to zrozumiałeś?

- Tak, wiem - przyznałem.

- Czyli że znowu nas złapali. Co robimy? Wstałem i zacząłem miarowo przechadzać się po pokoiku o wymiarach trzy i pół na trzy i pół metra.

- Przede wszystkim musimy znaleźć Sherlock i Savicha - rzuciłem przez ramię. - Są tu na pewno.

Dziwne, ale kiedy tak krążyłem, omawiając z Laurą swoje plany, przez cały czas miałem świadomość, że z moim mózgiem jeszcze nie wszystko jest w porządku. W pamięci powtórnie ożyły najstraszniejsze chwile w Tunezji, i to w znacznie ostrzejszej formie.

Starłem się nie patrzeć na kurek nad zlewem, bo przecież nie wolno nam było tknąć nawet kropli wody.

24

Jilly nie kazała nam pić, ale co z jedzeniem? Nie mówiła nic o jedzeniu? Skąd, oczywiście, że powiedziała. Pamiętałem, że nie kazała nam także nic jeść, a tymczasem przed oczami miałem półmisek dymiącego ryżu, stos tortilli ociekających topionym masłem i miseczkę z wołowiną w czerwono zabarwionym sosie. Nie tknąłem jednak niczego.

- Nie będziemy ryzykować. Oni mogą podawać nam narkotyki tak samo w wodzie, jak i w potrawach - tłumaczyłem jej, chociaż kłąłem pod nosem, gdy zaleciał mnie kuszący zapach tortilli.

Posiłek przyniosła nam dziewczynka mniej więcej dwunastoletnia, tak wystraszona, że bliska omdlenia. W drzwiach natomiast stało dwóch mężczyzn z wycelowaną w nas bronią.

- Aha, jeszcze coś! - przypomniałem sobie, stawiając na podłodze dwie tace z posiłkiem. - Lepiej sprawdzimy, czy nie ma tu ukrytej kamery albo aparatu podsłuchowego.

Nie znaleźliśmy żadnych takich urządzeń, ale na wszelki wypadek dodałem ściszone głosem:

- Musimy być przygotowani na każdą okazję, jaka nam się nadarzy.

- Myślisz, że może się nam udać tak jak za pierwszym razem? Teraz już przysłali dwóch facetów z automatami, a sracz jest bez pokrywy.

- Nie są przecież głupi. Musimy wymyślić coś lepszego, ale pod tym względem mamy nad nimi przewagę.

- Idę o zakład, że nafaszerowali narkotykami to żarcie i wodę. Na pewno prędzej czy później ktoś tu przyjdzie, żeby sprawdzić, co z nami. Nie przypuszczam, aby wpadli na to, że nie tkniemy niczego. Raczej się spodziewają, że do tego czasu albo skostniejemy z zimna, albo będziemy pieprzyć się na podłodze, czy co tam jeszcze ten narkotyk potrafi robić z ludźmi.

Spuściła głowę, nigdy jeszcze nie widziałem jej tak załamanej.

- Posłuchaj, Lauro. Możemy już trzeźwo myśleć, bo to świństwo przestało działać. Poza tym jesteśmy zawodowcami i prędzej potrafimy wydostać się stąd niż ktokolwiek inny. A na razie przytul się do mnie, bo jestem trochę wytracony z równowagi i potrzebuję twojego wsparcia.

Mocniej zacisnęła prześcieradło nad piersiami i przysunęła się do mnie. Nic nie mówiła, tylko trzymała mnie w objęciach, a w którymś momencie poczułem, że całuje moje obnażone ramię. Przede wszystkim jednak wzbierała we mnie taka złość, że gotów byłbym zabić pierwszego człowieka, który przekroczyłby te drzwi. Pocałowałem Laurę, odsunąłem ją od siebie, i odłamałem nogę łóżka. Przy tym ruchu spadł ze mnie koc, ale nie zwracałem na to uwagi. Zważyłem w ręku nogę i stwierdziłem, że może świetnie służyć jako pałka. Podałem ją Laurze.

- Daj mi tym w łeb, gdybym znowu próbował cię napastować. Już wolę to od kopniaka.

Wzięła ode mnie pałkę i z uśmiechem zważyła ją w dłoni.

- Lepiej daj mi tutaj któregoś z tych drani! Rzeczywiście była to świetna broń, więc odłamałem z łóżka jeszcze jedną nogę dla siebie. Dobrze leżała w ręku. Uśmiechnąłem się do Laury. Owinięta w to zetlałe prześcieradło, z potarganymi włosami, wyglądała na twardą kobietę, gotową na wszystko. Zauważyłem jednak, że nie patrzy na moją twarz, a zupełnie gdzie indziej. Podniosłem więc koc i powtórnie nim się owinałem.

- Jesteś wspaniała! - pochwaliłem. - Nie wyobrażam sobie lepszej partnerki. A teraz znów będziemy czekać.

No więc czekaliśmy, chwilami zapadając w drzemkę. W pokoju nie było okien, więc nie wiedzieliśmy, czy jest dzień, czy noc. Sześćdziesięciowatowa żarówka sączyła mdłe światło.

Zaalarmował nas dopiero tupot przynajmniej trzech par butów. Jakże chętnie naszpikowałbym sukinsynów ołowiem!

Dałem Laurze znak podniesionym palcem. Odpowiedziała skinieniem głowy, co oznaczało, że jest gotowa. Byłem ciekaw, czy jest równie wściekła jak ja.

Tymczasem bezszelestnie poruszyła się klamka w drzwiach. Nie spuszczaaliśmy z niej oka.

Pierwsza do środka weszła kobieta ubrana w biały fartuch. Niosła małą, metalową tackę. Na jej widok ostentacyjnie jęknąłem i złapałem się za gardło.

Od razu przyklęknęła przy mnie, więc jęknąłem znowu. Równocześnie jednak śledziłem wzrokiem postępujących za nią dwóch osobników z automatami, tych samych, którzy wcześniej eskortowali nasze śniadanie, lunch czy cokolwiek to było. Zauważyłem, że pierwszy z nich opuścił broń, bo przyglądał się klęczącej przy mnie kobiecie. Złapałem więc ją pod pachy i pchnąłem prosto na niego, a dokładnie na jego AK-47.

- Carlos! - wykrzyknął.

Mężczyzna o tym imieniu w ułamku sekundy pojawił się w drzwiach z bronią gotową do strzału, ale zza jego pleców wynurzyła się Laura i z rozmachem trzasnęła go pałką w bok głowy. Oczy mu wyszły na wierzch, krew rzuciła się ustami i upadł pod same drzwi. Tymczasem drugi, ten, na którego pchnąłem kobietę, oswobodził automat i uniósł w górę. Niestety, nie znajdowałem się w stosunku do niego w korzystnej pozycji. Przetoczyłem się jakoś na lewy bok i próbowałem nogą wytrącić mu broń z ręki, ale trzymał ją mocno. Oddał kilka strzałów, z których jeden odbił się od podłogi obok mojej głowy, rozbryzgując drzazgi na pierś i ramię. Natomiast druga kula chyba trafiła kobietę, gdyż usłyszałem jej krzyk. Zyskałem dzięki temu czas na powrót do równowagi. Teraz mogłem skutecznie kopnąć go w podbródek, podczas gdy Laura od tyłu dołożyła mu pałką po nerkach.

Oczy popłynęły mu w głąb czaszki i padł ciężko jak worek z mąką. Dopiero wtedy mogłem powoli wstać.

Ci faceci podchodzili do sprawy poważnie. Uklęknąłem przy kobiecie i sprawdziłem, że została tylko lekko ranna w przedramię i że nic jej nie będzie. Przykazałem jej tylko po hiszpańsku, żeby się nie ruszała i zachowała ciszę. Natomiast od jej towarzyszy potrzebowałem tylko ich ubrań.

Laura zaczęła od niższego żołnierza i rozebrała go do naga. Ja zrobiłem to samo z drugim, po czym prawie równocześnie wepchnęliśmy nogawki mundurowych spodni w glany. Laura jeszcze raz pochyliła się nad ranną kobietą.

- Co tam jest? - spytałem.

- Popatrz! - pokazała mi automatyczny pistolet typu Bren Ten, jedenastostrzałowy, kalibru 10 milimetrów. - Ta kobieta miała go na tacce razem z jakimiś buteleczkami i strzykawkami. To dobra broń w bezpośrednim starciu.

Na wszelki wypadek zabrałem z tacki dwie małe fiolki.

- To jest myśl! - pochwaliła mnie Laura. - Jesteś gotów?

Zwróciłem się w lewo i stanąłem jak wryty.

- Co się stało, Mac?

- Nic, tylko jakbym to już kiedyś widział... - rzuciłem zdawkowo i otworzyłem drzwi. Wewnątrz zostawiliśmy tych ludzi całkiem gołych. Związaliśmy ich, najlepiej jak się dało, strzępami prześcieradła, którym przedtem osłaniała się Laura. Kobietę Laura związała elementami jej własnej bielizny.

- Chodźmy do gabinetu Molinasa - zaproponowałem. - Jeśli zastaniemy tam kogoś, zmusimy go, żeby zaprowadził nas do Sherlock i Savicha.

Przechodząc obok okna, zauważyłem, że na dworze było ciemno, co stanowiło pożądaną dla nas okoliczność. Ciekawe tylko, ile czasu spędziliśmy w tym wnętrzu?

W gabinecie nie zastaliśmy żywej duszy. Okno za biurkiem, w którym poprzednio stłukliśmy szyby, zabito deskami. Zacząłem po kolei otwierać szuflady biurka, licząc, że w którejś z nich mógł znajdować się telefon.

W pewnej chwili zakręciło mi się w głowie i poczułem, że nie mogę się skoncentrować. Stałem i czekałem, choć nie wiedziałem, na co. Może na śmierć? Znowu poczułem przejmujące zimno i przyspieszone bicie serca. Widziałem, że Laura coś do mnie mówi, ale nie rozumiałem jej słów. Osuwając się na kolana, myślałem, że już umieram.

Oczywiście nie umarłem, tylko znowu zadziałał narkotyk. Ściana za plecami uchroniła mnie od upadku, ale oparłem się o nią bezwładnie, a głowa zwiła mi na bok.

Laura stała nade mną i potrzasała mną tak mocno, jak tylko mogła.

- Słuchaj mnie, Mac! Wiem, że mnie słyszysz, bo patrzysz na mnie. Mrugnij! O, tak, dobrze. To znaczy, że możesz zapanować nad tym, co dzieje się w twojej głowie. Weź się w garść, bo musimy się stąd wydostać!

Mój wzrok zatrzymał się na oknach, które nie były zabite deskami. Tkwiły w nich jednolite, szklane tafle. Jak to możliwe, że udało się nam za pierwszym razem przebić przez takie szkło?

- Mac, mrugnij jeszcze raz! - Laura przywołała mnie do rzeczywistości. Pewnie mrugnąłem, bo dalej mówiła coś do mnie ściszonego głosem. Była tak blisko mnie, że czułem na twarzy ciepło jej oddechu.

- A teraz podnieś rękę - zakomenderowała. Spojrzałem w dół na rękę zwisającą bezwładnie nad podłogą. Patrzyłem tak i patrzyłem, wreszcie siłą woli nakazałem sobie, podnieść tę pieprzoną łapę. I podniosłem, a nawet ująłem Laurę pod brodę.

- No, cokolwiek to było, już mija, ale nie masz pojęcia, co za koszarne uczucie! Słuchaj, przypomniałem sobie, że nie zabezpieczyliśmy się, kiedy kochaliśmy się w naszej chatce. Ale nawet gdybyś zaszła w ciążę, nie martw się, bo ożenię się z tobą i wszystko będzie dobrze.

Z uśmiechem pochylała się nade mną i pocałowała mnie w usta. Ten słodki pocałunek wywołał rozkoszny dreszcz w całym moim ciele, co było zjawiskiem zdrowym i jak najbardziej realnym.

- No, już mi lepiej! - odetchnąłem.

- Chwała Bogu, ale dobrze by było, gdybyś już wstał. Dasz radę?

Musiałem odbyć całą podróż w głąb siebie, aby się upewnić, że odzyskałem kontrolę nad swoim ciałem i umysłem. W tej chwili nie dałbym trzech groszy, czy jeszcze kiedykolwiek odważę się zażyć choćby aspirynę. Za nic w świecie nie chciałbym znów utracić panowania nad sobą! Na razie wstałem i skoncentrowałem uwagę na zabitym deskami oknie.

- Ten narkotyk jest naprawdę zabójczy. Cały zdrętwiałem, wszystko wydawało mi się inne niż normalnie, a pamięć płatała mi dziwne figle.

- Lepiej spróbujmy złapać Molinasa, Mac. Podniosłem więc automat i znów poczułem się silny. Ciekawe tylko, na jak długo?

25

Byłem szczerze zaskoczony, kiedy w przeciwnym końcu gabinetu odkryliśmy wejście do... sypialni, podobnie jak biuro umeblowanej antykami. Człowiek, którego zidentyfikowaliśmy jako Molinasa, siedział na brzegu łóżka, w którym leżała kobieta, czy raczej młoda dziewczyna, najwyżej osiemnastoletnia, przykryta białym prześcieradłem aż pod brodę, a na białej poduszce rozsypywały się wachlarzowato błyszczące, czarne włosy.

Molinas nie słyszał naszego wejścia, bo całą uwagę skoncentrował na dziewczynie. Miał na sobie czarne spodnie z wypuszczoną na nie luźną, białą koszulą, a w łysinie odbijało się światło słabej żarówki zawieszanej nad łóżkiem.

Coś do niej cicho mówił, ale nie potrafiłem rozróżnić słów. Gładził ją po włosach, pocałował, a kiedy się wyprostował - kontynuował przemowę łagodnym, kojącym głosem. Nie orientowałem się, czy mówił po angielsku, czy po hiszpańsku, zauważyłem tylko, że dziewczyna wyciągnęła ku niemu rękę i lekko dotknęła jego ramienia.

Dałem Laurze znak głową i wskazałem na pistolet, który trzymała w ręku. Zmarszczyła czoło, ale niechętnie oddała mi broń. Ciekawe, skąd wiedziała, co zamierzam zrobić?

- Zajmij się dziewczyną! - szepnąłem. Przytaknęła ruchem głowy. Zostawiłem automat na podłodze tuż za drzwiami. Weszliśmy do sypialni, najciszej jak mogliśmy. W powietrzu unosił się słaby zapach róż. Nie lubiłem zbytnio tego zapachu, bo mnie od niego mdliło.

Molinas, pochylony nad dziewczyną, przemawiał do niej czule i poświęcał jej całą uwagę. Nie zaalarmowało go nawet skrzyknięcie moich butów. Ciekawe, co mówił?

Dyskretnie przystawiłem pistolet do jego lewego ucha.

- Cześć, stary, jak leci? - zapytałem. Dziewczyna w łóżku uniosła się, przyciskając plecy do zagłówka. Śmiertelnie wystraszona, oczy miała rozszerzone przerażeniem i nie mogła wykrztusić ani słowa. Molinas najpierw zeszywniał, ale zaraz się odprężył.

- Jeśli mnie zabijecie, sami też nie wyjdziecie stąd z życiem - ostrzegł.

- Tobie to już nie robi różnicy, Molinas - odparowała Laura ze stoickim spokojem.

- A ty skąd wiesz, kim jestem?

- Kogo innego mogli tu posłać? Wyznaczyli cię, żebyś nas pilnował, ale te zabawy, które sobie z nami urządzaście, pewnie sam wymyśliłeś.

- Wiem, że niektórzy nasi ludzie potrafią zachowywać się jak zwierzęta, ale ja próbowałem was chronić.

Przeniosłem wzrok na dziewczynę, która nadal przytrzymywała prześcieradło pod szyją, kurczowo zaciskając szczupłe dłonie.

- Nie bój się - powiedziałem do niej po hiszpańsku. - Nie zrobimy ci krzywdy.

Przytaknęła powolnym ruchem głowy i przemówiła doskonałą angielszczyzną:

- Kim pan jest?

- Mam na imię Mac, a ty?

- Marran.

Tymczasem Molinas się poruszył, więc musiałem skupić całą uwagę na nim.

- Miej ją na oku - poleciłem Laurze. Sam podszedłem do niego i podniosłem wyżej pistolet.

- Zaprowadzisz nas teraz tam, gdzie trzymacie jeszcze dwoje naszych agentów - rozkazałem.

- Oni nie żyją... - próbował się wymówić.

- Więc i ty nie będziesz żyć. - Przystawiłem pistolet do kącika jego ust i odbezpieczyłem go.

- Nie, nie! - wychrypiał. - Oni żyją, przysięgam! Zaprowadzę was do nich!

- Czy podaliście im taki sam narkotyk jak mnie?

- Inny. Nic im nie będzie.

- Módl się, żeby tak było. Teraz wstawaj, ale bardzo powoli.

- Może powinniśmy zabrać tę dziewczynę ze sobą? - podsunęła Laura. Molinas, wstając, spróbował rzucić się na mnie, ale uderzyłem go kolbą pistoletu w bok głowy. Dziewczyna wydała jęk strachu, ale Laura szybko zatkała jej usta dłonią i przycisnęła głowę mocniej do poduszki. Molinas nie stracił przytomności, ale osunął się na kolana, jęcząc i trzymając się za głowę. Na pewno drania łeb rozboleł!

- Spróbuj jeszcze raz takich sztuczek, a zabiję! - syknąłem scenicznym szeptem. Obawiałem się, że dziewczyna może narobić hałasu, ale nie chciałem wlec jej ze sobą. Zdecydowałem, że zostawimy ją tutaj. Już otwierałem usta, żeby powiedzieć o tym Laurze, ale zauważyłem, że już zaczęła drzeć prześcieradło na pasy. Poczekalem, aż skończy, trzymając Molinasa na muszce. Dziewczyna umilkła, ale łzy ściekały jej ciurkiem po policzkach.

- Kim ona jest dla ciebie? - spytałem Molinasa, który wciąż trzymał się za głowę.

- Tknij ją tylko, ty skurwysynu, a zdmuchnę ci łeb z ramion! - zagroził, i tym razem byłem skłonny mu wierzyć.

Tymczasem Laura przywiązała dziewczynę do łóżka. Zauważyłem, że jej chude ramiona pokryte są białą skórą z prześwitującymi niebieskimi żyłkami. Lśniące włosy przesłoniły twarz, Laura odgarnęła je do tyłu, bo musiała zakneblować dziewczynie usta.

Miałem nadzieję, że Molinas zdoła utrzymać się na nogach. Chciałem pomóc mu wstać, ale warknął na mnie, że da sobie radę. Pomyślałem, że to dumny facet. Obejrzałem się jeszcze na dziewczynę, która odprowadzała go spojrzeniem rozszerzonych strachem oczu.

- Zgaś światło - poleciłem Laurze i w pokoju zrobiło się ciemno. Od strony łóżka doleciał nas jęk, więc nie zdziwiłem się, że Molinas z oporami opuszczał pokój.

- Nic jej nie zrobiliśmy - uspokoiłem go. - Jeśli nie będziesz się wyglupiał, włos jej z głowy nie spadnie. Teraz jazda, naprzód!

Kiedy znaleźliśmy się w jego gabinecie, Laura dała mi znak, żebyśmy przystanęli. Cicho podeszła do drzwi, otworzyła je, wyjrzała na zewnątrz i kiwnęła na nas ręką.

- Teraz zaprowadzisz nas do tamtych agentów - poleciłem półgłosem Molinasowi. Nie odezwał się, ruszył naprzód, po czym skręcił w lewo. - Niechby tylko któryś z waszych żołnierzy spróbował strzelić do nas, a już po tobie!

Cały się usztywnił, ale nie odpowiedział ani słowem.



- Pomyśl, co się stanie z dziewczyną, gdybyśmy musieli cię załatwić? - przekonywałem dalej. - Pamiętaj, że leży tam związana, a więc stanowi łatwy łup.

Kiwnął potakująco głową, ale z jego ust popłynął strumień wyzwisk. Mimo hiszpańskiego nazwiska miotał przekleństwa rdzennie amerykańskie.

- Kim ona jest dla ciebie? - powtórzyłem poprzednio zadane pytanie. Ponieważ szedł w milczeniu przed siebie, zachęciłem go do zwierzeń, mówiąc: - Co ci szkodzi, jeśli mi powiesz? Wykrztusił wreszcie, nie odwracając się do mnie:

- To moja córka.

26

- Gdzie są twoi ludzie, Molinas? - perorowałem mu prosto w lewe ucho. - I co to była za akcja? Dziwne, że dotąd nie wypędzili was z miasta!

- Tak, moi ludzie nie są zawodowymi wojskowymi - przyznał z wyraźnym niesmakiem. - Są odważni, ale brak im dyscypliny.

- Nawet w to wierzę, ale powiedz nam wreszcie, gdzie jesteście.

Tego za nic nie powiem, a wy i tak mnie nie zabijecie. Jeśli to zrobicie, nigdy nie wydobędziecie się stąd, ani wy, ani wasi przyjaciele. Nie mogę wam nic powiedzieć, bo wtedy zginąłbym i ja, i moja córka. Mało kto wie o tym obozie. Jeśli dowiedzie się tego sami, to już nie będzie moja wina, a wasi agenci są zaraz za tym rogiem. Pilnuje ich trzech wartowników.

Laura położyła palec na ustach, bo zza zakrętu korytarza dał się słyszeć przyciszony męski głos. Podeszła tam na palcach i ostrożnie wyjrzała, po czym wróciła do nas z informacją:

- Tam rzeczywiście jest trzech wartowników. Siedzą na podłodze pod drzwiami. Głowy mają opuszczone, ale nie jestem pewna, czy śpią.

- To za tymi drzwiami są nasi przyjaciele? - upewniłem się.

- Przecież was nie okłamałem! - Zbladł jak ściana, ale nie powiedział nic więcej.

- Za tym wszystkim stoi Del Cabrizo, prawda? - spytała go Laura.

- Nie powiem już nic więcej. Możecie mnie zabić, jeśli chcecie, ale wierzę, że nie skrzywdzicie mojej córki.

- Zrobimy to, co będzie trzeba - zbyłem go krótko. - Na razie idź do tych ludzi i powiedz im, że chcesz rozmawiać z więźniami. I odpraw ich. Słuchaj uważnie, Molinas, jeśli coś spieprzysz, osobiście cię zastrzelę. Twojej córce nic się nie stanie, ale tobie właduję kulkę w łeb, masz to jak w banku.

Popatrzył mi prosto w twarz i jego ciemnobłękitne oczy wydały mi się dziwnie znajome. Wiedziałem już, skąd je znam - podobne miała jego siostra, Elaine Tarcher, nawet tak samo lekko skośne w kącikach.

- Moja córka nie jest niczemu winna - powiedział cicho. - Dostyc już wycierpiała. Jeśli uwolnię waszych przyjaciół, czy odejdziecie stąd?

- Nie zawsze wszystko się dzieje tak, jak powinno.

- Tak, ale jeśli uciekniecie, moje zadanie tutaj będzie zakończone, a z resztą dam sobie radę. Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli tak bardzo kochasz córkę, to po co trzymasz ją tu przy sobie? Żeby widziała, jak faszerujesz ludzi narkotykami?

- Skąd, my tu jesteśmy od niedawna. Przylecieliśmy na krótko przed panem. Nie zostawiłem Marran w domu, bo bardzo mnie potrzebuje. Pan też nie może zabrać mnie jako zakładnika, bo ci ludzie zgwałciliby ją, gdyby tylko została sama. A wtedy ona by się zabiła, już raz próbowała. Zrobię wszystko, co pan każe, panie MacDougal.

Błagał mnie i upokarzał się, bo córka była mu droższa niż duma, a nawet życie.

- Najpierw zobaczę, w jakim stanie są nasi ludzie! - Spróbuj tylko wystawić mnie do wiatru, a już nie żyjesz. Pomyśl o swojej córce, zanim ci to przyjdzie do głowy. I pamiętaj, że rozumiem po hiszpańsku!

Molinas przytaknął i wyprostował się służbiście jak człowiek nawykły do wykonywania rozkazów. Laura i ja obserwowaliśmy zza węgła, jak kopnął któregoś z wartowników w kolano. Na jego krzyk obudzili się pozostali. Ten, którego Molinas kopnął, pospiesznie zbierał się z podłogi, mamrocząc jakieś usprawiedliwienia - przynajmniej tyle zrozumiałem. Molinas kopnął jeszcze drugiego w żebra, natomiast trzeci zdążył odskoczyć.

Molinas, żywo gestykułując, poirytowanym głosem ochrzaniał wartowników. Gdyby miał przy sobie automat - podejrzewam, że powystrzelałby ich wszystkich. Gestem nakazał im zabrać broń, wynosić się i nie wracać, dopóki ich nie zawoła. Kontrolował, jak jeden za drugim w popłochu opuszczali barak. Po chwili wrócił do nas i wyciągnął pęk kluczy. Podał mi jeden z nich - długi i mosiężny.

- To ten - oświadczył. Przekazałem go Laurze z ostrzeżeniem:

- Uważaj, bo ktoś jeszcze może być w środku. Zostałem z Molinasem na zewnątrz. Przystawiłem mu pistolet do szyi i czekając na Laurę, szepnąłem prosto w ucho:

- Widzę, że elegancko się ubierasz! Wciskając prochy dzieciakom, można zarobić na włoskie ciuchy, co?

- Od pięciu lat nie miałem do czynienia z narkotykami! - zaprotestował z oburzeniem. - Robię to z zupełnie innych powodów.

- Dobra, dobra. Amerykańskich agentów federalnych też przetrzymujesz tylko dla zabawy? - Mówiąc to, nie spuszczałem równocześnie z oka powoli otwieranych drzwi. Laura chyłkiem wśliznęła się do środka i zapaliła światło. - Chodźmy, ale uprzedzam, że pociągnę za spust, jeśli tylko spróbujesz jakichś sztuczek.

Savich czekał w środku, sprężony do ataku. Wyglądał na bladego i zmęczonego, ubranie miał brudne i podarte, a w oczach taką zawziętość, że wolałem nawet nie wiedzieć, co mu zrobili.

- Przez cały czas wierzyłem, że przyjdziecie - przywitał nas, powoli się prostując. Jednak kiedy wszedłem do pokoju, popychając przed sobą Molinasa, zacisnął mu ręce na gardle i potrząsał nim jak szturem. Molinas nawet nie usiłował się bronić.

- Zostaw go! - Próbowałem odepchnąć Molinasa, aby wyrwać go z jego rąk, ale Savich nie panował nad sobą. Dobrze, że Laura akurat wykrzyknęła:

- O Boże, Sherlock!

Tylko w ten sposób mogła odwrócić jego uwagę i wiedziała o tym. Savich puścił Molinasa i obrócił się wokół własnej osi, padając na kolana przy żonie, która nieprzytomna leżała na boku.

Przyciągnął ją do siebie i kołysał w ramionach, całując jej brudne włosy. Kiedy podniósł twarz, zobaczyłem na niej ślady pobicia. Mało brakowało, a wypaliłbym Molinasowi w łeb.

- Coś ty mu zrobił, skurwysynu? Szkoda, że nie pozwoliłem mu cię udusić!

- Przecież nic mu nie jest! - burknął. Gardło musiało go boleć, bo Savich był bardzo silny, bez względu na to, co z nim wyprawiali. Pchnąłem go na podłogę, a sam podszedłem do Savicha, który wciąż kołysał Sherlock na kolanach.

- Fajnie, żeście nas tu znaleźli. Próbowałem stąd pryskać, ale się nie udało. Dwóch załatwiłem, ale przyszło im z pomocą jeszcze czterech i dali mi wycisk.

Mówił do rzeczy, co znaczyło, że nie przestał być sobą.

- Nie wstrzyknęli ci żadnego świństwa? - wolałem sprawdzić.

- Nie, przynajmniej odkąd obudziłem się tutaj. Natomiast jej - wskazał na Sherlock - coś dali.

Pewnie chcieli, żebym był przytomny i widział, co się będzie z nią działo.

- A co się działo?

- Kiedy się obudziła, zdawało się jej, że znów tropi tego seryjnego mordercę, Marlina Jonesa. Znałem tę historię, więc kiwnąłem głową, ale Laurze musiał wyjaśnić, o co chodzi:

- Przeżywała wtedy koszmar, bo on przez pewien czas ją więził i jeszcze długo potem wracało to do niej w snach. Narkotyki znów przywołał te wspomnienia, tylko spotęgowane. Trzeba ci było widzieć jej przerażenie! Zabię tego drania - rzucił w stronę Molinas. Nie przeszedł jednak od słów do czynów, bo nadal kołysał Sherlock na kolanach. Przytulając policzek do jej włosów, dodał jeszcze: - Potem, jak mnie pobili, nie podawali mi już żadnych narkotyków.

Patrząc na Sherlock nie mogłem się powstrzymać, aby nie przyłożyć Molinasowi w łeb. Wymierzyłem cios dobrze, bo poleciał głową na ścianę. Nabrałem w płuca dużo powietrza.

- Przepraszam, poniosło mnie, ale on za chwilę dojdzie do siebie. Ma nas stąd wyprowadzić. W pobliżu jest pas startowy.

- Chwała Bogu! - westchnął Savich, nie wypuszczając z objęć żony. - A ciebie znowu naszprycowali?

- Opowiem ci o tym później - rzuciłem szybko, bo zauważyłem, że Molinas otwiera oczy. Dalszą część przemowy skierowałem do niego: - Teraz nawiązesz łączność radiową i wezwiesz tu samolot, ale już!

- Zabierzmy go ze sobą, to osobiście zrobię mu zastrzyk, ale taki skuteczny! - zagroził Savich. Molinas tylko się uśmiechnął.

- Przykro mi, agencie Savich, ale to niemożliwe. W tym samolocie są tylko cztery miejsca, i to zakładając, że jeden z was będzie go pilotował.

- Nie ma sprawy. - Savich wstał, unosząc żonę w ramionach. - Mogę cię zabić tutaj, jeżeli nie będę mógł cię zabrać do kraju. To nawet lepiej, bo wolę nie myśleć, ile brudnego szmalu wydałbyś na adwokatów.

- Pana żonie nic się nie stanie - zapewniał Molinas. - Może jeszcze potrwać, zanim w pełni się wybudzi, ale będzie tak samo zdrowa jak przedtem. Wypróbowaliśmy na was dwa narkotyki, które można mieszać ze sobą w różnych proporcjach, mieliśmy tylko kłopoty ze zbilansowaniem dawki. Na taką samą ilość każdy może zareagować inaczej, niektórzy ludzie są szczególnie wrażliwi i pańska żona właśnie do takich należy.

Savich powoli położył Sherlock na zniszczonym, czarnym kocu rozesłanym na podłodze. Potem wstał i z sadystycznym uśmiechem obrócił się do Molinas.

Nie chciałem wtrącać się do osobistych porachunków Savicha, więc przyglądałem się, jak Laura uklęka przy Sherlock, gładząc ją po rękę.

- Wstawaj! - rozkazał Savich Molinasowi. Ten powoli podniósł się na nogi. Savich wyrzucił go pięścią w żołądek, a kolanem w splot słoneczny. Molinas zwałił się na podłogę jak kłoda.

- Dobra, zasłużył na to - wtrąciła się Laura - ale pamiętaj, że będzie nam jeszcze potrzebny w dobrej formie. Musi przecież połączyć się z pilotem tego samolotu i sprowadzić go tutaj.

- I jeszcze odnaleźć Jilly - dodałem.

- Coś ty powiedział? - Savich spojrzał na mnie ze zdziwieniem. - To Jilly jest tutaj?

- Przyszła do mnie, kiedy wybudziłem się z narkotycznego transu. Ostrzegła, żebym tu nic nie jadł ani nie pił. Bez względu na to, co tutaj robi, faktem jest, że uchroniła Laurę i mnie od zażycia drugiej dawki narkotyków.

Laura nie spierała się ze mną, tylko uzupełniła:

- Gdyby miała lecieć z nami, potrzebny będzie większy samolot.

- Jilly i Sherlock są drobne. Myślę, że w piątkę zmieścimy się w Cessnie.

Tymczasem Savich dotknął poranionymi palcami mojego przedramienia.

- Mac, a twój szwagier Paul także tu jest?

- Tego nie wiem - przyznałem. - Ale nawet gdyby był, najchętniej zostawiłbym go tutaj. Przecież to on wymyślił tę diabelską miksturę ze wszystkimi szukanami. Mnie zależy tylko na Jilly.

Spojrzałem spod oka na Laurę i zauważyłem, że patrzy w podłogę, ale oczy ma zwięzione wściekłością. Idąc śladem jej spojrzenia, dostrzegłem, że Savich jest przykuty za nogę do pierścienia wbitego w podłogę. Molinas miał po prostu pecha, że pchnąłem go dostatecznie blisko Savicha, aby mógł go dosięgnąć. Teraz przestałem się dziwić, że Savich wcześniej nie uciekł.

- Coś podobnego! Wierzyć się nie chce!

Trzeba ci było widzieć, jaką mieli satysfakcję, że mogę się miotać, a i tak nie sięgnę dalej niż na długość łańcucha! Pokazywali na mnie palcami i ryczeli ze śmiechu. Dobrze chociaż, że pchnąłeś mi tego drania odpowiednio blisko!

- To John Molinas, szwagier Alyssuma Tarchera - uświadomiła Savicha Laura, podczas gdy ja próbowałem znaleźć na kółku, które mi dał Molinas, klucz pasujący do kajdanek.

- A tak, pamiętam.

Laura odnalazła właściwy klucz i uwolniła nogę Savicha z obręczy. Z ulgą roztarł kostkę i odwinął skarpetkę. Skóra pod nią była zasiniona, ale nie uszkodzona.

- Chwała Bogu, że Sherlock dała mi te grube, wełniane skarpetki! - Mówił swoim normalnym głosem, a to już był dobry znak.

Musieliśmy teraz czekać, aż Molinas odzyska przytomność. Na szczęście Laura zauważyła, że na kulawym stoliku w rogu pokoju stoi wiadro wody i wylała je na niego. Savich usiłował postawić żonę.

- Sherlock, obudź się, kochanie! - powtarzał, poklepując ją po policzkach. - Otwórz oczy, przecież wiem, że możesz. No, już dobrze, następnym razem na siłowni dam ci się położyć na łopatkę, tylko zrób to dla mnie i obudź się!

W końcu doprowadził do tego, że istotnie otworzyła oczy i spojrzała na niego, ale wyglądała na oszołomioną i wyczerpaną, a kiedy wyszeptała: „Dillon”, język jej się plątał.

- Poznała cię, to już dobrze, jak na początek - skomentowała Laura.

- Sherlock, to ja. Mac i Laura też są tutaj. Już wszystko w porządku, uciekamy stąd.

- On tu jest, Dillon - szepnęła, pocierając palcami skroń. - Siedzi tu i się śmieje. On mnie nie zostawi w spokoju, zrób coś!

Znów przymknęła oczy i opadła bezwładnie na ramię męża.

- Czy ona ma na myśli Marlina Jonesa? - spytałem, trącając w żebra Molinasa, który próbował złapać oddech.

- Tak - odpowiedział Savich, nie spuszczać oczu z jej bladej jak kreda twarzy. - Narkotyk, który dostała, odświeżył wspomnienia i zniekształcił jego wizerunek w jej wyobraźni, czyniąc z niego jeszcze większego potwora, niż był naprawdę. Ona ma go teraz przed oczami tak samo jak każdego z nas.

- Ze mną zrobili to samo, na szczęście tylko raz - przypomniałem sobie. - Powtórnie przeżyłem zamach bombowy w Tunezji, ale wróciło to do mnie w wydaniu dużo straszniejszym, niż było naprawdę. A Paul twierdził, że ten narkotyk miał osłabiać złe wspomnienia!

Molinas usiadł z wysiłkiem i włączył się do rozmowy.

- Tak, ten środek teoretycznie miał redukować niepożądane objawy fizyczne. Wmówili mi to, ale

od początku było z tym coś nie tak. Przecież nie o to chodziło, by przywoływać przykre wspomnienia! Kolejne dawki miały całkiem je wyeliminować, ale ja próbowałem różnych dawek w różnych połączeniach i nic z tego nie wychodziło.

Przykucnąłem przed Molinasem i zagadnąłem:

- A co właściwie przydarzyło się twojej córce?

- Zgwałcono ją trzy lata temu, kiedy miała zaledwie piętnaście lat. Zrobiło to czterech starszych chłopców w internacie jej prywatnej szkoły. Była wykończona psychicznie, a Del Cabrizo i Alyssum obiecali mi, że ten narkotyk pomoże jej o tym zapomnieć. Dlatego zgodziłem się współpracować z nimi. Sam wstrzyknąłem jej ten środek, ale nie pomógł, raczej zaszkodził. Wspomnienia tamtej tragedii nie znikły z jej pamięci, ale powróciły ze zwielokrotnioną siłą. To ją powoli zabija!

- I dlatego podałeś naszej koleżance jeszcze większą dawkę, i to w połączeniu z innymi narkotykami? - spytałem.

Molinas spojrział w oczy Savicha i wyczytał w nich swoją śmierć. Zgiął się wpół i zwymiotował na deski podłogi.

Savich niósł Sherlock na rękach. Była przytomna, ale powieki miała ciężkie, a oczy zamglone. Mąż owinał ją we wszystkie koce, jakie zdołaliśmy znaleźć. Niepokoiło mnie jej nienaturalne milczenie, gdyż znałem ją jako energiczną, pyską kobietkę, która komenderowała wszystkimi w swoim otoczeniu, nie wyłączając własnego męża, a teraz leżała wyciszona, jakby nieobecna duchem. Za nimi szła Laura objuczona dwoma automatami, a ja popychałem przed sobą Molinasa, trzymając go pod lufą pistoletu. Automat AK-47 miałem przewieszony przez lewe ramię.

- Teraz zaprowadź mnie do Jilly - rozkazałem Molinasowi. - Moja siostra pojedzie z nami.

- Jej tu nie ma - odpowiedział. Mówienie sprawiało mu widoczny ból.

- Akurat! - uśmiechnąłem się z niedowierzaniem. - Przecież przyszła do mnie specjalnie, aby mnie ostrzec. Rozmawiałem z nią, jak teraz z tobą.

- To musiała być wizja pod wpływem narkotyku - wyjaśnił Molinas. - Pańskiej siostry nigdy tu nie było. Nie miałbym powodu, aby pana okłamywać. Ten narkotyk miewa czasem nieprzewidywalne skutki, ale o takich jeszcze nie słyszałem.

Jak to było możliwe? Widziałem Jilly wyraźnie, stała przy mnie. Słyszałem, co do mnie mówiła. Co za diabeł?

- Jej tu nigdy nie było - powtórzył Molinas.

- To skąd ją znasz? - podchwyciła Laura.

- Wiem tylko, kim jest - wywinął się ostrożnie Molinas. Wszyscy umilkliśmy, bo z odległości około pięciu metrów dobiegły nas głosy rozmawiających mężczyzn. Dopiero po jakichś trzech minutach ucichł tupot ich kroków.

Wróciliśmy do luksusowego gabinetu Molinasa i przylegającej do niego sypialni. Była pusta, co oznaczało, że Marran w jakiś sposób uwolniła się z więzów. Stwierdziliśmy, że zamknęła się w łazience. Molinas kazał jej tam zostać, dopóki nie wróci. Zza drzwi dobiegł nas jej płacz.

- Patrzcie, co znalazłam! - pochwaliła się Laura. Pokazała nam drzwi od szafy wnękowej, której przedtem nie zauważyliśmy. W środku były różne części garderoby, broń, w tym nawet dwa automaty AK-47. Laura z szerokim uśmiechem podniosła w górę maczetę. - Skąd możemy wiedzieć, czy się nam nie przyda? Tamci mają noże. A wy powinniście zrzucić to, co macie na sobie, i założyć te ciuchy. Ja tymczasem pomogę przebrać Sherlock.

Przypięła maczetę do pasa i poklepała ją z wyraźną dumą.

- No, teraz jestem gotowa na wszystko!

- Wiem, że macie tu gdzieś radio. Wyjmij je! - poleciłem Molinasowi, który otworzył trzecią od

góry szufladę biurka i wyciągnął stamtąd mały, czarny nadajnik radiowy. - A teraz sprowadź samolot!

Obserwowaliśmy go, jak ustawia odpowiednią częstotliwość i mówi coś po hiszpańsku tak szybko, że zrozumiałem tylko część. Kiedy skończył, obejrzał się na nas i zapewnił:

- Nie zdradziłem was.

Savich podszedł do Sherlock, która siedziała na podłodze, a Laura trzymała ją za rękę. Podniósł ją i zaproponował:

- Chodźmy już stąd.

- Módl się, żeby ta Cessna przyleciała! - syknąłem w ucho Molinasowi.

- Przyleci - obiecał, oglądając się na radio. Nie wyglądał jednak na uszczęśliwionego.

27

Zegarek, który zabrałem Molinasowi, wskazywał wpół do szóstej rano, kiedy dotarliśmy do pasa startowego. Na szarym niebie lśnił jeszcze księżyc i kilka rozsypanych bezładnie gwiazd, ale ich blask szybko gasł. W oddali szczyty górskie majaczyły jak duchy, w bladym świetle poranka nabierające upiornych kształtów. Wiedzieliśmy jednak, że wkrótce będzie dostatecznie jasno, aby móc zrobić użytek z pasa startowego. Pomyśleć, że dopiero trzy dni temu kupowaliśmy jeszcze kanapki w delikatesach „U Grace” w Edgerton, w stanie Oregon!

Głuchą, nadraną ciszę mącił tylko chrzęst naszych butów na skalistym podłożu. Niecałe sto metrów na lewo od nas zaczynał się już las deszczowy, rozciągający się aż po wschodnią grań łańcucha górskiego. Obóz narkotykowych gangsterów został za nami. Nawet jeśli ktoś szedł naszym tropem, nie było go widać. Prowadziłem Molinasa tak, żeby zabezpieczać tyły i aby ewentualny snajper nie ośmielił się strzelać w obawie o życie swego bossa.

Zanim dotarliśmy do pasa startowego, niebo pojaśniało, a od strony wschodniej wystąpiły na nim różowe pasma. Niestety, wydostaliśmy się na odkrytą przestrzeń, na której stanowiliśmy zbyt dobrze widoczny cel.

- Las zaczyna się dopiero tam, a tu nic nie rośnie? - zdziwił się Savich.

- Tutejsi mieszkańcy karczują las, bo są bardzo biedni - wyjaśnił Molinas.

- Myśmy z Macem już tu byli! - pochwaliła się Laura. - Ten las jest piękny, ale panuje tam straszna wilgoć i łążą różne stworzenia, które najpierw słyhać, a dopiero potem widać. To naprawdę deprymujące i cieszę się, że nie musimy tam wracać.

Sherlock nawet się roześmiała, choć głos jej jeszcze drżał.

- Chyba będę musiała jeszcze raz zabić tego Marlina Jonesa, bo nie mogę znieść jego krzyków i śmiechu. Zobaczymy, czy tym razem zmartwychwstanie.

- Tak, zrób to koniecznie! - powiedział z naciskiem Savich, patrząc jej prosto w oczy. - Tylko ty jedna możesz sobie z tym poradzić. Udało ci się raz, uda i drugi. Dla pewności kopnij go jeszcze ze dwa razy, a potem wracaj do nas i zostań już ze mną, bo cię potrzebuję.

- Ja cię też potrzebuję, Dillon... - wyszeptła i znów zamknęła oczy. To, co można było wyczytać z oczu Savicha, napawało przerażeniem. Dla kurażu ścisnąłem go za ramię.

Teraz nie miałem już wątpliwości, że Jilly musiała być pod wpływem tego narkotyku, kiedy zjechała z klifu. Tak jak Sherlock na punkcie Marlina, ona miała obsesję na punkcie Laury. Odkąd domyśliła się, że Laura pracuje w brygadzie antynarkotykowej, poczuła się przez nią zdradzona i myśl o niej zaczęła ją prześladować tak uporczywie, że nie mogła tego dłużej znieść. Staranowała samochodem barierę i wjechała prosto do morza, aby uwolnić się od dręczącego koszmaru.

Laura tymczasem stała bez ruchu, wpatrzona w łańcuch górski rozciągający się po wschodniej stronie. Chciałem jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale ugryzłem się w język, bo zastanowiło mnie dziwne skupienie, z jakim kontemplowała krajobraz. Najwyraźniej chciała sobie to

i owo uporządkować. Uśmiechnąłem się tylko do niej, bo podskórnie czułem, że kobieta, którą znałem zaledwie tydzień, mimo wszystko zdecyduje się raczej żyć ze mną niż beze mnie.

Staraliśmy się zredukować ryzyko do minimum. Z tego powodu siedzieliśmy ciasno przyciśnięci do siebie, a Molinasowi kazaliśmy usiąść tyłem do obozu. Nie przypuszczałem, aby ktokolwiek z jego ludzi ośmielił się napaść na nas, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Wkrótce, z ostrym warkotem silnika, nadleciał mały samolot. Najpierw było go słyszeć, toteż Savich ze ściągniętymi brwiami śledził ten dźwięk. W ciągu paru minut nad pasmem górskim ukazała się mała Cessna 310 o opływowym kształcie, zakolebała skrzydłami i w poświacie wschodzącego słońca zaczęła schodzić do lądowania. Nie podobała mi się tylko praca jej silnika, który dławił się i bulgotał, jakby lada chwila miał zgasnąć. Czyżby Molinas zrobił nas w konia? Już obracałem się ku niemu, gdy zza szczytów górskich wynurzyły się dwa śmigłowce.

- O rany, to nasze Apache AH-64! - zakrzyknął Savich, osłaniając dłonią oczy. - Mają na pokładzie sprzężone karabiny maszynowe, działko i rakiety „Hellfire”. Padnij, wszyscy padnij!

Rozciągnęliśmy się płasko na ziemi, w samą porę, gdyż po chwili z pokładu jednego ze śmigłowców trysnęły serie pocisków wycelowane w Cessnę. Samolocik rozprysnął się nisko nad ziemią. Zdażyłem zauważyć wewnątrz dwóch mężczyzn, z których jeden krzyczał. Zaraz potem nastąpił wybuch i na wszystkie strony rozleciały się poskręcane blachy, fragmenty silnika i foteli - jeden ze szczątkami pilota unieruchomionego w pasach. Płat skrzydła uderzył w ziemię około sześciu metrów od nas.

- Boże, skąd tu się nagle wzięły nasze stare, pocziwe Apache? - zdumiał się Savich.

- Może w ich dowództwie jakoś się dowiedzieli, że tu jesteśmy? - snuła przypuszczenia Laura. Zaczęła wymachiwać rękami i krzyczeć, aby zwrócić na siebie uwagę pilotów śmigłowców. Ja jednak zauważyłem, że wprawdzie podleciały bliżej i zataczały koła nad nami, ale nie kwapiły się schodzić do lądowania.

- Lauro, uciekaj stamtąd! Szybko! - zawołałem do niej, ale w tej samej chwili, bez ostrzeżenia, strzelcy pokładowi otworzyli do nas ogień.

- Do lasu! - zakomenderowałem, popychając Molinasa przed sobą. Nad naszymi głowami zaświstały serie, wznosząc wokół tumany kurzu. W ostatniej chwili schroniliśmy się pod osłonę lasu, ale równocześnie uświadomiłem sobie, że Molinas tylko opóźnia nasz marsz.

Obróciłem go twarzą do mnie i wygarnąłem mu w oczy:

- Ty skurwysynu, ściągnąłeś nam ich na głowy!

- Nie zdradziłem was! - wy dyszał. - Sam pan widział, jak zestrzelili Cessnę. Pewnie któryś z moich ludzi wezwał ich przez radio i zameldował, że uciekliście. To Del Cabrizo wydał taki rozkaz, nie ja.

- Miło mi to słyszeć! - zadrwiłem. - W takim razie zostaniesz tu i sam z nim o tym porozmawiasz.

Pchnąłem go na drzewo i jego własnym pasem związałem mu ręce z tyłu za wątlym pniem. Zerwałem z niego jedwabną, włoską koszulę i zakneblowałem mu nią usta, obwiązując końce wokoło głowy.

- Módl się, żeby twoi mocodawcy nie uznali, że już nie jesteś im potrzebny! - rzuciłem na pożegnanie. - Tylko to może uratować życie twoje i twojej córki.

Zostawiłem go i zawołałem do Savicha:

- Musimy uciekać, kieruj się na północ, a potem skręcaj na zachód!

Dobrze, że było już na tyle jasno, aby bezbłędnie ustalić kierunek. Musieliśmy udać się na północny zachód, bo żołnierze Molinasa z pewnością będą go szukać, a więc pójdą naszym śladem.

Savich potakująco kiwnął głową i przytulił Sherlock mocniej do siebie. Obejrzałem się za Laurą,

bo nie rozumiałem, dlaczego nie dołącza do mnie. Stała jakieś trzy metry ode mnie, ale dziwnie się chwiała i nagle upuściła jeden z trzymanyh automatów.

- Lauro! - zawołałem, ale nisko nad naszymi głowami przemknęły śmigłowce, przesywając korony drzew seriami z broni pokładowej. Musielibyśmy mieć wyjątkowego pecha, aby jakaś zabłąkana kula przebiła się przez zwarte sklepienie zieleni, ale z naszym pieskim szczęściem wołałem nie ryzykować.

- Lauro, szybciej! - ponagliłem. - Musimy się spieszyć, wezmę ten drugi automat. Co się z tobą dzieje?

Nie odpowiedziała, ale zauważyłem, że opiera się plecami o pień drzewa, zaciskając palce wokół barku.

- Poczekaj chwilkę, Mac - syknęła przez zaciśnięte zęby, przymykając z bólu powieki. Od razu odgadłem, że musiała zostać trafiona. W koronach drzew świstały serie, co oznaczało, że wciąż znajdujemy się za blisko skraju lasu i powinniśmy zaszyć się głębiej. Na razie jednak bez słowa oderwałem jej rękę od miejsca, za które się trzymała.

- Przeszło na wylot - poinformowała mnie, a kiedy rozpiąłem jej koszulę, zobaczyłem, że miała rację.

- Stój spokojnie - poleciłem, zrzuciłem swoją koszulę, która nie była tak przepocona jak podkoszulek. Obwiązałem nią przestrzelone ramię Laury, ale czułem, że drży, a krew przeciekała mi między palcami. - Wytrzymasz jeszcze trochę?

Obdarzyła mnie uśmiechem, od którego chciało mi się płakać.

- Oczywiście, że wytrzymam. Przecież jestem policjantką - zapewniła.

Odwzajemniłem uśmiech, zapiąłem jej koszulę, podniosłem z ziemi oba automaty, a ją przerzuciłem sobie przez ramię.

- Coś ty, Mac, przecież mogę iść - zaprotestowała.

- Dobra, dobra. Czasem nawet policjantka musi zamknąć buzię! - burknąłem i powiedziałem Savichowi: - Słuchaj, Laura dostała kulka w ramię. Rana jest czysta, ale musimy się tym zająć...

Nie skończyłem, bo jeden ze śmigłowców przeleciał nisko nad nami i zaczął zataczać kręgi. Wprawdzie korony drzew tłumiły warkot jego śmigła, ale znajdował się stanowczo za blisko. Gdyby puścił serię w dół, mógłby nas trafić.

Ułożyłem Laurę na grubej warstwie runa leśnego, pogłaskałem ją po policzku i zapowiedziałem:

- Nie ruszaj się, leż spokojnie, ja zaraz wrócę, tylko skombinuję jakąś apteczkę.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym znów był naćpany. W odpowiedzi uśmiechnąłem się tylko, wziąłem ze sobą jeden ze zdobycznych automatów i pobiegłem w stronę widocznego prześwitu w otaczającym nas oceanie zieleni. Widać było stamtąd, jak niecałe dwadzieścia metrów nade mną kołował Apache, rozdmuchując śmigłem górne piętra lasu. Przerażone ptaki skrzeczały i trzepotały skrzydłami w panicznej ucieczce. Przez gęste zarośla nie widziałem ich, ale widziałem mężczyznę, który z pokładu śmigłowca obserwował teren przez lornetkę.

- Hej, wy tam! - krzyknąłem i puściłem serię w górę. Wymieniłem opróżniony magazynek i czekałem, bo chciałem podpuścić ich bliżej. Apache zawisł w powietrzu, chwiejąc się z boku na bok.

- No, chodźcie i spróbujcie mnie dostać!

Załoga śmigłowca znajdowała się teraz bezpośrednio nade mną, tak że było słychać miotane przez nich przekleństwa. Wtedy wystrzeliłem następny tuzin pocisków prosto w kabinę pilota.

Widziałem, jak pilot rozpaczliwie manewruje przyrządami, by utrzymać panowanie nad maszyną. Słyszałem też krzyki strzelca pokładowego. W którymś momencie śmigłowiec poszybował pionowo w górę, a potem gwałtownie skręcił w lewo. Puściłem w niego następną serię, i zobaczyłem, że



silnik produkcji General Electric rozpada się w drobny mak. Apache znów uniósł się do góry, celując nosem w niebo, potem gwałtownie zmienił kierunek i zaczął szybko spadać, aż zarył nosem w ziemię przy akompaniamencie krzyków bólu obu członków załogi.

Spadająca maszyna zaplątała się między korony drzew. Śmigło nieskoordynowanymi obrotami przecinało liście, aż odpadło. W ciszy, jaka następnie zapanowała, słychać było warkot silnika drugiego śmigłowca, ale z daleka. Ciekawe, czy jego załoga widziała, że ten został strącony i pospieszy mu na ratunek?

Odczekałem chwilkę i podbiegłem, jak mogłem najszybciej, do zestrzelonego helikoptera, który zarył nosem w ziemię na głębokość około sześćdziesięciu centymetrów. Oderwane śmigła wisiały zaplątane w listowiu, a nad nimi jazgotały małpy. Widziałem, jak skakały na wysokości niecałych dwóch metrów nad moją głową. Liczyłem się z ewentualnością, że helikopter może wybuchnąć, ale za wszelką cenę musiałem zdobyć apteczkę pierwszej pomocy, na pewno mieli ją na pokładzie. Nie wyobrażałem sobie, aby ranna Laura mogła przetrzymać to piekło bez odpowiednich leków i opatrunków.

Pilot i strzelec pokładowy już nie żyli. Mieli na sobie takie same mundury polowe jak reszta ludzi Molinasa, ale chociaż prowadzili amerykański śmigłowiec - nie byli Amerykanami. Pewnie Del Cabrizo wysłał ich w pościg za nami, jak przewidział Molinas.

Na szczęście znalazłem apteczkę pod siedzeniem pilota. Na oparciu jego fotela wisiała siatka, były w niej pojemniki z butelkami wody pitnej. Z tylnego siedzenia zabrałem kilka koców przesiąkniętych świeżym zapachem wydzielin towarzyszących stosunkom płciowym. Teraz już wiedziałem, jak ci panowie zabawiali się przed odlotem.

Odwiązałem siatkę z zapasami wody, przerzuciłem sobie koce przez ramię i wykrzykując z radości, jak dzikus pobiegłem z powrotem. Wprawdzie nie widziałem, aby w pobliżu ktokolwiek się kręcił, drugi helikopter także znikł mi z oczu, ale znajdowaliśmy się stanowczo za blisko skraju lasu.

- O rany, rzeczywiście zorganizowałeś apteczkę, a do tego jeszcze wodę! - cmoknął z podziwem Savich. - Dopilnuję, żebyś dostał awans i podwyżkę.

- Mógłbyś z tym trochę poczekać? - zaproponowałem, przyklękając przy Laurze.

- Dobra, ale potem muszę porządnie odpocząć, najlepiej na leżaku z dobrą książką.

- Masz to jak w banku, ale zobaczmy najpierw, co tu mamy. Przydałby się jakiś środek przeciwbólowy.

Znalazłem odpowiednie tabletki i dałem Laurze trzy, a do popicia tyle wody, ile chciała. Na szczęście Savichowi udało się zatamować krwawienie i to było najlepsze, co w tej chwili mogliśmy zrobić.

- Odszkodźmy teraz jakieś pięćdziesiąt metrów na północny zachód - zaproponowałem, wstając. - Ja potem wrócę i zatrę ślady. Chyba Bóg czuwa nad nami, bo mamy wodę i to w dodatku bez prochów!

Posunęliśmy się jakieś pięć metrów do przodu, i utknęliśmy w splątanych gąszczu drzew przerośniętych pnączami. Za pierwszym razem byliśmy bezradni wobec tej ściany zieleni, ale teraz pomogła nam maczeta przezornie zabrana przez Laurę.

- Jesteś genialna! - Pocałowałem ją w policzek. - Chyba masz kwalifikacje do pracy w FBI!

- Naprawdę? - Zdobyła się na uśmiech. Szła sama, bo ja, mało tego, że dźwigałem apteczkę, wodę i automat, to jeszcze musiałem wyrąbywać dla nas drogę maczetą.

- Świetnie się spisujesz, kochanie. No, może jeszcze z piętnaście kroków i odpoczniemy. O tak, dobrze, jeszcze z dziesięć kroków... - Wyciąłem następny wyłom w plątaniu pnączy przed nami. - Dobrze, że ta maczeta jest ostra!

- Chętnie napiłabym się margarity, Mac.

- Ja też, ale wolałbym najpierw ustalić, gdzie właściwie jesteśmy. Szkoda, że nie wycisnąłem tego z Molinasa.

- Dobrze, że przynajmniej wyprowadził nas stamtąd. Możemy być nawet w Kolumbii.

Tymczasem Sherlock jęknęła, a Savich coś do niej uspokajająco przemawiał, ale nie słyszałem słów. Przerzucił ją sobie przez ramię i przejął ode mnie maczetę, za co byłem mu wdzięczny. Tym sposobem posunęliśmy się o przynajmniej pięćdziesiąt kroków naprzód, dopóki Savich nie miał dość. Ciężko dysząc, położył Sherlock pod drzewem, o którego pień oparł maczetę i swój automat.

- Słuchaj, Mac, może na razie damy sobie spokój, bo muszę trochę odsapnąć. Rozłóżmy tutaj te koce, żeby dziewczyny mogły się na nich położyć. Spokojnie, Sherlock, wszystko jest w porządku.

Sherlock otworzyła nawet oczy i obrzuciła spojrzeniem najpierw mnie, a potem mój automat AK-47. Jej wzrok był pusty, nie miał w sobie duszy. Odwróciłem oczy, nie mogłem na to patrzeć. Żałowałem, że nie zabiłem Molinasa.

Podprowadziłem Laurę pod drzewo, aby się o nie oparła. Rozpostarłem na trawie koce i pomogłem jej ułożyć się wygodnie na plecach. Oczy miała pociemniałe z bólu. Nachyliłem się i pocałowałem ją w wyschnięte usta.

- Leż spokojnie, Savich przyniesie ci wody. - Rozwinąłem jeszcze dwa koce i przykryłem ją nimi. Savichowi zaś oznajmiłem:

- Zostawiliśmy za sobą wyrąbaną ścieżkę, ale może uda mi się to jakoś zamaskować, żeby nas zbyt łatwo nie wytropili.

Przed odejściem podałem Laurze jeszcze jedną tabletkę przeciwbólową. Kiedy po pięciu minutach wróciłem, usłyszałem z daleka, jak szeptał tłumaczy się Savichowi:

- Przepraszam, narobiłam wam tyle kłopotu. To wszystko przez to, że uchyliłam się nie w tę stronę co trzeba. Może za karę przeniosą mnie teraz do FBI?

- Musiałabyś zrobić coś o wiele gorszego niż unik w niewłaściwym kierunku, aby zostać skazaną na towarzystwo takich łobuzów jak my! - odparł Savich. - Na razie odpoczywaj.

- I siedź spokojnie! - dodałem, odchylając metalowy zameczek apteczki. - Pobawimy się teraz w pana doktora.

Przejrzałem zawartość apteczki i znalazłem tam alkohol, antybiotyk doustny, aspirynę, gazę, bandaż, plastry, igły, zapalki, nici i środki przeciwbólowe. Dzięki Bogu, że helikopter nie wybuchł! Uznałem to znalezisko za najszcześniejszy traf od czasu, kiedy poznałem Laurę.

- Równie dobrze moglibyśmy być teraz w Tajlandii - rozważała Laura. - Albo w każdym innym miejscu, gdzie jest dżungla.

- No, nie wszędzie są miasta o nazwie Dos Brazos - sprowadziłem ją na ziemię. - Leż teraz spokojnie i połknij te tabletki. Jedna to antybiotyk, a druga przeciwbólowa.

Odczekałem ze dwie minuty, aż leki zaczną działać. Potem odwinąłem prowizoryczny opatrunek i obejrzałem ranę. Wlot kuli pozostawił tylko mały otwór, z którego leniwie ciekła krew.

- Nie ruszaj się - poleciłem. Namoczyłem zwitek gazy w alkoholu i przyłożyłem go do rany. Laura ani pisnęła, tylko zacisnęła powieki i przygryzła dolną wargę.

- Wszystko w porządku, nie musisz tak na mnie patrzeć - uspokoiła mnie. - Nie jestem w szoku, przynajmniej na razie. Dwa lata temu miałam już ranę postrzałową, więc wiem, jakie to uczucie. Tym razem jeszcze nie jest najgorzej.

- Gdzie dostałaś wtedy ten postrzał?

- W prawe udo.

- Jak dotąd, trzymasz się całkiem nieźle. - Pokręciłem głową z podziwem. Podciągnąłem ją do

pozycji siedzącej, aby móc przyjrzeć się ranie wylotowej. Ta była dużo większa niż otwór wlotowy, zapchana poszarpanymi strzępami ciała i materiału koszuli.

- Nie mogę nałożyć szwów, bo nie ma tu warunków, aby utrzymać tę ranę w czystości - tłumaczyłem. - Prędzej uległaby zakażeniu, więc lepiej tylko ją oczyszczę i nałożę opatrunek, który będziemy codziennie zmieniać. Może tak być?

- Pewnie, bo nie cierpię szycia.

Przyłożyłem do rany wylotowej taki sam tampon namoczony w alkoholu. Obmyłem dokładnie okolice rany, nałożyłem warstwę maści antybiotykowej i sterylny kompres z gazy, który podał mi Savich. Przyklepiłem plaster, taki sam opatrunek nałożyłem na ranę wlotową i zmyłem alkoholem zaschniętą krew, która na tle białej skóry przybrała już kolor prawie czarny. Od tego widoku robiło mi się niedobrze, więc grubo obandażowałem jej cały staw barkowy, zawiązując końce bandaża pod piersiami. Zrobiłem wszystko, co mogłem, i najlepiej jak mogłem.

- Hej, Sherlock, jesteś tu? - zagadywał tymczasem Savich.

- Tak, Dillon, jestem.

- Popatrz, co my tu robimy. Skup się, przecież sama chciałaś. Rozmawiajmy, dobrze?

- Jestem tutaj cały czas... - zaszemrał jej cichy, ledwo dosłyszalny głos. - Próbuję się skupić, ale ciężko mi to idzie...

Po kilku minutach spytałem Laurę, czy jeszcze ją boli.

- Tylko trochę - odpowiedziała takim tonem, jakby była tym faktem mile zaskoczona. - To cudowne, jak szybko te środki działają. Naprawdę, czuję się całkiem dobrze.

28

Starłem się zapewnić jej ciepło, więc ubrałem ją w koszulę i starannie przykryłem kocami.

- Wyciągnij się teraz swobodnie i odpoczywaj - poradziłem.

Miała już kiedyś kulę w nodze, więc знаła ten rodzaj bólu i nie wątpiłem, że się z nim upora. Najważniejsze w tej chwili było, żeby utrzymać ją przy życiu, dopóki nie wydostaniemy się z tego przeklętego lasu, gdzie stracić to życie było łatwiej niż na autostradzie pod Los Angeles!

Tymczasem Savich znów zajął się żoną.

- A co ty powiesz, Sherlock? Czy według ciebie spisujemy się jak należy?

- Przepraszam cię, Dillon, ale naprawdę nie wiem. Próbuję się skupić, ale nie mogę... - Znowu od nas odpłynęła.

- Ten pieprzony lunatyk ciągle nie daje jej spokoju! - zdenerwował się Savich. - Mac, to nie jest sprawiedliwe!

- Przynajmniej tym razem była z nami trochę dłużej - próbowałem go pocieszać.

- Może wreszcie załatwi tego Marlina Jonesa raz a dobrze i będzie miała spokój? - spekulowała Laura.

- Nie wierzyłem, że to możliwe, ale kto wie, kto wie... - Savich się zadumał. Nachylił się tuż nad uchem żony i próbował jej tłumaczyć: - Słyszysz, Sherlock? Kiedy ten drań spróbuje jeszcze raz się pojawić, wpakuj mu kulę między oczy, dobrze?

Urwał i spojrzał w górę. Gdzieś z daleka doszedł nas warkot śmigłowca. Nie kołował tuż nad nami ani nie pluł seriami z broni pokładowej, ale krążył w pobliżu. Przez gęstą kopułę zieleni nie mógł nas dostrzec, więc strzelec pokładowy nie widział sensu, by otworzyć ogień.

Przekazałem Laurze i Savichowi swoje poglądy na temat stanu psychicznego Jilly, kiedy zjechała samochodem z klifu.

- Teraz już nie mam wątpliwości, że musiała być naćpana. Wjechała prosto do morza, aby w ten sposób uwolnić się od Laury, która tak samo ją opętała, jak Marlin Jones Sherlock, a mnie terroryści

z Tunezji. Różnica jest tylko taka, że Sherlock wyjdzie z tego, tak jak ja wyszedłem, a Jilly albo wzięła za dużą dawkę, albo już była uzależniona, bo obsesja na punkcie Laury nie opuściła jej nawet w szpitalu.

- Czy to znaczy, że uciekła ze szpitala, żeby mnie więcej nie widzieć? - zastanawiała się Laura. - Pewnie do-: wiemy się prawdy, kiedy ją wreszcie odnajdziemy.:

- Prawda jest taka, że nic jeszcze nie wiemy o odroczonej działaniu tego środka - rzucił ponuro Savich.

- Obawiam się, że Paul tego też nie wie - mruknąłem. W tym momencie zauważyłem czarno-zielono-pomarańczowego chrząszcza. Zatrzymał się na chwilę, pomachał w moją stronę czułkami i w pośpiechu schował się za małe, pomarańczowo zabarwione listki. Dojrzałem więcej takich poruszających się listków, co oznaczało, że i pod nimi pełno jest różnych stworzonek. Wszystko tu żyło, było głodne, padało ofiarą drapieżnika, zdychało i rozkładało się lub stawało się pokarmem padlinożerców.

Musnąłem palcami wargi Laury. Tak ze mną ładnie współpracowałaś, że dostaniesz więcej wody w nagrodę.

Wypiła sporo, a ja się zastanawiałem, na jak długo wystarczy nam tej cudem zdobytej wody. Zależało to od tego, ile będziemy musieli walczyć o przeżycie w tych warunkach. Tymczasem Laura dostała dreszczy, więc chciałem okryć ją jeszcze moją koszulą. Powstrzymała mnie jednak.

- Lepiej się nie rozbieraj, bo za dużo tu lata różnych gryzących stworzonek. Podobno są tu nawet pijawki.

O nie! Tylko nie pijawki! W takiej sytuacji wolałem złożyć we dwoje przesiąknięty spermą koc i okryć nim jej piersi i szyję.

- Musimy być bardzo ostrożni... - zaczęła i zmarszczyła brwi. Wiedziałem, że w ten sposób próbuje zebrać myśli.

- Dobra, Lauro. Nie spiesz się, pomyśl spokojnie. Na razie nigdzie się nie wybieramy.

- Myślałam właśnie o moim szefie, Richardzie Athertonie - dokończyła. - Ciekawe, czy rozesłał już naszych agentów po całym Edgerton...

Urwała, a ja od razu się domyśliłem, że chwyciły ją bóle. Nie mogłem tego znieść, więc podałem jej jeszcze jedną pigułkę.

Po kilku minutach otworzyła oczy i nawet uśmiechnęła się do mnie, ale twarz miała dziwnie zarumienioną. Nie wiedziałem, czy to z gorączki, czy wskutek tego wilgotnego upału.

- Oddychaj głęboko - poradziłem. - Wyobraź sobie, że już pijesz tę margaritę, którą zaraz ci zrobię, a potem natrę cię pachnącym olejkiem i rozmasuję wszystkie zakwasy. Zaraz poczujesz się lepiej.

Lekko pogładziłem czubkami palców jej policzek, odgarnąłem włosy z twarzy. Wyglądała już na oszołomioną, więc postanowiłem, że nie dam jej więcej środków przeciwbólowych.

- Nic już nie mów, lepiej odpocznij - poradziłem. - Powiesz nam to wszystko później, kiedy się lepiej poczujesz. Ciepło ci teraz?

Widać było, że usiłuje zrozumieć, co do niej mówię, ale w końcu nic nie odpowiedziała. Sherlock nadal tkwiła w narkotycznym transie, dręczona wizjami Marlina Jonesa.

- Kiedy ostatni raz wstrzyknęli jej to świństwo? - spytałem Savicha. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Przynieśli ją do mnie zaledwie pół godziny wcześniej, zanim Molinas was tam przyprowadził.

- Od tamtej pory minęło zaledwie sześć godzin.

Savich wpatrzył się w nieprzezroczyście, zielone sklepienie nad naszymi głowami. Dochodził

stamtąd skrzek małych, trzepot ptasich skrzydeł i inne dźwięki, których nigdy przedtem nie słyszałem.

- Co tam jest? - zagadnąłem.

- Ktoś tu idzie - szepnął. - Można było się spodziewać, że ruszą w pościg. Ciekawe, czy znaleźli Molinasa.

Zacząłem nasłuchiwać, ścisnąwszy uprzednio Laurę za rękę, żeby się nie odzywała.

Rzeczywiście, zbliżało się do nas kilku ludzi. Przeczesywali las na ślepo, ale dzieliła ich od nas nieduża odległość. Savich podniósł z ziemi jeden z automatów AK-47, a ja wyciągnąłem zza pasa pistolet Bren Ten.

- Nie ruszaj się! - szepnąłem do Laury. Przez chwilę w jej oczach zamigotało przerażenie, ale zaraz jego miejsce zajął spokój.

- No, Mac, nie jest jeszcze ze mną aż tak źle! Daj mi spluwę.

- Za żadne skarby! - zaprotestowałem. - Jesteś ranna i nie wolno ci się ruszyć. Co będzie, jeśli otworzy ci się ta rana w barku? To poważna sprawa, Lauro, lepiej leż spokojnie i...

- Nie chcę, żeby któraś z nas zginęła tylko dlatego, że byłam bezbronna - przerwała mi. - Widzisz, że Sherlock w ogóle nie kontaktuje i jest zdana tylko na mnie. Daj mi Bren Tena.

Oddałem go bez słowa i przewiesiłem sobie przez ramię drugi automat AK-47.

- Chodźmy, są już blisko! - zawołał Savich. Zatknąłem jeszcze za pas maczetę, sprawdziłem, czy mam zapasowy magazynek, i podążyłem za nim. W razie gdyby coś się nam stało, Laura miała do dyspozycji przynajmniej pistolet. Oczywiście, nie brałem pod uwagę takiej ewentualności, ale kiedy jeszcze raz się obejrzałem - zauważyłem, że kurczowo zacisnęła palce wokół spustu. Pokazałem jej z daleka optymistyczny gest wzniesionym kciukiem.

Nawet nie próbowali zachowywać się cicho. Rozmawiali głośno po hiszpańsku, a sądząc z tego, co zrozumiałem - przeważnie klęli.

Czekaliśmy na nich, przycupnięci pod parasolem dużych, zielonych liści. Upał się nasilał, powietrze było tak przesycone wilgocią, że zarówno poruszanie się, jak oddychanie łączyło się z dużym wysiłkiem. Chwała Bogu, że udało mi się zdobyć zapasy wody ze śmigłowca! Nasi prześladowcy zbliżali się, narzekając na swój los. Od miejsca naszego ukrycia dzieliło ich już tylko około czterech metrów.

- Idźmy za nimi! - zakomenderował Savich. Szli gęsiego, a ich ciężkie kroki tłumiły wszelkie inne odgłosy. Spojrzałem spod oka na profil Savicha, jakby wykuty z kamienia. Ten kamienny spokój był złowróżbny, bo w jego oczach czaiła się śmierć.

Ostatniego w szeregu zlikwidował tak szybko, że dobiegł mnie tylko zdławiony charkot, a jego towarzysze idący przed nim nie usłyszeli niczego. Savich po prostu poderżnął mu gardło skalpelem, który zabrał z apteczki, a potem błyskawicznie odciągnął go na bok, bo przecież dwóch pozostałych mogło w każdej chwili się odwrócić.

- Bierzemy tamtych dwóch! - szepnął Savich, kiedy już ułożył zabitego na plecach. Znajdowali się tak blisko nas, że wyraźnie słyszeliśmy ich hiszpański szwargot.

- Oni myślą, że Leon poszedł w krzaki się wysikać - przetłumaczyłem.

- Szybko, bierzemy ich razem! - zdecydował Savich.

Dalsze wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Jednego z żołnierzy Savich bezszelestnie zarżnął skalpelem. Drugi się odwrócił, więc uskoczyłem na bok. Dziko wyjąc, rzucił się na mnie z automatem, ale wbiłem mu pięść pod brodę, aż głowa odskoczyła mu do tyłu. Charcząc i dławiąc się, padł na kolana, a ja dobiłem go kolbą automatu.

Kiedy podniosłem oczy - napotkałem spokojne spojrzenie wielkiego kota, który leżał wyciągnięty

na nisko nawisłej gałęzi. Nie ruszał się, tylko obserwował nas z dyskretnym zainteresowaniem.

- To tylko jaguar, Mac - uspokoił mnie Savich. - Nie ośmieli się zaatakować, bardziej interesuje go nasz łup. Nic ci się nie stało?

- Nie.

- To nie przejmuj się nim, lepiej zobaczmy, co przy nich znajdziemy.

- Popatrz, on miał dwa batoniki Baby Ruth - mruknąłem do Savicha. - Fajnie, przydadzą się. Zobaczmy, co ma ten drugi. Ciekawe, że napisy na opakowaniach nie są hiszpańskie. Apteczka, którą przyniosłem ze śmigłowca, była amerykańska, śmigłowiec też, wszystko, z wyjątkiem samych ludzi Molinasa. Ciekawe, co to za faceci i co tu robią.

Savich za całą odpowiedź wzruszył ramionami. Miał rację, bo w tej chwili to, kim byli ci ludzie, nie miało żadnego znaczenia. Mnie też ich los nic nie obchodził.

- No, mamy ich z głowy, wracajmy do Laury i Sherlock - zdecydowałem.

Ale kiedy przedarliśmy się do nich przez gąszcz - zdrętwiałem. Nad kobietami stał jakiś mężczyzna z automatem wycelowanym w pierś Laury. A ona leżała z zamkniętymi oczami, nie widziałem, czy ma pistolet.

On też nie bardzo wiedział, co ma robić, kiedy nas zobaczył.

- Ani kroku dalej, señor, albo zastrzelę te kobiety! - zagroził. - Położyć broń na ziemi i cofnąć się o krok!

Nie wiedział, że to ostatnie słowa w jego życiu. Laura błyskawicznym ruchem podniosła Bren Tena i wystrzeliła mu prosto w czoło.

29

- Świetna robota, Lauro! - pochwaliłem.

- Pojawił się zaraz po waszym odejściu - powiedziała, kładąc sobie pistolet na brzuchu. - Dobrze, że odwróciłeś jego uwagę, bo dzięki temu zdażyłam zrobić to, co trzeba.

Zabraliśmy zabitemu broń i trzy batoniki, które miał w kieszeni. Savich natomiast przymierzył jego buty.

- Pasują - orzekł z zadowoleniem. - Miał także wodę.

- Ten strzał mógł przywabić kogoś niepowołanego - zauważyłem. - Pójdziemy się rozejrzeć. To potrwa najwyżej dziesięć minut.

- Dobra, idźcie, my tu sobie damy radę! - odprawiła nas Laura.

Ruszyliśmy w tym samym kierunku, skąd przyszli żołnierze. Zauważyłem zielonego węża boa trzykrotnie okręconego wokół drzewa i na ten widok zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

- Stanowczo za dużo tu różnych żyjątek! - narzekałem. - Człowiek wciąż musi się rozglądać na wszystkie strony. Dopiero co natknąłem się na drzewo pokryte kolcami. W takim dzikim kraju człowiek nie panuje nad sytuacją.

- Gdyby Laura nie zabrała maczety, nie dotarlibyśmy nawet tutaj - przypomniał Savich.

Śledziłem wzrokiem lot karmazynowej papugi ary, czerwone pióra mieszały się wzdłuż jej grzbietu z żółtymi i niebieskimi. Wielkie ptaszysko zatoczyło kilka kręgów w powietrzu i wylądowało na gałęzi niespełna metr od nas. Byłem ciekaw, co Nolan powiedziałby na takiego egzotycznego towarzysza.

- Nie ma tu żadnych śladów czyjejkolwiek obecności - zameldował Savich. - Wracamy.

Wilgotny upał obezwładniał i utrudniał oddychanie. Koszule można było wyżymać, a na moim przedramieniu zebrało się tyle potu, że owady w nim tonęły, zanim zdażyły mnie ugryźć.

- Jest jeszcze wcześniej, a co będzie po południu? - zastanawiał się Savich. - Wolałbym, żeby nie padało, bo ten gliniasty grunt całkiem rozmięknie. Miejmy nadzieję, że to nie jest pora deszczowa! -

Zaśmiał się sam z własnych przypuszczeń.

- Nie ma jeszcze dziesiątej, ale nie powinniśmy tu zostawać. Jak myślisz, czy zakładając, że będziemy nieśli Sherlock, Laurę i wszystkie zapasy, przejdziemy z kilometr, zanim padniemy pod najbliższym drzewem?

- Jeśli jeszcze będziemy musieli torować sobie drogę maczetą, to przez cały dzień nie ujdziemy więcej niż trzy kilometry - sprecyzował trzeźwo Savich.

- A co by było, gdybyśmy to my zostali ranni? Już sobie wyobrażam, jak Laura zarzuca sobie moje wielkie cielsko na ramię!

Savich parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

- Jeśli w jej ranę wda się zakażenie, może być z tego ciężka sprawa.

- Zostało nam jeszcze kilka koszul. Założymy jej jedna na drugą, żeby przykryć każdy odsłonięty skrawek ciała. Może nie pachną najlepiej, ale świetnie chronią przed brudem i owadami.

Spojrzałem w górę i na tle baldachimu zieleni dojrzałem czerwono ubarwioną małpę, która się nam przyglądała.

- Popatrz, jakie tu wszystko jest kolorowe - podziwiałem. - A tu za to mamy mango, i to nawet dojrzałe! Zjemy najpierw batoniki, a owoce będą na deser.

Zerwałem sześć najdorodniejszych owoców i byłem mile zaskoczony, że nie nadgryzły ich żadne owady ani inne stworzenia.

Około pierwszej po południu wydostaliśmy się na małą polankę o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych, nieco mniej zarośniętą. Nawet sklepienie roślinności nad głowami nie było tak zwarte i przedostawało się przezeń nieco więcej światła. Od razu zaczęliśmy swobodniej oddychać. Z Laurą w ramionach zatrzymałem się pod prześwitem, na który padała wiązka promieni słonecznych. Zdecydowałem, że rozłożę koc w tej plamie słońca, aby Laura mogła poleżeć w suchym cieple.

Przez ostatnie trzydzieści metrów wlokłem za sobą siatkę z butelkami wody. Spłoszyłem tym dwa węże, które przemknęły przez ścieżkę szybko jak błyskawica. Nie miałem pojęcia, czy ich jad byłby dla człowieka zabójczy.

Rozpostarłem na trawie koce, odsuwając na boki trochę liści. Laura przez ostatnie dwie godziny mało się odżywała, oszołomiona środkami przeciwbólowymi. Czoło miała rozpalone, ale mógł to być wpływ tego piekielnego upału. Wilgotność powietrza w dolnych piętrach lasu zbliżała się do stu procent. Dobrze, że jej skóra nie lepiała się od potu.

Na szczęście Sherlock dochodziła już do siebie. Usiadła po turecku na kocu i otaksowała wzrokiem Laurę.

- Nie dajcie jej umrzeć! - poprosiła i zaczęła oddzierać postrzępiony obrębek koszuli. Związała nim z tyłu swoje gęste, rude włosy, aby nie zasłaniały twarzy. Tylko przy uszach wiły się jeszcze niesforne kosmyki. - Nigdy nawet nie wyobrażałam sobie takiego miejsca. Macie pojęcie, że przed chwilą widziałam żabę, która przefrunęła z drzewa na drzewo? I te drzewa rosły o jakieś trzy metry od siebie, a ta żaba była taka długa, chuda i chyba czerwona, a może pomarańczowa? Nie jestem pewna, bo leciała bardzo szybko, ale ohydztwo wyjątkowe. Wiecie, że to miejsce nie nadaje się do życia dla ludzi?

- Tak, ale możemy przecież wyobrazić sobie, że urządziliśmy tu sobie takie małe, ekscentryczne wakacje, prawda? - zażartował Savich. - Członkowie Klubu Medyka byliby zachwyceni. Na przykład Mac i ja widzieliśmy prawdziwego jaguara, a to nie zdarza się zbyt często! Wypij to, kochanie, ale nie sącz tak powoli jak panienka, tylko łyknij sobie porządnie. O, właśnie tak!

Wypiła podany napój, Savich wytarł jej usta. Wyciągnęła rękę i w przelocie dotknęła jego

palców.

- Dillon, wydaje mi się, że mój mózg już działa jak należy. To, co widzę, to cytryna, prawda?

- Wspaniale - pochwalił. - Tak, wiemy już, gdzie rosną cytryny i limetki. Nazbieraliśmy trochę, przydadzą się, w razie gdyby zabrakło nam wody.

- Z limetek możemy zrobić margaritę dla Laury. Teraz widzę cię wyraźnie, Dillon, i poznaję, kim jesteś. Taki odlot to okropne uczucie.

- Mnie to się też nie podobało - zgodził się Savich.

- Nie musisz już mnie nieść. Savich pocałował ją szybko i mocno.

- To świetnie, w takim razie poniesiesz butelki z wodą. Roześmiała się swoim dawnym śmiechem, a ja znowu pożałowałem, że nie zabiłem Molinasa za to, co zrobił jej i mnie.

Laura leżała z zamkniętymi oczami i widać było, że cierpi. Musiałem jednak oszczędzać środki przeciwbólowe, więc podałem jej tylko antybiotyk, dwie tabletki aspiryny i wodę do popicia.

- Czas na lunch - zaanonsowałem. - Składa się tylko z cukru i tłuszczu, czyli tego, co najbardziej lubię. Po takiej dawce energii będziemy latać po drzewach jak małpy!

Savich wszedł mi w słowo.

- Jakies siedemdziesiąt pięć kroków za nami widziałem ze sześć wyjców rudych. Bujały się na gałęziach, patrzyły na nas z zainteresowaniem, ale nie wpadły w panikę. Wynika stąd, że musiały już przedtem widzieć ludzi, a to z kolei oznacza, że może nie tkwimy w samym sercu dżungli, setki kilometrów od cywilizacji. Może niedaleko od nas jest jakaś wioska lub miasteczko, choć nie wiem, kto chciałby dobrowolnie mieszkać w takim rozpalonym piecu.

- Rzeczywiście - przytaknąłem, zaskoczony logiką jego słów. - Nawet ten jaguar wyglądał raczej na znudzonego. Patrzył na nas, jak gdyby pilnował nas z obowiązku, ale zbytnio się nami nie przejmował.

- Może one zawsze tak patrzą, kiedy szykują się do skoku... - podpuścił mnie Savich i setnie uśmieł się z mojej miny. - Dobra, nie będziemy przecież przejmować się kotami. Siadajcie, dziewczyny, zjemy coś.

- Ja chcę margaritę! - kaprysiła słabym głosem Laura. - Słyszałam, jak mówiliście, że nazbieraliście limetek!

Rozpiąłem dwie okrywające ją koszule i obejrzałem opatrunek. Na szczęście nie przeciekał, ale nie bardzo wiedziałem, jak powinienem postępować z czymś takim. Miałem wprawdzie za sobą trening w Szkole Przetwania, ale teraz przyszła pora na ćwiczenia praktyczne. Na prawej piersi Laury znalazłem jeszcze plamę zaschniętej krwi, której nie zauważyłem poprzednio. Zeskrobałem ją na sucho, a wtedy Laura otworzyła oczy.

- Tam przyszło jeszcze trochę krwi - wyjaśniłem. - Wytarłem ją, bo nie mogłem na to patrzeć.

- Jak wyglądam? - zaciekała się.

Miałem ochotę powiedzieć, że po tych wszystkich przejściach pozostałem nadal mężczyzną i reaguję jak mężczyzna, chciałbym pieścić jej piersi, podziwiać je i powtarzać jej, że jest piękna. Do rzeczywistości przywrócił mnie owad, który ugryzł mnie u nasady palca wskazującego. Powiedziałem więc tylko:

- Widzę, że już nie krwawisz, bo bandaż jest czysty. To, że się pocisz, to dobrze, bo wypocić się w takim słońcu jest bardzo zdrowo. Myślę, że na razie zostawimy to wszystko tak jak jest, a jutro zmienię opatrunek i zobaczę, jak to wygląda pod spodem. No, a za to, że jesteś dzielna i cierpliwa, dostaniesz teraz nagrodę.

Odwinąłem z papieru batonik, odłamałem kawałek i pomachałem nim przed nosem Laury. Bez słowa otworzyła usta, a kiedy gryzła czekoladę, na jej twarzy odmalowała się taka błogość, że dałem



jej cały batonik.

- Zaraz poziom cukru tak ci się podniesie, że zechcesz tańczyć - zapowiedziałem.

- Niech tańczy z Sherlock - podsunął Savich, siedząc na tym samym kocu co Sherlock i zlizując czekoladę z palców.

- Dobrze się już czujesz, Sherlock? - spytała Laura.

- Na pewno dużo lepiej niż ty. Bardzo cię boli?

- Tak sobie, ale przez to muszę tu leżeć i patrzeć, jak Mac zżera mój batonik. Gdybym miała siłę, wyrwałabym mu go z dzioba!

Odlamałem jeszcze kawałek i wsadziłem jej do ust. Zjadła z rozkoszą.

Policzyłem, ile zostało batoników. Wyszło mi, że pięć. Przydałoby się znaleźć jakieś inne owoce, nie tylko mango. Wydawało mi się, że w takim miejscu jak to powinny wszędzie rosnąć banany, ale jakoś nigdzie dotąd ich nie spotkałem. Zauważyłem natomiast małego mrówkojada i wyobraziłem sobie, że upieczony nad ogniskiem musi być pyszny.

- Uważajcie dobrze, czy nie da się znaleźć czegoś do jedzenia - zarządziłem. - Najlepsze będą owoce, które można zerwać i obrać.

- Możemy zacząć od tych. - Savich obrał zerwane uprzednio mango i podał nam. - Jedzcie, są ładne i dojrzałe.

- A ja mam zapalki! - pochwaliła się Sherlock, wgryzając się w ociekający sokiem owoc mango.

- Na wieczornym postoju będziemy mogli rozpalić ognisko. To odgoni wszystkie pełzające paskudztwa.

- Znam się na tym - przypomniała sobie Laura. - Prawie całe dzieciństwo spędziłam na obozach harcerskich, które organizowali mój tatuś i starszy brat. Widziałam tu brzozy i buki, a nawet kilka dębów. To twarde drzewo, dobrze się pali w ognisku.

- Daj, zaplotę ci włosy - przysunęła się do niej Sherlock. - Urwałam obrębek z koszuli, zwiążę ci je, żeby nie leciały na twarz.

Rzeczywiście, świetnie poradziła sobie z długimi i poplątanymi włosami Laury, zaplatając je w dobierany, francuski warkocz. Rozczesała przy tym większość kołtunków i wybrała ze dwanaście różnych owadów. Główną zaletą tej fryzury było to, że włosy nie zasłaniały twarzy.

- Jak wyglądam? - spytała Laura.

- Cudownie! Sherlock ma prawdziwy talent fryzjerski, ale zrobić coś z takimi długimi włosami to nie lada sztuka.

Mokrą szmatką wytarłem usta Laury, aby lepki i słodki sok mango nie przywabił jakichś niepożądanych, latających gości. Uśmiechnęła się błogo i przymknęła oczy.

Wstałem, przeciągnąłem się i spakowałem nasze rzeczy, a potem wziąłem Laurę na ręce. Zdążyłem już się przyzwyczaić do jej wagi, więc nie ciążyła mi zbyt. Zacząłem od tego, że rozejrzałem się uważnie dookoła, ale nie zauważyłem człowieka ani zwierzęcia, które mogłoby nam zagrozić.

Dobrze, że chociaż Sherlock mogła już iść o własnych siłach. Deptała Savichowi po piętach, niosąc apteczkę i automat.

- Najlepiej się prześpij - poradziłem Laurze. - Nie bój się, nie będę w tym czasie opowiadać świńskich kawałów.

- To i dobrze... - wyszeptała słabym głosem. Kiedy ruszyliśmy w drogę, wydała mi się lżejsza niż przed godziną, jakby nikła w oczach. Najgorsze, że nie mogłem nic na to poradzić.

Savich szedł równym krokiem, wyrabując maczetą ścieżkę w poszyciu. Z tej ścieżki nie było wiele widać, ale słyszeliśmy wokół nas szmery wielu uwijających się żyjątek.

W którymś momencie wysoko nad nami rozbrzmiał gwar pisków i szczekania. Po gałęziach posuwała się rodzina czepiaków złożona chyba z dziesięciu osobników. Savich oberwał w sam środek pleców brunatnym ogryzkiem nieznanego nam owocu. Małpy zasypały nas lawiną liści i gałązek, które jednak nie uczyniły nam szkody, choć ja dostałem prosto w twarz grubym liściem o ostrych brzegach. Widać było, że zwierzaki nie boją się nas, tylko są złe, że wtargnęliśmy na ich terytorium. Gdy oddaliliśmy się na przyzwoitą odległość, przestały zwracać na nas uwagę.

W połowie popołudnia nagle lunął deszcz, jakby chlustały na nas grube strumienie ciepłej wody. Chętnie oddałbym nawet dwa batoniki za duży parasol, ale szybko się zorientowałem, że dzięki gęstemu, zielonemu sklepieniu nad naszymi głowami w niektórych miejscach można było uchronić się przed zmoknięciem. Okryłem Laurę, jak najlepiej mogłem, a kiedy ulewa ustała - woda, która wsiąkła w nagrzaną ziemię, zaczęła parować. Nasze ubrania też parowały, wilgoć się nie zmniejszyła, tylko przeszła z fazy ciekłej w lotną. Postawiłem Laurę na ziemi, trzymając ją blisko przy swym boku.

- Czy możesz w tej chwili wyobrazić sobie rozkoszny, chłodny prysznic? - spytała.

- Już sobie wyobrażam. - Na chwilę przymknąłem oczy. - Na pewno umieściłbym go w pierwszej dziesiątce największych przyjemności świata. Może nawet na trzecim miejscu, ale chciałbym, żebyś była już zdrowa, wesoła i weszła pod ten prysznic razem ze mną.

Nie odpowiedziała na to, co bardzo mnie zaniepokoiło. Kontynuowaliśmy marsz, ale teraz, oprócz konieczności przebijania się przez gęste poszycie, kolejną niewygodą stało się błotniste podłoże. Człapaliśmy w śliskiej glinie, ochlapani błotem po kolana. Czyniło to dalsze posuwanie się równie trudnym, jak wysysanie limetki przez słomkę. Raz o mało nie upadłem, dobrze, że Sherlock mnie podtrzymała.

Pot lał się z nas strumieniami. Savich dyszał ciężko po każdym uderzeniu maczetą. Nad naszymi głowami skrzeczały i piszczały ptaki i małpy, ale nie widzieliśmy ich, choć chwilami czyniły ogłuszający raban.

Pomyślałem, że zaraz padnę na kolana i więcej się stąd nie ruszę, gdy moją uwagę przykuły motyle, żywo ubarwione, w różnych odcieniach czerwieni, żółci i zieleni. Jeden, o szeroko rozpiętych skrzydłach, jaskrawoniebieskich z czarną obwódką, towarzyszył nam przez dłuższy odcinek drogi, unosząc się na wysokości mojej twarzy. Kiedy motyle znikły - uświadomiłem sobie, że posunęliśmy się co najmniej o siedem metrów na zachód. Las deszczowy mógł przerażać, ale te motyle były wcieleniem piękna.

Sherlock znów zauważyła w podszyciu dwa węże koralowe, tak jaskrawo ubarwione, że niepodobna było je przeoczyć. Błysnęły nam w oczy swoimi pomarańczowymi i białymi obrączkami i popęzły szukać lepszego schronienia.

Sprawdziłem, czy wszyscy mają mocno zasznurowane buty i nogawki spodni wepchnięte w cholewki. Trudno było to dostrzec pod warstwą błota, ale przynajmniej owady i węże miały utrudniony dostęp do naszej skóry. Znalazłem ślady ukąszeń tylko na grzbietach dłoni, na co już nie mogłem nic poradzić.

Najważniejsze było, abyśmy z życiem wydostali się z tego zielonego piekła. Przez resztę popołudnia nie usłyszeliśmy ani warkotu helikoptera, ani ludzkich głosów. Smażyliśmy się w tym rozgrzanym piecu tylko we czwórkę.

- O rany, popatrz, co znalazłem! - zakrzyknął nagle Savich. - Wspaniałe, dojrzałe banany! Zjemy je razem z mango, a batoniki będą na deser.

Znaleźliśmy też zielone orzechy kokosowe, zwane przez miejscową ludność pipas, których zawartość można było wypić po rozbiciu skorupy. Sherlock jeszcze podczas deszczu nałapała wody

do pustych butelek przez liście zwinięte na kształt lejków, ale na wszelki wypadek zabraliśmy ze sobą jeszcze sześć takich orzechów.

Potem się zamieniliśmy - Savich niósł Laurę, a ja wyrąbywałem dla nas przejście maczetą. Zanim uporałem się z wyjątkowo gęstą płataniną pnączy, podzieliłem się z Savichem swoimi wątpliwościami:

- Ciekawe, czy znaleźli tego drania Molinasa. Jeśli nie, to może ugryzł go koralowy wąż, może mrówki jedzą go żywcem?

- Albo Del Cabrizo tak się na niego wnerwił przez naszą ucieczkę, że sam go załatwił - dokończył Savich. Ja natomiast wołałem nie myśleć, co mogło się stać z córką Molinasa.

Doszliśmy do niewielkiej polanki i postanowiliśmy rozłożyć tam obóz. Prześwity między gałęziami dopuszczały trochę światła słonecznego, w którym widać było stadko dzikich indyków przebiegających z jednej strony na drugą. Zanim wkroczyliśmy na polankę, znikły już w leśnym gąszczu. Musieliśmy się zatrzymać, bo robiło się późno.

Laura coraz bardziej traciła siły i nawet zwykła rozmowa ją wyczerpywała. Podałem jej antybiotyk, aspirynę i dwie tabletki przeciwbólowe, więc zostały nam już tylko cztery. Nie miała gorączki i bandaże wyglądały czysto, ale słabła w oczach.

Sherlock omiotła polankę do czysta, aby, jak mówiła, stworzyć większą przestrzeń dla swobodnej wymiany tlenu, dzięki czemu ognisko miało lepiej się palić. Potem okopała nasze obozowisko rowkiem, który miał zatrzymać różne niemiłe pełzające i biegające stworzenia. Ja tymczasem nabierałem huby, gałęzi i kawałków spróchniałego drewna na podpałkę - znalazła się i brzoza, której zalety zachwalała Laura.

Savich ostrugał kilka patyczków i nożyczkami wyjętymi z apteczki rozczapierzył ich końce na kształt piór.

- Dziadek mnie tego nauczył - pochwalił się. - Podobno to się dużo szybciej pali.

Z pomocą Sherlock ułożyłem stosik kory brzozonej i suchej trawy nad wzgórkiem huby. Savich zapałkami wyjętymi z apteczki podpalił wystrugane pręciki. Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że to rzeczywiście działa, ale podpałka zajęła się błyskawicznie. Wkrótce ognisko zapłonęło jasno, a my z lubością przysunęliśmy się do niego.

- Zjadłabym teraz hot-doga z frytkami i kiszonym ogórkiem! - rozmarzyła się Sherlock.

- Wolałbym tortillę z ostrym sosem. - Savich zatarł ręce, uśmiechając się od ucha do ucha. Tuż za nim zaszeleściła gałąź i z za drzewa wystawiła łeppek brązowa nakrapiana jaszczurka. Popatrzyła na nas i przylgnęła płasko do kory, stając się prawie niewidzialna.

Może do tego hot-doga wystarczyłyby mi pikle, mniejsza o ogórki... - rozważała głośno Sherlock, popatrując na Laurę, ale ta leżała cicho. Zważywszy, że byliśmy uwięzieni w krajobrazie niczym z upiornych malowideł Hieronima Boscha - dobrze, że choć przez chwilę potrafiliśmy stworzyć pozory normalności. Zapadał wieczór i chrząszcze coraz liczniej wylaziły na żer.

- Popatrz tylko, jak świetnie udało nam się to ognisko. Jesteśmy genialni! - zagadałem do Laury, ale ona nie patrzyła ani na mnie, ani na ognisko, tylko na coś po swojej prawej stronie, zaraz za rowkiem odgradzającym nasz biwak. Twarz jej zrobiła się blada jak papier, a z gardła, zamiast mojego imienia, wydobywał się tylko zduszony skrzek.

Wyciągnąłem zza pasa broń i powoli obróciłem się w tamtą stronę.

Na tylnych nogach, z obnażonymi pazurami, tak długimi i zakrzywionymi, że jednym pociągnięciem obdarłby mi twarz ze skóry, stał złocistobrązowy pancernik olbrzymi. Był dużo większy od pospolitych w zachodnim Teksasie małych pancerników, jakie często się tam widzi

rozjechane na szosach. Nie widziałem takiego nawet w zoo, tylko na zdjęciach. Miał długi ryj i małe oczki, których z nas nie spuszczał.

- On nie je ludzi, tylko robaki! - szepnęła Laura.

- To bardzo pocieszająca wiadomość - odszepnąłem i opuściłem pistolet. Kto wie, czy jakieś niepowołane osoby nie usłyszałyby wystrzału? Zamiast tego Savich podsunął mi kamień, który rzuciłem tak, aby upadł o jakieś piętnaście centymetrów od miejsca, gdzie stał pancernik. Ten wydał dziwny, syczący dźwięk i znikł w gęstym poszyciu. Odetchnęliśmy z ulgą.

Nadszedł najwyższy czas, aby coś zjeść. Savich obrał owoce mango nożyczkami, które okazały się bardzo praktycznym znaleziskiem. Mnie natomiast przypadło w udziale obieranie bananów.

Dokładnie oglądałem każdy plaster owocu, zanim go zjadłem. Nie przypuszczałem jednak, aby groziła nam biegunka lub zatrucie pokarmowe po spożyciu czegoś, co sami obraliśmy. Zjedliśmy po dwa mango i po jednym bananie, zagryzając batonikiem.

- Jest dopiero ósma wieczorem - zauważyła Sherlock. - Czy ktoś może wie, jaki dzień dziś mamy?

- Jeśli dziś piątek, to zaraz położymy Seana spać, zejdziemy na dół i napijemy się pysznej, francuskiej kawy - zażartował Savich. Sherlock roześmiała się na samą myśl o tym i przysunęła się do Laury. Położyła rękę najpierw na jej policzku, a potem na czole.

- Mac, kiedy ostatni raz dawałeś jej aspirynę? - spytała.

- Dwie godziny temu.

- Chyba rośnie jej gorączka. Trzeba ją często poić. Zalecił mi to kiedyś lekarz, kiedy Sean miał wysoką temperaturę.

Nieraz już dłużyły mi się bezsenne noce, ale ta zdawała się nie mieć końca. Przynajmniej ze trzydzieści różnych chrząszczy dawało nieprzerwany koncert. Słyszeliśmy odgłosy pełznących nóg i trzepoczących skrzydeł wokół nas, ale hałas czyniony przez te chrząszcze nie miał sobie równego.

Savich podtrzymywał ognisko, aby płomienie odstraszały pancerniki i węże. Laurę jednak zżerał inny, wewnętrzny ogień. Akurat zdrzemnąłem się, gdy poczułem, jak przy moim boku wstrząsały nią dreszcze. Wlałem jej do gardła tyle wody, ile mogłem, potem przytuliłem ją do siebie. Chyba to podziałało, gdyż przestała jęczeć i zasnęła płytkim, niespokojnym snem.

Musieliśmy za wszelką cenę dostać się do cywilizacji, ale przy naszym pieskim szczęściu mogło to oznaczać następne obozowisko gangsterów.

Nazajutrz rano podzieliliśmy się butelką wody, zjedliśmy po dwa mango, trzy banany i po kawałku ostatniego batonika. Byliśmy już gotowi do wymarszu, gdy Savich wyciągnął rękę po Laurę. Pokręciłem głową przecząco i przycisnąłem ją mocniej do piersi.

- Daj mi ją, bo się wykończysz - nalegał Savich. - Nie upłynęło znowu tak dużo czasu od twojego wypadku w Tunezji. Poniosę ją do południa, a ty będziesz wyrąbywał nam przejście. Potem znów ją weźmiesz.

Okazało się, że miałem szczęście, bo las się przerzedził i nie musiałem używać maczety. Laurze nad ranem spadła gorączka, ale była słaba. Wokół rany wystąpiło zaczerwienienie i obrzęk, ale nie wywiązała się ropa. Nałożyłem resztkę maści antybiotykowej, czując pod palcami rozgrzaną skórę. Nie umiałem ocenić powagi sytuacji, ale wiedziałem na pewno, że musimy wydostać się z tego piekła. Wszystkie zapasy były na ukończeniu, więc modliłem się, aby nagle na ścieżce pojawił się prawdziwy doktor z czarną torbą lekarską, mówiący po angielsku!

Savich podtrzymywał głowę Laury, a ja oberwałem obrębek koszuli, zmoczyłem go i obmyłem jej twarz. Otworzyła usta, więc dałem jej do picia tyle wody, ile chciała.

- Od wczorajszego popasu chyba zboczyliśmy trochę na południe - powiedziałem, kiedy ustaliłem

nasze położenie. - Musimy skierować się na zachód i trzymać się tego kierunku.

- Gdzieś w końcu musimy trafić - zauważyła Sherlock, strząsając jakiegoś owada z nogi. - Nasza planeta nie jest aż taka duża.

- Słusznie, a więc prowadź! - zarządził Savich. - Mac, ty osłaniaj tyły. Wszyscy dobrze się rozglądajcie, bo mam ochotę na dobrego, dojrzałego banana.

Później trochę popadało i Sherlock zdążyła nałapać prawie pół butelki wody przez lejek zrobiony z liścia. Z dumą demonstrowała swój skarb, pusząc się jak paw. Mokre strąki włosów spadały jej na twarz popstrzoną cętkami ukąszeń owadów. Na to, że przemokliśmy do suchej nitki, nie dało się nic poradzić. Dobrze, że Savich uchronił ranę Laury przed zamoczeniem.

Grunt pod nogami rozmiękł, a wegetacja roślinna stała się bujniejsza. Wyciągnąłem więc maczetę i zacząłem torować drogę nam wszystkim, choć stawy w ramionach paliły mnie żywym ogniem. Nareszcie znaleźliśmy mały prześwit, gdzie dochodziło trochę światła słonecznego. Savich rozesłał koc w tej plamie, ułożył na nim Laurę, a pod głowę wsunął jej butelkę owiniętą drugim kocem.

Tym razem udało nam się rozpalić małe ognisko w ciągu dziesięciu minut. W słońcu łatwiej było nazbierać suchej huby, a suty ogień odstraszał owady.

Savich znów zaczął obierać mango nożyczkami.

- Zawsze lubiłem owoce południowe - przyznał się. Odciał gruby plaster i dał Sherlock, następny podał mnie. Pomachałem nim przed nosem Laury, która od razu otworzyła usta. Dobrze, że miała jeszcze apetyt, a jedzenie wyraźnie ją ożywiało. Usiadła i z miejsca skierowała rozmowę na całkiem określony tor:

- Sherlock, przeżywałaś jeszcze potem taki sam odlot albo ciągnęło cię, żeby znowu zażyć ten narkotyk?

- Coś ty? - Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. - Aha, wiem, dlaczego pytasz. Chodzi ci o to, jak szybko ten środek doprowadzał do uzależnienia, prawda? Inaczej nie nadawałby się do handlu, bo nie byłoby chętnych na następne działki.

- Otóż to właśnie. A jak u ciebie, Mac?

- Na szczęście nic takiego nie czułem.

- To znaczy, że nie dostaliście odpowiedniej ilości - zawyrokowała Laura. - Widocznie do uzależnienia trzeba więcej niż trzech działek.

- Myślisz, że Jilly już jest narkomanką? - spytała Sherlock.

- Niestety, tak - odpowiedziałem z najwyższą niechęcią.

- Ciekawam, kto jeszcze w Edgerton próbował tych prochów i co się z nim teraz dzieje.

- Głowę daję, że Charlie Duck próbował, bo patolog powiedział mi, że w jego krwi wykrył jakąś nieznaną substancję, i musiał przeprowadzić dodatkowe badania. Niewykluczone, że Charlie specjalnie to zażył, bo chciał sprawdzić, jak działa. Pamiętajcie, że przedtem był gliniarzem.

- Może dlatego zginął - dodała Laura.

- To się trzyma kupy - mruknął Savich, odgryzając kęs banana.

- Zaraz, Mac... - przypomniała sobie nagle Sherlock. - Kiedy leżałeś w szpitalu w Bethesda, potrafiłeś nawiązać łączność duchową z Jilly i wiedziałeś, kiedy spadła z klifu. Może teraz zdarzyło się coś podobnego i Jilly przyszła do ciebie we śnie, żeby cię ostrzec?

- Rzeczywiście, trudno to inaczej wytłumaczyć - zgodził się Savich, zwijając skórkę od banana. - Chyba że byłeś tak zaćpany, iż zwidowały ci się niestworzone rzeczy.

- Faktycznie byłem zaćpany, ale może to także oznaczać, że Jilly żyje. Trudno się w tym połapać, prawda, Lauro? - Wyciągnąłem rękę, aby sprawdzić ciepłotę jej czoła. - Jak się czujesz?

- Na razie czuję, że coś mi łązi po nodze. Strząsałem z jej nogi salamandrę, która śmignęła

cienkim ogonkiem, zanim znikła w gęstej ściółce leśnej. Tymczasem Savich strugał następny pierzasto rozwidlony patyczek na podpałkę, czyniąc z niego prawdziwe dzieło sztuki.

Laura leżała na wznak z zamkniętymi oczami, od czasu do czasu pojękując. Twarz miała bladą jak papier, a wargi prawie sine. Wlałem jej do gardła rozpuszczoną w wodzie aspirynę i ponad nią wymieniłem rozpaczliwe spojrzenie z Savichem, bo w apteczce mało co zostało. Z troską zmarszczył brwi i mocniej ścisnął Sherlock za rękę. Przebrnęliśmy po błotnistym gruncie jeszcze jakieś trzy i pół kilometra, aż znaleźliśmy odpowiednie miejsce na nocleg.

Następnego ranka Laura osłabła jeszcze bardziej, miała dreszcze i gorączkę, a wokół rany wlotowej i wylotowej nasiliło się zaczerwienienie i obrzęk. Z tym już nie było żartów, należało jak najszybciej dostarczyć ją do szpitala. Wstaliśmy o wschodzie słońca i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Savich niósł Laurę na rękach.

- Kierujemy się na zachód - zarządziłem i zacząłem wyrąbywać przejście maczetą.

O dziewiątej rano Savich wypatrył wielką kiść dojrzałych bananów. Zerwał je przy akompaniamencie wrzasków małą, które pozbawiliśmy śniadania. Dobrze, że niczym nas nie obrzuciły.

Około południa poczułem jakiś silny zapach. Zatrzymałem się, wziąłem głębszy oddech i nie tylko w nozdrzach, ale i w ustach poczułem sól morską. Już chciałem krzyknąć z radości, gdy usłyszałem donośne, męskie głosy, nie dalej niż sześć metrów od nas.

- Och, nie, tylko nie to! - jęknęła Sherlock i cofnęła się, upuszczając wszystko, co miała w rękach, z wyjątkiem automatu. - Jak mogli nas tu wyśledzić? To ostatnie świństwo!

Laura spała albo była nieprzytomna, ale Savich nie położył jej na ziemi, tylko cofnął się razem z nią, a ja zrównałem się z Sherlock.

- Dziwne, ale oni wcale nie zachowują się cicho - szepnąłem do niej. - Ilu ich jest? Czy się rozproszyli?

- Czekaj, czuję sól morską! Musimy być już blisko oceanu.

Tymczasem tamte głosy umilkły, a za to, ku mojemu zaskoczeniu, usłyszałem inne, kobiece, a potem śmiech i okrzyki, ale nie strachu, lecz radości. Mało tego, okazało się, że porozumiewają się po angielsku! Najwyraźniej działo się tu coś dla mnie niepojętego.

Również z niezrozumiałych przyczyn listowie nagle się przeredziło. Objąłem więc prowadzenie, trzymając w ręku pistolet gotowy do strzału. Sherlock szła w straży tylnej, a między nami Savich niósł Laurę. Poruszaliśmy się tak cicho, jak tylko mogliśmy. Wypatryłem stado zielonych papug przelatujących z jednego bananowca na drugi. Ich upierzenie miało w sobie także czerwone i żółte przebłyski. Zapach soli nasilił się, a pomiędzy koronami drzew, które także nie tworzyły już zwartego baldachimu, zaczęło przeświecać słońce.

Poczułem na twarzy ożywczy powiew. Przedarłem się przez ostatnią ścianę zieleni i wyszedłem prosto na biały piasek. Savich zatrzymał się o krok za mną, a Sherlock z wrażenia wstrzymała oddech. Staliśmy wszyscy troje na skraju lasu i gapiliśmy się w osłupieniu na piaszczystą plażę rozciągającą się między nami a oceanem. Piękniejszego widoku nie widziałem nigdy w życiu.

O jakieś dwadzieścia metrów od nas grupa mężczyzn i kobiet, w strojach kąpielowych, grała w siatkówkę. Na plaży leżały porozrzucane ręczniki kąpielowe, stały leżaki ocienione parasolami i wznosiły się dwa zamki zbudowane z piasku. Z wysokości mniej więcej sześciu metrów, na stanowisku roboczym, również w cieniu parasola, górował nad plażą ratownik.

Laura odchrząknęła, aby oczyścić zaschnięte gardło, otworzyła oczy i spytała:

- Co się dzieje?

- Powiedziałbym, kochanie, że mamy szczęście. Wytrzymaj jeszcze trochę, a weźmiemy chłodny

prysznic szybciej niż myśleliśmy.

Śmiech zamarł w gardłach plażowiczów, gdy nas zauważyli. Dwóch mężczyzn dało pozostałym znak, aby zostali na miejscu, a sami ruszyli w naszą stronę. Wsadziłem więc pistolet za pas, a Sherlock opuściła automat i oparła się na nim, aby nie wyglądać tak groźnie.

- Mamy tu ranną kobietę, potrzebujemy pomocy! - zawołałem już z daleka.

Do mężczyzn dołączyły kobiety, a jeden z panów, spieczony na raka, w okularach i miękkim, zielonym kapeluszu, przybiegł do nas pędem.

- Jestem lekarzem - oświadczył zdyszany. - Boże, co się tu stało? Kto jest ranny?

- Tu, proszę! - zawołał Savich i delikatnie położył Laurę na kocu, który Sherlock szybko rozesała pod palmą. Laura prawie nie reagowała, kiedy rozpiąłem dwie koszule włożone jedna na drugą, odsłaniając bandaż. Lekarz przykląkł przy niej, a ja wyjaśniłem:

- Dwa dni temu przestrelono jej ramię na wylot, dobrze, że miałem apteczkę. Nie zakładałem szwów w obawie przed zakażeniem. Zmieniałem opatrunki codziennie i utrzymywałem ranę w czystości, ale zdaje mi się, że zakażenie i tak się wdało.

Nie minęła minuta, a już otaczał nas pierścień mężczyzn i kobiet. Savich uśmiechał się do nich, aby złagodzić odstręczające wrażenie, bo oblepiony błotem i zarośnięty wyglądał raczej na zbója. Dopiero Sherlock rozładowała atmosferę, bo cisnęła na ziemię siatkę z butelkami na wodę i wydała radosny okrzyk.

- Przez ostatnie dwa dni przedzieraliśmy się przez dżunglę - wyjaśniła. - Państwo może z Klubu Medyka?

Plażowicze popatrzyli po sobie, a jeden z nich, w slipkach w czerwone i białe paski, odpowiedział:

- Nie, jesteśmy na wycieczce. A państwo odłączyli się od swego przewodnika?

- Nie mieliśmy żadnego przewodnika. A w ogóle, gdzie my jesteśmy?

- W Parku Narodowym Corcovado.

- To gdzieś blisko Dos Brazos? - zapytałem, rozdzuszając jakiegoś owada na karku.

- Tak, na południowo-wschodnim krańcu lasu deszczowego.

Laura otworzyła oczy i spojrzała na człowieka, który ostrożnie odwijał bandaż z jej barku.

- Wszystko będzie dobrze, proszę tylko dalej tak się trzymać! No, to nie wygląda najgorzej, ale oczywiście trzeba zawieźć panią do szpitala. Czy można wiedzieć, jak pani ma na imię?

- Laura, a pan?

- Tom. Przyjechałem tu w podróż poślubną, bo to przepiękne miejsce. No, może dla was w tej chwili nie najpiękniejsze. Jak to właściwie się stało?

- Jesteśmy agentami federalnych służb śledczych. Ścigaliśmy dealerów narkotykowych i któryś mnie postrzelił. Przez te dwa dni nie wychodziliśmy z lasu.

Doktor Tom przysiadł na piętach i zwrócił się do stojącej za nim kobiety, która musiała mieć prawie metr osiemdziesiąt wzrostu:

- Glenis, leć do ratownika i powiedz mu, żeby jak najszybciej wezwał śmigłowiec, bo mamy tu nagły wypadek.

- I policję! - dodałem.

- Najbliższa baza straży leśnej jest niedaleko stąd - uspokoił nas Tom. - To nie potrwa długo, a zresztą rana jest wprawdzie zakażona, ale wygląda względnie dobrze. Udzieliliście jej naprawdę fachowej pierwszej pomocy.

- Dziękuję - odpowiedziałem w imieniu całej naszej ekipy.

- Napiałabym się margarity! - upomniała się Laura. - Takiej, żeby było dużo soku. Mamy nawet

limetki.

- Słyszałem kiedyś o Corcovado... - zwróciłem się do reszty plażowiczów. - Czy to czasem nie w Kostaryce?

Kobieta w jaskrawoczerwonym bikini przytaknęła, ale i spytała pobłaźliwie:

- A wy myśleliście, że gdzie?

- Może w Kolumbii... Nieważne, zawsze chciałem zwiedzić Kostarykę.

- Teraz już wiem, dlaczego zwierzęta wyglądały na znudzone - dodała Sherlock.

- I nikogo nie spotkaliście po drodze? - zdziwił się któryś z mężczyzn.

- Ani żywej duszy, oprócz tych drani, którzy chcieli nas załatwić. Owszem, widzieliśmy od czasu do czasu jakieś ślady, ale ginęły w tej plątaninie zielska. Zresztą, nie chcieliśmy ryzykować, że zabniemy jeszcze głębiej, orientowaliśmy się tylko na zachód.

- To nie widzieliście kolejki linowej? - Na widok naszych osłupiałych min pospieszył z wyjaśnieniem: - Wczoraj wybraliśmy się nią na przejażdżkę nad lasem deszczowym. Z góry wyglądał naprawdę imponująco. Pewnie się spóźniliście? W każdym razie witamy na Playa Blanca.

31

Pogrążony w rozmowie z doktorem, nagle usłyszałem, że Laura zaczęła dyszeć, jakby się dusiła. W ułamku sekundy znalazłem się przy niej i podźwignąłem ją do góry. Drżała na całym ciele, ale Tom odsunął mnie na bok. Zajrzał jej pod powieki, sprawdził tętno i zawołał do swoich kolegów, aby jak najszybciej przynieśli dużo ręczników kąpielowych. Zastanawiałem się, do czego są mu potrzebne, gdy po chwili przyniesiono cały stos dużych, frotowych ręczników drukowanych w papugi, jaguary i wesołe słoneczka. Tom okrył nimi Laurę, a koniec jednego ręcznika umoczył w wodzie i przyłożył jej do czoła. Znow przysiadł na piętach i polecił:

- Przynieście dużo soków, tylko nie dietetycznych, wysokosłodzonych!

Zaraz ktoś wcisnął mu w rękę karton napoju. Tom oderwał paseczek zabezpieczający i zwrócił się do mnie:

- Przytrzymaj jej głowę, musimy wlać jej to do ust. Nie spodziewałem się, że Laura zdoła pić, ale widać podświadomie wiedziała, że potrzebuje teraz dużo płynów.

- Trzeba podnieść jej poziom cukru i nawodnić - tłumaczył Tom. Plażowicze rozstąpili się, aby ułatwić dostęp powietrza, a on, wlewając powoli sok do ust Laury, rzucił pytanie w tłum: - No i co z tym śmigłowcem?

- Ratownik powiedział, że przyleci za jakieś dziesięć-piętnaście minut! - odkrzyknął ktoś w odpowiedzi.

Uczestnicy wycieczki sprawiali wrażenie, jakby podzielili się obowiązkami. Jedni przynosili nam jedzenie, inni napoje, środki owadobójcze, ręczniki. Kobieta w bikini plecionym ze sznurka (bardzo seksownym!) przyniosła duży parasol plażowy i ustawiła go nad Laurą, aby ochronić ją od słońca.

Po dłuższej chwili, która wydała mi się wiecznością, Laura otworzyła oczy i spojrzała wprost na mnie. Była wprawdzie blada jak śmierć, ale nie trzepotała powiekami, nie jęczała, patrzyła całkiem przytomnie. Uśmiechnęła się do mnie, a Tom dał jej jeszcze soku.

- Świetnie ci idzie, Lauro! - pochwalił. - Tylko tak dalej, oddychaj powoli i spokojnie. Postaraj się nie mdleć więcej, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała sensownie, chociaż głosem urywanym i cichym.

- Słyszysz, to chyba śmigłowiec! - przemawiałem do niej. - Przynajmniej teraz nie urządź nam żadnych odlotów, bo się naprawdę zdenerwuję, a Tom dostałby chyba kota. Skup się na razie na oddychaniu, a co dwie minuty masz się do mnie uśmiechnąć, żebym miał kontrolę nad sytuacją, jasne?



- W ogóle czuję się dobrze, Mac, tylko to ramię boli jak jasna cholera! - wyszeptała. - Może być taki uśmiech?

- Masz najpiękniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałem, tylko szkoda, że skończyły mi się tabletki przeciwbólowe. Jakbyś już nie mogła wytrzymać, to ściśnij mnie za rękę.

Helikopter wylądował o jakieś dwadzieścia metrów od nas. W naszą stronę biegło dwóch facetów z noszami i kobieta z czarną torbą. Dopiero wtedy uwierzyłem, że Laura wyjdzie z tego obronną ręką, i z tej radości aż chciało mi się płakać.

Kiedy helikopter się wznosił, pomachałem na pożegnanie doktorowi Tomowi i jego znajomym z plaży, którzy nam tak pomogli. Jeden z sanitariuszy podłączył Laurze kroplówkę do żyły i wyjaśnił piękną angielszczyzną, tonem łagodnym i uspokajającym:

- To nic poważnego, tylko sól fizjologiczna i glukoza. Doktor mówił, że ona wypija już jakiś gazowany napój, to nawet lepiej.

- Jest odwodniona - dodała sanitariuszka, młoda kobieta w czapce baseballowej odwróconej daszkiem do tyłu. Założyła na nos i usta Laury maskę tlenową, a potem zapytała: - Czy jest na coś uczulona?

- Nie wiem - przyznałem szczerze.

- Podam jej dożylnie antybiotyk, cefotetan, który bardzo rzadko powoduje uczulenia - oznajmiła, a spoglądając na mnie spod oka, dodała: - Czy to pana żona?

- Jeszcze nie - odpowiedziałem. Tymczasem lekarka z pogotowia zbadała Sherlock. Helikopter uniósł się na tyle wysoko ponad wierzchołkami drzew, że mogliśmy oglądać wspaniałą panoramę lasu deszczowego. Gęsta zieleń widziana z góry kojarzyła się z kożuchem pleśni, a miejscami snuł się nad nią szary welon mgły. Całość tworzyła jakiś upiorny, nieziemski widok. W południowowschodniej części naszego pola widzenia musiała znajdować się ta partia lasu, gdzie chroniliśmy się przed seriami z pokładów śmigłowców „Apache”. Domyślałem się, że w tamtej okolicy musiało też leżeć miasteczko Dos Brazos, a o kilka kilometrów na południowy zachód - obóz tego drania Molinasa i jego ludzi, facetów z ikrą, ale bez dyscypliny.

Myśmy ledwo uszli stamtąd z życiem, a równocześnie nad tym samym fragmentem dżungli turyści bezpiecznie podróżowali kolejkami linowymi, pstrykając zdjęcia i popijając soczki z kartonów.

W huku silników nie słyszeliśmy się nawzajem, więc nawet nie próbowaliśmy rozmawiać, tylko podziwialiśmy z lotu ptaka miejsce, które dla jednych było więzieniem, a dla drugich - bezpieczną przystanią. Sanitariuszka z załogi śmigłowca lekko dotknęła mojego ramienia, więc nachyliłem się w jej stronę.

- Lecimy prosto do San Jose - poinformowała. - Señorita musi mieć jak najlepsze warunki.

- Czy to daleko stąd?

- Jeszcze z godzinę lotu. Przez cały ten czas trzymałem Laurę za rękę, ale ona tylko mamrotała przez sen coś niezrozumiałego. Nic więc dziwnego, że ta dodatkowa godzina lotu dłużyła się niemiłosiernie. Owszem, zawsze chciałem zwiedzić Kostarykę, ale nie w takich okolicznościach!

Jeszcze pięć minut i helikopter wylądował na parkingu szpitala San Juan de Dios. Czekali tam już sanitariusze z wózkiem. Zdążyłem jeszcze tylko zapamiętać długie włosy Laury zwisające z wózka. Były potargane i mokre od zimnych kompresów kładzionych na jej czoło, ale mnie wydawały się najpiękniejsze na świecie. Oznaczało to, że się zakochałem, bo gdyby nawet Laura całkiem wyłysiała - jeszcze i wtedy podziwiałbym połysk łysiny! Sanitariuszka poinformowała nas z uśmiechem:

- Przejdziecie teraz dokładne badania, a potem jedźcie na trzecie piętro, na oddział chirurgiczny. Sherlock złapała mnie pod ramię i prowadząc na izbę przyjęć, szeptała:

- Udało się! Nie martw się, Mac, zobaczysz, że Laura będzie zdrowa.

Przez godzinę poddawano nas szczegółowym badaniom, przy czym z grubsza nas umyli. Nadal jednak wyglądaliśmy jak włóczędzy - zarośnięci, w łachmanach i ze śladami ukąszeń owadów na karkach i grzbietach dłoni, rude włosy Sherlock sterczały wokół głowy, złachane ciuchy sztywne były od zaschniętego błota, a kiedy pocałowałem ją w policzek, poczułem zapach środka owadobójczego. Najważniejsze jednak, że powoli zaczynaliśmy upodobniać się do ludzi.

Zadzwoiłem do szefa Laury z brygady antynarkotykowej - Richarda Athertona, podczas gdy Savich zamówił rozmowę ze swoim bezpośrednim przełożonym Jimmym Maitlandem i z moim - Dużym Carlem Bardolino. Każdemu z nich opowiedzieliśmy wszystko ze szczegółami, więc trwało to ponad godzinę, z poprawką na wiązanki puszczone przez Athertona. Ostatecznie obiecali skontaktować się z naszą ambasadą i władzami lokalnymi, aby zapewnić nam ochronę. Jasne, że chcieli jak najszybciej po nas przyjechać, ale nie jest to takie proste, aby zwyczajnie zabrać czworo federalnych agentów z jednego kraju do drugiego. Planowali także, w porozumieniu z wojskiem kostarykańskim, akcję zbrojną w celu rozbicia obozu dealerów narkotyków. Edgerton przeżywało natomiast prawdziwy najazd agentów, którzy szperali wszędzie, przesłuchiwali wszystkich i przetrząsali całe miasto. Kiedy o tym usłyszałem, dopiero wtedy zacząłem na serio bać się o moją siostrę.

Potem Sherlock i Savich zadzwonili do matki Savicha, która opiekowała się ich synem. Pewnie przekazała mu słuchawkę, bo podsłuchałem, jak oboje rozczulająco szczebiotali do dzieciaka.

W końcu do poczekalni, gdzie siedzieliśmy, zszedł doktor Manuel Salinas i pochwalił nas poprawną angielszczyzną, tylko z lekkim obcym akcentem:

- No, spisaliście się wspaniale! Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że pani Bellamy przeżyła dwudniowy marsz przez las deszczowy z ramieniem przestrelonym na wylot. Musieliście opiekować się nią bardzo troskliwie. Wysondowaliśmy tę ranę, oczyściliśmy ją i mogliśmy stwierdzić, że na szczęście nie wdała się poważniejsza infekcja. Nałożyliśmy szwy i za jakąś godzinę będziecie mogli się z nią zobaczyć, bo na razie jest jeszcze pod działaniem leków. Wykonaliście kawał dobrej roboty! - Uścisnął mi rękę. - Przetrzymamy ją na obserwacji jeszcze ze dwa dni, aby się upewnić, że nie ma powikłań. Potem będziecie mogli spokojnie wracać do Stanów.

Myślałem, że go ucałuję z radości! Kiedy już byłem pewien, że Laurze nic nie grozi, wybraliśmy się z Sherlock i Savichem po zakupy. Rzecz jasna, nie mieliśmy przy sobie gotówki ani żadnych dokumentów, doktor Salinas pożyczył nam pieniądze. Najpierw jednak Savich i ja musieliśmy się ogolić, inaczej nie wpuszczono by nas do żadnego sklepu. Po powrocie do szpitala wzięliśmy prysznic, w szatni dla lekarzy przebraliśmy się w nowe ciuchy, zjedliśmy coś i czekaliśmy.

Przyjechali wyżsi rangą funkcjonariusze miejscowej policji, aby nas przesłuchać i zapewnić nam ochronę, co ze względu na zawziętość żołnierzy Molinasa było posunięciem ze wszech miar sensownym. Zgodzili się poczekać z przesłuchaniem na przybycie przedstawicieli DEA i FBI, a wobec nas okazywali życzliwość i współczucie. Jeden porucznik zwierzył się nam, że coś słyszał o dawnych koszarach wojskowych położonych w pobliżu Dos Brazos, ale nie miał pojęcia, że obiekt ten służył obecnie gangsterom narkotykowym. Dotychczas policja w Kostaryce nie miała do czynienia z takimi sprawami.

Ten dzień zdawał się nie mieć końca. Laura na krótko wybudziła się z narkozy, ale była tak osłabiona, że większość czasu przesypiała. Zdecydowaliśmy, że tę noc spędzimy w szpitalu, ku zadowoleniu policjantów, którzy dzięki temu łatwiej mogli nas chronić.

Następnego ranka siedzieliśmy już w pokoju Laury, która jeszcze spała, więc rozmawialiśmy półgłosem. Słyszałem, że ktoś się zbliża, lecz nie podnosiłem oczu. Dopiero gdy otworzyły się drzwi pokoju, Savich zerwał się jak oparzony i wylewnie powitał wchodzącego:

- O rany, szefie, świetnie, że pana widzę!

Przełożony Savicha, wicedyrektor FBI Jimmy Maitland, wpadł do pokoju rozpromieniony, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- No, państwo „S”, cieszę się, że widzę was zdrowych i całych. Wcale mnie też nie martwi, że mamy już tę sprawę z głowy! - Ucisnął serdecznie Sherlock, a Savichowi szczerze pogratulował.

Zza jego pleców wynurzył się mój szef, Duży Carl Bardolino, za którego dałbym sobie uciąć rękę, bo słynął z lojalności wobec swych podwładnych, tak samo jak Jimmy Maitland w stosunku do swoich. Mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt przy około dziewięćdziesięciu kilogramach wagi i nie znałem pracownika naszej firmy, który byłby w stanie pokonać go na siłowni.

- Witamy w Kostaryce, szefie! - pozdrowiłem go na wstępie.

- Chwała Bogu, że tym razem widzę cię w jednym kawałku, Mac.

Tymczasem do łóżka Laury podszedł facet, którego nie widziałem nigdy przedtem. Zabawne, że od razu wyczułem nie tylko to, że nie jest z FBI, ale także i to, że raczej go nie polubię.

- Spotkaliśmy się z tym panem na lotnisku - wytłumaczył Jimmy Maitland. - Zabraliśmy go ze sobą, bo mówił, że jest szefem Laury Bellamy w DEA. Nazywa się Richard Atherton.

Otaksowałem faceta wzrokiem. Był wysokim, szczupłym blondynem, stanowczo za dobrze ubranym jak na agenta federalnego. Wyglądał na takiego, co zadziera nosa - nawet mokasyny na jego nogach były ozdobione fikuśnymi frędzelkami.

- Mylił się pan, ja nie przyjechałem tutaj z misją FBI, tylko w sprawach osobistych. Chciałem pomóc mojej siostrze - wyjaśniłem na wstępie.

- Już mi to pan powiedział przez telefon - przypomniał Richard Atherton, patrząc na Dużego Carla, a nas ignorując. Przelotnie rzucił okiem na Laurę, a potem na Savicha: - Pan pewnie też był tu tylko z prywatną wizytą?

- Zgadza się, bo na pewno Mac panu powiedział, że ktoś usiłował go zabić, a Sherlock i ja nie lubimy, kiedy ktoś chce zrobić krzywdę naszemu kumplowi.

- Sherlock? - blondyn uniósł brew. - To pani jest tą agentką, która ujęła „Dusiciela”?

W jego głosie pobrzmiwał szczerzy podziw, ale Sherlock wzdrygnęła się, a Savich i ja zmarszczyliśmy brwi, bo wiedzieliśmy, że pamięta jeszcze koszmarne sny wywołane narkotykiem, z Marlinem Jonesem w roli głównej. Puściła jednak jego uwagę mimo uszu i ostentacyjnie zwróciła się do Dużego Carla i Maitlanda.

- Przepraszam panów, ale tutejsza policja chce zająć obóz tych gangsterów. Czy mam im powiedzieć, że jesteście gotowi do akcji?

- Dobra, Sherlock, już ustaliliśmy to, co chcieliśmy - zgodził się Maitland.

- Ten przypadek leży w kompetencji brygady antynarkotykowej, nie FBI - zaoponował Atherton. - Cokolwiek ma pan w tej sprawie do powiedzenia, proszę informować najpierw mnie.

- Czy z pana zawsze był taki dupek? - Nie wytrzymałem. Atherton postąpił krok w moim kierunku, ale zatrzymał się niepewnie. Chciałem go celowo sprowokować, więc dodałem: - Laura mówiła mi, że pan jest ambitny, ale nie wspominała, że taki upierdliwy. Mam nadzieję, że to nie jest warunek stawiany wszystkim inspektorom z brygady antynarkotykowej?

Maitland znacząco zakaszłał, zakrywając usta dłonią. Natomiast Atherton posunął się jeszcze o krok w moją stronę. Dobrze, że Savich w porę złapał go za przedramię.

- Daj spokój, Atherton, to nieładnie! - wysyczał mu prosto w lewe ucho. - Dosyć już grasz nam obu na nerwach. Radzę ci, jeśli chcesz zachować zęby na swoim miejscu, siadaj grzecznie i słuchaj, co ci powiem. To już nie są żarty i musimy połączyć nasze siły. Popatrz na Laurę - mało brakowało, a byłaby umarła!

- Sama sobie winna, bo nie słuchała moich wyraźnych rozkazów.

W tym akurat nie mijał się z prawdą.

- Rzeczywiście - przyznałem mu rację. - Właściwie to wszyscyśmy trochę przeszarżowali, ale zapłaciliśmy za to zawiązką.

- Udaremniliście naszą akcję!

- To się dopiero zobaczy - sprostował Maitland. - Podczas gdy my tu rozmawiamy, chyba z tuzin naszych agentów zagląda w Edgerton pod każdy kamień.

- Chcieliśmy od razu wezwać ich na pomoc, ale nie zdążyliśmy - dodała Sherlock. - Porwali nas już pierwszego dnia.

- Dobra, co się stało, to się nie odstanie. - Maitland zamachał wielkimi łapami. - Carl i ja wiemy nie od dziś, że tych dwoje nieraz za wiele sobie pozwala. Tym się zajmiemy później, a Mac nie przyjechał tutaj służbowo, tylko w sprawach osobistych. Przeczesujemy teraz Edgerton tak dokładnie, że gdyby jakiś trop wskazywał na udział Tarchera i Paula Bartletta w tej narkotykowej aferze, na pewno go znajdziemy.

Atherton odczepił się ode mnie, spojrzał spode łba na Maitlanda i westchnął:

- Dobrze już, dobrze. Jeśli tylko jest szansa znalezienia jakiegoś haka na Dela Cabrizo, chciałbym być przy tym. Podejrzewam jednak, że po to złapali was od razu, żeby mieć czas na usunięcie dowodów rzeczowych.

Maitland, jak zwykle, okazał się dyplomatą:

- Gdyby się wam udało zwinąć Dela Cabrizo, to chwała wam za to. Każda pomoc się przyda.

- Tak jak teraz sprawy się mają, jest to wspólna akcja naszych agencji - podsumował Duży Carl. - Zgadza się, Atherton?

Chcąc nie chcąc, musiał przytaknąć. Może wpłynął na to wygląd Laury, bladej i bezsilnej, z rurkami tlenowymi w nosie i kropłówką w żyłę. Podszedł do niej i lekko dotknął jej ramienia. Niewykluczone, że jednak trochę się nią przejął.

Tymczasem Laura przemówiła, głosem wątłym jak nitka:

- Proszę was, koniecznie złapcie Molinasa. On tylko udaje takiego szlachetnego i dobrego tatusia, a naprawdę nie cofnie się przed niczym. Wcale nie jest lepszy od Dela Cabrizo. - Zamrugwała powiekami, przymknęła oczy i wtuliła policzek w poduszkę.

- Najwyższy czas, aby FBI i DEA przystąpiły do wspólnej akcji - zarządził Maitland, wstając. - Jedziemy teraz do tego ich obozu, sprawdzić, co się tam dzieje.

32

- No, wyrzuc to wreszcie z siebie, Mac. Co tam się właściwie stało?

- Molinas nie żyje - poinformowałem Laurę - ale to nie myśmy go załatwili, tylko ludzie Dela Cabrizo. Zjawili się tam przed nami i zastrzelili go.

- To dlatego zawsze bał się Dela Cabrizo!

- I miał nosa. Niestety, nie udało się nam odnaleźć jego córki. Zanim wraz z kostarykańską jednostką wojskową dotarliśmy do ich obozu, zdążyli się wynieść. Na wszelki wypadek policja spaliła go do fundamentów, żeby powtórnie ktoś nie wykorzystał tego obiektu jako punktu tranzytowego. Wojsko i policja planują również stałe patrolowanie przestrzeni powietrznej.

- A czy są jakieś wiadomości z Edgerton?

- Agenci przeszukali dom Tarcherów od poddasza do piwnic. Sprawdzają również ich dokumentację finansową, ale jak dotąd nie znaleźli nic, co wskazywałoby na jakiegokolwiek powiązanie z narkotykami. A Paul zniknął i zabrał ze sobą wszystko, co mógł, łącznie z komputerem. Tarcher wciąż utrzymuje, że nie ma pojęcia, o co tu chodzi, a na razie nie ma powodów, aby go

zatrzymać. Trwają również poszukiwania Jilly, ale przynajmniej dwie godziny temu nie znaleziono jeszcze nic konkretnego.

Pomogłem Laurze oprzeć się wyżej na poduszce.

- O, właśnie, tak jest dużo lepiej - podziękowała mi. - A czy wiadomo coś więcej na temat śladów narkotyku, jakie biegły wykrył w zwłokach Charliego Ducka?

- Tarcher uparcie twierdzi, że nie wie, jakim sposobem Charlie mógł zetknąć się z narkotykiem Paula. Sugeruje, że może Paul go zabił. - Ucałowałem dłoń Laury, gładką i miękką. Jej palce zacisnęły się wokół moich, a siła tego uchwytu była już wyraźnie większa. - Możesz sobie wyobrazić, jak zachwycona jest tym wszystkim pani szeryf Maggie Sheffield. Przepycha się z Athertonem jak dwa koguty nad jedną kurą...

Laure rozśmieszyło to porównanie, więc szybko się poprawiłem:

- To znaczy, chciałem powiedzieć, dwa psy nad jedną kością. W każdym razie wiesz, o co chodzi. Oczywiście Atherton nie wyraził się w ten sposób, zaznaczył tylko, że ta policjantka w Edgerton była strasznie upierdliwa.

- A co my teraz zrobimy, Mac? Pocałowałem ją najpierw w usta, potem w czubek nosa i płatek uszny.

- Na razie zostaniemy tu tak długo, dopóki nie poczujesz się lepiej. A potem... - zaczerpnąłem w płuca dużo powietrza - muszę wracać do Edgerton, aby odnaleźć Jilly.

- Poczekaj jeszcze ze dwa dni, Mac, a pojedziemy tam razem.

Cztery dni później cała nasza czwórka wylądowała na lotnisku w Portland, w stanie Oregon. Sherlock i Savich nie chcieli puścić nas tam samych.

W wypożyczalni na lotnisku wynajęliśmy samochody - Savich toyotę cressidę, a ja forda explorera. Pracownicy wypożyczalni patrzyli na nas nieufnie, bo pamiętali, co stało się z wynajętymi przez nas poprzednim razem wozami, ale zwróciliśmy je w dobrym stanie, pokrywając koszty wszystkich napraw.

Na szosie do Edgerton trzymałem się za samochodem Savicha, wyzywająco czerwonym. Trochę więcej niż godzinę później, o drugiej po południu, podjechaliśmy pod dom Paula i Jilly na Liverpool Street. Był to czwartek, początek maja, kiedy nad wybrzeżem utrzymywała się gęsta mgła, szczególnie gęsta przy domu Paula, który znajdował się nie dalej niż piętnaście metrów od morza. Słabo widziałem nawet czerwony samochód Savicha, a wilgoć wlaźła mi we wszystkie stawy, jeszcze wrażliwe po obrażeniach odniesionych w Tunezji. Zastanawiałem się tylko, czy Laura nie odczuwa z tego powodu żadnych dolegliwości w ranie barku.

Na szczęście nikt w okolicy nie widział, jak odbijałem zamek przy drzwiach wejściowych. Savich osłaniał mnie przy tej czynności i przekonywał, że to nie jest prawdziwe włamanie, bo przecież ten dom należał także do mojej siostry.

Wnętrze okazało się równie chłodne i nieprzytulne jak zawsze, a przy tym zupełnie puste. Nawet gdyby Paul pozostawił jakieś notatki, czasopisma lub sprzęt, z pewnością zabezpieczyła je policja. Obawiałem się jednak, że Paul zabrał wszystko.

- Co szkodzi się rozejrzeć? - namawiała mnie Laura. - Przecież nigdy nic nie wiadomo...

Sherlock, podśpiewując pod nosem, wyszła na zaplecze domu, a ja zostałem w salonie, zastanawiając się, gdzie Paul mógł schować to, czego nie zabrał. Rozejrzałem się naokoło, z najwyższą abominacją patrząc na nowoczesne meble i obrazy utrzymane w tonacji czarno-białej. Po trzech minutach wyszedłem stamtąd i dołączyłem do Savicha, który przeszukiwał laboratorium Paula.

Nucąc jakąś kowbojską balladę, zaglądał do pustej szafy, a ja rozglądałem się po wąskim pomieszczeniu, wypatrując przedmiotów wyraźnie nie pasujących do otoczenia. Nie znalazłem

jednak niczego podejrzanego.

Savich, podśpiewując o jakimś Tommym, który zdołał uciec z mrocznego i dusznego meksykańskiego więzienia, wystawił głowę z szafy:

- Ostukałem nawet ściany i nic! Wytarł ręce o spodnie i zaproponował:

- Jedźmy lepiej do Tarcherów i zobaczmy, jak się ucieszą na nasz widok.

- Wstąpmy najpierw do Roba Morrisona, dobrze? Może to głupi pomysł, ale przypomniałem sobie, jak kiedyś Maggie wspomniała mi, że Jilly przez pewien czas z nim żyła. A nuż wie coś więcej?

Domek Morrisona stał pusty, nie parkował przed nim żaden samochód, nie dostrzeżliśmy śladów opon. Miejsce wyglądało na opuszczone już jakiś czas temu.

Savich próbował otworzyć drzwi frontowe, ale były zamknięte na zamek szyfrowy. Nie dał rady go rozpracować nawet przy użyciu kompletu wytrychów.

- Ciekawe... - mruknął.

- Rzeczywiście - zgodziła się Sherlock, która przez cały czas deptała mu po piętach. - Kto zamyka taką nędzną chałupkę na zamek szyfrowy?

- To dobre pytanie.

Obszedłem domek naokoło, bo pamiętałem, że w kuchni nad zlewem mieściło się duże okno. Pogwizdując, wypchnąłem szybę, co już z pewnością kwalifikowało się jako włamanie.

Uważając, aby nie skaleczyć się rozbitym szkłem, podciągnąłem się na parapet nad zlewem i wskoczyłem do środka. Zamek przy drzwiach frontowych także od wewnątrz stanowił skomplikowaną konstrukcję, prawdziwe dzieło sztuki. Potrwało nieco, zanim rozgryzłem zasadę jego działania. Dopiero po podniesieniu trzech zapadek udało mi się otworzyć drzwi dla Savicha i Sherlock.

- Ten facet mieszkał tu sam? - zdziwiła się Sherlock. - Tu jest tak czysto, jak u nas po wyjściu sprzątaczk.

- Morrison też zatrudniał człowieka do sprzątania - wyjaśniłem. - Starego rybaka z Alaski, niejakiego Thorne'a. Nie miałem zaszczytu go poznać, ale odwalił tu kawał dobrej roboty.

Po dwudziestu minutach poszukiwań zebraliśmy się w salonie ani trochę nie mądrzejsi niż przedtem. W dużej szufladzie znaleźliśmy rachunki z trzech różnych warsztatów samochodowych, polisy ubezpieczeniowe, wyniki badań lekarskich i stare listy od krewnych, nie zawierające żadnej ciekawej informacji. Na meblach stały zdjęcia w ramkach, ale zainteresowało mnie tylko jedno. Na blacie szafki nocnej leżała szkłem do dołu fotografia uśmiechniętej Jilly na tle klifu, w plażowej sukience i przeciwsłonecznych okularach.

- Chciałbym jeszcze zajrzeć do tej szopy za domem - zaproponował Savich.

Buda wyglądała na starą i brudną, jej deski były zbutwiałe, a drzwi, chociaż zamknięte na klucz, ledwo trzymały się na zawiasach. Savich wyważył je potężnym uderzeniem pięści, a wtedy rozszedł się odrażający fetor.

- Co tam jest, Dillon? - Sherlock już pchała mu się na plecy.

- Nie wchodź tam! - Savich powoli odwrócił się i przytrzymał ją za ramiona.

Nie znaleźliśmy Jilly, tym, kogo znaleźliśmy, był Rob Morrison.

33

Maggie przyglądała się z daleka, jak dwaj mężczyźni wkładali zwłoki jej kochanka do plastikowego worka. Wnieśli go do samochodu koronera i zatrzasnęli drzwiczki, a ona nie ruszyła się z miejsca, dopóki wóz nie zniknął za zakrętem, oddalonym o jakiś kilometr od domku Roba Morrisona.

Spojrzała na ciało tylko raz, zasłaniając ręką nos i usta. Potem odeszła na bok i nie odzywała się do nikogo przynajmniej przez dziesięć minut. Potrwało prawie godzinę, zanim na miejscu pojawili się pracownicy zakładu medycyny sądowej. Służbę miał akurat detektyw Minton Castanga, ale do tej chwili nie zamienił z Maggie i z nami ani słowa, oprócz zdawkowych pozdrowień.

Dopiero kiedy koroner odjechał, zaczął padać deszcz i detektyw Castanga zaprosił nas do wnętrza domu.

- Porozmawiajmy - zaproponował, siadając na kanapie Roba Morrisona.

Opowiedzieliśmy mu wszystko... no, powiedzmy, prawie wszystko. Przeinaczyliśmy tylko jeden fakt - że włamaliśmy się do domu dopiero po odnalezieniu ciała.

Castanga podrapał się długopisem w podbródek.

- Dla jasności, czy to oznacza, że wasi agenci węszyli tu przez cały tydzień, a teraz wy przyjeżdżacie we czworo i spodziewacie się odnaleźć siostrę Maca? Czy też oczekiwaliście raczej, że Morrison będzie coś na ten temat wiedział?

- Zgadza się - potwierdziłem. Laura siedziała przy mnie, opierając się lekko o moje ramię.

- Jak sądzicie, kto mógł zabić Roba Morrisona? - spytał Castanga, biorąc sobie z misy stojącej na stoliku błyszczące, czerwone jabłko. Wylał je rękawem kurtki i odgryzł duży kawałek.

- Nie mamy pojęcia - burknąłem. - To musi mieć coś wspólnego z aferą narkotykową, w której sprawie toczy się obecnie śledztwo, ale nie znamy bliższych szczegółów. Chcieliśmy się tu po prostu rozejrzeć i zaciekawili nas drzwi szopy wiszące na zawiasach, więc zajrzeliśmy do środka i znaleźliśmy zwłoki Morrisona.

Tym sposobem okrężnie zasugerowałem, że drzwi nie były całkowicie otwarte. Nie uważałem jednak, aby Castanga musiał wiedzieć, że przeszukiwaliśmy posesję Morrisona.

- Dostał dwie kule w kręgosłup - wyjaśnił Castanga. - Ktoś chciał się go pozbyć i dobrze tego dopilnował. Zgon musiał nastąpić najpóźniej cztery dni temu.

Odłożył ogryzek jabłka na politurowany blat stolika, ale zaraz skrzywił się i przełożył go na inne jabłko.

- Nie chcę plamić stołu.

- Kiedy byliśmy małżeństwem, nie obchodziło cię, czy plamisz stół, czy nie - zwróciła uwagę Maggie.

- Byłem wtedy młody i głupi.

- No, powiedzmy, że miałaś nie więcej niż trzydzieści pięć lat.

- Maggie... - zaczął oględnie Castanga. - Wiem, że... nazwijmy to, widywałaś się z Robem Morrisonem. Czy nie zastanowiło cię, że zniknął?

Maggie tylko wzruszyła ramionami, a jej pełne bólu spojrzenie wyrażało więcej od słów.

- No, wiesz, Rob nie był uosobieniem wierności. Kiedy od jakiegoś czasu się nie odzywał, zadzwoniłam do niego ze dwa razy, a potem dałam sobie spokój.

- Naprawdę bardzo nam przykro - zapewniła Sherlock.

- Mnie też - dodałem. - On przecież uratował życie Jilly.

Podniosło to Maggie na duchu.

- Dziękuję wam. Teraz ja zacznę przesłuchiwać innych, może czegoś się dowiem.

Castanga zrobił minę, jakby miał coś przeciwko temu, ale tylko wzruszył ramionami.

- Rób swoje, Maggie, ale uważaj. Nie chcę być nadopiekuńczy, ale ostatnio ludzie coś za często umierają w tych stronach.

- Kurczę, powinnam była zostać w Eugene! - zakląła Maggie. Castanga zauważył, że Laura wspiera się na moim ramieniu i rzucił w przestrzeń:

- Zajmijcie się nią, ona powinna jeszcze leżeć w łóżku! Zamknął notesik, schował go do kieszeni i wstał, wycierając ręce o spodnie.

- Aha! - przypomniał sobie. - Nie znaleziono też żadnych śladów wskazujących, kto was uspił i porwał. Pewnie już wiecie, że brygada antynarkotykowa umorzyła także i nasze śledztwo, bo prowadziło donikąd.

Lunch zjedliśmy w delikatesach „U Grace” na Piątej Alei. Odniosłem wrażenie, że Grace jest jedyną osobą w Edgerton, która naprawdę ucieszyła się na nasz widok. Wystarczyło jej raz spojrzeć na Laurę, a już sama podprowadziła ją do stolika, poklepując protekcyjnie po plecach.

Przygotowywała dla nas kanapki, nie przestając trzepać:

- Chyba ze trzydziestu agentów kręciło się po całym mieście. Zagląдали w każdy kąt, przesłuchiwali wszystkich, nikt nie mógł tu wjechać ani stąd wyjechać. I wiecie co? - Podając Laurze kanapkę z tuńczykiem, sama odpowiedziała na to pytanie. - No nie, skąd moglibyście wiedzieć? Przecież przez cały ten czas przetrzymywali was ci dranie, gangsterzy. Tak was, biedaków, męczyli!

- Jak się pani o tym dowiedziała? - spytałem, ale nie czekając na odpowiedź, odgryzłem solidny kęs kanapki z mieloną wołową na żytnim chlebie.

- W tym mieście wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Omawialiśmy tę sprawę na zebraniu Komitetu Obywatelskiego. To chyba ma coś wspólnego z tym wynalazkiem doktora Bartletta, prawda? A biedny Rob Morrison pewnie zginął dlatego, że wiedział, kto tym handluje, i chciał tych ludzi zwinąć. Oczywiście Cotter Tarcher rozpowiada na lewo i prawo, że to śmieszne, bo ten środek tylko zwiększał potencję, a to chyba nic złego.

- Rzeczywiście, zwiększał jak jasna cholera! - parsknąłem.

- Ciekawam, czy ostatnio wzrosła w tych stronach liczba zgłoszonych przypadków gwałtu? - rozwinęła ten temat Laura.

Kiedy zajechaliśmy pod dom Tarcherów, Laura, jakby na dźwięk budzika, otrząsnęła się, zamrugła oczami i usilnie przekonywała mnie, że kanapka z tuńczykiem i krótka drzemka bardzo dobrze jej zrobiły.

- Wielka mi drzemka, może z pięć minut!

- Jestem kobietą i więcej mi nie trzeba. Zaraz za nami wjechali na podjazd Sherlock i Savich. Mój dzwonek do drzwi wywołał natychmiastową reakcję.

- Jezu, znowu ta banda głupków! Czego tym razem chcecie?

Cotter Tarcher wypełniał sobą cały otwór drzwiowy. Ubrany w białą koszulkę, czarne dżinsy i także kowbojki, wyglądał jak gangster. Widać było, że szuka zwady.

- Cześć, Cotter! - przywitałem go. - Na pewno pamiętasz Sherlock, Savicha i panią Scott, prawda? Zwłaszcza Savicha, boście się ostatnio poprząkali.

Cofnął się, chcąc zatrzaskać mi drzwi przed nosem, ale nie dopuściłem do tego. Pchnąłem je na całą szerokość, aż Cotter pośliznął się na marmurowej posadzce i poleciał do tyłu.

- Uważaj, Cotter, bo przyszliśmy, żeby porozmawiać z twoimi rodzicami - przestrzegłem go. - Najwyższy czas, żebyś przestał zachowywać się jak rozpuszczony dzieciak!

Wszedłem spokojnie do wnętrza domu, a za mną Laura, Savich i Sherlock. Cotter już dźwigał się z podłogi, gotów rzucić się na ranie, ale powstrzymał go kobiecy głos:

- Daj spokój, co będziesz tracił energię? Pamiętaj, że ich jest czworo, a ty jeden, chociaż z kobietami chyba dałbyś sobie radę. Zwłaszcza z tą, która ma rękę na temblaku, ale oni mogliby cię za to aresztować!

Elaine Tarcher, elegancko ubrana w białe, obcisłe dżinsy i luźny, kaszmirowy sweter w odcieniu brzoskwini, zwróciła się z kolei do nas:



- Wtargnęliście do naszego domu bez zaproszenia, ale ponieważ jestem dobrze wychowana, pozwolę wam przez chwilę tu zostać. Podobno chcieliście ze mną rozmawiać? - Na moje skinienie głową wykonała zapraszający gest ręką. - Najlepiej będzie, jeśli przejdziemy do salonu, chociaż Bóg jeden wie, ilu agentów już go przewróciło do góry nogami! Zbobrowali cały dom i nawet nie raczyli posprzątać po sobie.

Ruszyła przodem, w kremowych, baletowych pantofelkach, z szopą kasztanowatych włosów. Nie oglądała się na nas, jakby w ogóle nie dbała, czy idziemy za nią, czy nie.

- Biedna Maggie! - zagaiła, z wdziękiem rozsiadając się w fotelu, który na oko mógł liczyć najmarniej dwieście lat. - Ciekawe, czy bardzo przeżywa śmierć Roba?

- Już zdążyła się pani o tym dowiedzieć? - zdziwiła się Sherlock, prostując nogi i wyciągając szyję.

- W Edgerton wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. - Elaine wzruszyła ramionami. - Może przed chwilą moja służąca usłyszała o tym od listonosza? Nie muszę przecież wszystkiego pamiętać.

- Jasne, ale proszę pamiętać, że on nie umarł śmiercią naturalną, tylko został zamordowany - sprostowałem. - Ktoś wpakował mu dwie kule w plecy, a ciało ukrył w szopie. Znaleźliśmy je przypadkiem.

- Wiem o tym, ale i wy wiecie, że Rob nie dochowywał wierności Maggie. To nie jej wina, bo on z żadną kobietą nie pozostawał w związku dłużej niż dwa i pół tygodnia.

Odchyliłem się do tyłu w fotelu podobnym do tego, na którym siedziała Elaine. Łokcie oparłem na udach, a złączone dłonie trzymałem między kolanami. W tej pozycji zadałem prowokujące pytanie:

- Z tobą też wytrzymał tylko tyle?

- Przypuszczałam, że będziecie mnie o to pytać - przyznała ze smutnym uśmiechem. - Owszem, dokładnie dwa i pół tygodnia. Powiem wam szczerze, że mnie zaskoczył, kiedy po wieczorze spędzonym ze mną w łóżku poklepał mnie po policzku i oznajmił, że odchodzi. Nie wziął tego, oczywiście, dosłownie, bo rzecz się działa u niego, więc to ja musiałam odejść. Zawsze utrzymywał w tym swoim małym domku wzorowy porządek, dzięki panu Thorne. Nigdy nie musiałam się troszczyć o świeżą pościel, bo zawsze była na czas zmieniona.

Westchnęła, przykładając do oczu elegancką, białą chusteczkę.

- Rob był takim uroczym, młodym człowiekiem! Mogłam godzinami leżeć przy nim, nie zamieniając z nim ani słowa. Wystarczyło mi, że mogłam dotykać jego wspaniałego ciała! A jaki był wytrwały, a jaki mi oddany! - Znów westchnęła i wyznała, rzucając mi powłóczyście spojrzenie spod rzęs: - Oczywiście tylko w sprawach czysto fizycznych.

- A z kim żył potem? - zapytał Savich, stojąc za żoną, która siedziała na niskiej kanapce obitej błękitnym brokatem.

- Potem związał się z Maggie. Uprzedzałam ją, że jest śliski jak piskorz, ale ona tylko się śmiała, że sam mój majątek nie wystarczył, aby go zatrzymać.

- Mamo, wyrzuc za drzwi tych cymbałów! - wtrącił się Cotter. - Nie mają nakazu, więc gównu nam mogą zrobić!

- No wiesz, Cotter, czy zawsze musisz być taki niegrzeczny? - Elaine strofowała go tonem zawiedzionej, macierzyńskiej miłości. - Przecież uczyliśmy cię w dzieciństwie dobrych manier, więc gdzie one się teraz podziały?

- Może pani wyciągnąć tego chłopca z wariatkowa, ale nie robi pani z niego... - Sherlock gestem wskazała na Cottera i znacząco zawiesiła głos. - No, już pani wie, co dalej.

- Nie jestem wariatem! - zaprotestował Cotter. Myślałem, że się rzuci na Sherlock, ale zauważył

wyraz twarzy Savicha.

- Oczywiście, że nie, kochanie! - przyszła mu w sukurs mamusia. - Jesteś tylko nerwowy, tak samo jak ja w twoim wieku. Teraz jednak uspokój się, bo nasi goście zaraz wychodzą.

- Może ty wiesz coś więcej, kto mógł zamordować Roba Morrisona? - zwróciłem się bezpośrednio do niego.

- Ni skurczybyka, ale to niewielka strata, jednego pieprzonego gliniarza mniej!

- Dość mam już tego twojego niewyparzonego jęzora - przemówił Savich spokojnym, głębokim głosem. - Przestań już zgrywać się na „niegrzecznego chłopca”, bo mnie po prostu obrażasz!

Cotter zrobił oczy jak spodki. Dla pewności cofnął się o krok, ale wciąż grał zucha:

- Będę mówił, co mi się podoba, ty głupi kutasie!

- Dostyc tego! - Elaine ruchem pełnym wdzięku podniosła się z miejsca, aby stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który był jej synem, ale mógł zostać uznany za niepoczytalnego. - Cotter, nie jesteś w lesie, tylko w salonie, w moim domu!

Ze zdziwieniem, ale i z ulgą spostrzegłem, że Cotter zmienił ton i przemówił spokojnym, opanowanym głosem:

- Przepraszam, mam, na pewno nie zrobię ci bałaganu w salonie. Masz w nim tyle pięknych rzeczy!

- Tak, kochanie. To miłe z twojej strony, że o tym pamiętasz. Idź teraz i odszukaj ojca.

Cotter już przeszedł pod łukowatym portalem drzwi do salonu, gdy nagle odwrócił się i coś sobie przypomniał:

- Ten Rob Morrison musiał być całkiem głupi, żeby pragnąć ciebie tylko przez dwa i pół tygodnia, mam! Chyba był ślepy! Jesteś taka piękna, że ten drań powinien był czołgać się u twoich stóp. Chyba mu całkiem odbiło!

Obrócił się na pięcie i wyszedł, a Elaine z ujmującym uśmiechem próbowała usprawiedliwić zachowanie syna.

- Przepraszam was, ale Cotter bywa czasami nadpobudliwy. Odziedziczył to chyba po mojej matce albo po prostu pije za dużo kawy, ale jest absolutnie nieszkodliwy. Pewnie już pójdziecie, bo mam dziś jeszcze mnóstwo roboty?

Sherlock się wzdygnęła, natomiast Laura odpowiedziała:

- Przykro mi, pani Tarcher, ale pani syn jest socjopata, to znaczy jednostką nieprzystosowaną społecznie. Potrzebuje fachowej pomocy, zanim zrobi krzywdę komuś lub sobie. Chyba pani zdaje sobie z tego sprawę.

- Koleżanka ma rację - dodał Savich. - Pani syn jest niebezpieczny dla otoczenia, bo któregoś dnia może się już tak łatwo nie uspokoić.

- Jeżeli taki dzień nadejdzie, dam sobie z tym radę - oświadczyła stanowczo Elaine. - Mój syn nie potrzebuje psychiatry. Może najwyżej zażył trochę za dużo tego lekarstwa od Paula, ale ono po jakimś czasie przestanie działać. No, współpracowałam z wami już dość długo, teraz możecie iść. Czego pan tak na mnie patrzy, agencie Savich?

- Powiedziała pani, że pani syn zażywał narkotyk Paula? - powtórzył Savich, nie zdejmując ręki z ramienia żony.

- Tak mi się wydaje. Nie jestem pewna, co to było, ale po tym zrobił się jakby bardziej agresywny i gorzej panował nad sobą.

- Ależ, kochanie, daliśmy Cotterowi tylko środek uspokajający zalecany przez Paula! - sprostował Alyssum Tarcher, wchodząc do salonu. Wyglądał imponująco w dopasowanych, włoskich spodniach i białej koszuli rozpiętej pod szyją. Ciekawe, czy słyszał wszystko, co

powiedziała żona? - Co ja widzę, znowu jacyś agenci straszą moją żonę i rozdrażniają syna? Tę lekcję już przerabialiśmy. Jeśli nie macie nakazu przeszukania, proszę opuścić mój dom!

- Chcieliśmy także zapytać pana o Jilly - wszedłem mu w słowo. - Nie wiadomo, co się z nią dzieje. Może pan widział ją ostatnio lub wie coś więcej na jej temat?

- Nie widzieliśmy Jilly od czasu jej wypadku - odrzekł stanowczo Alyssum.

- A nie sądzi pan, że Jilly zażywała narkotyk Paula? - przystąpił do ataku Savich. - Może przedawkowała i straciła panowanie nad samochodem, co spowodowało, że zjechała z klifu?

- Nie wiem, o czym pan mówi. Denerwuje pan moją żonę.

Widziałem, że Laura cierpi, lecz potrafiła zapanować nad bólem i zadała Alyssumowi kolejne pytanie:

- Słyszał pan, że John Molinas został zamordowany w Kostaryce przez dealerów narkotykowych pod wodzą Dela Cabrizo?

- Podawali to w dzienniku telewizyjnym - wycedził Alyssum, nie spuszczać oka z żony, która z nienaturalnym zainteresowaniem wpatrywała się w czubki swoich pantofli. - Ani Elaine, ani ja nie widzieliśmy się z Johnem od dawna. Oczywiście zmartwiła nas wiadomość o jego śmierci.

- Niestety, pani bratanica zaginęła - dodała Sherlock.

- Mój brat bardzo kochał swoją córkę - wyznała Elaine, stając przy boku męża. - Naprawdę nie był do gruntu złym człowiekiem...

- Ale ja chciałbym, żebyście już sobie poszli! - przerwał Alyssum Tarcher. - Zostałem oczyszczony z wszelkich zarzutów, zarówno handlu narkotykami, jak tych ohydnych morderstw, które sprowadziliście na nas, pańska siostra i pan, panie MacDougal. Ani myślę się panu spowiadać, bo nie mam z czego. Wyoście się, ale już! Byliśmy blisko wyjścia, gdy jeszcze zawołał za nami:

- Wyślę wam rachunek za prace remontowe, które musiałem przeprowadzić w „Chatce pod Mewami”. Zostawiliście tam potworny bałagan.

Ten to miał tupet!

- To było mistrzowskie pociągnięcie - rzekł Savich, kiedy opuszczaliśmy dom Tarcherów. - Ten facet ma coś w sobie!

Jeszcze raz obróciłem się za siebie i zauważyłem, że Cotter śledził nas z okna na piętrze. Kiedy dostrzegł, że patrzę w jego kierunku, od razu zapuścił zasłony. Wiedziałem dokładnie, jak mógł działać na niego narkotyk, bo sam to odczułem na własnej skórze, ale jemu prawdopodobnie się to podobało. Ciekawe, czy jego ojciec lub matka też to brali? Nie przypuszczałem, natomiast co do Cal trudno byłoby stwierdzić coś pewnego.

Czułem się wypalony wewnątrz i miałem świadomość, że przyjazd tu był stratą czasu. Jilly zniknęła, a ja nie zyskałem nawet żadnego punktu orientacyjnego co do kierunku poszukiwań.

- Przenocujmy w moim mieszkaniu w Salem - zaproponowała Laura. - Chciałabym zobaczyć, co porabiają Grubster i Nolan. Z San Jose dzwoniłam do administratora, powiedział mi, że mają apetyt, ale nie wyglądają na szczęśliwe. Dobrze, że Maggie była taka miła i przywiozła je do domu.

- I co, mają spać z nami?

- Moje łóżko jest takie ogromne, że wszyscy się świetnie zmieścimy, a dla Sherlock i Savicha mam wygodny pokój gościnny.

Zadzwoiłem do Maggie Sheffield i poinformowałem ją, gdzie będziemy uchwytyni, w razie gdyby coś nowego wyszło na jaw. W to ostatnie szczerze wątpiłem i ona chyba też, ale była tak uprzejma, że nie powiedziała tego głośno.

Ułożyłem się do snu w przestronnym łóżu Laury, ale na odległość wyciągniętej ręki od niej, bo Grubster zwinął się w kłębek przy jej boku i przez całą noc mruczał z ukontentowaniem.

Przyśniły mi się przednie światła samochodu, tak ostre, że widoczne nawet w gęstej mgle, która spowijała wszystko jak biały welon. Mimo tej mgły wyraźnie widziałem szosę przed sobą, która aż nazbyt szybko umykała spod kół. Chciałem krzyknąć i nacisnąć hamulec, ale nie mogłem go znaleźć. Nie mogłem też wyskoczyć z samochodu, bo byłem w nim uwięziony jak w pułapce.

W tym śnie byłem tak sparaliżowany strachem, że nie mogłem zaczerpnąć powietrza. Nagle tuż obok mnie dał się słyszeć cichy jęk, jakby żalosne zawrodo. To kobieta szlochała tak, jakby nic już jej w życiu nie pozostało i godziła się z losem.

Chciałem zatrzymać samochód, ale szosa umykała spod kół. Próbowałem powiedzieć tej kobiecie, że jestem przy niej i będę starał się jej pomóc, ale nie słyszała, co do niej mówię.

Ja natomiast słyszałem, jak cichym głosem odmawia modlitwę. Modliła się o darowanie win, a ja w pełni się z nią utożsamiałem. Zdawałem sobie przy tym sprawę, że śnię. Chciałem się obudzić, ale nie mogłem.

Tymczasem szosa znikła, rzuciło mną do przodu, a wszystko wokół mnie zdawało się rozplwać w powietrzu. Razem z tą kobietą unosiliśmy się we mgle, zanim wpadliśmy do wody.

Poczułem najpierw przenikliwy ból, potem ucisk w klatce piersiowej, ale i to szybko ustąpiło. Miejsce tych nieprzyjemnych doznań zajął dziwny spokój, jakby wszystko się dla nas skończyło. Nawet się dziwiłem, że to poszło tak spokojnie i łatwo, dopóki nie otoczyła mnie ciemność, w której już nic nie czułem.

Następnego ranka wszyscy czworo staliśmy na klifie, patrząc w dół na lustro wody. Nie trwało to długo, bo po chwili na powierzchnię wynurzył się mężczyzna w ekwipunku nurka i zawołał:

- Ona tam jest!

Przypuszczałem, że Jilly tam będzie, bo we śnie poszedłem pod wodę razem z nią.

Następny nurek wypłynął i zameldował:

- Na dnie stoją obok siebie dwa samochody. Jeden to biały porsche, który wygląda, jakby znajdował się tu już od dłuższego czasu, a ten, w którym leżą zwłoki, musiał być wynajęty.

Epilog

Waszyngton, trzy miesiące później.

- Skuaak!

- Spokojnie, Nolan! - Wysypałem na dłoń nasiona słonecznika i wsadziłem rękę do klatki.
- Skuaak!
- Masz, wsuwaj. Grubster otarł się o moją łydkę.
- Dobra, stary, teraz ty.

Patrząc na niego, można by pomyśleć, że zżera wszystko, co się rusza, taki był potężny i wypasiony. Tymczasem Grubster, odkąd wprowadziliśmy się do nowego domu w Georgetown, zaczął jadać tylko konserwy dla kotów w najlepszym gatunku.

- Pewnie mu się wydaje, że awansował w hierarchii społecznej - żartowała Laura. - To wzmacnia jego poczucie własnej wartości.

Wstawiłem do tosterka kromkę chleba i poszukałem otwieracza do konserw. Otworzyłem puszkę łososia z ryżem i całą jej zawartość wygarnąłem do dużej, białej miski Grubstera, z namalowanym na dnie uśmiechniętym, kocim pyszczkiem. Pogłaskałem kota, podrapałem za uszami i słuchałem jego radosnego mruczenia, kiedy pałaszował konserwę.

- Skuaak! Pomachałem w powietrzu grzanką, dopóki nie ostygła.

Pokruszyłem ją na małe kawałki i wrzuciłem do klatki Nolana.

- Wszyscy zadowoleni? Odpowiedziała mi błoga cisza. Ciepły, sobotni poranek był zapowiedzią upalnego dnia. Laura jeszcze spała, więc już chciałem wracać do łóżka, aby obudzić ją pocałunkiem na dzień dobry, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Chwileczkę! - zawołałem i skoczyłem do sypialni, aby wciągnąć przynajmniej spodnie.

- Pan MacDougal? Polecony dla pana.

- Dla mnie? Ciekawe, skąd?

- Wiem tylko, że z Oregonu. Nie wiem, czego się właściwie spodziewałem, ale z pewnością nie tego. Do listu było dołączone krótkie pismo od adwokata z Salem, zawiadamiające, że zgodnie z ostatnią wolą mojej siostry, list ten został wysłany w trzy miesiące od oficjalnego stwierdzenia jej zgonu. Drżącą ręką rozprostowałem kartki.

Najdroższy Fordzie!

Nie wiem, czy dziś wieczorem znów połączysz się ze mną, ale jeśli tak, to będziesz wiedział, co zrobiłam. Przykro mi, że sprawiam Ci taki ból, ale byłabym wdzięczna, gdybyś mi towarzyszył przynajmniej duchowo.

Od czego tu zacząć? Najlepiej od początku. Paul i ja wiązaliśmy wielkie nadzieje z naszym wynalazkiem. Udało mi się dokonać syntezy jednego z opiatów z neurotransmiterem odpowiedzialnym za proces pamięci i otrzymany związek okazał się trwały. Kiedy jeszcze badania laboratoryjne dowiodły, że jest nietoksyczny i powoduje głębokie zmiany u zwierząt doświadczalnych - sądziliśmy, że odnaleźliśmy klucz do mechanizmu działania pamięci i popędu płciowego. Nie przewidzieliśmy jednak wszystkiego lub niektóre skutki wymknęły się nam spod kontroli, więc ci dranie z VioTechu zmusili nas do zaprzestania dalszych badań.

Tak naprawdę zakręcili nam kurek dlatego, że Paul i ja wypróbowaliśmy ten lek na sobie i ktoś doniósł o tym kierownictwu. Palnęłam ogromne głupstwo, ale na początku wydawało mi się to cudowne, szczególnie seks dostarczał niezapomnianych wrażeń. Kiedy zwolniliśmy się z VioTech-u,

byłam już mocno uzależniona. Paul bał się ryzykować, chociaż lubił, jak go to pobudzało, ale zawsze się pilnował, żeby nie wziąć za dużo, i to go uratowało.

Musieliśmy jednak zwiększyć nasze moce produkcyjne, a ja chciałam jeszcze popracować nad tym środkiem, aby zmienić jego właściwości, bo musiał być dawkowany pod kontrolą. Zaproponowaliśmy więc współpracę Cotterowi Tarcherowi, bo Paul, znając go, przypuszczał, że go to zainteresuje. I rzeczywiście, Cotter raz spróbował i sam zaofiarował się, że skłoni swoich rodziców, aby sponsorowali nasze badania. Wyobrażał sobie, że zbije na tym dziki majątek. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że poinformuje o wszystkim swojego wujka, Johna Molinasa, który był dealerem narkotyków, a także drugiego dealera, Dela Cabrizo.

Nasze prace nad ulepszaniem tego farmaceutyku nie dawały żadnych wyników, natomiast mój stan się pogarszał, bo narkotyk całkowicie wziął nade mną górę. Wstyd się przyznać, co wyczyniałam przez ostatnie sześć miesięcy - wśród mężczyzn, z którymi żyłam, znalazł się nawet Del Cabrizo! A kiedy jeszcze okazało się, że Laura pracuje w policji antynarkotykowej, dostałam pełnego fioła na jej punkcie. Odchodziłam od zmysłów, bo ta obsesja nie dawała mi spokoju. Wciąż prześladowała mnie jej urojona obecność, aż w końcu nie mogłam tego dłużej znieść i próbowałam popełnić samobójstwo. Wydawało mi się, że zabijając siebie, zabiję także ją.

Twoje przybycie przyniosło mi ulgę, ale uciekłam ze szpitala po telefonie od Cottera. Uprzedził mnie, że Del Cabrizo wie o Twoim spotkaniu z Laurą i ma zamiar zabić Was oboje. Nie wiem, skąd się o tym dowiedział, ale bałam się o Ciebie. Nie mogłam zrobić nic innego niż uciec i się ukryć. Na pewien czas zatrzymałam się u Roba Morrisona, który też był moim kochankiem. Zabili go, ponieważ pokrzyżował ich plany.

Del Cabrizo żądał ode mnie prowadzenia dalszych prac nad narkotykiem, co dało mi możliwość gry na zwłokę. Obiecałam, że będę kontynuować badania pod warunkiem, że Cię nie zabiją, ale nie mogłam zapobiec porwaniu. Zobowiązali się zachować Cię przy życiu, jeśli pomogę im przy zacieraniu śladów i przeniesieniu produkcji do leśnego szałasu pod Spokane. Po tej akcji miałam znów podjąć prace badawcze.

Charliego Ducka zabili, bo zaczął coś podejrzewać i za dużo węszył. Bałam się, co się stanie, jeśli ujawni to, co wykrył, więc powiedziałam o tym Delowi. Wydałam tym wyrok śmierci na staruszkę, bo Del Cabrizo wysłał ludzi, żeby przeszukali jego dom. Paul przekazał mi, że wmusili w niego dużą dawkę narkotyku, a następnie zastrzelili go, kiedy próbował się wyrwać.

Tak mi przykro, że musiałeś tyle wycierpieć! Czy mi to kiedykolwiek wybaczysz? Dobrze choć, że udało Ci się uciec. Zawsze mi imponowało, że miałam brata policjanta. Byłeś moim idolem.

Jak widzisz, ponoszę odpowiedzialność za tyle śmierci i cierpienia, które spowodowałam. W końcu udało mi się wyzwolić, ale Paul ciągle jest w ich łapach. Jeśli zechcesz, na pewno go namierzysz, ale wtedy zabiją go, gdy tylko się zorientują, że jesteś na tropie. Zresztą, pewnie zabiją go tak czy inaczej, bo za mało wie, aby móc im dalej pomagać. Proszę Cię tylko, żebyś nie Ty był tym, kto ruszy za nim w pościg.

Chciałam, żebyś się o tym dowiedział i nie wyrzucał mnie całkiem z pamięci, a zachował choćby jakieś słodko-gorzkie wspomnienie. Nieważne, kim byłam, ani kim się stałam, grunt, że kochałam Cię, Fordzie.

A skoro już mowa o miłości, koniecznie powinieneś zostać z Laurą. Ona idealnie pasuje do Ciebie. Zegnaj, mój najdroższy!

Twoja Jilly

Złożyłem kartki i wsunąłem je z powrotem do koperty. Rozpaliłem w kominku, a kiedy ogień zaczął porządnie buzować - ostrożnie wsadziłem kopertę między największe płomienie. Przysiadłem w kucki przy kominku i obserwowałem, jak płonie. Nie ruszyłem się stamtąd, póki nie upewniłem się, że nie zostało po niej śladu.

- Mac, po co rozpaliłeś w kominku? Musi być chyba ze trzydzieści stopni! - rozległ się głos mojej żony.

Powoli wstałem i wróciłem do Laury. Przytuliłem ją mocno.

- Masz pojęcie, że znalazłem jakieś stare zdjęcie, na którym ściskam dziewczynę? Spaliłem je, żebyś nie była zazdrosna.

- Skuaak!

- Widzisz, Nolan mi wierzy.

- Ja też - zapewniła, ale wyczułem wahanie w jej głosie.

Przytuliłem ją jeszcze mocniej i trzymałem długo w objęciach.